

Korolewicz Danuta

Pensjonat Czerwone Maki



Rozdział 1

Droga do pensjonatu „Czerwone Maki”, po zjechaniu z szosy, wiodła utwardzonym, szerokim pasem czarnej ziemi, przez cudownie zielony las z niebotycznymi drzewami, dywanem z porostów, mchu i leśnych kwiatów. Była ukojeniem dla wszystkich zmysłów, a szczególnie oczu, zmęczonych ślęceniem nad „mądrymi” krążkami i wpatrywaniem się w ekran monitora.

Opel wolno posuwał się wzdłuż szpaleru sosen, buków nagle wyskakujących między nimi krzaków, wielkich paproci, pokrzyw i pniaków porośniętych jakąś zieleniną. Przez opuszczoną szybę wnikał zapach charakterystyczny dla leśnych połaci: pomimo upału świeży, przesycony aromatem igliwia, ściółki leśnej, środkiem lata.

W mieście brakuje takich zapachów, które przenikają wręcz przez każdy centymetr ciała, poprawiają nastrój; oczy z przyjemnością wpatrują się w tę gęstwinę zieleni, brązów, czerwieni koralu jarzębiny. Słysząc świergot ptaków

Szkoda, że już za chwilę wyłoni się spośród tych wspaniałości przyrody pensjonat. Jazda takim szlakiem jest spotkaniem z prawdziwą naturą. Pośpiech na takim uroczysku sprzeniewierzał się Matce Ziemi, obdarowującej każdego takimi widokami.

Beata zdjęła rękę z kierownicy i oparła łokieć o framugę szyby. Przed nią cały miesiąc w objęciach lata, który spędzi samotnie na wybrzeżu. Ojciec wykupił dla niej od razu dwa turnusy - oby nie zanudziła się tam na śmierć, bo na odwiedzinach Michała nie ma co liczyć. Wyjechał do Chorwacji i pewnie smaży się tam na plaży, a ona...?

Za karę, za niezaliczenie pierwszego roku studiów na biologii, została zesłana do miejscowości Stomew, do pensjonatu „Czerwone Maki”, żeby z daleka od towarzystwa, „nabrała rozumu”. Biologii szczerze nie znosiła, ale ojciec,

z zawodu weterynarz, na tyle zachęcił ją do studiów na tym kierunku, że poddała się jego perswazji i tak to się skończyło.

A teraz, niepoddanie się woli ojca w kwestii wyjazdu, oznaczałoby odcięcie od kasy, samochodu i wielu innych przyjemności dnia codziennego i, co najważniejsze, nocnego szaleństwa w klubach studenckich.

Bez kasy człowiek jest nagi!

- W twoim wieku powinnaś już być na tyle odpowiedzialna, żeby zadbać o swoją zawodową przyszłość! - ojciec wręcz pienił się ze złości.

-Wiek! - zachnęła się wtedy, ale wzrok matki powstrzymał ją od klótni, która mogła przybrać nieprzewidziane rozmiary.

- Daj już spokój - ta uspokajała męża. - W końcu ma dopiero dwadzieścia lat!

Beata po takim kazaniu przybrała jeszcze bardziej buntowniczą postawę, mętlik myśli w głowie nie pozwolił na obiektywną ocenę jego słów, natomiast wyzwolił kaskadę goryczy i złości.

- Świat się nie zawali, jeżeli nie skończę żadnych studiów! Najwyżej przeczekaam rok i pójdę do pracy, a potem na coś się zdecyduję! - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Na widok jego wściekłej miny umilkła, a matka wyprowadziła ją z pokoju.

- Beata, dość tej pyskówki! - powiedziała ostro. -Jedziesz i koniec dyskusji! Nie życzę sobie więcej żadnych awantur. Tam przemyślisz, co chcesz dalej robić!

Dziewczyna westchnęła na wspomnienie matki.

Z zawodu była pielęgniarką i pracowała w rejestracji w przychodni zdrowia. Zawsze stawała po jej stronie, ale teraz widocznie uznała, że koniec z ochronnym parasolem nad jej głową i nie sprzeciwiła się woli ojca, kiedy ten postanowił odciąć ją na miesiąc od pozauczelnianego świata.

Matka wolałaby, aby wybrała zawód dający w przyszłości dobrą pracę, ale inicjatywę zostawiła w jej rękach. I stało się!

Z Bydgoszczy do miejsca jej przymusowego odpoczynku nie było znowu tak daleko, ale Beata z żalem pomyślała o nocnych wyprawach do klubów wszelkiej maści, a teraz, razem z emerytami i rencistami, będzie rozprawiać o reumatyzmie, maściach rozgrzewających, lekach i bólach głowy.

-I za co? Za głupi indeks? - rozżaliła się nad sobą. Wcisnęła hamulec, wyszła z samochodu i pochyliła się do kolan. Rozmasowała je dłońmi, potem uda i zrobiła kilka przysiadów. Podwinęła dzinsy do kolan, zdjęła bluzkę i rzuciła ją na siedzenie. Poczuła jak opływa ją dookoła strumień powietrza. Z chęcią zdjęłaby jeszcze stanik, ale kto wie, czy za chwilę nie nadjedzie amator takich widoków i zinterpretuje to we właściwy sobie sposób.

Rozejrzała się wokoło, wybrała najokazalsze drzewo i objęła je rękami. Podobno jego energia eliminuje zmęczenie, ból, przenika do wnętrza organizmu i regeneruje siły. Przyłożyła głowę do pnia i stała z zamkniętymi oczami. Być może była to autosugestia, ale czuła jak powoli opuszcza ją zmęczenie. Otworzyła oczy, cofnęła ręce i oparła się plecami o pień.

Założyła dłonie za szyję, zacisnęła na ramionach i pokręciła głową na boki. Ból pleców z każdą chwilą ustępował. Włożyła dłonie pod gęstwinę długich włosów, potrząsnęła głową i roztrzepała włosy na ramiona. Opadły na plecy - brązowe, mocne, błyszczące. Przez chwilę zastanawiała się, czy zadzwonić do Michała... Może nie przekroczył jeszcze granicy i uda się bez zakłóceń przez chwilę z nim porozmawiać, chociaż nie zasługiwał na jej stęskniony głos; mógł wykazać więcej inicjatywy w rozmowie z ojcem, aby pojechali razem do Chorwacji!

Wróciła do samochodu, wyjęła z torebki telefon, wyszukała jego numer i wcisnęła „połącz”. Kiedy usłyszała jego wyraźny, mocny głos, jakby stał tuż obok niej, była mile zaskoczona.

- Cześć. To ja. Nie wyjechałeś jeszcze? - zapytała. - Musiałem pojechać do serwisu, tak na wszelki

wypadek, bo coś mi się nie podobało w pracy silnika.

- A ja jestem już jedną nogą w pensjonacie. Jestem rozgoryczona i wściekła przede wszystkim na ciebie. Strach cię obleciał przed moim ojcem? Za mało go naciskałeś, żebym pojechała z tobą! - cisnęła z gniewem.

- A widziałś jego minę? Nawet twoja matka nie wtrącała się, kiedy machał twoim indeksem i rachunkami za benzynę. - Michał bronił się przed atakiem złości Beaty.

- Cholera! Miesiąc nad falami Bałtyku! - ironizowała dziewczyna.

- Niejedna by ci zazdrościła. Z kieszenią pełną kasy, obsługą pod sam nos i byczeniem się nad wodą.

- Nie denerwuj mnie, bo pomyślę, że jest ci to na rękę.

- Nie zaczynaj, wiesz, że nie lubię zazdrosnych dziewczyn.

-Zazdrosnych?! Ależ ty masz ego! Od Bałtyku do Tatr! Kończę, bo teraz to już przesadziłeś! - krzyknęła w słuchawkę Beata.

- Zaczekaj, przepraszam cię, tak mi się głupio powiedziało. Przyjadę tam, jak tylko wrócę. Chcesz? - zapytał przymilnym głosem.

-Zastanowię się... - Beata uniosła głowę i popatrzyła na zielone korony drzew. - W porządku, przyjeżdżaj, ale nigdy nie mów o zazdrości. To nie w moim stylu. Zrozumiałeś?

- Beata, wiesz, że jestem tylko dla ciebie, a wielkich słów nie lubię.

-Szkoda. Przynajmniej wiedziałabym, z kim się spotykam. Z poetą czy niemową z odzysku!

- Wiesz co, jednak trochę jodu dobrze wpłynie na twoje samopoczucie - powiedział urażonym tonem Michał.

- Nie bądź taki odkrywca. Stoję jak głupia pod drzewem i mam ochotę wyć!

- Beata, za dwa tygodnie przyjadę do ciebie. Chciałabyś, żebym teraz zrezygnował z wyjazdu? Ja nie mam takich nadzianych starych jak ty.

-Są dobrze sytuowani, nie nadziani. Wyrażaj się poprawnie, polonisto! - prychnęła Beata.

- Chyba historyku... Zapomniałaś już co studiuję?

- Och! Jaki dokładny! Rzeczywiście, oblałeś pierwszy rok na ukochanej polonistce, ale ciebie nikt za to nie upychał w jakiś kąt!

- No nie... ale Beata, nie stój już pod drzewem, tylko jedź do tego pensjonatu. - Michał przybrał pojednawczy ton. - Nie zrezygnuję z Chorwacji, cholernie długo na to zbierałem kasę. Moi starzy zajmują się handlem i naprawdę nie tapetują forszą ścian, a w porównaniu z kliniką dla zwierzaków twoje ńczmy tą rozmowę w bezpiecznym punkcie, a co do wyboru przez twojego ojca pensjonatu, to przekonasz się sama, że w takim miejscu czas szybko leci.

- A ty skąd to wiesz? Byłeś już tam? - zdziwiła się Beata.

-Nie byłem, ale zazwyczaj pensjonaty buduje się w ciekawych miejscach, przecież nie na pustyni.

- Michał... - westchnęła Beata. - To do zobaczenia, tylko przyjeźdź, nie chcę być tu sama jak palec. Bardzo chciałabym, żebyś był tu ze mną.

-Będę, przecież obiecałem. Może poznasz tam fajnych ludzi, twój ojciec bardzo zachwalał ten pensjonat.

-Wiem, przyjeżdżał tu z matką. Słuchaj, kończę, bo robi się coraz ciemniej w tym lesie i nieprzyjemnie. Wokoło żywego ducha.

- Beata... tylko... nie poderwij tam jakiegoś palanta. -W głosie chłopaka zabrzmiał niepokój.

- Proszę! Co za słownictwo! Jednak zazdrosny jesteś - Beata roześmiała się.

-Obojętnie jak to nazwiesz, to pamiętaj, że ja... jestem.

-A ty, pamiętaj, że masz tu przyjechać. Posyłam ci słodkiego buziaka. Cześć! - Beata cmoknęła do słuchawki.

Beata powiodła spojrzeniem po leśnym krajobrazie i wzdrygnęła się - zmrok, powoli wkraczający w leśny świat, spowodował, że nagle cała zielona ściana stała się nieprzyjaznym, ciemniejącym murem, a rozłożyste korony drzew ponuro kiwały się i złowrogo szumiały.

Szybko wsiadła do samochodu, włożyła bluzkę, telefon wrzuciła do torebki i ruszyła przed siebie, do pensjonatu. Po drodze nie minęła ani jednego samochodu, rowerzysty, czy choćby zbieraczy leśnych owoców lub grzybów.

-Dziwne miejsce - pomyślała, wypatrując końca czarnej drogi.

Jechała wolno, starannie omijając wyskakujące znienacka dziury w drodze - pewnie pozostałości po zimie, zapomniane przez administrację terenu.

- No, nareszcie - mruknęła z zadowoleniem.

Zbliżający się koniec ubitej czarnej drogi otwierał przestrzeń, na której majaczyły z daleka zarysy jakiejś budowli. Im bliżej była, tym bardziej ogarniał ją niczym nieokreślony niepokój, a nawet strach. Za chwilę budowla stanie się konkretną bryłą architektoniczną.

I oto pensjonat.

Na jego widok Beatę przeniknął zimny dreszcz, otworzyła szeroko oczy, niedowierzając temu, co zobaczyła. Mogłaby przysiąc, że to ten sam straszny dom psychopaty z filmu Hitchcocka, przeniesiony akurat w to odludne miejsce.

Zbudowany w całości z drewnianych bali, jednopiętrowy, z poddaszem, niewielkimi oknami i z werandą, do której prowadziło kilkanaście stopni schodów, z wysoko sklepionym spadzistym dachem.

Jedynym ozdobnikiem pensjonatu był szyld z nazwą „Czerwone Maki”, z wpisanymi w jego tło czerwonymi kwiatami, za to bajecznie wkomponowany między drzewa, czarował wręcz takim położeniem, natomiast wybrukowany plac przed pensjonatem i widniejące przy nim niskie zabudowania - pewnie garaże, nieco zakłócały harmonię barw lasu, ale i tak miejsce wybrane przez ojca było po prostu urocze. Plac był na tyle duży, że można było swobodnie zaparkować wiele samochodów. Teraz stało ich tam zaledwie kilka - widocznie nie wszyscy turyści byli zmotoryzowani, albo nie wrócili jeszcze z okolic pensjonatu na nocleg.

Beata zatrzymała samochód na skraju leśnej drogi i z ciekawością oglądała miejsce, w którym miała spędzić cały sierpień. Spojrzała w okna pensjonatu. Niektóre były już oświetlone, co sprawiało, że w zmroku budynek wyglądał jeszcze bardziej tajemniczo, jednocześnie urzekał i budził grozę. Ogarnął ją podziw dla tak wkomponowanego w gęstwinę lasu obiektu.

Gałęzie drzew prawie dotykały okien i ścian, w hotelowych pokojach musiało pachnieć ich świeżością, były piękną zieloną plamą za szybami. Pewnie z tyłu budynku jest tak samo urzekający widok.

- Chyba zbudował go jakiś amator samotności dwieście lat temu - pomyślała.

Wokół panowała cisza. Z otwartych okien nie dochodził żaden dźwięk, za firankami nie mignął nawet cień krzątających się wczasowiczów, co wydawało się normalne w tak dziwnie położonym pensjonacie, bez porządnej drogi dojazdowej.

Beata zapaliła silnik, wjechała na plac i zaparkowała samochód obok czarnego mercedesa. Zabrała torebkę, bagaż, zamknęła drzwi i ruszyła w stronę werandy.

Torba wypchana po brzegi przeginała ją na bok, na szczęście, kiedy pokonała stopnie schodów, na chwilę przystanąła na podeście werandy i rozejrzała się po jej

wnętrzu. Stało tam kilka zielonych, plastikowych stolików i takich samych krzesełek. I żywego ducha!

Złapała za klamkę drzwi wejściowych, pchnęła je i weszła do środka. Co za przewrotność stylów!

Porównanie architektury pensjonatu do eleganckiego, nowoczesnego już od progu wnętrza, znacznie ostudziło pierwsze, zaskakujące wrażenie. Długi hol był dobrze oświetlony, w suficie plafony, ściany pokryte boazerią w kolorze sosny, łączoną miejscami z brązowym granitem, na ścianach rząd obrazów z abstrakcją malarską i kwiaty: w donicach na podłodze, na parapetach, a przy wejściu rozłożysty fikus.

Beata dźwignęła torbę i ruszyła w kierunku recepcji. Za kontuarem siedziała kobieta w średnim wieku, która na widok zbliżającej się dziewczyny ułożyła usta w służbowy uśmiech.

- Dzień dobry - przywitała się Beata. - Mam tu rezerwację na dwa turnusy.

- Dzień dobry, proszę o dowód osobisty.

Beta wyjęła z torebki dokumenty i podała je recepcjonistce. Patrzyła na ręce kobiety szybko wertujące kartki sporej księgi rejestrującej gości.

- Tak, jest rezerwacja, już opłacona na cały sierpień. - Kobieta uniosła głowę z przyjaznym uśmiechem i oddała dokumenty.

Wstała i sięgnęła do gabloty po klucz do pokoju.

- Proszę, pokój numer cztery. Na piętrze. Pani współlokatorka już tam się zagościła - poinformowała i usiadła przy biurku.

- Współlokatorka?! - Beata ze zdumienia o mało nie usiadła na torbie.

- Jaka współlokatorka?! Przecież pokój był wyłącznie do mojej dyspozycji. To na pewno jakaś pomyłka! - uniosła nieco głos.

- Zaraz sprawdzę. - Recepcjonistka ze stoickim spokojem znowu przewertowała rejestr gości i drugi mniejszy skoroszyt.

Pokręciła głową i powtórzyła:

- Ma pani pokój numer cztery. Na dwa turnusy. Zresztą w naszym pensjonacie nie ma jedynek, to znaczy są... ale jest wspólna łazienka, a w pokoju, jeśli jest taka potrzeba, dostawiamy jedno łóżko. Pani współlokatorka będzie tylko jeden turnus, myślę, że polubicie się. Proszę wziąć klucz, rozgościć się, bo niedługo będzie wieczorek zapoznawczy. Życzę przyjemnego pobytu u nas - uśmiechnęła się szeroko.

Mówiła tak przekonującym tonem, że w końcu Beata zabrała z kontuaru kólecze z dwoma kluczami, podniosła bagaż z podłogi i ruszyła w stronę schodów wiodących na piętro.

- Proszę pani! - dobiegł głos z recepcji.

- Słucham? - Beata zatrzymała się i odwróciła się.

- W zasadzie to jest jedynka - usłyszała.

- Jeśli tak... to... dziękuję.

W drodze do pokoju minęło ją kilka rozgadanych osób, wcale niewyglądających na emerytów, a wręcz przeciwnie; byli w średnim wieku, kobiety miały ładny makijaż, owiane były subtelnym zapachem perfum, w letnich sukienkach, a mężczyźni w jasnych koszulach z podwiniętymi rękawami. Tyle mogła zauważyć, potem szybko zbiegli po schodach.

Pokój numer cztery był przy końcu korytarza. Naprzeciwko cztery kolejne numery, na wprost schody prowadzące na poddasze.

Beata włożyła klucz do zamka drzwi, nacisnęła klamkę, powoli uchyliła drzwi i zrobiła krok do przodu. Znalazła się w wąskim korytarzyku, gdzie naprzeciw wejścia widniały troje drzwi, środkowe z tabliczką „Łazienka”.

- Dzień dobry! - głośno zawołała, ale nie usłyszała odpowiedzi, nawet ruchu za drzwiami.

Beata podeszła do drzwi na prawo, wybrała drugi klucz z kólecze, ale przedtem ostrożnie nacisnęła klamkę. O dziwo, drzwi były otwarte, weszła więc do środka

i rozejrzała się z ciekawością. W pomieszczeniu nikogo nie było, nawet śladu czyjeś obecności, choćby rzuconego na hotelowe łóżko jakiegoś fatalaszka, otwartego skrzydła szafy, z której wyzierałoby czyjeś ubranie, kubka na stoliku czy peta w popielniczce. Nic, co by wskazywało na czyjąś obecność. A więc to jest jej pokój. Jedynek.

Postawiła na podłodze torbę podróżną, usiadła na foteliku przy stole, torebkę zawiesiła na jego oparciu i zlustrowała wzrokiem wyposażenie pokoju.

Pomieszczenie było nieduże, ale przytulne, z jednym hotelowym tapczanikiem, po przeciwnej stronie miejscem na drugi, obszerną szafą, szafką nocną z lampką z czerwonym abażurem, telefonem, pośrodku z okrągłym stolikiem z dwoma fotelikami, lodówką i stolikiem na sprzęt RTV, na którym stał niewielki telewizor. Na ścianach tapeta w wielkie czerwone i żółte kwiaty. Na podłodze kolorowy dywanik. Okno przesłaniała biała firanka, po bokach zwisały zasłony zlewające się z barwną tapetą na ścianach.

- W tamtym pokoju jest pewnie tak samo - pomyślała. Beata wstała, zapaliła lampkę nocną i momentalnie

poczuła się jak w domu. Pokój zalało przytłumione, ciepłe światło, stwarzając poczucie domowego ogniska. Usiadła na tapczaniku i kilka razy uniosła się, sprawdzając jego miękkość. Zadowolona z wyniku wstała i, powodowana ciekawością, postanowiła zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Recepcjonistka mówiła o współlokatorce, ciekawe, czy kogoś tam zastanie. Wyszła na korytarzyk i zapukała do drzwi, ale nikt się nie odezwał.

Nagle... w gwałtownie otworzonych drzwiach łazienki, stanęła młoda kobieta w niebieskim szlafroku, która na widok Beaty odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Ale mnie pani wystraszyła - powiedziała, kładąc rękę na piersi. - Brałam prysznic i nic nie słyszałam przez szum wody, dopiero kiedy wyszłam z kabiny usłyszałam,

że ktoś jest za ścianą. Myślałam, że jakiś włamywacz, albo... jeszcze gorzej.

- To tylko ja, właśnie przyjechałam i chciałam poznać moją sąsiadkę zza ściany. - Wyjaśniła Beata, patrząc na kobietę, tak na pierwszy rzut oka, chyba około trzydziestoparoletnią.

Była średniego wzrostu, miała przyjemny wyraz twarzy, mokre, krótkie blond włosy i pachniała szamponem.

- Miło mi panią poznać, jestem Sabina. - Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

- Beata.

- Trochę późno pani przyjechała, już jest po kolacji, ale mam w pokoju własny wikt, więc zapraszam. - Sabina otworzyła drzwi i zrobiła zachęcający gest w stronę Beaty. - Proszę, wejdźmy do mnie.

- Dziękuję, może później. Chciałabym rozpakować rzeczy i odświeżyć się po podróży. Łazienka jest już wolna?

- Oczywiście, jest tylko dla nas. O dziesiątej, to znaczy o dwudziestej drugiej, w restauracji na dole, właściciele zorganizowali wieczorek zapoznawczy przy kawie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, przyjdę po panią.

- Świetnie, dziękuję! Jestem tu pierwszy raz i mogę nie trafić. Ten pensjonat tak mi reklamowano, wręcz nakłaniano do przyjazdu. Początkowo byłam zdziwiona, ale teraz już wiem dlaczego. Jest w nim coś... - Beata nie potrafiła określić stanu swoich uczuć.

- Więc panią... - Sabina zawiesiła głos i zakryła się szczelniej połami szlafroka, jakby nagle zrobiło się jej zimno. - Panią... też przyciągnęła tu ta...

- Co? - Beata zapytała nieco zaskoczona.

- Oo... - kobieta zeszywniała, uciekając ze spojrzeniem. - To już jest tajemnicą poliszynela - zaśmiała się z przymusem.

- Tajemnica? - zdziwiła się Beata. - Nic o tym nie wiem.

Przez twarz kobiety przebiegł grymas jakby niezadowolenia z siebie. Przeciągnęła ręką po mokrych włosach i palcami roztrzepała je.

- Właściwie to tylko plotki, nie ma o czym mówić. - Szybko wycofała się ze swoich słów. - Pewnie właściciele tego pensjonatu coś wymyślili i poszło to w eter.

- Możliwe, nic o tym nie słyszałam. Przepraszam panią. - Beata uśmiechnęła się rozbijając. - Marzę o prysznicu i butelce zimnej, gazowanej wody. Potem chętnie poplotkuję.

- U mnie w lodówce stoi butelka z wodą gazowaną, zaraz pani ją dam. - Sabina otworzyła drzwi do swojego pokoju, ale Beata ją powstrzymała:

- Dziękuję, mam swoją. To do zobaczenia, będę czekać na panią.

- Więc jesteście umówione?

- Oczywiście.¹

- To już nie przeszkadzam. - Sabina skinęła głową i zniknęła za drzwiami swojej kwatery.

Beata, po rozpakowaniu torby z rzeczami, pochłonięciu duszkiem prawie połowy butelki pomarańczowej wody gazowanej, udała się do łazienki z ręcznikiem i przyborami toaletowymi. Przez ramię przewiesiła biały szlafrok i weszła do wykafelkowanego pomieszczenia. Oprócz pryszniczycy była wanna, ale wybrała kabinę prysznicową.

Stojąc pod biczem wodnym, czuła odpływające zmęczenie po podróży, a zapach szamponu przypominał ogród pełen cudownych kwiatów. Zmyła z ciała pianę, wyszła z kabiny, sięgnęła po ręcznik i, wycierając się, spojrzała w lustro. Patrzyła z przyjemnością na opaloną twarz, okoloną długimi, brązowymi włosami, piwne oczy z firanką długich rzęs, zgrabny nos, usta... Uśmiechnęła się. Nie, nie jest narcyzem zakochanym w sobie, jak to bywa u facetów, ale opalenizna znacznie podkreśliła to, co ma przecież najładniejsze. Tak przynajmniej słyszała od wielu mężczyzn,

których kokietowała, wiedząc, że i tak z żadnym z nich nie umówi się na randkę.

Michała zaakceptowała od razu, kiedy poznała go w klubie studenckim, wyraźnie znudzonego towarzyszeniem jakiejś dziewczynie. Po paru spotkaniach stali się prawie nierozłączni i, chociaż różnili się między sobą poglądami na styl życia, politykę, czytali inne gatunki literackie, oglądali różne filmy, to jednak coraz bardziej zbliżali się do siebie, jakby na przekór swoim charakterom.

Ona uwielbiała smażyć się na słońcu, w przeciwieństwie do Michała, który preferował cień, ale za to godziny spędzane na plaży przeznaczał na pływanie i robił to w świetnym stylu. Za to z Chorwacji przyjedzie opalony na czekoladkę, bo inaczej nie wypada!

No tak, ale teraz musi sobie jakoś zorganizować czas do jego przyjazdu.

Beata odeszła od lustra, założyła szlafrok, rozwiesiła mokry ręcznik na jednym z wieszaków wachlarza w ścianie, przybory toaletowe włożyła do pustej szuflady w szafce i przez chwilę zastanawiała się, gdzie wysuszyć włosy. W pokoju czy tutaj? W pokoju, tu jest za duszno.

Zaledwie wróciła do pokoju i otworzyła na całą szerokość okno, zabrzmiał dzwonek hotelowego telefonu.

- Słucham? - zapytała, siadając na łóżku.

- Dzwonię z recepcji. Serdecznie zapraszamy wszystkich wczasowiczów, oczywiście także i panią, do restauracji na dwudziestą drugą - zabrzmiał służbowy, ale miły kobiecy głos.

- Przyjdę, dziękuję za powiadomienie.

Beata sięgnęła po leżący na stoliku zegarek i ogarnął ją popłoch; do zrobienia z siebie obiektu pożądania pozostało już niewiele czasu. Wyjęła z przepastnej torby suszarkę do włosów, odszukała włącznik w ścianie, ale kabel okazał się za krótki, aby mogła stanąć przed lustrem, więc manewrowała suszarką po gęstwinie włosów na chybił trafił.

Gorący strumień powietrza szybko wysuszył włosy, które Beata już w lustrze starannie uczesała i zostawiła opływające ramiona i połowę pleców.

Dobranie odpowiedniego makijażu do krótkiej, w cytrynowym kolorze sukienki, nie wymagało większych zdolności - uwielbiała upiększać twarz, podkreślać oczy, usta. Miała dobry gust w doborze kosmetyków, więc nigdy nie przesadziła w „tapetowaniu” twarzy, jak to określał Michał. Zresztą, na co dzień używała zaledwie widocznego makijażu, szkoda było jej zdrowej, ładnej cery, ale co innego „wielkie wyjście”. Wówczas pozwalała sobie na więcej fantazji.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - rzuciła Beata.

Do pokoju weszła Sabina, której na pierwszy rzut oka, po uprzednim spotkaniu w korytarzu, można było nie poznać. Krótkie, jasne włosy ułożone w stylu Marilyn Monroe, wyraźny makijaż, czerwone usta i biała, przylegająca do ciała sukienka z wąskimi ramiączkami, uczyniły z niej atrakcyjną kobietę.

- Przyszłam za wcześnie? - zapytała niepewnie, kładąc rękę na klamce drzwi.

- Nie, nie, już jestem gotowa, tylko włożę buty i możemy iść.

Beata wstała z fotelika i wyjęła z szafy czarne szpiki. Wkładając je, spojrzała na nogi Sabiny, której szpilki były o niebo wyższe.

- Może pani w nich swobodnie chodzić? Boja po paru krokach bym się wyłożyła. - Beata pokręciła z podziwem głową.

- Przede wszystkim przejdźmy na „ty” - zaproponowała Sabina. - A co do butów, nie znoszę ich, ale są dobre do pokazania się w nich - zaśmiała się serdecznie.

- Mamy jeszcze trochę czasu, może mi pani... możesz mi opowiedzieć o tej tajemnicy? To dobre miejsce na takie

historie. Usiądźmy na chwilę. - Beata pokazała na foteliki. - Nie lubię pierwsza pojawiać się w pustej restauracji.

Siedząc obok Sabiny, czekała na jej opowieść. Współlokatorka z lekkim ociąganiem zaczęła mówić i zaraz zastrzegła:

-Tę sprawę znam tylko poprzez pocztę pantoflową i prawdę mówiąc... wiem tylko o porcelanie pomalowanej w jakieś kwiaty. Podobno - zawiesiła głos, patrząc w okno - przynosi majątek, albo... śmierć. - Spojrzała prosto w oczy dziewczynie.

- Znam doskonale właściwości takiej poczty. Bawiłam się w nią jako dziecko. Na końcu okazywało się zupełnie coś przeciwnego, niż to, co było na początku. - Beata zlekceważyła jej słowa i machnęła nie dbale ręką.

- Ja też tak myślę. - Sabina niespodziewanie zgodziła się z nią. Wzruszyła przy tym ramionami, a na jej twarzy widać było ulgę. Przez chwilę patrzyły na siebie, nie mogąc znaleźć wspólnego tematu, po czym Beata zapytała:

- Często tu przyjeżdżasz, czy jesteś po raz pierwszy?

- Często bywałam w okolicy, ale w pensjonacie jestem drugi raz. Odpowiada mi ten nadmorski klimat, można tu się wyciszyć, dobrze odpocząć, niedaleko jest skarpa, dosyć łagodna, można zejść i pochodzić nad brzegiem morza.

-A plaża jest?

- Z prawdziwego zdarzenia nie ma i to jest największy atut tego miejsca. Tylko my, wczasowicze, las, woda...

- Co jest na górze? - Beata spojrzała na sufit. - Czasem słyhać jakby czyjeś kroki.

-Poddasze zajmuje służba, niektórzy tam nocują, inni, jeśli mieszkają w pobliżu, jadą do domu.

- Skąd tyle wiesz?

Sabina zmieszała się i palcami dłoni starła nieistniejącą plamkę z blatu stolika.

- Och, wystarczy zamienić z ludźmi parę słów i wszystkiego się dowiesz - zbagatelizowała.

- Dojedzie do ciebie ktoś? Mąż, rodzina? - dopytywała z ciekawością Beata.

- Nie! - ucięła, krzywiąc usta. - Jestem rozwiedziona, a ty?

- Ja studiuje... To znaczy zmieniam kierunek studiów i na razie nawet nie myślę o podpisaniu jakiegoś papierka w Urzędzie Stanu Cywilnego. Zresztą jestem wolnym ptakiem i nie uznaję klatek, nawet złotych. Jestem indywidualistką, lubię wokół siebie wolną przestrzeń, bo to jest pewien komfort, kiedy można od siebie na chwilę uciec.

- Kiedyś zmienisz zdanie, tylko nie wybieraj faceta tylko dla jego intelektu, bo możesz się sparzyć. - Sabina patrzyła na Beatę, jakby chciała przeniknąć ją wzrokiem.

- Dobrze by było, gdyby intelekt połączyć z wyglądem.

- Czasem można trafić na takiego... chociaż może się to okazać mieszanką wybuchową.

- Wiesz coś na ten temat?

- Aż za dużo - powiedziała niechętnie Sabina. - Wydaje mi się, że na nas już czas - zmieniła temat. Beata spojrzała na zegarek i wstała z fotelika.

- Już jest po dziesiątej. Ale się zagadałyśmy! - powiedziała zdumiona.

- Ale za to jakie będziemy miały wejście! - Sabina miała zadowoloną minę.

- To lubię! - Beata zmysłowo pokręciła biodrami.

- Więc chodźmy.

Kiedy przekroczyły próg restauracji, spojrzenia wszystkich wczasowiczów skierowały się w ich stronę. Beata poczuła się jak na wystawie, gdzie każda para oczu obmacywała wybrany towar, ale bez przesadnej skromności; wiedziała, że jest atrakcyjną dziewczyną, chociaż Sabina biła po oczach stylizacją na sławną aktorkę.

- Dobry wieczór - powiedziały kolejno.

Sala restauracyjna była nieduża, zaledwie na kilkanaście stolików, które w większości były zajęte, ale w głębi

pomieszczenia ostatnie były wolne i tam dyskretnie, zerkając na boki, poszły. Zaledwie zajęły miejsca, rozległ się głos kobiety wstającej od stolika w pierwszym rzędzie.

- Serdecznie witamy państwa w ten parny, ale piękny sierpniowy wieczór w naszym pensjonacie. - Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

Beata spojrzała na nią z ciekawością.

Była to kobieta w średnim wieku, szatynka ze starannie ułożonymi, krótkimi włosami, w delikatnym makijażu, ubrana w luźną, w kolorowy deseń sukienkę, zakrywającą raczej obfite kształty ciała. Na pierwszy rzut oka przypominała gospodynię domową.

- Pozwólcie państwo, że się przedstawimy. - Kobieta, uśmiechając się, potoczyła wzrokiem po obecnych w restauracji. - Nazywam się Jadwiga Wojanowska, to jest mój... - zawahała się - mąż, Tadeusz. - Wskazała dłonią siedzącego przy jej stoliku mężczyznę, który lekko uniósł się z krzesła i pochylił głowę. - Jesteśmy właścicielami tego pensjonatu, położonego w tak uroczym, zacisznym miejscu, do którego co rok wracają niektórzy nasi goście, a których i teraz widzę - szeroko uśmiechnęła się, patrząc w głąb sali - i, nie przedłużając powitania, życzę wszystkim gościom wspaniałego wypoczynku, leniuchowania po całym roku pracy i, jeśli ktoś z państwa życzy sobie podawania posiłków do pokoju, to u nas gość jest najważniejszy...

Właścicielka urwała, kiedy za drzwiami rozległy się kroki i po chwili weszły dwie kelnerki z tacami zastawionymi serwisem deserowym. Zapachniało świeżą kawą. Kolejno stawiały na stolikach kolorowe filiżanki na talerzykach i obok, większy talerzyk z wielką porcją szarlotki z górą bitej śmietany.

- Zgodnie z naszą wieloletnią tradycją - podjęła mowę właścicielka - rozpoczynamy turnus spotkaniem z naszymi miłymi gośćmi wieczorną filiżanką kawy z przepyszną szarlotką naszej pani kucharki. Smacznego!

Beatę zaintrygowała niezwykle oryginalna biała porcelana, malowana w wypukłe czerwone maki, zręcznie wkomponowane z artystycznym wyczuciem na filiżance i talerzykach, gdzie płatki kwiatów łączyły się ze sobą, natomiast krótkie łodyżki znikwały pod spodem zastawy.

Uchwyt filiżanki zdobił również makowy kwiat, obustronnie malowany, usytuowany poza wgłębieniem na palce. Do tego liczne złocenia czyniły z zastawy kolekcjonerskie dzieło sztuki, od którego nie można było oderwać oczu.

Całość sprawiała wrażenie zastawy z lat życia prababek; dzisiejsze wyroby dążyły do prostoty kształtu i jak największej funkcjonalności, pozbawionej różnego rodzaju ozdób, tak nietypowych jak owa bajecznie kolorowa porcelana.

Brzegi talerzyków były wycięte w taki sposób, aby jak najlepiej uwidocznić kształt płatków kwiatów. Jedyne brzeg filiżanki był prosty, co nie wymagało szczególnej dedukcji; kto by się napił z niej, nie wylewając na siebie jej zawartości?

- To cudo, a nie serwis... ja bym nie podała go moim gościom, zresztą oni piją z kubków kawę albo herbatę. Uwielbiam szarlotkę, a ta jest przepyszna. - Beata z przyjemnością jadła ciasto, a nie słysząc zachwytów Sabiny, spojrzała na nią ze zdumieniem.

Sabina trzymała w dłoni filiżankę i wpatrywała się z napięciem w deserowy talerzyk.

- Co mówisz? - Spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby myślami była o wiele dalej niż sala restauracyjna.

- Spróbuj szarlotki, nawet u mnie w domu nie jadłam tak pysznej - powtórzyła Beata.

- Tak... tak...

- Piękny ten serwis, ja też nie mogę na niego się napatrzeć, artystyczna robota. - Beata nabrała na łyżeczkę ostatni kęs ciasta i odsunęła na bok talerzyk.

Sabina milczała, jakby w ogóle nie interesowała ją konsumpcja, tylko drobnymi łykami popijała kawę.

Beata rozejrzała się po pomieszczeniu, dyskretnie przypatrując się wczasowiczom, których przekrój wiekowy oceniła w przedziale 30-50 lat. To było takie samo mieszane towarzystwo, jakie można było spotkać w każdym hotelu, pensjonacie czy w zwykłej knajpie. Jedynie mężczyzna w średnim wieku, w rozpiętej pod szyją białej koszuli, siedzący bliżej właścicielki, w towarzystwie dwóch kobiet, wyglądał jakby znalazł się w pensjonacie przypadkowo. Miał znudzoną minę, patrzył gdzieś przed siebie, a na paplające bez przerwy swoje towarzyszyki w ogóle nie zwracał uwagi. Ale niejedna chciałaby znaleźć się w jego ramionach.

Beata oceniła go na przystojnego, znającego swoje walory faceta, który wie, po co żyje, a te dwie, to pewnie żona i, jak to bywa, jej przyjaciółka.

- Wiesz - zagadała Beata - myślałam, że zastanę tu dziadków podpierających się laskami, a tu całkiem interesujące towarzystwo, szczególnie ten, wygląda jakby znalazł się tu przypadkowo - rzuciła do milczącej kobiety.

-Kto?

- Ten z przodu, obok właścicielki.

- Zauważyłam. Nieciekawy typ. Wygląda na bywalca hoteli - ta zmarszczyła lekceważąco nos.

- Wręcz przeciwnie! Wygląda jak z żurnala mody dla facetów - Beata zaprzeczyła zdziwiona oceną Sabiny.

- Tacy są najgorsi; na zewnątrz seksowni, uprzejmi, a w domu zamiast worka treningowego mają własną żonę.

- Tylko że te żony widocznie to lubią, bo rzadko która odda w pysk i wyrzuci z mieszkania! Wiem, że to nie jest takie proste, ale nie lubię bab, które przychodzą do telewizji i wypłakują się publicznie, a potem wracają do domowego tyrana! - rzuciła z gniewem Beata.

Sabina pokiwała przytakująco głową, potem nieoczekiwanie zwróciła się do właścicielki pensjonatu:

-Pani Jadwigo, słyszałam legendę o tym serwisie... Podobno te czerwone maki przynoszą bogactwo temu, kto potrafi to z nich odczytać.

- Ooo, ja w to nie wierzę. - W głosie kobiety zabrzmiało rozbawienie.
- Ten serwis mamy od wielu lat i jakoś wielkiego majątku się nie dorobiliśmy. A to, co państwo widzicie, to zaledwie pozostałości całego serwisu, bo... wiemy o tym - zaakcentowała - i pozostał tylko ten deserowy.

- O co chodzi z tą porcelaną? - zapytał łysawy mężczyzna, siedzący pod ścianą, biorąc do ręki filiżankę i oglądając ją z każdej strony.

-To dość ciekawa historia. - Właścicielka chętnie podjęła temat. - Ostatni rezydenci tego pensjonatu, a kiedyś budowli rodzinnej, nie żyją, o potomnych nic nie wiemy, a pensjonat jest już tak długo w naszej rodzinie, że uważamy go za swój do ostatniej przysłowiowej belki. Natomiast, co do tej pięknej porcelany, to odkryliśmy ją, a w zasadzie odkryli ją wiele lat temu moi dziadkowie, już niestety nieżyjący, zupełnie przypadkowo, kiedy robili generalny remont budynku. Częściowo leżała na poddaszu w jakimś kartonie, pod stertą śmieci do wywozu, i w witrynie mebli, które znajdują się w Sali Kominkowej. Byłam wtedy dzieckiem, ale doskonale to pamiętam. Nawet szukali jej właściciele, kogokolwiek. Zamieścili w gazetach informację z fotografiami, ale do dzisiaj nikt się nie zgłosił. Podobno długo przed drugą wojną światową znalazł się jakiś ich pociotek, rościł sobie pretensje do majątku, iluś hektarów lasu, ale nie znam dokładnie tej historii. Zresztą, jak się później okazało, to był zwykły oszust.

- Pani rodzina zadała sobie tyle trudu dla tych kilkunastu czy kilkudziesięciu filiżanek i talerzyków? - zdziwił się mężczyzna, odstawiając filiżankę.

- Oczywiście. Przypadkiem widział to rzeczoznawca i ocenił wiek porcelany na ponad sto lat. Zresztą sygnowa-

na jest znakami nieistniejącej już fabryki, więc obowiązkiem było zwrócenie jej rodzinie.

-Jeżeli ta porcelana jest tak cenna, powinna być wyeksponowana za szkłem, w gablocie. Przecież wystarczy chwila nieuwagi i filiżanka ląduje na podłodze - odezwał się młody mężczyzna z włosami sięgającymi do ramion, podnosząc ją do góry i przechylając na bok.

- Cenne jest tylko życie, a porcelana jest taka krucha...

- powiedziała w zadumie właścicielka, po czym powiodła wzrokiem po gościach i lekko się uśmiechnęła. - Ale jestem winna państwu wyjaśnienie. Otóż ma pan rację

- zwróciła się do długowłosego mężczyzny - powinna być wyeksponowana i jest! Oryginalna zastawa deserowa znajduje się obok, w Sali Kominkowej, jak już wspomniałam, za szkłem w starych gdańskich meblach, a ta, dzięki wielu staraniom naszej rodziny, została wyprodukowana współcześnie, ale bez oryginalnych znaków na spodzie. W ogóle nie posiada żadnych insygniów, możecie państwo to sprawdzić, oczywiście po wypiciu kawy - zastrzegła żartobliwie. - A jeżeli chodzi o te, jak już wspomniałam równie zabytkowe meble, to jest to pozostałość po właścicielach tego pensjonatu. Podobnie jak niektóre nieposiadające żadnej artystycznej wartości drobiazgi. Zresztą budynek jest trochę zmodernizowany, przystosowany do ogólnych przepisów, warunkujących zakładanie hoteli, pensjonatów - zakończyła długi wywód.

- To jak duży jest ten serwis deserowy? Oryginał i ta podróbka? - dopytywał długowłosey mężczyzna.

- Dwadzieścia cztery sztuki filiżanek ze spodeczkami i talerzykami, no i tyle samo zamówionych wiele lat temu.

-Dziękuję. Ciekawi mnie także nazwa pensjonatu. Skąd się wzięła?

Och, to też stara historia, jak każda belka tego budynku. Moi dziadowie dawno temu mieli plantację maku i wiem z rodzinnych pogawędek, że właśnie dlate-

go wymyślili taką nazwę pensjonatu. Chociaż istnieje też wersja, że to dawna rezydencja nazywana była Czerwonymi Makami. Ale to przecież nie ma większego znaczenia - cierpliwie opowiadała Wojanowska.

Beata słuchała opowieści gospodyni z grzeczności. To oczywiste, że takimi historyjkami przyciąga się wczasowiczów, chociaż do tak przepięknie, wręcz nierealnie położonego pensjonatu w leśnej głuszy, z pewnością przyjeżdżają wszyscy spragnieni ciszy i spokoju, więc niewiele trzeba się wysilać, aby pensjonat przynosił zyski.

Zbudowany na wzniesieniu, u którego stóp rozbijały się fale Bałtyku, robił niesamowite wrażenie piękna połączonego z tajemniczością i chociaż do skrawka niby plaży był kawałek drogi, szum fal w nocy z pewnością będzie doskonale usypiał.

Dobrze się stało, że właśnie tu została „zesłana”. W tym miejscu uroki nadmorskiego klimatu, to atmosfera pełna relaksu, wyciszenia, na równi ze słońcem, czasem z szarymi chmurami, za to z cudownym widokiem ze skarpy na morze. Kolorowe foldery nie przesładzały, jak to bywa z różnymi formami reklamy. Zostawiła je w samochodzie, teraz już ich nie potrzebuje.

Nieoczekiwane pytanie, które zadał przystojniak w białej koszuli, zmroziło ją.

- Pani Jadwigo, czy to prawda, że jakiś czas temu, podczas któregoś z turnusów, znaleziono właśnie w Sali Kominkowej martwego mężczyznę z roztrzaskaną głową, siedzącego w fotelu obok kominka?

Nastąpiła cisza.

Wszystkie spojrzenia zawisły na ustach kobiety. Zdawało się, że nigdy nie odpowie, bo nagle pobleadła i wpółotwartymi ustami coś próbowała powiedzieć, ale wyglądało to tak, jakby nie mogła wydobyć głosu z krtani.

Wreszcie nabrała powietrza, przycisnęła dłoń do piersi i z widoczną niechęcią w głosie zaprzeczyła:

- Tu nigdy nic podobnego się nie zdarzyło! Gazety wypisują bzdury! Owszem, mieliśmy gościa, który zmarł nagle, ale na zawał serca! Widzisz Tadeusz - zwróciła się do ciągle milczącego męża - mówiłam, że będą plotki, a prosiliśmy redaktorów, aby nie nagłaśniali zwykłej śmierci!

Mężczyzna zwrócił się bezpośrednio do pytającego, patrząc mu prosto w oczy.

- To prawda, umiera się w każdym wieku i tam, gdzie nas śmierć dopadnie - powiedział spokojnie. - Uważam, że wyczerpaliśmy ten temat, tym bardziej, że przecież nie raz zachcecie państwo skorzystać z Sali Kominkowej. To bardzo przytulne miejsce i mamy tam bogaty księgozbiór.

Przystojniak w białej koszuli wytrzymał jego spojrzenie i równie spokojnie zadał następne pytanie:

- Ale nie zaprzeczy pan, że miał rozbity głowę?

- Panie...

- Janusz.

- Panie Januszu, jest w tym tylko częściowa prawda. Owszem, nasz gość, upadając, uderzył się w głowę. Tak zostało później ustalone, kiedy już go z małżonką znaleźliśmy, podnieśliśmy i posadziliśmy w fotelu. I to wszystko.

- Było śledztwo?

- Było, ale powtarzam, to był tylko przykry wypadek - uciął właściciel. - A fotel wymieniliśmy, nawet na nas robił przykre wrażenie, a przecież mieliśmy wtedy, tak jak i teraz, komplet gości.

Beata, zaintrygowana opowieścią, powiedziała cicho do Sabiny:

- Pewnie nie można było zmyć krwi.

- Na pewno, ale ten facet nie powinien poruszać takiego tematu, chociaż... dobrze jest wiedzieć o historii tego miejsca.

- Pensjonat z dreszczykiem.

- Właściciel jest wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Miał być wieczór przy kawie, a tu trup! -Sabina westchnęła.

- A ty jeszcze nie wypijaś kawy? Zimna jest okropna! Nie jesz ciasta?
- Beata spojrzała na talerzyk z szarlotką.

- Wezmę to do pokoju i później zjem.

- Nie idziesz do Sali Kominkowej?

- Nie, jakoś nie mam chęci. Pójdę do swojego pokoju i pooglądam telewizji.

- A ja chętnie tam się przejdę. Chciałabym zobaczyć w oryginale te cudowne maki.

- Są dokładnie takie same jak te. Albo... - Sabina zawahała się - albo prawie.

- Ale oryginalne, ponad stuletnie. A poza tym chciałabym zapoznać się z resztą towarzystwa. Myślę, że tam będzie dobra okazja ku temu. Zaczyna mi się tu podobać - Beata ożywiła się, potoczyła spojrzeniem kolejno po wszystkich wczasowiczach i zatrzymała wzrok na właścicielach coraz bardziej tajemniczego pensjonatu.

Jadwiga Wojanowska zdążyła już ochłonąć i spokojnym, miłym głosem zaproponowała:

- Zapraszam teraz państwa obok, do... - uśmiechnęła się - do bardzo przytulnej Sali Kominkowej. Oczywiście tych z państwa, którzy mają na to ochotę, namawiam również na spacer po okolicy, ale proszę nie schodzić po skarpie na dół, nad brzeg morza. W ciemnościach jest to zbyt niebezpieczne.

Beata wstała i jeszcze raz zapytała swoją współlokatorkę:

- Idziesz do tej Kominkowej?

-Nie mam chęci na większe towarzystwo. Zabiorę to - ruchem głowy pokazała na niedopitą kawę i ciasto -i idę do pokoju, trochę się ponudzę, może obejrzę do końca jakiś film, zanim zasnę.

- To do zobaczenia na śniadaniu.

- Rzadko jadam rano, lubię dłużej pospać.

- Jak chcesz, ja wychodzę.

Beata ruszyła ku wyjściu z restauracji wraz z innymi gośćmi. Kiedy obejrzała się, Sabina, oparta łokciami o stół, patrzyła w okno. Zresztą nie tylko ona została przy stole. Oprócz Janusza i jego towarzystwa, zostało jeszcze paru gości. Między innymi mężczyzna w średnim wieku, niezabierający głosu w wymianie zdań o śmierci jednego z wczasowiczów, wyglądający na kogoś, kto raczej nigdy nie miał się żadnej pracy fizycznej. Miał wygląd inteligenta, szpakowate włosy, przy stole towarzyszyła mu młoda kobieta i równie młody mężczyzna. Nie zauważyła, aby rozmawiali ze sobą; pewnie to przypadkowe sąsiedztwo przy stole.

Sala Kominkowa tonęła w półmroku, rozświetlona tylko bocznymi kinkietami na ścianie i gazowym kominkiem, którego płomień wprowadzały w przytulny, spokojny nastrój domowego ogniska, a sztuczne polana wewnątrz paleniska potęgowały nastrój.

Mimo środka lata, w pensjonacie, wtopionym w gęstwinę lasu, sierpniowe wieczory bywały nieco chłodne i sposób spędzenia czasu na rozmowach lub chociażby wertowaniu kartek książek przy kominku, był nader przyjemny.

W pomieszczeniu znajdowały się głębokie, miękkie fotele, w których można z chęcią zapaść się z ciekawą lekturą, obok okrągłe stoliki, na podłodze kolorowa wykładzina dywanowa, przy jednej ze ścian regały wypełnione książkami, okna przesłonięte białym woalem firanek i, co najbardziej przykuwało wzrok, stojące przy przeciwległej ścianie do okien, wielkie, czarne, stylowe meble gdańskie, a w jednym z nich, za szkłem, w dwóch równych rzędach, prezentowała się wspaniała kolekcja porcelany z czerwonymi makami.

Beata przystanęła przed odrestaurowanymi meblami i z ciekawością potoczyła wzrokiem po pełnej tajemniczości porcelanie, przynoszącej majątek lub, jak powiedziała

jej współlokatorka, śmierć. A przecież to takie niedorzeczne, bo cóż takiego jest w kawałku szkła?!

Im dłużej oglądała kolekcję, tym bardziej czuła na sobie spojrzenia obecnych w sali osób, ale kiedy odwróciła się i ruszyła, aby zająć miejsce przy wolnym stoliku, przykre doznanie prysnęło jak mydlana bańka. Nikt na nią nie patrzył, wszyscy zajęci byli rozmowami, wzajemnym przedstawianiem się, wymianianiem zdawkowych uprzejmości. Beata, zaledwie usiadła w przepastnym fotelu, usłyszała płynące od sąsiedniego stolika zaproszenie, wypowiedziane kobiecym głosem:

- Prosimy do nas, nie pozwolimy pani siedzieć samej nawet w tak przytulnym miejscu. Jeszcze się pani zdąży nacieszyć samotnością, o ile ją pani lubi.

Beata odwróciła głowę w stronę dochodzącego głosu. Cztery osoby wpatrywały się w nią z przyjaznymi uśmiechami na twarzy, więc nie pozostawało nic innego jak wstać, przywitać się i przysunąć fotel; inna możliwość nie wchodziła rachubę. Właśnie nadarzyła się okazja poznania towarzystwa, przecież w zasadzie przyszła tu nie tylko dla czerwonych maków.

Przy stoliku siedział dobrze zbudowany mężczyzna, kobieta - oboje w średnim wieku, długowłosa mężczyzna, ten, który wdał się w rozmowę z właścicielką pensjonatu, i filigranowej postury dziewczyna z upiętymi w koński ogon jasnymi włosami.

Beata, wstając z fotela, odwzajemniła uśmiech, podeszła do zapraszającego ją grona i przedstawiła się:

- Jestem Beata Zabielska. - Wyciągnęła rękę w stronę kobiety i dodała: - Dziękuję za zaproszenie, będzie mi miło poznać państwa.

- Krystyna, a to mój mąż...

Zanim dokończyła, mężczyzna poderwał się, dwiema dłońmi chwycił Beatę za rękę i mocno potrząsnął, przedstawiając się:

- Stefan Garten, a to mój syn - wskazał na młodego mężczyznę - i jego... jego - wyraźnie nie wiedział jak ma ją przedstawić.

- Dziewczyna - ten powiedział dobitnie i wstał z fotela.

- Jestem Eryk, a to jest Agnieszka.

- Cześć! - Filigranowa dziewczyna miała niespodziewanie mocny uścisk ręki.

Widząc uznanie na twarzy Beaty, wyjaśniła: -Jestem wioślarką i wszystko co łapię, mocno ściskam. To samo przychodzi - szeroko uśmiechnęła się.

W międzyczasie Stefan Garten przysunął fotel Beaty do stolika, a kiedy usiadła, rozmowę zagaіła kobieta:

- Często tu pani przyjeżdża?

- Jestem tu pierwszy raz, zresztą to nie ja wybrałam to miejsce - powiedziała zgodnie z prawdą Beata.

- Nie? A... kto? - W głosie Gartena jakby zabrzmiał niepokój. - Ktoś pani polecił ten pensjonat?

- Rodzice, ale to był strzał w dziesiątkę, zaczyna mi się tu podobać.

- Pewnie często tu przyjeżdżają?

-Raczej tak. Szczególnie ojciec upatrzył sobie ten pensjonat, ale teraz już wiem dlaczego. - Beata zrobiła minę wyrażającą aprobatę dla pomysłu ojca wysłania jej właśnie w to miejsce.

Trochę zdziwiła ją dociekliwość pytań, ale przypisała to zwykłej ciekawości przy zawieraniu znajomości. W końcu od czegoś trzeba zacząć rozmowę, a odludkiem nie jest.

-Wygląd pensjonatu zaskoczył panią? - zapytała z ciekawością Krystyna Garten.

-I to bardzo! - przyznała szczerze Beata. - Jest niesamowity, jak z horrorów, wywołuje dreszcz strachu, ale wewnątrz jest bardzo nowoczesny. No i jego bajkowe położenie, gęstwina drzew, zieleń w różnych odcieniach. I chociaż do morza jest kawałek drogi, to wydaje się, że słyszy

się szum fal pod oknem. Cieszę się, że tu przyjechałam, a raczej zostałam wysłana - rozgadała się.

Przy stoliku cztery pary oczu wpatrywało się w nią z niesłabnącym zainteresowaniem. Przez chwilę poczuła się nieswojo, wydawało się jej, że spojrzenia Gartenów oceniają ją, badają, tylko pod jakim kątem?

- To prawda, dziwne miejsce, ale jakże urocze, ciche - przyznała Gartenowa, spoglądając w ciemność za oknami.

- Widziałem, z jakim zainteresowaniem przyglądała się pani tej porcelanie - Eryk z ręką wysoko ułożoną na oparciu fotela, wbił w nią uważne spojrzenie.

-Lubię patrzeć na piękne rzeczy. Kiedyś dostałam w prezencie kolekcjonerską filiżankę ze spodeczkiem i talerzykiem Rosenthala z serii Pompadour z 1930 roku i od tego czasu zaczęłam inaczej postrzegać takie wręcz arcydzieła ceramiki. Ale... - Beata zastanowiła się - mam dobrą pamięć wzrokową i wydaje mi się, że ten oryginał - spojrzała w stronę gdańskich mebli - różni się od zastawy wyprodukowanej współcześnie... chyba ilością... kwiatów.

- To znaczy? - podchwycił Garten.

-W oryginałach jest ich więcej, chociaż mogę się mylić. Gdybym tylko mogła je porównać, co wydaje mi się niemożliwe, są przecież zamknięte za tym szkłem na klucz.

-Właśnie! - ożywiła się kobieta. - Skąd możemy mieć pewność, że to oryginały, dopóki nie zobaczy się ich sygnatury?

- No... tak - przyznała Beata. - Tylko dlaczego to jest dla pani takie ważne?

- O! To tylko ciekawość. Kiedy idzie się do muzeum, też chce się mieć pewność, że patrzymy na oryginalne zbiory - szybko wyjaśniła Krystyna. - Prawda? - zwróciła się do niej o potwierdzenie, lekko pochylając w bok głowę.

- Tak, oczywiście.

- Skąd pani przyjechała? - zapytał z ciekawością Garten.

- Z Bydgoszczy.
- O, to niedaleko. My jesteśmy z Dolnego Śląska. To jest odległość!
- Nigdy bym na to nie wpadła - powiedziała szczerze Beata. - Nie mówicie tym charakterystycznym śląskim akcentem.
- Ależ czasem tak mówimy, szczególnie między swoimi. Jesteśmy starym pokoleniem Ślązaków, częściowo z Katowic, a teraz z okolic Wrocławia, w zasadzie z jego odległej dzielnicy.
- Więc bliżej macie państwo do gór.
- Tak, ale w tym roku wybraliśmy ciszę, spokój i morze. Wydaje się, że tu trafić może tylko ten, co zabłądzi.
- To prawda, dookoła głusza i woda. Niespodziewanie odezwał się milczący Eryk:
 - Gra pani w bilard?
 - Nie, nie mam o tym pojęcia i nie interesuje mnie to.
 - Tu jest sala bilardowa, mógłbym panią nauczyć.
 - Dziękuję, ale nie skorzystam z nauki, dla mnie to strasznie nudna zabawa.
 - Trudno, nie zabawię się w nauczyciela. -Nudzisz. Co w tym jest takiego interesującego?
- Kawałek kija i jakieś kulki - wydeła usta Agnieszka.
- Jak spróbujesz, to dopiero się przekonasz, czy to jest takie nudne - stwierdził niezrażony krytyką Eryk.
- Jak jechało się pani przez las? - zapytała z ciekawością Krystyna, tym samym przecinając temat bilardu. - To dość odludne miejsce, sama jechać chyba bym się nie odważyła.
- Właśnie zauważyłam, że po drodze nikt mnie nie mijął, ale jechałam z wielką przyjemnością. W mieście brakowało mi takich widoków i zapachu, ciszy. To jedyna droga, żeby tutaj dojechać?

- Jedyna, ale dość dobrze utwardzona, więc deszcze jej nie rozmyją. Jedynie w zimie zasy py śniegu mogą utrudnić tutaj dojazd - wyjaśnił Eryk.

- Właściciele na pewno wynajmują jakiś pług do odśnieżania, przecież sami korzystają z tej drogi - wtrąciła się Agnieszka.

- A jak tu dojeżdżają ci, co nie mają własnych samochodów? Nie zauważyłam po drodze ani jednego przystanku autobusowego.

- Z tym nie ma problemu. Trzy razy dziennie jeździ tu busik z prywatnej linii. Przy wjeździe do lasu z szosy, stoi tablica z rozkładem jazdy, a druga jest przed wjazdem na parking, niedaleko pensjonatu. Pewnie jej pani nie zauważyła, widząc taki dom.

- Ale zimą pensjonat chyba nie ma wielu gości, to zbyt zakopane miejsce - zważęła Beata.

- Zimową porą tutaj jest tak samo pięknie jak latem. Właściciele organizują kuligi, zabawy karnawałowe, a sylwester w takiej scenerii jest wręcz niepowtarzalny - rozmarzyła się Krystyna Garten.

- Bywacie tu państwo o tej porze roku? - zaciekawiała się Beata.

Kobieta westchnęła.

- Każda pora roku i miejsce jest dostatecznie dobre, żeby odpocząć, uciec od codziennych obowiązków - wygładziła dłonią niewidzialną fałdkę na kremowej serwecie, leżącej na stoliku - a do emerytury tak daleko. Jesteśmy z mężem jeszcze tacy młodzi... - Potoczyła spojrzeniem po obecnych ze sztubacką miną. Była przy tym naturalna, sympatyczna, a kolorowa bluzka z niedużym wycięciem przy szyi, dodawała jej świeżości, uroku; twarz nadal pozostała młoda, bez cienia choćby jednej zmarszczki.

- Och, pani Krystyno... - Beata wypowiedziała to tonem nagany. - Pani mówi o tak odległej przyszłości?

- Dziękuję, to miłe z pani strony - Gartenowa uśmiechnęła się.

Beata powoli wchodziła w stan zmęczenia, godzina była dość późna, zbliżała się północ, co doskonale widziała z daleka na wielkiej tarczy zegarka Agnieszki.

- Jesteś na urlopie? - ta zapytała, wyraźnie znudzona przedłużającym się tematem, którym nie była zainteresowana.

- Tak... tak, można tak to... określić - podchwyciła Beata. - Państwo również?

- Jesteśmy rodziną kupiecką, więc sami regulujemy sobie czas wypoczynku - powiedział Stefan Garten. -Jedynie syn wybrał inną drogę, jest ornitologiem.

Eryk mruknął coś pod nosem, po czym spojrzał na Beatę i powiedział:

-I dlatego jestem czarną owcą w rodzinie, bo nie wybrałem jedynie słusznej drogi... - urwał, jakby ktoś palnął go w plecy - bo lubię to, co robię - dokończył i przeniósł wzrok gdzieś obok.

Stefan Garten powiedział pobłaźliwie:

- Każdy zawód przynosi jeżeli nie korzyści, to zadowolenie z pracy. A pani - zwrócił się do Beaty - jest zadowolona ze swojej?

- No, właśnie... ja... jeszcze nie pracuję i traktuję swój pobyt tutaj jako powiedzmy urlop, ponieważ zmieniam kierunek studiów, ale tu chcę o wszystkim zapomnieć. Uwielbiam przyrodę, las, jutro pospaceruję sobie nad brzegiem morza, dzisiaj jest już na to za późno.

-I zbyt niebezpiecznie.

- Niebezpiecznie? Dlaczego?

- Skarpa nad brzegiem jest dość stroma, ale w dzień bardzo łatwa do pokonania.

-Nie wybrałabym się nocą w nieznane mi miejsca. A już na pewno na strome zbocza.

Beata z trudem stłumiła odruch ziewania. Nawet wieczorna kawa nie pokonała całodziennego napięcia, związanego nie tylko z tymczasową zmianą miejsca pobytu. Najbardziej brakowało jej opiekuńczego ramienia Michała, którego tutaj nikt nie zastąpi.

- Przepraszam, ale ja już pożegnam państwa. Czuję się zmęczona, chociaż nie chodzę spać z kurami - zażartowała. - Z wielką przyjemnością spędziłam z państwem pierwszy wieczór w pensjonacie. Dobranoc - wygłosiła grzecznościową formułkę i wstała z fotela.

- Dobranoc. Zobaczysz pani, jeszcze niejedną noc pani tu zarwie, bo co to za wczasy? - zaśmiał się dobrodusznie Garten.

- Na pewno - zgodziła się z nim Beata i ruszyła do wyjścia z Sali Kominkowej.

W drzwiach minęła wchodzącego do środka szpakowatego mężczyznę, ale bez towarzyszących mu przy stoliku w restauracji kobiet. Pachniał jakimiś wonnymi papierosami, a kiedy rzucił na nią przelotne spojrzenie, powiało chłodem w jego szarych oczach. Może to rozwodnik albo wdowiec? Bo na singla zbyt przystojny.

Na piętrze panowała cisza, widocznie wczasowiczów znużył pierwszy dzień poza domem i pochrapują już w łóżkach. Jedyne ci, którzy pozostali w Sali Kominkowej, wyglądali jakby dzień dopiero dla nich się zaczął.

Beata ruszyła na wpół oświetlonym korytarzem, mijając po drodze kilkoro drzwi. Jej pokój był ostatni, za jego boczną ścianą była pustka korytarzyka ze schodami wiodącymi w górę, do pokoi służbowych.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Przystanąła niezdecydowana, czy zapukać do pokoju Sabiny. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów, które pozwoliłyby na krótką chwilę plotek, ale zrezygnowała. Sabina pewnie już jest w objęciach Morfeusza, nie chciała nawet przejść paru kroków do sali obok. W ogóle była jakaś nieobecna.

Beata weszła do swojego pokoju, uchyliła okno, rozebrała się, po cichu przemknęła się do łazienki, a kiedy wróciła, z ulgą wsunęła się pod cienką kołdrę.

Do pokoju wdarł się zapach lasu, subtelny szmer koron drzew, za szybami kłaniały się gałęzie poruszane czasem letnim wiatrem.

Śniło się jej, że... nie, to nie sen! Wyraźnie słychać było jakieś przytłumione głosy na małym korytarzyku za drzwiami. Jednym z nich mógł być głos Sabiny, ale drugi?

Beata otworzyła oczy, odgarnęła kołdrę, opuściła nogi na miękkim dywaniku i przez chwilę nasłuchiwała.

- Wejdz! - usłyszała przytłumiony, zły, syczący głos Sabiny. - Oszalałaś?! Ani się waż! Ostrzegam cię!

- Przecież to brednie.

- Te brednie są niebezpieczne!

- Ale ja jeszcze nic...

- Mam nadzieję! - zawarczała.

Nastąpił odgłos zamykanych drzwi do pokoju obok i... cisza. Pokoje rozdzielala łazienka, więc goście mogli zachować intymność rozmów - przestrzeń sanitarna skutecznie wyciszała jakiegokolwiek odgłosy.

Beata zamknęła okno, położyła się i próbowała zasnąć, ale, nagle obudzona, przewracała się z boku na bok, w końcu zapaliła nocną lampkę i sprawdziła, która jest godzina. Piętnaście minut po drugiej! Niedługo przez gałęzie drzew przecisną się pierwsze promienie słońca i koniec nocy! Zarwanej!

- Ale się zaczęło! - burknęła i westchnęła ciężko. Jednak wizyta nieznannej jej kobiety, i to w środku nocy,

na tyle ją zaintrygowała, że próbowała uzmysłwić sobie jakiegokolwiek tembr głosu poznanych wieczorem osób, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

Kobieta, która odwiedziła Sabinę o tak nietypowej porze, musiała być jej dobrą znajomą lub przyjaciółką, z którą łączyło ją coś niezmiernie ważnego, inaczej chyba nie pozwoliłaby sobie na tak wściekły ton głosu.

Ciekawe towarzystwo... i do tego nieboszczyk!

Ten facet... Janusz, tak drażył ten temat... chyba czepiał się, każdy przecież ma prawo umrzeć wtedy, kiedy przyjdzie na niego pora.

Beatę ogarnął atak ziewania, przewróciła się na bok i próbowała zasnąć, chociaż wydawało się jej, że to nigdy nie nastąpi.

Po jakimś czasie obudziły ją czyjeś ostrożne kroki za drzwiami, potem skrzypnięcie jednych drzwi, drugich i znowu nastąpiła cisza. A więc nieznamozna kobieta wyszła.

Resztę nocy przespala z głową nakrytą kołdrą; żadnych kroków, rozmów za drzwiami, bo chociaż to wczasy, ale do cholery ona chce spać!

Za oknami blask dnia natrętnie wdzierał się przez okno, kiedy Beata obudziła się i powiodła spojrzeniem po pokoju. Mimo nieprzespanej „regulaminowo” nocy, nie czuła znużenia, zwykle następującego po spaniu z przerywnikami różnego rodzaju, natomiast poczuła wilczy głód.

Wstała, otworzyła na oścież okno i wychyliła głowę. Pogoda zapowiadała się wspaniale, dookoła rozlewała się leśna cisza, czasem zmacona śpiewem jakiegoś ptaka. Po prostu cudowna aura na spaceru nad morzem, opalanie się, leniuchowanie i bierne poddanie się naturze.

Beata chwyciła ręcznik, przybory toaletowe i powędrowała do łazienki. Kiedy odświeżona wyszła, przystanęła na korytarzyku, nasłuchując jakiegokolwiek ruchu za drzwiami współlokatorki, mogącego wskazywać na to, iż ona również ochoczo zerwała się z łóżka.

Jednak za drzwiami panowała cisza. A więc jest tak, jak powiedziała. Nie jada śniadań.

Beata weszła do swojego pokoju, włożyła białe spodnie, tunikę z krótkimi rękawkami, uczesała długie włosy, palcami roztrzepała je, aby były bardziej puszyste i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi, aby nie obudzić Sabiny.

W restauracji zastała sporą grupę osób przy śniadaniu pachnącym kakao, kawą, miętową herbatą i świeżym pieczywem.

Rzuciła w przestrzeń „dzień dobry”, wypatrzyła wolny stolik, usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu. To samo towarzystwo, co przy kolacji; Gartenowie, szpakowaty mężczyzna, Janusz, znany jej tylko z imienia, reszta towarzystwa różniła się wiekiem, kolorem ubioru, włosów, mniejszą lub większą hałaśliwością.

- Dzień dobry pani - podeszła do niej kelnerka ze służbowym uśmiechem na ustach. - Co mam podać? Kawę, herbatę...

- Poproszę herbatę z cytryną i... to, co zwykle podajecie na śniadanie, oprócz żółtego sera.

-Może być dżem, pasta z twarogiem, pomidory, słodkie bułeczki z rodzynkami, rogałe...

- Poproszę słodkie bułeczki, rogała z masłem i herbatę - zamówiła Beata.

- Proszę.

Czekając na śniadanie, Beata mimochodem policzyła siedzących przy stolikach. Razem z nią było 30 osób, a więc ktoś zajmuje, oprócz niej i Sabiny, samodzielnie pokój. Eryka też wliczyła, chociaż przy stoliku go nie było. Ciekawe, czy to kobieta, czy może ten... grubasek? Chyba nie, kobieta siedząca obok niego właśnie odrywała od listka jakąś tabletkę i, pomimo jego niezadowolonej miny, wcisnęła mu ją do ręki. Pewnie kochająca żona.

- Proszę i smacznego - kelnerka zdjęła z tacy apetycznie wyglądające śniadanie i odpłynęła w głąb jadalni.

- Dziękuję. - Beata przysunęła krzesło bliżej stolika. Kątem oka zauważyła, jak ktoś podniósł w jej stronę

rękę, szeroko uśmiechnął się i gestem zapraszał do swojego stolika. To Krystyna Garten - przy jej stoliku było wolne miejsce, brakowało Eryka.

Beata skinęła głową, układając usta w „dziękuję” i rozłożyła dłonie, pokazując na zastawiony już stolik.

Z apetytem spałaszowała wszystko z talerza, nawet przez chwilę walczyła z pokusą, aby dobrać się jeszcze do słodkich bułeczek, ale w porę przypomniała sobie, że miesiąc z takimi słodkościami może przynieść gdzieś fałdkę tłuszczu, więc ryzykować nie będzie. Nie miała tendencji do tycia, ale precz ze słabościami!

Spojrzała w jasne plamy okien, zastanawiając się nad pierwszymi krokami po wyjściu z pensjonatu, i po chwili namysłu zdecydowała się na spacer nad brzegiem morza. To gdzieś niedaleko, wystarczy zejść skarpą na dół, by nawdychać się morskiego powietrza. O drogę postanowiła zapytać Sabinę, w nadziei, że ta już wstała i nie okaże się intruzem, pukając do jej drzwi.

Gartenowie już wyszli, jadalnię powoli opuszczali pozostali wczasowicze, kiedy niespodziewanie w drzwiach ukazała się Sabina w wąskich spodniach do kostek, w szarej, bawełnianej koszulce i już od progu wyraźnie kogoś wypatrywała, rzucając szybkie spojrzenia to tu, to tam. Omiotła wzrokiem Beatę, jeszcze przez chwilę, idąc drobnymi krokami, rozglądała się po jadalni, błędząc spojrzeniem, wreszcie zatrzymała się jakby niezdecydowana i spojrzała na swoją współlokatorkę.

Podeszła do niej szybkim krokiem, usiadła naprzeciw i rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

- Cześć - rzuciła.

- Cześć. Dobrze, że przyszłaś, znasz drogę nad morze? Wiesz, chodzi mi o tę skarpe - zapytała Beata, zadowolona z jej zjawienia się w jadalni.

Sabina wyglądała świeżo, na jej twarzy malował się spokój, miała delikatny makijaż i wyglądała na osobę, która nie potrafi nawet podnieść głosu. A przecież zaledwie przed kilkoma godzinami przyjmowała tajemniczą kobietę, warcząc przy tym poirytowanym, jadowitym tonem. A teraz z tru-

dem można by ją wyobrazić sobie w takiej roli, z wykrzywioną, złą twarzą. Taka słodka, niczego sobie blondynka!

- To prosta droga. Pójdiesz taką zwirową ścieżką sto, może dwieście metrów, a dalej już sama się zorientujesz. Zresztą będzie słycać wyraźny szum fal. - Sabina oparła łokcie o blat stolika, ale na dźwięk kroków po posadzce obejrzała się niespokojnie.

- Dzięki, nie chciałabym błądzić. Szkoda dnia, muszę poznać okolice, chociaż wielu atrakcji to tu chyba nie ma - Beata raczej stwierdziła, niż czekała na odpowiedź.

Sabina spojrzała na nią bystro i spytała jakby od niechcienia:

- Wypałaś się? Najgorsza jest pierwsza noc na nowym miejscu.

- Taaak, a ty?

- Ja... aklimatyzuję się od razu. Nocowałam już w wielu hotelach, pensjonatach, lepszych, gorszych, a ten niczym się nie różni od takich z gwiazdkami. Wczasy, to wczasy.

Beata słowem nie wspomniała o nocnej wizycie. Może byłoby to zbyt niewygodne pytanie i zmąciłoby ich poprawne współlokatorskie stosunki?

- Nie wybierasz się trochę połązić? - zapytała. - Nie, nie... może później - Sabina rozglądała się

dookoła, jakby w dalszym ciągu kogoś szukała.

- Jednak zjesz co nieco? - Beata pokiwała pobłażliwie głową.

- Chyba tak. Gdzie zniknęły te kelnerki?

- Była tylko jedna.

- Zawsze obsługują dwie. Pewnie nie zauważyłaś, ale to nie jest takie ważne - Sabina wydeła lekceważąco wargi.

- Sabina, czy Stomew to duża miejscowość? Wiem, że to jest raczej duża wieś, ale czy warto tam się zapuścić, coś kupić, może są tam jakieś zabytki?

- To nie jest znowu taka głęboka prowincja. Stomew to bardzo małe miasteczko, takie wiesz, z kościołem, cmentarzem, posterunkiem policji i rynkiem. No i z niezłym supermarketem jak dla takiej miejsciny.

-Może się tam wybiorę któregoś dnia z ciekawości. Na razie chcę poleżeć blisko wody. Nie ma to jak w Krynicy Morskiej - Beata westchnęła z żalem.

- To co tu robisz?

- Mała zmiana.

- Dużo rozrywek to tu nie ma - skrzywiła usta Sabina.

- Ale przyjechałaś tu.

- Szukam... spokoju... a to jest idealne miejsce. Przeciągnęła dłonią po włosach, jakby je wygładzała.

- Wczoraj miałaś inną fryzurę, doskonale dopracowaną - powiedziała z uznaniem Beata, patrząc na jej jasne, wyglądające jakby w nieładzie włosy.

- To była peruka, zrobiona przez najlepszego perukarza w... a, nieważne - urwała. - Mam dwie takie same, mogę ci jedną pożyczyć. Ciekawe, jakbyś wyglądała jako blondynka. - W jej głosie zabrzmiała zwykła, babska ciekawość.

-Może skorzystam, ale teraz idę nad morze. Mam nadzieję, że nie będzie tam tłumów. - Beata wstała i przysunęła krzesło do stolika. - Skoczę jeszcze do pokoju po jakiś ręcznik i krem do opalania. To do zobaczenia na obiedzie. Chyba jadasz obiady?

- Jadam - padła krótka odpowiedź.

Niewiele czasu zabrało Beacie spakowanie do plażowej torby potrzebnych rzeczy, wrzucenie komórki, butelki z wodą gazowaną, zegarka do kieszonki spodni, spięcie włosów w mały koczek, zamknięcie drzwi na klucz i już lekkim krokiem zbiegała po schodach do wyjścia.

Na zewnątrz owiało ją ciepłe, sierpniowe powietrze, przepojone zapachem lasu, swobody, jakiej zapewne doznają dzikie zwierzęta, cieszące się wolnością, a ona

anonimowością. Nie musiała tutaj z nikim zaprzyjaźniać się, udawać inną, niż jest. Nawet nie przypuszczała, że ona, uwielbiająca towarzystwo, z taką łatwością zaaklimatyzuje się w pensjonacie, który w mroku nocy wydawał się taki niesamowity i ponury.

Weszła w alejkę wysypaną drobnym żwirem, zatrzymała się i odwróciła głowę, patrząc na pensjonat. Nawet za dnia wydawał się tajemniczy, przyciągał wzrok swoją surową, drewnianą architekturą, a ona z każdą chwilą czuła, że znajduje się we właściwym miejscu, jakże romantycznym, wtopionym w zieloną naturę.

Odwróciła się i ruszyła alejką, zagłębiając się w cichą przestrzeń. Po przejściu kilkunastu metrów usłyszała za plecami chrzęst żwiru i minęło ją kilka osób z torbami przewieszonymi przez ramię.

- Dzień dobry - padło z kilku ust.

- Dzień dobry.

- Jeśli pani nie zna drogi na skarpe, to proszę iść z nami.

- Znam, ale dziękuję za propozycję - wykręciła się Beata.

Nie chciała teraz z nikim rozmawiać, zapoznawać się, nawet zwolniła kroku, aby odciąć się od towarzystwa wczasowiczów, nad brzegiem morza znaleźć jakieś ustronne miejsce na tej malutkiej plaży i topless poddać się promieniom słońca. Nieopalone miejsca po ramiączkach stanika wyglądały nieestetycznie, a lubiła bluzki z szerokimi wycięciami przy dekolcie.

Po szumie morskich fal zorientowała się, że zejście po skarpie jest już bardzo blisko. Jeszcze kilka metrów alejką i w prawo, między drzewa, po zielonej murawie.

Przystanąła na wzgórzu, głęboko odetchnęła i spojrzała w dół. Jaki cudowny widok z góry! Na niewielki skrawek plaży co rusz napływały fale, zostawiały pianę i cofały się, by po chwili znowu z szumem wrócić, tak

jak dzieje się to od wieków, a od morza zawiewał rzeński, poranny wiatr.

Beata powoli schodziła po wydeptanej ścieżce po dość stromym zboczu, u podnóża przystanęła, założyła okulary przeciwsłoneczne i rozejrzała się niezdecydowana, w którą stronę pójść. Plaża rzeczywiście ciągnęła się wąskim paskiem w obie strony, piasek był miąłki, czysty, wzgórze miejscami łagodnie opadało, porośnięte trawami, krzaczkami, gęstwiną chaszczy, gdzieś wyrastały samotne drzewka, dające schronienie przed palącym słońcem.

Beata postanowiła najpierw zrobić krótki rekonesans, aby zapoznać się z okolicą i ruszyła w stronę, gdzie zbocze wyglądało najokazalej, z bujną trawą i krzaczkami, za którymi, półnaga, czułaby się pewniej.

Poprzez szum fal nie dochodziły na razie żadne odgłosy innych osób łaknących słonecznych kąpiei. Pewnie zjawią się później, plan odsłonięcia górnej partii ciała był bliski wykonania, więc z pewnością nie dopadnie jej jakaś zgorszona wyznawczyni opalania co najmniej zasłonięta po szyję. W pobliżu nie było nawet grupy wczasowiczów, których minęła po drodze.

Nagle... przystanęła, zdjęła okulary i wpatrzyła się w sylwetkę mężczyzny i kobiety, stojących w niedużej od niej odległości pod zboczem, którzy na jej widok zaczęli szybko oddalać się i wkrótce zniknęli z pola widzenia. Zdążyła jeszcze zauważyć, że mężczyzna otoczył kobietę ramieniem i nachylił się do niej, jakby coś mówił.

Beata mężczyznę poznała od razu. To był ten szpakowaty przystojniak z zimnym spojrzeniem, natomiast kobiety nie poznała, chociaż... było coś znajomego w jej sylwetce. Nieważne, to pewnie miejscowa piękność, łatwa do poderwania. Nie będzie im przeszkadzać we flirtowaniu.

Beata zatrzymała się, wybrała miejsce na lekko pochyłym zboczu, rozłożyła duży, kąpielowy ręcznik, rozebrała

się tak, jak postanowiła wcześniej, wysmarowała się kremem i położyła się, wystawiając twarz ku słońcu.

Czas płynął, kilka razy wstawała, brodziła przy brzegu, na zanurzenie się w wodzie nie miała odwagi -woda jak dla niej była zbyt zimna.

Siedziała, obejmując kolana, kiedy w torbie rozległ się sygnał komórki. Może to Michał?

Wygrzebała telefon z przepastnej kieszeni torby i spojrzała na wyświetlacz. Niestety!

- Cześć mammo - rzuciła leniwie.

- Myślałam, że odezwiesz się wczoraj. No, jak podoba ci się w Stomewie? Gdzie teraz jesteś? - dopytywała troskliwym głosem matka.

- Dojechałam wieczorem, byłam na wieczorku zapoznawczym z właścicielami, zaliczyłam pierwszą noc, a teraz leżę w krzakach i opalam się - wyrecytowała Beata.

- No dobrze, ale czy jesteś zadowolona? Wiesz, że to ojciec naciskał.

-I dobrze. To jest właściwe miejsce, nawet poznałam fajną współlokatorkę.

-Rozmawiałam z ojcem i ustaliliśmy, że jeżeli zechcesz oczywiście, to możesz skrócić pobyt do jednego turnusu.

-Nic nie skracam, podoba mi się tu... A... słyszeliście z ojcem o tej kolekcji porcelany z makami? - Beata nie wspomniała o denacie z poprzedniego turnusu. Nie chciała martwić matki.

- To jakieś bzdury wymyślone na przyciągnięcie wczasowiczów, nic więcej! - padło kategoryczne.

- Pewnie tak. W końcu każdy stary dom ma jakieś tajemnice, legendy, dzięki którym zarabia na sobie -zgodziła się z nią Beata. - A skąd dzwonicz?

- Z pracy i muszę już kończyć, bo w przychodni nie ma zbyt wiele czasu na pogaduszki - słyhać było westchnięcie.

- To do usłyszenia mammo.

- Do usłyszenia. Tylko zejź już z tego słońca, bo spalisz skórę i będzie ci schodziła.

- I tak muszę już wracać, bo niedługo będzie obiad, a przedtem muszę wejść pod prysznic.

- To odezwi się, wiesz, że martwię się, kiedy gdzieś jedziesz sama.

- Odezwę się. Pa.

Beata odłożyła telefon i sięgnęła do spodni po zegarek. Czas wracać. Spojrzała na sunące po piasku fale, wstała, założyła górną część stroju plażowego i przeszła się po nagrzanym piasku plaży, który wciskał się jej między palce stóp. Była zadowolona, że przez cały czas wylegiwania się nas słońcu, nikt nie zakłócił jej samotności. Szkoda tylko, że nie ma tutaj Michała...

W drodze powrotnej spotkała powracających skądś wczasowiczów. Niektórzy z nich nieśli reklamówki wypełnione do połowy prawdopodobnie leśnymi owocami. Może grzybami? Będą suszyć? Oby Sabinie nie wpadło to do głowy. Już sobie wyobraziła aromat suszonych grzybów, przenikający do jej pokoju. Lubiła grzyby, ale po obróbce; smażone, marynowane, w bigosie. I koniecznie zebrane przez ojca. Na grzybach znał się doskonale.

Beata wymieniła z nimi uśmiechy, współczuła, że się nachodzili, wychwalała uroki położenia pensjonatu, a wreszcie dotarła do swojego pokoju.

Stojąc pod prysznicem, delikatnie zmywała z podrażnionej słońcem skóry krem do opalania, pot, umyła zmierzwiłone, poplątane włosy, po kąpieli natarła ciało nawilżającym balsamem i wróciła do swojego pokoju.

Do restauracji dotarła spóźniona, sala była zaledwie w połowie zapełniona, przy stolikach krzątała się już inna kelnerka, widocznie z popołudniowej zmiany.

Sabiny nie dostrzegła, więc zajęła miejsce przy stoliku i zaraz zjawiała się przy niej kelnerka. To była ta, która poprzedniego dnia, wieczorem, roznosiła kawę z deserem.

- Jest jakiś wybór? - zapytała Beata.

- Zupa pomidorowa, ogórkowa, a na drugie danie ziemniaki z mięsem do wyboru: albo kurczak, albo kotlet, i mizeria - młoda kobieta wyrecytowała jednym tchem.

- Poproszę ogórkową, kurczaka, mizerię i coś gazowanego, może coca colę. Aha, jeśli chodzi o zupę, to poproszę połowę porcji.

- Proszę bardzo, zaraz podam.

W trakcie konsumpcji, ktoś podszedł do stolika, a kiedy Beata uniosła głowę zobaczyła Sabinę, która pochyliła się do niej i powiedziała:

- Ja teraz jadę do miasteczka, ale chciałabym umówić się z tobą na popołudnie.

Beata przełknęła kęs mięsa i z aprobatą pokiwała głową.

- Chętnie, to jesteśmy umówione. U mnie czy u ciebie?

- U mnie. Następnym razem u ciebie.

- Okay.

Sabina wyszła szybkim krokiem, Beata dokończyła jedzenie i udała się do swojego pokoju. Otworzyła szeroko obydwie skrzydła okna, zdjęła sukienkę, włożyła letni szlafroczek i położyła się na łóżku. Do spotkania z Sabiną pozostało wiele czasu, więc postanowiła poddać się najmilszej rzeczy, jaką jest lenistwo bez konsekwencji, a mianowicie leżenie, aż do granic nudy.

Potem będą pewnie plotki przy kawie z Sabiną, wieczorem w Sali Kominkowej wyszuka coś do czytania, może nawet da się namówić Erykowi na naukę gry w bilard? Gdzieś w budynku jest siłownia i raz w tygodniu przyjeżdża instruktorka fitness, więc można tu się wyżyć do woli.

W pokoju zapachniało lasem. W mieście do mieszkania wdarłby się hałas ulicy, warkot samochodów, czasem głośnie rozmowy przechodniów, a tu jest po prostu raj na Ziemi!

Chyba zdrzemnęła się, bo jak zza mgły dotarło do niej pukanie do drzwi. Beata zerwała się z łóżka, przez chwilę

przytomniała i kiedy pukanie powtórzyło się, podeszła do drzwi i je uchyliła.

- Już jestem - oznajmiła Sabina, trzymając jakąś wypchaną torbę. - Możesz być za piętnaście minut u mnie?

- Jasne, tylko się przebiorę - Beata pokazała na szlafroczek.

- To czekam.

W innym przypadku kilkanaście minut było by za mało, żeby zdecydować się na jakiś ciuszek. Teraz wystarczyło wskoczyć w spodnie, wybrać ładną bluzkę, rozczesać włosy i wybrać się na pogaduszki.

Beata lekko zapukała do drzwi, weszła do pokoju Sabiny i widząc, że rozmawia z kimś przez telefon, chciała się wycofać, ale ta zrobiła zapraszający ruch ręką, przez chwilę jeszcze komuś potakiwała w rodzaju „uhm”, po czym zakończyła rozmowę. Wstała i zwróciła się do Beaty:

- Siadaj, gdzie chcesz. Zaraz zaparzę kawę... - Pokazała na stojące na stoliku kolorowe kubeczki.

- Nie! - szybko zareagowała Beata, siadając na fotelu. - Dzięki, ale w zasadzie nie piję wieczorem kawy, potem nie mogą zasnąć, ale herbatę wypiję z przyjemnością.

- W takim razie ja też - Sabina chwyciła ze stolika kubeczki - Kupiłam w miasteczku pyszne ciasteczka, chyba tych nie odmówisz?

- Nie odmówię, ale lepiej zadzwonić do recepcji i poprosić, żeby herbatę przyniosła kelnerka, może nawet w tych pięknych makowych filiżankach?

Brzęk! Sabina schyliła się, aby zebrać z podłogi potłuczone kawałki hotelowego kubeczka z białej ceramiki, drugi, ocalały, postawiła machinalnie, wyciągając rękę na skraju blatu stolika.

- Nie wiem, jak to się stało - tłumaczyła się, gromadząc w dłoni skorupki kubka.

- Pomogę ci - Beata zerwała się z fotela.

- Zostaw to, jeszcze się skaleczysz!

- Szkło tłucze się na szczęście. Mojej kumpelce, kiedy wychodziła za mąż, natłukliśmy pod drzwiami tyle butelek, że nawet nas potem ochrzaniła, bo musiała to szkło posprzątać, żeby sąsiedzi mogli przejść, ale i tak to jej nie pomogło... - Beata ugryzła się język. - To znaczy... wydaje się, że dokonaliśmy dobrego wyboru... a... sama wiesz...

Sabina nie skomentowała jej wypowiedzi, wrzuciła do kosza resztki kubeczka i jeszcze raz powtórzyła:

-Nie mam pojęcia, jak mógł wypaść mi z ręki -wyglądała na zdenerwowaną zaistniałą sytuacją.

- Siadaj! - zdecydowała Beata. - Zaraz zadzwonię do recepcji, żeby ktoś przyniósł...

- Nie, nie trzeba! - przerwała zdecydowanie Sabina. -Może herbatę zamienimy na coś zimnego, na przykład na gazowany napój pomarańczowy? Chociaż... - zawahała się, patrząc na nią - w szafce są jeszcze jakieś szklanki, kubki, talerzyki. Postaram się, żeby już nic nie wyleciało mi z rąk.

- Próbowała żartować, ale wypadło to jakoś nieszczerze.

- Zostańmy przy napoju, niedługo zejdziemy przecież na kolację. W domu prawie ich nie jadam, a tu mam jakiś dziki apetyt.

Sabina podeszła do małej komódki, wyjęła talerz i podała go Beacie.

- To na ciastka, są w torbie. - Pokazała ruchem głowy.

- Ja otworzę butelkę.

Beatę zastanowiła jej reakcja na wzmiankę o czerwonych makach. Już Gartenowie wypytywali ją o wybór miejsca wypoczynku, a teraz Sabinie leci z rąk kubek. O co chodzi z tymi makami? O tę kolekcję starej porcelany? Jaką może mieć wartość, jeżeli krąży już nawet o niej legenda? Układała ciastka na talerzu, coraz bardziej zaintrygowana tajemnicą kolorowej porcelany, na wzmiankę o której wypadają ludziom z rąk przedmioty. Dzieje się tu coś dziwnego. To stary dom, na pewno ma jakąś bogatą

przeszłość, historię, jakieś zapiski, może nawet kronikę dziejów właścicieli, chętnie by się z nią zapoznała.

Beata wrzuciła puste opakowanie do pojemnika na śmieci, ustawiła talerz pośrodku stolika i usiadła w foteliku.

- Sabina, czy w miasteczku jest biblioteka? - zapytała.

- Jest, dlaczego pytasz? - Sabina usiadła i przysunęła w jej stronę kubek z napojem.

- Od dawna szukam pewnych materiałów na studia i korzystam z każdej okazji, żeby poszperać w różnych bibliotekach czy antykwariatach.

- Tutaj, w pensjonacie, są dość duże zbiory, może coś znajdziesz.

-Zauważyłam, ale interesują mnie starodruki, biografie, kroniki, wiesz, takie starocie.

-Przyjeżdżasz na wczasy i zawracasz sobie głowę jakimiś zakurzonymi szpargałami? - Sabina wzruszyła ramionami, ale jej oczy stały się czujne, bystre.

- A skąd! Przy okazji, jak wybiorę się do miasteczka, to popytam - wykręciła się Beata.

- No i jak ci się spodobało na tym skrawku plaży? Znalazłaś wolne miejsce? - Sabina zmieniła temat i sięgnęła po ciastko.

- Wolne? Plaża była pusta, spotkałam tylko amatora porannych flirtów. Szedł z jakąś dziewczyną, a jak mnie zobaczyli, to zaraz gdzieś zniknęli.

- To ktoś z pensjonatu?

- Ten facet tak, ale jej nie rozpoznałam. Za to kiedy wracałam z plaży, spotkałam w lesie chyba połowę naszych wczasowiczów. No cóż, każdy robi to, co lubi. - Beata z przyjemnością napiła się zimnego napoju.

-Wiesz... - zaczęła zwolna mówić Sabina - chyba skrócę swój pobyt... Jakoś nie mogę sobie znaleźć miejsca... coś mnie nosi... Może powinnam kupić w miasteczku, w aptece, coś na nerwy? Chociaż - sięgnęła po torebkę

i zajrzała do środka - mam tu coś, wezmę na noc. - Odrzuciła torebkę na łóżko.

- To coś pomoże ci na chwilę, a co dalej? Jeżeli dusisz w sobie jakiś problem, tabletki ci nie pomogą. Nie czekam na zwierzenia, ale czasem to pomaga.

- Wiem. Wiem też, że pewnych spraw nie powinno się ruszać...

- Jakich?

- A, nie ma o czym mówić. Zaprosiłam cię do siebie i zaczynam marudzić. Smakują ci? - Sabina pokazała na talerz z ciastkami.

Beata sięgnęła po kolejne ciasteczko i powiedziała:

- Uhm, ale to już ostatnie. Chyba dzisiaj nie zaliczę kolacji, ale i tak zejdem na dół - Umilkła, kończąc jego konsumpcję, potem zwróciła się do Sabiny z kategorięcznym: - Wstawaj! Idziemy między ludzi, trochę ponuro się zrobiło.

- Zaraz przyjdę, muszę jeszcze do kogoś zadzwonić.

- To dzwoń, spotkamy się w restauracji.

- Zaczekaj, weź moją drugą perukę. Oddasz mi jak ci się znudzi - Sabina wstała, wyjęła z szafy perukę i podała ją Beacie.

- Blondynką jeszcze nie byłam, jestem ciekawa jak będę w niej wyglądać. Założę ją u mnie. To na razie.

Beata poszła do swojego pokoju i przymierzyła perukę. Nawet podobała się samej sobie w krótkich, jasnych włosach, ale nie zdecydowała się iść w niej do restauracji, musi się do niej chociaż przez jeden dzień przyzwyczaić.

Sabina na kolację nie zeszła. Zresztą nie tylko ona. Widocznie nie wszyscy jadali wieczorne posiłki albo zamawiali je do swoich pokoi.

Beata wyszła jeszcze z pensjonatu na krótki spacer alejką, a kiedy wracała, poszła na tyły pensjonatu i spojrzała w okna. Przez gałęzie drzew przenikało światło z wielu okien, również z pokoju Sabiny, więc jest, a dlaczego nie

zeszła, to w końcu jej sprawa. Z głębi lasu dochodziła rozmowa kilku osób, w miarę zbliżania się do pensjonatu, czasem zachrząścił pod ich stopami drobny żwir z alejki. Po chwili, oświetleni srebrną smugą księżycy, wyłonili się z ciemnozielonej, zwartej kolumny drzew, przystanęli na skraju alejki i chyba umawiali się na następny dzień, ale nawet z tak niewielkiej odległości dobiegały zaledwie strzępki słów. W grupie osób byli Gartenowie, ale bez Eryka, Agnieszka, jakieś nieznane jej z nazwiska trzy osoby i przystojniak z zimnym spojrzeniem.

Beata wzdrygnęła się i roztarta dłońmi ramiona.

Nieoczekiwanie, po pełnym słońca dniu, zapadł dość chłodny, sierpniowy wieczór i dalszy spacer bez ciepłego swetra byłby zbyt nieprzyjemny, więc wróciła do pensjonatu.

W pokoju panował półmrok, ale nie zapaliła światła, tylko uchyliła szerzej skrzydło okna i stanęła w nim, wpatrując się w krajobraz za oknami, w poświacie księżycowej nocy. W przeciwieństwie do fasady budynku, tył pensjonatu był wręcz okryty drzewami i teraz lekki wiatr potrzasał ich gałęziami tak blisko, że prawie można było dotknąć ich ręką. Mimo gęstwiny, księżycowa noc pozwalała na dalekie spojrzenie w głąb lasu. Ułatwiała to zaniedbana, żwirowa alejka, przecinająca przestrzeń w połowie budynku i biegnąca gdzieś w las.

Właśnie mijał jej pierwszy dzień w Stomewie, a nadchodziła druga noc.

Beata odeszła od okna, nachyliła się, aby zapalić nocną lampką, kiedy...

Łoskot czegoś walącego się na korytarzu, potem niesamowity krzyk, mrożący krew w żyłach, wywołał zimne ciarki na całym jej ciele. Zamarła w bezruchu, serce podeszło jej do gardła, przez chwilę, przerażona, nasłuchiwała jakiegokolwiek odgłosu, ale nastąpiła cisza, po czym... zadudniły kroki wielu osób za drzwiami.

Beata podbiegła do drzwi, gwałtownie je otworzyła i prawie twarzą w twarz zetknęła się z równie przestraszoną, ubraną w szlafrok, Sabiną.

- Słyszałaś ten krzyk? - zapytała ją.

- O mało nie dostałam zawału!

Pierwsza wypadła na korytarz, za nią wysunęła się Beata. Na korytarzu przed schodami stał już wianuszek wczasowiczów, który coś otaczał. Kiedy podeszły bliżej, ich oczom ukazał się przerażający widok.

Na podłodze, u dołu schodów prowadzących na górę, do służbowych pokoi, leżała kelnerka, która obsługiwała wieczorną kolację w restauracji! Nie ruszała się, nie wydawała z siebie żadnego głosu, jęku, leżała nieruchomo na plecach z rozrzuconymi rękami i wpółotwartymi oczami.

Widok był straszny! I ta nieruchomość postaci! Spod jej głowy powoli wypływała strużka krwi, tworząc czerwoną plamę na podłodze. Jej nogi w połowie opierały się o ostatni stopień schodów, co mogło sugerować, że spadła głową w dół.

Beata patrzyła ze zgrozą na osobę, która niespełna godzinę przedtem obsługiwała ją w restauracji. Tylko kto krzyczał? Spojrzała w górę schodów. Na ich szczycie stała druga kelnerka, upiornie blada, zakrywająca obiema dłońmi usta.

Nagle... rozległ się zduszony krzyk Sabiny, która przepchnęła się przez otaczających i upadła na kolana przed kelnerką.

- Wstań! Wstań! Pomogę ci, ale... - Nieoczekiwanie rozplakała się. - Tylko wstań! Co ci się stało?! - Jej głos stał się niezrozumiały, coś mamrotała, dotykała policzków kelnerki, łapała ją za ręce, cała dygotała.

Beata patrzyła na nią ze zdumieniem. Tak nie rozpacza osoba, która nie jest w jakiś sposób związana z niedającą oznak życia, leżącą kobietą. Sabinie drżały plecy, wstrząsane atakiem płaczu. Przez cały czas, pochylona

nad kelnerką, trzymała ją za rękę, której palce już nie zaciskały się w jej dłoni.

Beata nigdy nie była świadkiem tak strasznego wydarzenia, mrowiącego teraz całe ciało i policzki. Chyba nawet czekała, kiedy kelnerka podniesie się i zawoła, że to tylko żart, głupi żart! Nic takiego nie nastąpiło.

Tylko dlaczego wszyscy stoją, gapią się i nie wzywają pogotowia? No i ona?

- Nie stójcie tak! Trzeba zadzwonić po pogotowie! -zawołała.

Beata zaledwie zrobiła kilka kroków w stronę swojego pokoju, aby zabrać komórkę, kiedy trzasnęły gdzieś drzwi i rozległ się stanowczy, męski głos:

- Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem! Janusz, zapinając koszulę, szedł wielkimi krokami

w stronę grupy osób, które rozsunęły się, tworząc dla niego przejście, aby mógł zbadać wciąż nieruchome ciało kobiety.

- Proszę odejść! - powiedział szorstko do Sabiny. Ktoś z gości chwycił ją pod ramiona i prawie siłą

odciągnął na bok. Mężczyzna przykucnął przy ciele, przez chwilę trwał przy nim, zbadał pobieżnie, dłonią zamknął wciąż otwarte oczy i wstał.

- Nie żyje. Czy ktoś wezwał już pogotowie? - zapytał głośno, patrząc w oniemiałą grupę wczasowiczów.

- Tak, przed chwilą - poinformował ktoś z grupy.

- Trzeba jeszcze powiadomić policję.

- Policję?! - zabrzmiało z kilku ust.

- Takie są procedury - powiedział krótko Janusz, po czym dodał: - Są tu właściciele pensjonatu?

Ktoś biegł po schodach z parteru budynku, wołając:

- Co się stało?! Co to za krzyki?!

To Wojanowska biegła w ich stronę, przytrzymując poły szlafroka. Na jej twarzy malowało się nie mniejsze przerażenie widokiem, który zobaczyła, niż na pozostałych, wciąż okupujących korytarz.

- Co tu się dzieje?! Trzeba ją podnieść! Na dole jest gabinet sanitarny, zanieście ją tam! Dzwonił ktoś po pogotowie?! - wołała trzęsącym głosem.

- Proszę się uspokoić. Ona nie żyje. Pogotowie już jedzie. I policja - Janusz zdecydowanie ujął ją za ramiona i odsunął na bok.

- Jak to nie żyje?! Skąd pan wie? A co ma tu do roboty policja?! - zawołała, patrząc na niego szeroko otworzonymi oczami.

- To rutynowe postępowanie. A ja jestem lekarzem. Proszę, żebyście państwo się rozeszli - nakazał kategorycznie. - Ja tu zostanę do czasu ich przyjazdu. Czy w gabinecie są jakieś środki na uspokojenie?

- Są. - Wojanowskiej trzęsły się usta.

- Jeżeli ktoś chce z nich skorzystać, to proszę iść z panią Wojanowską na dół - Janusz przejął w swoje ręce kierowanie oniemiałą grupą wczasowiczów. - A gdzie jest pani mąż? - Właścicielka pensjonatu jakby nagle osłupiała.

- Mąż? - powtórzyła. - Jest... był... w pokoju.

- Proszę iść po niego. Aha, dobrze by było, żeby, kto chce, mógł zejść do Sali Kominkowej. Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Oczywiście, proszę, tu w nocy wszystko jest dostępne, to porządny pensjonat. Idę po męża. Proszę iść ze mną - Wojanowska, nie patrząc na nikogo, ruszyła szybkim krokiem w stronę schodów.

- Proszę pani? - zawołał Janusz.

- Tak? Coś jeszcze? - przystanęła i odwróciła się.

- Przydałby się jakiś parawan. - Pokazał na ciało.

- Dobrze, zajmę się tym.

Trzymając się poręczy schodów, pospiesznie schodziła na dół.

Nieoczekiwanie zgasło światło, ciemność jak z horroru przykleiła się do ciała, nastąpiła cisza, po której rozległ się kobiecy krzyk:

- Ja się boję! Niech ktoś włączy światło!

- Pewnie to jakaś awaria - uspokajał ją męski głos. Beata stała bez ruchu, czując zimne ciarki na całym

ciele. Ciemność, korytarz pełen ludzi i nieżywa kelnerka! Bała się poruszyć, żeby nie wpaść na kogoś z wczasowiczów. Takie emocje są dobre w kinie, ale nie na tym ponurym, ciemnym korytarzu.

Niespodziewanie błysnęło i korytarz zalała fala światła. Poszukała wzrokiem swojej współlokatorki.

Sabina stała oparta o ścianę z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Wydawało się, że zaraz osunie się na posadzkę. Przykro było na nią patrzeć.

- Chodźmy do mnie, tu nie mamy czego szukać. - Beata wyciągnęła do niej rękę, ale tamta wpatrywała się jak zahipnotyzowana w nieruchome ciało.

Beata siłą pociągnęła ją za sobą i wprowadziła do swojego pokoju.

- Usiądź tu! - powiedziała stanowczo.

Chwyciła ją za ramiona i siłą posadziła w fotelu. Sama usiadła naprzeciwko. Sabinie drżały usta, ręce, była potwornie blada, jakby cała krew z niej odpłynęła, miała nieprzytomne spojrzenie, w kącikach oczu iskrzyły się łzy.

- Przynieść ci coś na uspokojenie? - spytała delikatnie Beata.

- Co? Nie, nie. Mam.

- Chcesz chusteczki?

- Nie, nie... zawsze je mam w kieszeni.

- Dlaczego tak przejęła cię śmierć tej dziewczyny? Przecież spadła ze schodów, to się zdarza, a te schody są dość strome, o tej porze słabo oświetlone.

- Tak... chyba tak...

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Ale dlaczego... po co... nie rozumiem... może to nie był... wypadek? - powiedziała cicho Sabina, wycierając oczy.

- Co ty sugerujesz? Kto chciałby jakąś kelnerkę...

- Przestań! - przerwała jej Sabina. - Nie jakąś kelnerkę... tylko... - Przyłożyła chusteczkę do ust, dusząc w sobie atak płaczu.

- Dość tego! Coś kręcisz! Wyglądasz na chorą z przerażenia i rozpacz! O co tu chodzi?!

Sabina milczała, kręciła głową, brała raz po raz głęboki oddech, jej ręce niespokojnie błędziły, to dotykając włosów, to zaciskała je, mnąc chusteczki.

- Wiesz co, zaprowadzę cię do twojego pokoju, posiedzę przy tobie jeżeli zechcesz, może zaśniesz o ile to możliwe, bo zaczyna mi się udzielać tak ponury nastrój, że chyba sama na deser połknę ze dwie tabletki.

Beata wstała, ale niespodziewanie Sabina chwyciła ją za rękę i powiedziała z błaganiem w głosie:

-Nie zostawiaj mnie samej. Nie teraz. Ja... muszę ci coś wyjaśnić. Usiądź.

Beata, zaintrygowana, usiadła i wpatrzyła się w twarz Sabiny. To był obraz katastrofy, jeżeli można użyć takiego porównania; przygaszona, szara twarz, cała sylwetka jakaś przykurczona, pełna bólu, jakby niezrozumienia tego, co i dlaczego się wydarzyło?

-Ta dziewczyna... ta... która spadła ze schodów... - Sabina wzięła głęboki oddech i łamiącym się głosem dokończyła. - To moja siostra!

Zaległa cisza. Można było domyślić się jakiegoś powiązania z nieżyjącą kelnerką po reakcji Sabiny na widok jej ciała, ale jej wyznanie, okrzyk pełen rozpacz i dłonie przyciśnięte do twarzy, z przeciekającymi łzami między palcami, znowu wstrząsnęły Beatą.

Wzięła głęboki oddech i dotknęła ramienia Sabiny, aby wyrazić słowa współczucia:

- Przykro mi, bardzo mi przykro, teraz rozumiem, co przeżywasz.

-Nikt tego nie zrozumie, dopóki sam tego nie doświadczy - ta wyszeptała.

- Dlaczego to ukrywałaś?
- Co ukrywałam? - Sabina nie zrozumiała.
- Że ona tu pracuje. Chociaż nie, nic nie mów, przepraszam cię, że teraz o to pytam. Sabina wytarła oczy i, jakby wając słowa, zaczęła wolno mówić:

- Jesteśmy... raczej byłyśmy ze sobą poróżnione, jak to między siostrami. Ona miała szczęście, czy raczej nieszczęście, wplątywać się w różne historie... znajomości... Ona jest... była... trochę naiwna, myślała, że jak ktoś powie jej byle komplement, to już jest nią zainteresowany, a może nawet zakochany. Nie raz dała się nabrać na takiego pseudo-wielbiciela, który potrafi wyłudzać pieniądze, a potem znika.

- Znam ją jedynie z restauracji, zawsze była miła, uśmiechnięta. Trzeba powiadomić twoją rodzinę, jej męża...

- Jej męża?! - Sabina niespodziewanie wybuchła gniewem. - Ona dwa razy wychodziła za mąż, w końcu związała się z jakimś amantem... Mówiłam jej, że będzie tego żałować, ale tak zawrócił jej w głowie... ja... go nie lubię... wręcz nie znoszę!

- Więc znasz go?

- Oczywiście.

- A rodzice?

- Mieszkają tu, w miasteczku. Siostra... Bożena... jakiś czas temu zamieszkała z nimi, ale nie chciała codziennie dojeżdżać do pracy, więc zamieszkała w służbówce. To straszne! Nie zdążyłyśmy się nawet pogodzić, a co dopiero pożegnać! - Sabina podniosła chusteczkę do oczu, które znowu zapełniły się łzami.

Beata starała się jak najdelikatniej wysnuć przypuszczenie:

- Może nie powinnam w takiej chwili, ale... być może piła alkohol i na schodach zakręciło się jej w głowie? Była już po pracy, więc mogła sobie na to pozwolić.

- Bożena i alkohol? - Sabina pokręciła głową. - Ona piła tylko jakieś wstrętne ziółka. Od dziecka chorowała, miała jakiś problem z wątrobą, z pęcherzykiem żółciowym, a alkoholu w żadnej postaci nie znosiła - zadrżały jej usta.

Za drzwiami zadudniły kroki wielu osób, rozległy się głośne rozmowy, na chwilę przycichły, potem znowu słychać było jakieś pojedyncze słowa, szuranie i zdenerwowany, wyraźny głos Wojanowskiej, na przemian z głosem jej męża, uspokajającym żonę.

- Pewnie pogotowie przyjechało - powiedziała z przekonaniem Beata.

- Za chwilę zjawi się policja, potem... potem zakład pogrzebowy! - Sabina załkała, chowając twarz w dłoniach.

-Dopóki nie zrobi się ciasno na korytarzu, chodź, pójdziemy do Sali Kominkowej, nie zostawię cię w takim stanie, ale siedzieć tutaj nie mam zamiaru.

- Idź sama, ja nie mam ani siły ani chęci obnosić się ze swoim tragicznym wyglądem. Pójdę do siebie. - Sabina wstała i zachwiała się.

- Zaprowadzę cię i posiedzę przy tobie.

Beata chwyciła ją pod ramię i powoli wyszły z pokoju. Na korytarzyku odgłosy zza drzwi dobiegały o wiele wyraźniej, ktoś powtarzał w kółko „to straszne”, dopiero w pokoju Sabiny, po otworzeniu okna, odgłosy stały się prawie niesłyszalne.

- Położę się - powiedziała Sabina słabym głosem.

- Zostanę z tobą.

-Dziękuję ci, ale chciałabym zostać teraz sama. Głowa mi pęka, muszę wziąć tabletkę.

Sabina sięgnęła po torebkę i wyjęła jakiś listek z tabletkami. Wyłuskała od razu dwie i popiła wodą ze stojącego na stoliku kubka.

- Więc mogę z czystym sumieniem wyjść? - zapytała z troską Beata.

Sabina pokiwała głową.

-Możesz. Dziękuję ci za tak wspaniałą opiekę, ale teraz poczuję się o wiele lepiej - pokazała na listek z tabletkami.

- W takim razie idę do Sali Kominkowej. Muszę po tym wszystkim pobyć między ludźmi, za chwilę mi też głowa pęknie. Jeżeli zechcesz, to zejdź później na dół.

Sabina nie odpowiedziała, położyła się w szlafroku na łóżku i przykryła kołdrą, jakby było jej zimno.

Beata wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Z biciem serca nacisnęła klamkę drzwi wychodzących na główny korytarz, spodziewając się nieprzyjemnego widoku ekipy śledczej, fotografa robiącego zdjęcia ciała, ale na korytarzu roило się od czerwonych, służbowych uniformów pogotowia ratunkowego, a zwłoki Bożeny zakryte były parawanem.

Policja jeszcze nie przyjechała, Janusz rozmawiał z lekarzem pogotowia, Wojanowska stała oparta o ramię męża i, gdyby nie niewidoczne teraz ciało kelnerki, można by przypuszczać, że zachorował któryś z gości pensjonatu.

Beata zeszła po schodach, weszła do Sali Kominkowej i stanęła w progu, szukając wolnego miejsca przy stoliku. Pomimo że w pomieszczeniu był zakaz palenia papierosów, w powietrzu unosiła się błękitna mgielka dymu i rozchodził się szmer podekscytowanych głosów. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zeszli tutaj wszyscy wczasowicze, chociaż niektóre stoliki były puste.

Beata ruszyła wolno w głąb Sali, mając nadzieję na chwilę samotności przy stoliku. Udawała, że nie widzi zapraszającego gestu Krystyny Garten, ale na niewiele się to zdało.

- Prosimy do nas! - ta pokazywała na wolne miejsce obok siebie.

Beata, ukrywając niezadowolenie, przysiadła do stolika Gartenów. Zauważyła nieobecność Agnieszki.

-Zajęłam miejsce pana dziewczyny, jak przyjdzie, przesiądę się do innego stolika - zwróciła się do Eryka.

- Nie ma takiej potrzeby. Ona jest w łazience, a jak wróci, dostawi się fotel.

- To straszne, co się stało - powiedziała z żalem Gartenowa. - Taka młoda, miła dziewczyna, na pewno poślizgnęła się na tych schodach, straciła równowagę i spadła.

-Tak... głupia, niepotrzebna śmierć - dodał Garten i wzruszył ramionami.

Beata potakiwała, mając przed oczami obraz zrozpaczonej Sabiny. To jej siostra była owym nocnym gościem. Teraz była tego pewna, chociaż na konfrontację jest już za późno, a Sabiny z pewnością o to nie zapyta. Może sama jej to powie.

Ta noc z pewnością będzie zarwana do samego rana, bo świadomość plam krwi na posadzce korytarza, w niewielkiej odległości od drzwi jej pokoju, skutecznie działała na wyobraźnię. Oby to się już skończyło. Niechby przyjechała już policja i zakład pogrzebowy.

- Pani współlokatorka została w pokoju? Chyba znała tę biedną kelnerkę, bo strasznie rozpaczała, aż serce się krajało - westchnęła Krystyna Garten.

-Tak, znała, mówiła coś, ale ciągle płakała i nie wszystko, co mówiła, zrozumiałam - Beata nie czuła się upoważniona do wyjawiania zażyłości Sabiny z kelnerką.

W oczach Krystyny pojawiło się podejrzenie, co do szczerości jej słów, ale tylko pokręciła głową i znowu westchnęła.

-Pani pali? - Eryk podsunął w jej stronę paczkę papierosów.

- Czasem zapalę, ale teraz dziękuję. Dym mi nie przeszkadza.

Eryk cofnął rękę, przez chwilę obracał paczką, jakby sprawiało mu to przyjemność, ale papierosa nie wyjął.

- To dziwne, ale... ona jedyna tak zareagowała... -Spojrzał znacząco Beacie w oczy.

- Na pewno były ku temu powody, ja też bardzo przeżywam śmierć bliskiej mi osoby. Przytulnie w tej sali - Beata ucięła temat, rozglądając się na boki.

- Tak czy owak, trzeba jednak chociaż trochę przespać się, o ile policja nam pozwoli - rzucił Garten, lekko krzywiąc się.

- Dlaczego policja? - Gartenowa wzruszyła ramionami.

- Słyszałaś, co mówił ten lekarz. Nie można tak od razu... taki wypadek zawsze bada się, zanim przyjedzie zakład pogrzebowy. No i oczywiście prokurator.

Na chwilę zaległa cisza. Beata spostrzegła, że Eryk rzucał od czasu do czasu wzrokiem na drzwi z zachmurzoną twarzą. Widać było, że nie jest zadowolony z nieobecności Agnieszki.

Beata zakryła usta, udając ogarniające ją ziewanie.

-Ja już się pożegnam - powiedziała, wstając od stolika - muszę się położyć, jestem taka zmęczona po tym wszystkim, co się stało, no i chciałabym zajrzeć jeszcze do mojej sąsiadki. Niestety - westchnęła - to się stało tak blisko mojego pokoju, że tej nocy chyba nie zasnę.

- Pani mieszka pod czwórką? - zapytał Eryk.

- Właśnie.

- To po co pani już idzie? Proszę zostać z nami, będzie różnie.

-Dziękuję, ale muszę zajrzeć do mojej współlokatorki.

-My zostaniemy jeszcze chwilę, ale malutką -powiedział Garten.

- To dobranoc.

Beata ruszyła do wyjścia. W połowie drogi zauważyła stojącą w progu Agnieszkę. Dziewczyna wyraźnie patrzyła w przeciwnym kierunku, niż siedzący Gartenowie, a nie sposób było ich nie dostrzec. Widać było, z jakim napięciem w oczach stara się kogoś wypatrzyć, a kiedy zauważyła Beatę, uśmiechnęła się i uniosła dłoń w powitaniu.

Beata odwzajemniła gest i, mijając meble z witryną, rzuciła przelotnie spojrzeniem. Coś ją powstrzymało w zrobieniu następnego kroku i zatrzymała się, wpatrując się z niedowierzaniem w kolekcję starej porcelany.

Puste miejsce w drugim rzędzie było aż nadto widoczne!

Filizanka zniknęła!

Rozdział 2

Dochodziła północ, kiedy nadkomisarz Nadolski - kierownik Wydziału Kryminalnego Policji w Gdańsku - zgasił ostatniego papierosa, dopił herbatę ze stojącego na nocnej szafce kubka, zgasił małą lampkę i z ulgą opadł na poduszkę. Palenie papierosów w łóżku, przed zaśnięciem, było ustalonym od lat rytuałem, z którym próbował walczyć, ale bezskutecznie, co na tyle irytowało to jego żonę, że w końcu wyprowadziła się do pokoju dorosłej już córki, która zresztą tej przeprowadzki nie przyjęła zbyt entuzjastycznie: skończyły się jej długie, nocne rozmowy z chłopakiem.

Teraz obydwie przebywały daleko od sypialni, domu, na wczasach na południu kraju, więc bezkarnie mógł poddawać się ulubionemu nałogowi przed snem. Naciągnął kołdrę po brodę i przewrócił się na bok.

Obudził go natrętnie dzwoniący telefon. Przez chwilę nasłuchiwał, ale słuch go nie zawodził. Telefon o tej porze nie oznaczał zaproszenia do tańca, wręcz przeciwnie; zerwanie z łóżka, zorganizowanie ekipy dochodzeniowej i... oby się mylił.

Może to żona albo córka ze zwariowanym pomysłem, aby rano wpłacił na konto więcej pieniędzy, bo te co miały, już wydały? Jeśli to one, to udanej zabawy!

Jednak mylił się, kiedy podniósł słuchawkę.

- Słucham. Nadolski.

- Przepraszam panie nadkomisarzu, ale jest pilna sprawa, na wyjazd - zabrzmiał głos Patery, dyżurnego policjanta.

- Co się stało? I gdzie? - westchnął, przecierając oczy.

- Wypadek w Stomewie. W pensjonacie.

-A co nam do tego?! Co robi tamtejsza policja?! -burknął.

-No... sprawa jest chyba poważna... a tam jest tylko posterunek.

- Czyj to pomysł?
- Lekarza pogotowia ratunkowego, ma wątpliwości... - Policjant zreferował wydarzenie w pensjonacie.
- Uhm. Zespół powiadomiony?
- Wszyscy, to znaczy technik dochodzeniowy, fotograf, lekarz sądowy, oprócz prokuratora.
- Biorę to na siebie. Będzie zachwycony - Nadolski uśmiechnął się na wspomnienie miny kolegi zerwanego z łóżka i przywiezionego parę dni temu w nocy, na oględziny miejsca przestępstwa.
- W drodze jest samochód po pana nadkomisarza.
- W porządku. Komisarz Wiedeński powiadomiony?
- Jest na urlopie.
- To go ściągnąć.
- Zaraz?
- Przecież nie mówię o teleportacji! Ustalić, gdzie przebywa i niech się melduje!
- Tak jest, panie nadkomisarzu!
- Dobranoc.

Nadolski odłożył słuchawkę, wstał, zapalił górne światło i spojrzał na zegarek. Było zaledwie wpół do pierwszej, więc niewiele sobie pospał, o ile zdrzemnięcie się, jak to ocenił, można było uznać za sen.

Jak przewidywał, prokuratora bardzo „ubawiła” nocna jazda przez kilkadziesiąt kilometrów do, jak to określił, zadupia, i to tak bardzo, że przeszedł w rozmowie na język „obcy”... Łacinę, ale ogólnie zrozumiałą.

-Wiesz co? A chciałem zostać stolarzem! Chyba nikomu w nocy nie zachciałoby się, żebym zrobił mu krzesło - dodał z sarkazmem już „po polsku”.

- Ludzi nie znasz... - dobił go Nadolski.
- Za piętnaście minut przyślij po mnie busa. Nie będę po nocy wyciągał z garażu samochodu, żona by mnie wypisała z rodziny, jakbym pobudził dzieciaki.

- Załatwione, ale busem zabiera się ekipa, pojedziesz ze mną volkswagenem.

- To na razie.

Kiedy Nadolski zszedł na dół, przed blokiem czekał już służbowy bus, oznakowany policyjnymi znakami. Wewnątrz siedziała ekipa dochodzeniowa.

- Cześć. Czekają nas roboty w Stomewie. Oby to nie był fałszywy alarm - zajął się do środka i przywitał się z policyjnymi ekspertami.

- Oby, a na razie przydałoby się wiadro kawy - odezwał się, ziewając i zakrywając usta lekarz.

- Tam coś zorganizujemy, to do zobaczenia na miejscu.

Za mercedesem czekał na niego policyjny volkswagen. Nadolski usiadł z przodu, obok kierowcy.

- Jedziemy po prokuratora, na... - zastanowił się nad nazwą ulicy.

- Wiem, gdzie mieszka prokurator Marciniak, panie nadkomisarzu. Zaraz tam będziemy.

Jechali uśpioną jeszcze ulicą, obrzeżoną wysokimi kamienicami, oświetlonymi od frontu latarniami, rzucającymi białe snopy światła.

- Jeszcze chwila i taki luz się skończy - rzucił kierowca. - Najgorsi są niedzielni kierowcy... Kto im dał prawo jazdy?

- Żeby tylko tacy jeździli! Coraz więcej siada za kółkiem po pijaku albo naćpani byle prochami. To jest problem. „Na nosa” nie wyłapiesz, kto wsiada do samochodu, dopiero przy kontroli drogowej, jak chuchną w alkomat, masz prawo zabrać im prawo jazdy, a dalej zajmą się nimi sądy.

- Kary są za niskie.

- I kary i świadomość tych durniów!

- Ja bym upierał się przy karach. Spora grupa zostałaby wyeliminowana na lata ze wszystkich dróg, cho-

ciaż - policjant za kierownicą skrzywił usta - pojawią się następni.

- Taaak.

Volkswagen zatrzymał się na bocznej uliczce przed jednorodzinny domem, otoczonym metalowymi przęsłami ogrodzenia. W domu, na parterze, paliło się światło, które po chwili zgasło i w drzwiach ukazał się mężczyzna. Szybko zbiegł po schodach, otworzył furtkę, podszedł do samochodu i usiadł na tylnym siedzeniu.

- Dobry wieczór - rzucił, kładąc obok siebie teczkę.

- Taka robota - powiedział Nadolski, odwracając się do niego.

- Jak to w naszym zawodzie - ciężko westchnął prokurator.

- To jedziemy, bus pewnie jest już w połowie drogi, trzeba się pospieszyć, ale nie szalej - Nadolski zwrócił się do kierowcy.

- Jasne! Zgodnie z przepisami, panie nadkomisarzu.

Po kilkunastu minutach wyjechali na szosę prowadzącą do miasteczka. Na otwartej przestrzeni ciemność nocy nie wydawała się tak przykra, niebo było o wiele jaśniejsze, ale jazda wzdłuż szpaleru drzew z rozłożystymi koronami, rosnących na poboczach drogi, znowu przypomniła o jeszcze trwającej nocy.

- Co tam się właściwie stało? Wczasowicze narozrabiali? - przerwał panującą w samochodzie ciszę prokurator.

- Gorzej. Jest wypadek. Śmiertelny. -Wojanowska ostatnio nie ma szczęścia do gości.

Niedawno stamtąd wywozili faceta, a za chwilę jej pracownika.

- Tym razem to kobieta...

- Uhm. A co z tamtym gościem? Zamknąłeś tę sprawę?

- Niedługo ją zamknę, czekam na wyniki z laboratorium.

- No, dogoniliśmy naszych - odezwał się kierowca.

- To nasz mercedes.

Pod pensjonat „Czerwone Maki” zajęchali jeden za drugim. Budynek był rzęsiście oświetlony, wokół panowała cisza, jakiej nie można by się spodziewać po ośrodku wczasowym w pełni sezonu.

Każdego, kto zobaczył pensjonat w księżycowej poświacie, wtopiony w leśną głuszę, przeszywał dreszczyk niesamowitości tej kompozycji, nawet tych, którzy bywali w tej okolicy niejednym razem, ale świadomość kolejnego zgonu, i to niedługo po pierwszym, potęgowała doznawane wrażenia i pobudzała wyobraźnię.

- Co za miejsce! - Nadolski wysiadł z samochodu i spojrzął przeciągle po drewnianych belkach budynku.

- Idealne miejsce do kręcenia filmów kryminalnych

- stwierdził Marciniak, przystając obok niego.

Zaczekali, aż z policyjnego busa wyjdzie ekipa dochodzeniowa i ruszyli po schodach werandy do drzwi wejściowych pensjonatu. Zaledwie weszli do środka, podeszła do nich przejęta recepcjonistka i skierowała ich na pierwsze piętro.

Na piętrze, na korytarzu, stała grupa osób: obsługa ambulansu pogotowia ratunkowego w charakterystycznych, czerwonych uniformach, dwóch policjantów, z których jeden pisał coś w notatniku, jakiś mężczyzna w ubraniu cywilnym i właściciele pensjonatu, Wojanowscy.

Tych ostatnich Nadolski znał z wykonywanych tam ostatnio czynności służbowych i nie przypuszczał nawet, że niedługo zjawi się tam znowu. Wojanowska stała oparta o ramię męża, blada, trzymała dłoń w okolicy serca i sprawiała wrażenie osoby ciężko chorej.

Pod schodami wiodącymi w górę stał parawan, który na polecenie lekarza pogotowia został złożony i położony daleko od miejsca upadku kobiety.

Oczom ekipy ukazał się koszmarny widok nieruchomego ciała, z plamą krwi wokół głowy.

- Dobry wieczór. Proszę osoby niepożądane o opuszczenie miejsca - wydał nakaz Nadolski. - Kto znalazł zwłoki?

- Trudno powiedzieć kto pierwszy, bo na krzyk drugiej kelnerki zbiegło się kilka osób - powiedział Woja-nowski i dodał - ale mamy wśród gości lekarza - wskazał Janusza - i to ten pan stwierdził zgon. Potem zadzwoniliśmy po pogotowie.

- Więc to kelnerka?

- Tak. Bożena Gawronik.

- Dobrze, ale teraz proszę o odsunięcie się dalej od tego miejsca. Proszę jednak być w pobliżu, a pan zostanie z nami przez chwilę - nadkomisarz zwrócił się do Janusza.

Kiedy ten zdawał relację z badania ciała i podawał swoje dane osobowe do protokołu, Wojanowscy zatrzymali się w połowie schodów wiodących na parter budynku. Po chwili dołączył do nich Janusz, zwolniony z obowiązku dalszej obecności w trakcie trwającego postępowania w sprawie tragicznego wydarzenia.

Nadolski wysłuchał też uważnie relacji policjantów z posterunku w Stomewie, którzy pierwsi przybyli na wezwanie do pensjonatu.

Teraz do oględzin zwłok, po wysłuchaniu spostrzeżeń lekarza z pogotowia ratunkowego, przystąpił lekarz sądowy. Przykucnął, uważnie je obejrzał, zbadał w miarę dokładnie, przyjrzał się zgasłym źrenicom oczu. Patrzył na zwłoki wyraźnie zaintrygowany.

- Czy zmieniał ktoś pozycję ciała? - zapytał, przesuwając wzrokiem po obecnych.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odezwał się lekarz pogotowia - ale plamy krwi nie wskazują na to.

Lekarz sądowy wstał, zaczął zdejmować rękawiczki, nie odrywając wzroku od ciała, po czym zaczął relacjonować:

- Śmierć nastąpiła około trzech do czterech godzin temu... ale dokładne dane będą po przeprowadzeniu sekcji zwłok. Ta rana na głowie, według wstępnego badania, zaznaczam: wstępnego, nie mogła być główną przyczyną śmierci, chociaż... utopić się można nawet w łyżce wody.

- Co sugerujesz? - zapytał prokurator.

-To mógłby być wylew krwi do mózgu, pęknięty tętniak... Nie wiem, trochę cierpliwości. Trzeba to zbadać w Zakładzie Medycyny Sądowej. Widziałem większe stłuczenia na głowie i nie kończyło się to zgonem. Ta kobieta musiałaby z ogromną siłą zwalić się po tych schodach i mieć ogromną dziurę w czaszce, żeby tego nie przeżyć, a... nie ma! Przynajmniej pozycja ciała wskazuje na upadek z tych schodów - lekarz przeniósł wzrok na schody.

Prokurator pochylił się nad zwłokami, przez długą chwilę je oglądał, potem wyprostował się i kiwnął głową w stronę policyjnego fotografa.

Nastąpiły rutynowe czynności z oględzin zwłok i miejsca zdarzenia spisywane do protokołu: fotografowanie ciała, zaznaczanie jego pozycji na szkicu, opisywanie wyglądu, wyniku wstępnego badania lekarskiego.

Załoga ambulansu karetki pogotowia odjechała, posterunkowy ze Stomewa kończył spisywanie notatki służbowej, czekano jeszcze na samochód z zakładu pogrzebowego, mający zabrać ciało do Gdańska, do Zakładu Medycyny Sądowej.

Nadkomisarz Nadolski zwrócił się do prokuratora:

-Trzeba przesłuchać tę drugą kelnerkę, która była pierwszym świadkiem zdarzenia, może od niej dowiemy się czegoś więcej.

- Oczywiście, trzeba zapytać Wojanowską, gdzie ją znajdziemy.

Nadolski podszedł do stojących cały czas na schodach właścicieli i zapytał:

- Gdzie możemy zastać tę osobę, która krzyczała na widok... tego wypadku?

- Powinna być w służbowce, na górze, tam są pokoje dla pracowników, mała jadalnia dla nich i inne pomieszczenia. Zaprowadzić pana? - zaoferował swoją pomoc Wojanowski.

- Nie, nie, dziękuję - ten odmówił. - Proszę jeszcze nie zbliżać się do miejsca z ciałem, do czasu, aż zostanie zabrane, żeby nie zatrzeć nieraz bardzo istotnych śladów.

- Będziemy w biurze, gdybyśmy byli jeszcze potrzebni - odezwała się słabym głosem Wojanowska.

- Dobrze.

Przy ciele kelnerki zostali dwaj posterunkowi, natomiast cała ekipa dochodzeniowa udała się na poddasze, przechodząc ostrożnie obok denatki, aby nie zdeptać ewentualnych, nawet drobnych z pozoru śladów, które mogłyby odegrać istotną rolę w późniejszym postępowaniu dowodowym.

Na poddaszu rozkład pomieszczeń był inny niż na piętrze. Każde było osobne, z innym przeznaczeniem, na co wskazywały wizytówki na drzwiach: pokoje służbowe, jadalnia, kuchnia, WC, łazienka, magazyn podręczny, warsztat naprawczy.

Do pokoju kelnerki zaprowadziła ich smuga światła pod drzwiami.

Nadkomisarz Nadolski lekko zapukał.

- Proszę.

Młoda kobieta siedziała na brzegu hotelowego łóżka, z zapuchniętymi od płaczu oczami, ściskając w dłoni chusteczkę. Na widok wchodzących osób wstała i patrzyła wyczekująco.

- Dobry wieczór pani, jesteśmy z policji i chcielibyśmy zadać pani kilka pytań - Nadolski, spokojnym tonem głosu, starał się nadać rozmowie sprzyjający klimat, widząc przestach w jej oczach.

-Jeżeli będę mogła w czymś pomóc... to chętnie... ale co ja mogę powiedzieć? - kobieta mówiła cichym, łamiącym się głosem.

- Proszę podać swoje imię i nazwisko, to tylko formalność - zapewnił ją prokurator.

- Elżbieta Wojtecka. Pracuję tu jako kelnerka i pokojówka.

- Na dwóch etatach? - uniósł brwi Nadolski.

- Nie, tylko na jednym jako kelnerka, ale pokojówka jest na urlopie i obie z Bożenką... - głos się jej załamał -dzielimy się jej obowiązkami. Dzieliłyśmy...

- To duże obciążenie pracą. Nie ma tu osoby sprzątającej?

- To mały pensjonat. Jest jeszcze kucharka, pomoc kuchenna, „złota rączka"... on jest od napraw... wszystkiego, ale jeszcze nie wrócił do pensjonatu. Wiem, bo zawsze słyszę jak idzie, ma takie ciężkie kroki.

- Mieszka pani sama w tym pokoju? - Nadolski rozejrzał się dookoła.

- Sama. Każdy ma swój pokój.

- Długo pani tu pracuje?

Wojtecka zastanowiła się, zagryzając usta.

- Kilka sezonów, chyba niecały rok...

- A zmarła?

- Bożenka pracowała tu drugi miesiąc, ale mówiła, że podoba jej się tu i chciałyby zostać na stałe.

- Czy zauważyła pani wieczorem jakieś nienaturalne zachowanie koleżanki, jakieś oznaki... bólu, czy mówiła, że źle się czuje, może była zdenerwowana... dziwnie się zachowywała?

- Nie - Wojtecka zaprzeczyła. - Było tak jak zawsze. Mamy tu na górze swoją jadalnię z małą kuchnią i wieczorem, po kolacji... naszej, już po pracy, zmywamy naczynia, każda swoje, potem idziemy do swoich pokoi - kobieta ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

- W jaki sposób dowiedziała się pani o wypadku kelnerki?
- Usłyszałam jakiś łoskot, taki... jakiś niesamowity...
- Wybiegła pani zaraz? - dopytywał Nadolski.
- Przez chwilę byłam jak sparaliżowana, nie wiedziałam, co się dzieje, a potem wybiegłam i...
- Co pani zobaczyła?
- Ona... ona leżała bez ruchu... Krzyczałam, bałam się podejść, nie wiedziałam co robić... tylko krzyczałam... - kobieta wytarła oczy.
- Czy na pani krzyk zjawił się ktoś?
- Zbiegli się chyba wszyscy...
- Co pani dalej zrobiła?
- Pobiegnęłam do swojego pokoju, wzięłam tabletkę na uspokojenie, lekarz mi kiedyś przepisał i jestem tu... do teraz.
- Proszę jeszcze powiedzieć, czy ktoś z gości przychodzi tu, odwiedza albo prosi o podgrzanie czegoś, zrobienie kawy, herbaty?
- O, tak, zdarza się, że czasem ktoś przyjdzie i poprosi o podgrzanie jedzenia w mikrofalówce, albo po dodatkowe kubki czy talerzyki. Nasza kuchnia jest ogólnie dostępna. Często goście sami sobie coś tu przygotowują, korzystają z kuchenki gazowej... albo proszą, żeby im coś podgrzać...
- Może pani wymienić kogoś, kto tu bywa? Jakieś nazwisko? - Nadkomisarz starał się wydobyć z niej jak najwięcej informacji.
- Nie znam z nazwiska wszystkich gości, tylko niektórych, którzy już tu przyjeżdżali.
- Proszę podać.
- No... na przykład... Kamiński, Garten... pani Sabina... czasem właściciele... lekarz, ale nie pamiętam jego nazwiska, taka młoda, chyba Agnieszka.
- A dzisiejszej nocy był ktoś? W kuchni, u pani?

- Czy w kuchni... to nie wiem. Nie zawsze słyszę kroki... Chociaż... nie... nie. A u mnie nikogo nie było - Wojtecka patrzyła na swoje ręce, nerwowo mnąc chusteczkę.

- A u koleżanki?

- Nie wiem... nie wiem... ja... ja przecież nie podsłuchuję... - kobieta jąkała się, jakby nagle spłoszona.

Nadolski z prokuratorem spojrzeli na siebie. -Nikt tego pani nie zarzuca - powiedział łagodnie nadkomisarz.

- Ona była trochę skryta - Wojtecka drżącymi rękami przyłożyła chusteczkę do oczu. - Często rozmawiała z kimś przez komórkę, ale nie wiem, czy z mężczyzną, czy z kobietą. Zawsze wychodziłam, kiedy rozmawiała przy mnie, bo widać było, że wolałaby zostać sama.

- To by było na razie wszystko. Dziękuję pani, proszę jeszcze wskazać, który pokój zajmowała Gawronik.

Nadolski spojrział przy tym na prokuratora, który skinął potwierdzająco głową i dodał, omiatając szybkim spojrzeniem pomieszczenie:

- Trzeba obejrzeć jej pokój, jadalnię, kuchnię...

- Tak... Idziemy. Fotograf będzie miał jeszcze trochę roboty - prokurator skierował się do wyjścia.

Pokój służbowy Bożeny Gawronik był identycznie urządzone jak poprzedni. Ten sam rozkład sprzętów, w oknach takie same, opuszczone do połowy, rolety, na stoliku stał talerz z jabłkami, pusty kubek, mały nożyk do obierania owoców, łyżeczka do herbaty. Odgarnięta na bok kołdra na łóżku mogła świadczyć, że dziewczyna zamierzała położyć się spać albo siedziała na brzegu, nie chcąc gnieść pościeli.

Wnętrze pokoju wyglądało tak, jak gdyby osoba go zajmująca, opuściła go na chwilę i wkrótce miała wrócić; to było nad wyraz przejmujące, nawet dla osób przyzwyczajonych do równie dramatycznych wydarzeń.

Prokurator pokazał fotografowi na umyty kubek.

- Zrób parę ujęć. To ciekawe, umyła kubek, a z popielniczki nie wyrzuciła ogryzków jabłek.

- Nie zdążyła. - Nadolski zajrzał do szafy. - Wszystko poukładane jak na wystawie - mruknął do siebie.

Skinął na jednego z mężczyzn.

- Zdejmij odciski palców z czego się da - wydał polecenie. - Może znajdziemy coś w bazie danych, jeżeli okaże się, że to nie był zwykły wypadek.

-Trzeba zapytać Wojanowskich, gdzie mieszkała, o jej rodzinę. Chyba wiedzą coś o swoich pracownikach -rzucił prokurator.

- Tu jest jej torebka - Nadolski ściągnął ją z półki i zajrzał do środka.

Wyrzucił zawartość na stolik, przeszukał kieszonki i wyjął dowód osobisty.

- No, to wiemy trochę więcej - powiedział. - Lat... 27, adres zamieszkania... no, no, nie było tam pracy dla kelnerki?

- Co cię tak dziwi?

- Przyjechała aż ze Śląska!

-Dobrze, że znamy adres, trzeba powiadomić rodzinę. Teraz idziemy do kuchni i jadalni, a ten pokój trzeba zaplombować - zdecydował prokurator.

Fotograf zakończył pracę, technik dochodzeniowy założył plomby na drzwi i wszyscy ruszyli do pomieszczeń kuchennych. W trakcie dokonywanych tam oględzin, rozległ się charakterystyczny dźwięk stawiania czegoś na posadzce i głośne rozmowy.

- Nareszcie przyjechali - stwierdził z ulgą nadkomisarz Nadolski.

- Skończone? - zapytał prokurator, patrząc na fotografa.

- Dokładnie.

- Odciski palców?

- Załatwione - odezwał się technik.

- To idziemy.

- Słuchaj - Nadolski złapał za łokieć prokuratora. - Trzeba by popytać jeszcze tego od napraw... „złotą rączkę”.

- Słyszałeś, nie ma go. Przecież nie będziemy czekać, aż się zjawi.

- Raczej nie, ale zapukać do drzwi można.

- Można. Tylko do których? Trzeba zapytać Wojtecką. Kobieta wskazała drzwi, graniczące z pokojem

Gawronik.

- To te.

- Dziękuję - Nadolski skłonił głowę. Na pukanie nie było żadnej reakcji.

- Nie ma go - stwierdził nadkomisarz. - Idziemy na dół.

- Sądzę, że Wojtecka nam wszystkiego nie powiedziała. Widziałeś jej minę, kiedy mówiła, że nie podsłuchuje? - prychnął prokurator.

- Uhm. Chyba wie więcej, niż chce powiedzieć. Czeka nas ciężka robota, a ludzie domagają się urlopów i to zaległych - westchnął Nadolski.

- Coś mi mówi, że... chociaż, może to zbyt dalekie skojarzenie... - zwątpił w swoje przypuszczenia prokurator.

- Ja też o tym pomyślałem, ale jakoś nie pasuje mi ta kelnerka do tej sprawy - powątpiewał Nadolski.

- Tak czy owak, trzeba pociągnąć wszystkie wątki, nawet te najbardziej nieprawdopodobne.

Schodząc po schodach, zobaczyli niecodzienną sytuację. Młoda kobieta klęczała przy zwłokach, jej plecy wstrząsał niepohamowany płacz. Pracownicy zakładu pogrzebowego starali się delikatnie ją odciągnąć, ale stawiała opór, w końcu jeden z nich chwycił ją pod ramiona i podniósł z podłogi.

- Co się tu dzieje?! Kim pani jest? - zapytał ostro Nadolski.

- Jestem jej siostrą! - Sabina wytarła chusteczką oczy.

- Proszę nie przeszkadzać - powiedział łagodnie Nadolski. - Pani jest gościem, czy tu pracuje?

- Jestem tu na wczasach.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Sabina skinęła głową.

- Dobrze, może u mnie w pokoju? - zapytała cicho.

- Tak będzie najlepiej. Który to?

- Ten.

Sabina podeszła do drzwi, otworzyła je, po czym z całą ekipą dochodzeniową weszła do środka.

Po opuszczeniu Sali Kominkowej, Beata zmieniła zamiar udania się do pokoju i wyszła z pensjonatu, aby zaczerpnąć świeżego, leśnego powietrza i przynajmniej przez chwilę zapomnieć o niesamowitych, nocnych wydarzeniach.

Na zewnątrz fala chłodnego, nocnego powietrza, szybko wpełzła na policzki, za to przywróciła bystrość spojrzenia na dramatyczną śmierć kelnerki, głupią, nagłą, dziwną.

Beata podświadomie próbowała wstrzymać tok myśli, łączących brak filiżanki z wypadkiem i chociaż połączenie obu wydarzeń było wielką abstrakcją, to właśnie jego nierealność niosła ze sobą grozę i uczucie obawy przed czymś nieuchwytnym, niezrozumiałym.

Przystanęła przy schodach, niezdecydowana na spacer w czerń alejki, ale widok stojących przed pensjonatem policyjnych samochodów też nie zachęcał do trwania w miejscu, chociaż wewnątrz nikogo nie było.

Beata poszła wzdłuż frontowej ściany budynku, za rogiem przystanęła, opierając się plecami o drewniane belki. Przez chwilę wpatrywała się w czerń lasu, niebo usiane gwiazdami, powędrowała spojrzeniem na niknącą w ciemnościach żwirową ścieżkę, po czym w myślach wróciła do tajemniczego zniknięcia porcelanowej filiżanki.

Kolekcja porcelany z czerwonymi makami była na tyle cenna, że właściciele pensjonatu trzymali ją pod kluczem, a jednak ktoś otworzył witrynę, zabrał filiżankę i... co dalej? Gdyby to obsługa odkurzała wewnątrz stylowe meble, mogłaby napatrzeć się do woli na porcelanę, wziąć ją do ręki, obejrzyć z każdej strony, ale zabierać jeden element? Bez spodeczka? Na pewno kelnerki miały swój kluczyk do witryny, a Wojanowscy drugi.

A jeśli istniał jeszcze jeden kluczyk?

Czy słowa Sabiny o czerwonych makach znalazły potwierdzenie?

Uff! To jakiś absurd! Przypadek! Totalne nieporozumienie!

Kelnerka nie żyje, bo spadła ze schodów i rąbnęła się w głowę!

Kolekcja porcelany to tylko szkło i nic więcej, owszem, ma wartość, ale nie oszałamia jej wysokością.

Powiało zimnem. Wzdrygnęła się. Bez ciepłego swetra bajeczna sceneria lasu wcale nie rozgrzewała. Trzeba wracać do pokoju.

Nagle usłyszała warkot jakiegoś samochodu. Wychyliła głowę zza rogu i zaraz cofnęła. Widok pojazdu zakładu pogrzebowego przejął ją przykrością i współczuciem dla Sabiny. Beata postanowiła przeczekać czynności zabrania siostry swojej współlokatorki. Dokuczliwy chłód nocy coraz bardziej dawał się jej we znaki, przenikał przez ubranie, wywołując drżenie ciała, ale świadomość rutynowej akcji, która właśnie się dzieje, skutecznie powstrzymywała ją od powrotu do pokoju.

Długo nie musiała długo czekać, żeby usłyszeć charakterystyczny zgrzyt wsuwania czegoś do samochodu, potem warkot silnika z każdą chwilą coraz bardziej niknący w oddali. Zdecydowanym krokiem, nie patrząc na policyjne auta, wbiegła po schodach do pensjonatu, minęła Salę Kominkową, w której, sądząc po głosach,

przebywało jeszcze wiele osób, i weszła na pierwszy stopień schodów.

Zatrzymała się pełna obaw.

-Ciekawe, czy ta plama krwi została usunięta? -pomyślała z niepokojem.

Krok po kroku pokonywała stopnie schodów, kiedy znalazła się już w korytarzu, czas przebycia drogi do ostatniego pokoju na jego końcu wydawał się być wiecznością. Idąc, starała się nie patrzeć na schody, prowadzące na poddasze.

A jednak nie wytrzymała napięcia i spojrzała na miejsce upadku kelnerki.

Plama krwi zniknęła! Co za ulga! Nieważne kto to zmył, dobrze, że już jej nie ma! Pozostał tylko niedokładnie zmyty ślad kredy, obrysowującej znalezione ciało.

Nacisnęła klamkę drzwi i weszła do korytarzyka. Z pokoju Sabiny dochodziły męskie głosy, potem kroki blisko drzwi i po chwili zaczęli wychodzić pojedynczo mężczyźni, jedni w mundurach policyjnych, pozostali w cywilnych ubraniach.

Beata już wchodziła do swojego pokoju, kiedy usłyszała:

- Proszę poczekać. Pani tu mieszka? -Tak.

- Proszę o nazwisko.

- Beata Zabielska.

-Prowadzimy czynności śledcze, chcemy z panią chwilę porozmawiać. Jestem nadkomisarz Nadolski, a to jest prokurator - mężczyzna mówił zdecydowanym głosem, nie pozostawiając wątpliwości, iż Beata zdoła wykręcić się od rozmowy.

Beata otworzyła szeroko drzwi i powiedziała:

- Proszę, jeżeli będę mogła w czymś pomóc... - zawiesiła głos.

Do pokoju wszedł prokurator i Nadolski, zostawiając otwarte drzwi. Pozostali zatrzymali się na korytarzyku.

- Proszę usiąść. - Beata pokazała na foteliki wokół stolika, sama usiadła na hotelowym tapczaniku.

- Czy była pani tu, w pokoju, kiedy zdarzył się ten wypadek? - prokurator patrzył Beacie prosto w oczy.

- Tak, właśnie miałam zamiar położyć się spać.

- Pamięta pani, która mogła być wtedy godzina?

- Nie patrzyłam na zegarek, ale to było gdzieś... koło północy.

- Jak się pani dowiedziała, że coś się stało? - dociekał prokurator, robiąc notatkę.

- Najpierw słychać było jakby coś ciężkiego spadło na schody, podłogę, blisko moich drzwi, a potem okropny krzyk.

- Co pani zrobiła?

- Wybiegłam na korytarz razem z moją współlokatorką, Sabiną. Było tam już kilka osób.

- Znała pani zmarłą?

- Tylko z widzenia, z restauracji.

- A pani współlokatorka? - padło nieoczekiwanie.

- Dopiero teraz... dowiedziałam się, że to jej siostra.

- Od kogo?

- Od niej.

- A czy zdarzyło się coś, co panią zaniepokoiło, zdziwiło, w ciągu dnia lub krótko przed zdarzeniem? Beata pokręciła głową.

- Nie, jestem tu na wczasach dopiero drugi dzień i cokolwiek by się wydarzyło dziwnego, pewnie bym uznała, że tak tu jest - odpowiedziała, lekko wzruszając ramionami.

- Pewnie tak - uśmiechnął się prokurator, zamykając notatnik.

Nadkomisarz Nadolski wstał i zwrócił się do niego:

- Musimy jeszcze porozmawiać z właścicielami, a pani na pewno chciałaby odpocząć. Niedługo zrobi się jasno za oknami.

- Taak - przeciągnął znużonym głosem Marciniak. -Dziękuję, a gdyby pani coś sobie przypomniała, to będziemy tu jeszcze przez jakiś czas.

- Dobrze, ale nie wydaje mi się, żebym mogła jeszcze cokolwiek dopowiedzieć.

- Czasem drobnostka, która wydaje się jakaś naturalna, nieważna, może okazać się bardzo pomocna dla wyjaśnienia wielu rzeczy.

- Ale to był tylko wypadek...

Z twarzy prokuratora trudno było odczytać, czy podziela pogląd Beaty. Wstał, włożył notatnik pod pachę i życzył spokojnej nocy.

- Dobranoc - odpowiedziała.

Kiedy wyszli, Beata opadła na łóżko. Po chwili wstała, rozebrała się, włożyła piżamę i wsunęła się pod kołdrę. O zdrzemnięciu się, chociaż na chwilę, mogła tylko pomarzyć. Sen nie nadchodził, choćby zdobyła się na policzenie tysiąca przysłowiowych baranów, więc przewracała się z boku na bok, czekając nadejścia brzasku dnia.

Nad ranem, znużona nieprzespaną nocą, ziewając, podreptała do łazienki. Kiedy wyszła, odprężona po chłodnym prysznicu, który był ustalonym rytuałem po przebalowaniu każdej nocy w różnej maści klubach, przystanęła przy drzwiach pokoju Sabiny.

Trwała tam cisza.

- Może dopiero teraz zasnęła? Po takich przeżyciach? - przemknęło jej przez myśl.

Nie chcąc jej obudzić, starała się jak najdelikatniej zamknąć za sobą drzwi swojego pokoju. Nadchodziła pora śniadaniowa i marzyła o szklance gorącej herbaty, a potem o czarnej, mocnej kawie. Wcisnęła się w wąskie dżinsy, włożyła turkusową tunikę, baleriny, natarła twarz kremem i wyszczotkowała włosy. O makijażu, nawet bardzo delikatnym, nie było mowy. Nie miała na to zupełnie chęci, zresztą nie jest tu dla podobania się komukolwiek. Drobne

kroki za drzwiami zwróciły jej uwagę. Po chwili usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę! Otwarte! - zawołała.

Do pokoju wsunęła głowę Sabina. Wyglądała smutno i przygnębiająco; blada na twarzy, z podkrążonymi oczami, zapuchniętymi od płaczu, bez makijażu, który mógłby ukryć dramat, jaki z pewnością jeszcze przeżywała.

- O! Myślałam, że jeszcze śpisz i chodziłam prawie na palcach. Wejdz. Idziemy na śniadanie? - Beata była zaskoczona jej pojawieniem się.

- Poproszę, żeby ktoś przyniósł mi coś do pokoju. - Sabina weszła do środka, ubrana w krótkie szorty i bawełnianą, białą koszulkę. - Nie mam siły i nastroju siedzieć wśród ludzi. Przyszłam do ciebie, bo... słyszałam, że oni... rozmawiali z tobą wczoraj, ale nie byłam w stanie przywlec się do ciebie, kiedy sobie poszli. - Szybkim ruchem przeczesła palcami jasne, krótkie włosy.

- To normalne, że pytają. - Beata uznała to za rzecz naturalną. - W końcu jesteśmy świadkami tego... zdarzenia... Przez to, co się stało, jestem taka niewyspana, rozbita - wyliczała, ziewając - i nawet nie chcę o tym myśleć, ale to samo pcha się przed oczy. Nie byłam w stanie zasnąć nawet na pięć minut. Tylko mocna kawa wymusi na mnie racjonalne myślenie, bo teraz trudno mi się na czymkolwiek skupić, a ty nie odcinaj się tak od świata, życie i tak potoczy się dalej.

Sabina usiadła przy stoliku i patrzyła na nią ze spokojem graniczącym z obojętnością, ale to było tylko złudzenie, bo w oczach tliły się złe isierki.

- Nie patrz tak na mnie, tylko wstań i idziemy coś zjeść, nie będziemy się głodzić - zdecydowała Beata. - Przepraszam cię, ale jest już kolejny dzień i trzeba go jakoś przeżyć - dodała łagodnie.

Niespodziewanie Sabina wybuchła gniewem:

- To on! Wiem, kto ją zabił! - zacisnęła pięści i zmrużyła ze złości oczy.

- Zabił?! - Beata z wrażenia usiadła na łóżku. - Sabina! Co ty wygadujesz? Jesteś w szoku i nie możesz pogodzić się z jej śmiercią, dlatego tak to widzisz! - Była zdumiona jej werdyktem.

-Wiem, co mówię! - ta wyrzuciła z siebie z zaciętym wyrazem twarzy. - To ten bydlak! Nienawidzę go, ale dość tego! Muszę coś zrobić, na pewno coś wymyślę, żeby zgnił w więzieniu! Omotał ją słówkami, prezentami, żeby... - umilkła, jakby bała się, że za dużo powie.

-Nic nie wskazuje na inną przyczynę śmierci niż upadek, zbyt pochopnie oczerniasz jakiegoś człowieka.

- Zepchnął ją! - krzyknęła Sabina.

- Więc on jest tutaj?

- Oczywiście, że jest! A ona dała się poderwać, podejść, jak pierwsza lepsza! Łatwowierna naiwniaczka!

-Kto to jest?

- Kto?! Kamiński! Facet, który zabił moją siostrę!

- Nie wiem, który to jest, ale bezpodstawnie oskarżasz człowieka, bez jakichkolwiek dowodów! - powiedziała ostro Beata.

- To łobuz! Zimny przystojniaczek bez skrupułów!

- Ale jaki miałby powód, żeby to zrobić?!

Sabina długo nie odpowiadała, w końcu powiedziała z niechęcią:

- Nieważne. Ale ostrzegam cię przed nim!

- Jestem ciekawa, który to jest... Wśród facetów jest paru przystojniaczków, ale żadnego nie znam z nazwiska, bo Gartena do zbyt przystojnych bym nie zaliczyła.

- Poznałaś ich? - zaciekawiała się Sabina.

-Sami mnie wyłowili w Sali Kominkowej. Aha, poznałam przy okazji dziewczynę ich syna, Agnieszkę. A ty skąd ich znasz? Też stąd?

- Nie tylko - padło krótkie.

- Więc jak wygląda ten Kamiński? I dlaczego jest taki groźny? To niebezpieczny, wczasowy podrywacz?

- To ten szpakowaty, zimny jak góra lodowa. Od razu rzuca się w oczy, ma w sobie coś takiego... przyciągającego, ale nie jest w moim typie. - Sabina skrzywiła usta. - Siedzi przy stoliku z jakąś młodą kobietą i mężczyzną.

Beata nagle uświadomiła sobie, że, będąc na plaży, rozpoznała mężczyznę idącego z jakąś dziewczyną i z pewnością był to Kamiński, teraz nie miała co do tego żadnych wątpliwości, a dziewczyną mogła być siostra Sabiny; tylko czy poszłaby na spacer w godzinach pracy?

A jeśli miała wolny dzień?

Zaraz, zaraz... wieczorem pracowała, ale mogła mieć popołudniową zmianę, więc wolny, niczym nieograniczony czas, wyłącznie dla siebie.

Patrzyła na Sabinę, zastanawiając się, czy podzielić się z nią swoimi spostrzeżeniami. Nie, nie w tej chwili. Ta młoda kobieta to kłębek nieszczęścia, żalu, wyrzutów sumienia z powodu zatargów z nieżyjącą już siostrą, a przede wszystkim głębokiej, nie udawanej rozpaczki po jej stracie.

Zdobyła się tylko na pytanie:

- Powiadomiłaś rodziców? - spytała łagodnie. Sabina twierdząco pokiwała głową. Oparła łokcie

o blat stolika i dłońmi podparła brodę, patrząc gdzieś w przestrzeń, jakby obok niej nikogo nie było.

- Sabina, zakończmy już ten smutny temat. Wiem, że to nie jest takie proste, ale precz z emocjami, spójrz za okno, jaki słoneczny dzień, jeżeli zechcesz, możemy spędzić go razem.

Beata wstała i złapała ją przegub dłoni.

-Wstań! Idziemy na śniadanie, pewnie o tej porze wszystkich wymiotło już z sali - powiedziała kategorycznie.

- Zjem w pokoju - padło zdecydowane.

Dalsza rozmowa z Sabiną nie miała sensu. Wydawało się, że wpadła w spirale własnych przekonań i nic nie zdoła jej wyrwać z tego zagmatwanego kręgu tajemniczości i niedopowiedzeń.

-Wiem, że bredzę - oświadczyła nieoczekiwanie, podnosząc głowę znad splotu dłoni - ale to chyba normalne w takich okolicznościach?

Wyraźnie starała się zatrzeć cały ciąg słów wypowiedzianych nieopatrnie, pod wpływem ogromnych emocji, próbowała nawet uśmiechnąć się i nadać palcami dłoni lepszą formę fryzury, nieco zaniedbanej.

- Oczywiście. Wiesz... - Beata zawahała się, nie była pewna, czy powinna o tym teraz opowiedzieć, ale zdecydowanie dokończyła - byłam wczoraj w Sali Kominkowej i wyobraź sobie, że z witryny zniknęła filiżanka. Ktoś ją stamtąd zabrał, ale po co? To dziwne, bo talerzyk został...

Sabina wyglądała jak oniemiała, patrzyła na nią, jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu.

- Jesteś pewna? - prawie wyjąkała.

- Mam dobry wzrok.

-A więc... zaczęło się... - to był ledwo zrozumiały szept.

- Nie rozumiem.

- Muszę iść! - Sabina poderwała się.

- Co tu się dzieje?! To chyba Straszny Dwór, a nie Czerwone Maki! - Beata była zdezorientowana.

Sabina zniknęła za drzwiami. Po chwili rozległ się trzask drzwi do jej pokoju.

Beatę zaintrygowała jej reakcja i cała otoczka tajemniczości wokół porcelany, która rozwijała się z godziny na godzinę. Czuła podświadomie, że w pensjonacie dzieje się coś niezwykłego, tajemniczego, a ona zupełnie przypadkowo znalazła się w samym centrum wydarzeń, co na tyle pobudziło jej wyobraźnię, że postanowiła poszperać w biblioteczce w Sali Kominkowej i jeżeli nie przynio-

słoby to jakiegokolwiek wyjaśnienia, poprosić właścicieli o kronikę dziejów pensjonatu. O ile taka istnieje.

Podeksytowana wyszła z pokoju, zbiegła po schodach i weszła do prawie pustej restauracji.

Na pytanie kelnerki o zestaw śniadaniowy, odpowiedziała, że zdaje się na nią, po czym zlustrowała wzrokiem salę. Z niewielkiej grupy osób siedzących pod ścianą, przy stolikach, z nazwiska nie znała nikogo, a przyłapana na spojrzeniu uśmiechnęła się i skinęła głową. Ciekawe, czy to towarzystwo jest równie zwariowane na punkcie porcelany jak Sabina? Do tej pory tylko Gartenowie wypytywali ją o tę kolekcję. Oprócz Agnieszki, którą wyraźnie nudził ten temat.

-Proszę i smacznego - kelnerka postawiła przed Beatą talerz z gorącą, pachnącą jajecznicą, bułeczki i kubek z herbatą.

- Dziękuję. Poproszę jeszcze o mocną kawę, ale mam prośbę: czy mogłaby pani przynieść mi ją do Sali Kominkowej? - porosiła Beata.

-Oczywiście. Kiedy będzie pani wychodzić proszę mi powiedzieć i przyniosę ją pani.

- Bardzo dziękuję.

Pomimo niewyspania i ogromnej skali doznanych w tak krótkim czasie przeżyć, śniadanie smakowało jak nigdy dotąd, a myśl o aromatycznej kawie była najprzyjemniejszym doznaniem, odkąd przyjechała do pensjonatu.

Szkoda, że nie zastała Kamińskiego, przyjrzałaby mu się dyskretnie, szukając na jego twarzy oznak... no, czego?

Sabina albo ma bujną wyobraźnię, albo po prostu z jakichś powodów wręcz nienawidzi go. Zawiedziona miłość? Bez wzajemności? Wybrał jej siostrę, a może to ona liczyła na jakiś związek, romans, flirt na wczasach?

Beata dopiła herbatę, wstała i podeszła do krzątającej się na sali kelnerki.

- Śniadanie było super, dziękuję. Czy mogę liczyć na kawę? - wdzięcznie się uśmiechnęła.

- Nie zapomniałam, proszę iść, zaraz przyniosę. W Sali Kominkowej było pusto.

Beata podeszła do regału z księgozbiorem i, przechylając na bok głowę, odczytywała po kolei tytuły na grzbietach książek i nazwiska autorów. Trochę klasyki, książek podróżniczych, leksykonów przyrodniczych, kryminałów, biografii, ale żadnych kronik dziejów zabytkowych budowli.

Wybrała „Kwiaty polne i leśne” i z przyjemnością zagłębiła się w miękki fotel przy regale z księgozbiorem. Wertując kartki leksykonu, była zaskoczona niezwykłą ilością gatunków roślin, ich wyglądem, dziwnie brzmiącymi nazwami; klinopodium pospolite, pszeniec różowy. Na pewno nie raz widziała je na leśnej murawie, łące, bo dobrze znany powój zawsze cieszył jej oczy pięknym wyglądem.

Odłożyła leksykon na półkę i przykucnęła, przypatrując się książkom na najniższej półce. Niestety nie zauważyła żadnych kronik, biografii zamożnych rodów, gdy nagle uwagę jej przykuła rozmowa dwóch osób, a właściwie kłótnia, co rusz wzajemnie przyciszana wściekłym, a jednak donośnym głosem.

Głos kobiety rozpoznała. To była Sabina. A ten drugi, mężczyzny? Właśnie weszli do środka, nie przestając się kłócić.

Beata błyskawicznie podjęła decyzję - nie ujawni się. Za bardzo wciągnęły ją tu dziwne wydarzenia, niedopowiedzenia, żeby miała teraz odpuścić! W końcu należy się jej jakieś wytłumaczenie, choćby szczątkowe, tego, co tu się dzieje!

Usiadła na podłodze za fotelem i ostrożnie wychyliła głowę. O cholera!

Przy oknie stała Sabina i... Janusz! Patrzyli na siebie wrogo, po czym mężczyzna chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

-Jeszcze dziś, a najpóźniej jutro rano, wyjedziesz stąd, idiotko! Właścicielom nie musisz się tłumaczyć, skąd ten nagły wyjazd! Zrozumieją, przecież nie żyje twoja siostra! - ciskał podniesionym głosem.

- Nie wyjadę! Nie zmusisz mnie do tego! To ty mnie w to wplątałeś, a Bożena zapłaciła życiem za tą znajomość z mecenasikiem! - zawarczała Sabina.

- On nie ma z tym nic wspólnego! To tylko nieszczęśliwy wypadek! Rozmawiałem z nim!

- Ha, ha! Rozmawiałem! Masz mnie za głupią?! On nie lubi się z nikim dzielić i pozbył się już jednej osoby! To ty jesteś idiotą! Albo... jak to w twoim zwyczaju, kłamiesz od a do zet! Puszczaj! - Sabina wyrwała się z jego rąk.

- Nie będę z tobą dłużej dyskutował. Albo wyjedziesz dobrowolnie, albo...

- Albo?! - rzuciła zaczepnie Sabina.

- Albo cię stąd wywiozę!

- Grozisz mi?

- Myśl sobie, co chcesz. Dalej ja będę działał, ale bez ciebie! To zamieszanie nikomu nie wyjdzie na zdrowie, a ty za bardzo myszkujesz po kątach. Gdybym cię wtedy nie spotkał i nie upił się, to... teraz miałbym spokojną głowę, że się uda. Bo musi się udać! Po wszystkim dostaniesz swoją kasę, masz moje słowo, ale wyjedź!

-Za bardzo się zaangażowałam w tę historię, żeby teraz odpuścić! Chociaż chwilami tego żałuję! I żałuję tak samo jak ty, że cię wtedy spotkałam! A co do tej... musiałeś tu przyjechać z tą... dziwką? Wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, jaka z niej łatwa zdobycz!

- Nie obrażaj jej. To czysty przypadek, że jest tutaj. Nie jesteśmy już razem, a ona nic nie wie o tym miejscu.

-No proszę, za chwilę będzie następny kwiatek -Sabina syknęła złośliwie.

- Boję się o ciebie... Jeżeli nie chcesz wyjechać, to chociaż bądź... ostrożna.

- Gdybyś był nadal moim mężem, może bym uwierzyła w tę troskę o mnie, ale nie teraz!

Mężem! Beata miała ochotę zagwizdać. Sabina nawet okiem nie mrugnęła, kiedy na wieczorku zapoznawczym zwróciła na niego uwagę. Pocieszała ją po śmierci siostry, a ona nawet nie wyjawiała, że lekarzem jest jej były mąż! Czego jeszcze może się po niej spodziewać? Podśluchiwanie tej wymiany zdań było coraz bardziej interesujące. Owszem, to nie w porządku, ale została do tego przecież niejako zmuszona! A podsłuchuje pierwszy raz w życiu!

- Sabina - mówił dalej Janusz. - Wiem, jakim jestem facetem, ale zmieniłem się. Często myślę o... naszym powrocie do siebie... Spróbujmy... jeżeli nie teraz, to za jakiś czas...

- Kolejna bajka, kajanie się... nie, nie, nasze małżeństwo była pomyłką. I dla ciebie, i dla mnie. Ale nie odbiegajmy od tematu. Ustaliliście już, gdzie tego szukać?

- Na pewno tutaj. Jeszcze tego dokładnie nie wiemy, czy znajduje się w samym pensjonacie, ale na pewno na tym terenie, w tej miejscowości. Filiżanka to potwierdziła. Najgorsze jest to, że Wojanowska wieczorem zauważyła jej brak i słyszałem, jak wypytywała o nią drugą kelnerkę, ale ta przysięgała, że nic nie wie, ale będzie jej szukać. Reszta naszych wspólników jest zaniepokojona, że Wojanowska to odkryła, ale w jaki sposób można było ją trzymać z daleka od sali? To właścicielka! Najwięcej zamieszania robił ten cholerny Garten ze swoją żonką, słodką zmiłą!

- Dobrze, że filiżanka stoi już na swoim miejscu. A wiesz, że o jej zniknięciu powiedziała mi o moja współlokatorka? Tak to mną wstrząsnęło, że... palnęłam coś głupio i muszę to teraz jakoś odkręcić - w głosie Sabiny pojawiła się nutka zmartwienia.

- No, ładnie. Jesteś aktorką i zagraj przed nią jakąś scenę zamroczenia, zaplątania po śmierci Bożeny - Janusz podsunął jej pomysł. - Chociaż, nie podoba mi się twoja zażyłość z tą dziewczyną.

- Mówisz o Beacie?

- Nie wiem jak ma na imię, ale wygląda na sprytną osóbkę - rozmowa wyraźnie przybrała spokojniejszy ton.

- Szpiegujesz mnie? - głos Sabiny znowu przybrał nieprzyjemną barwę.

- Nie muszę, widzę to.

- Ona nic nie wie. Robi zdziwione miny, nawet nie zna z nazwiska wczasowiczów. Kiedy przyjechała... -Sabina zrobiła krótką przerwę, jakby namyślała się, co ma dalej powiedzieć - byłam przekonana, że coś wie...

- O fabryce i właścicielach?! - Janusz zaniepokoił się.

- Eee... to typowa wczasowiczka, interesuje ją tylko opalanie i... - Sabina prychnęła - tego się po niej nie spodziewałam! Zamierza szukać w bibliotekach jakichś materiałów na studia, a nie wygląda na taką pilną uczennicę!

- Nie podoba mi się to. Trzeba na nią uważać. Nie chciałbym, żeby coś się jej przytrafiło.

- Oszalałeś?!

Beata zamarła z wrażenia. Sprawy zaczęły przybierać niebezpieczny obrót! To naprawdę jest pensjonat z dreszczykiem! Z tego, co zrozumiała, w szukanie czegoś, czyli... czegoś bardzo cennego, zamieszanych jest kilka osób, wzajemnie się wspierających!

Siedzenie na podłodze stało się nad wyraz niewygodne, ale bała się poruszyć, żeby nie odkryli jej kryjówki. Jednak najbardziej prawdopodobne było to, że za chwilę ktoś wejdzie i zechce podejść do regału z książkami, wówczas Sabina i Janusz mogą udać przypadkowych rozmówców, ale ona znajdzie się w niewesołym położeniu! A kawa?! Oby kelnerka o niej zapomniała!

Na szczęście, sądząc po tempie wymiany zdań, ich rozmowa dobiegała końca.

- Więc zostajesz? - zapytał Janusz.

-Raczej tak... - zawahała się Sabina. - Chcę być blisko, kiedy się zacznie, nie dam się wykiwać. To na pewno spora kasa.

- Trochę nas za dużo... do podziału. Nie mam zaufania do tych cholernych Gartenów! Są sposoby...

- Co masz na myśli?! Udam, że tego nie słyszałam! Uważaj! Bożena nie żyje, a ja nie mam zaufania do tej całej bandy! Szczególnie do tego potomka z nieprawego łóża. Jestem ciekawa, czy Wojanowska o tym wie.

-Ona mnie też zaciekawia... Udaje naiwną, czy to zwykła cwaniara? Widziałem ją na spacerze w lesie, ona dużo wie.

- Nie wiem, ale ja już wychodzę, ktoś chyba tu idzie. Wyjdź za mną. A... co do filiżanki... to... kto i kiedy zdobył klucz do witryny?

- Nasz człowiek... Nieważne, nie musisz wszystkiego wiedzieć. Wyjdźmy już stąd, nikt nie wie, że byliśmy małżeństwem, a plotek o wczasowych romansach nie potrzebujemy.

Po chwili drobne kroki za drzwiami ucichły, a po długim, nerwowym oczekiwaniu, cięższe, męskie, powoli, krok za krokiem, coraz bardziej oddalały się od kryjówki dziewczyny.

-Uff! - Beata wzięła głęboki oddech i ze świstem wypuściła z ust powietrze.

Gartenowie! Kupcy! Szajka, która nie bez powodu wybrała pensjonat na miejsce rzekomego wypoczynku.

Stęknęła, wstając z podłogi; siedzenie z przylepioną twarzą do oparcia fotela i ostrożne wychylanie głowy trwało na tyle długo, że czuła każdą kosteczkę, bolał ją każdy mięsień, w końcu nie była sportsmenką jak Agnieszka.

Zanim wyszła z sali, przystanąła przy czarnych, stylowych meblach i przebiegła wzrokiem po witrynie, za którą w dwóch rzędach stała kolekcja porcelany. Oniemiała z wrażenia!

Filizanka stała na spodeczku!

Od nocy minęło niewiele godzin, kto mógłby wstawić ją tak niepostrzeżenie? I po co w ogóle ją zabierał z witryny? Czego szukał?

Usłyszała kobiecy głos.

-Kawa dla pani. Przepraszam, że tak późno, ale kucharka zatrzymała mnie na chwilę - kelnerka trzymała tacę z kubkiem parującego, aromatycznego napoju.

- Dziękuję pani, wezmę ją do pokoju, a kubek przyniosę sama do kuchni - Beata zabrała z tacy kawę szczęśliwa, że kobieta nie przyniosła jej wcześniej.

Podeksytowana podsłuchaną rozmową, pospiesznie wyszła do holu, w którym snuli się wczasowicze, jedni wychodzili ze sportowymi akcesoriami do gier na powietrzu, inni skupili się wokół recepcji, wypytując o coś kobietę siedzącą za kontuarem.

Beata szła po schodach na piętro, pełna obaw, aby w razie spotkania z Sabiną nie zdradzić się swoją być może niezbyt „normalną” mimiką twarzy. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, kiedy weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Od tej chwili nie tylko straciła zaufanie do Sabiny, ale zaczęła wątpić nawet w szczerść jej rozpaczy po śmierci siostry, chociaż... ta, mimo wszystko, na pewno nie była udawana.

Na kawę straciła ochotę. Postawiła filizankę na stoliku, usiadła na brzegu łóżka i długo trwała w bezruchu, czekając, aż ustanie zwariowany rytm serca, rozpętany po wysłuchaniu niesamowitego dialogu w Sali Kominkowej. Nie bała się, ale sąsiedztwo kogoś, kto zamieszany jest w ciemne interesy, może być niebezpieczne., a nawet stanowić śmiertelne zagrożenie. Janusz zajmował pokój numer sześć, Gartenowie również mieszkali w pobliżu, tyle zdążyła zauważyć podczas krótkiego pobytu.

Jednak ciekawość pchała ją do wejścia w mrowisko, pełne kąśliwych owadów. Może poprosi któregoś z wła-

ścicieli o kronikę lub zapiski z dziejów starej rezydencji, tłumacząc to pisaniem pracy na zlecenie do jakiegoś czasopisma, i w ustronnym miejscu na plaży, zapozna się z tajemnicą pensjonatu. Niemożliwe, żeby taki zabytek nie miał opisaną historię swojego istnienia i być może to, czego szuka, leży gdzieś na półkach w archiwum miasteczka.

Jednak najpierw wizyta w administracji pensjonatu!

Beata zerwała się, wrzuciła do plażowej torby wielki ręcznik, którego używała zamiast koca na plażę, krem do opalania, butelkę wody i, biorąc głęboki oddech, wyszła z pokoju.

Sabiny nie spotkała.

Zamknęła drzwi na klucz, zbiegła po schodach, zdecydowanym krokiem ruszyła do biura i zapukała do drzwi.

- Proszę pani! - usłyszała.

Beata spojrzała w kierunku dochodzącego ją głosu. Recepcjonistka wychylona znad kontuaru próbowała coś jej powiedzieć.

Kiedy Beata podeszła do niej, powiedziała:

- Tam nie ma nikogo.

- A gdzie mogę zastać pana Wojanowskiego? Mam do niego pewną sprawę... chciałam o coś zapytać.

- Ale... tu nie ma takiego - na twarzy kobiety malowało się zdziwienie.

Beata zaniemówiła.

- Nie ma?! Pytam o męża pani Wojanowskiej - wydusiła z siebie.

- Jej mąż nie żyje od... chyba od dwóch lat.

- Nie rozumiem... przecież...

- Aaa... to jest powiedzmy... przyjaciel - recepcjonistka powiedziała to z wyraźną niechęcią.

- Więc nie Wojanowski. To jak mam się do niego zwracać? - wypytywała Beata, tknięta jakimś niewytłumaczalnym przecuciem.

- To Heckmann, ale ja tu pracuję i nie chciałabym... - kobieta zawiesiła głos.

- Rozumiem i dziękuję za informację. To gdzie mogę go spotkać?

- Przed godziną wyjechał, nie mówił gdzie jedzie, ale jest pani Wojanowska. Zaraz podzwonię i znajdę ją, chyba jest w kuchni.

- Nie, dziękuję, to poczeka, nie spieszy mi się.

Beata wiedzona ciekawością jeszcze raz zajrzała do Sali Kominkowej, jakby spodziewała się nieoczekiwanego zwrotu sytuacji i ponownego zniknięcia filizanki. Nic takiego się nie wydarzyło.

- Piękna kolekcja, prawda?

Na dźwięk niespodziewanego głosu drgnęła i odwróciła głowę. Tego się nie spodziewała! Był tu, czy tak cicho wszedł?! Kim jest? Wczasowiczem czy... mordercą?! Patrzyła zaskoczona na mężczyznę z miną, jakby zobaczyła ducha. Dopiero po chwili poczuła jak opuszczają ją emocje związane z jego nieoczekiwanym pojawieniem się za jej plecami.

Przystojniak z zimnym spojrzeniem stał przed nią i patrzył jej w oczy, lekko się przy tym uśmiechając.

- O, tak. Szczególnie te maki przyciągają wzrok, są takie naturalne, jak żywe. Oglądam je po raz któryś i na pewno nie po raz ostatni - Beata również zdobyła się na uśmiech.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Andrzej Kamiński.

- Beata Zabielska.

- Beata... Jest pani pierwszą dziewczyną o takim imieniu, którą właśnie poznałem.

- Ja znam wielu Andrzejów.

-Trudno - Kamiński udał zmartwionego. - Znam dobrze te okolice, jeżeli miałaby pani chęć przyłączenia się do naszej małej grupki, to zapraszam - zaproponował i patrzył wyczekująco na odpowiedź.

-Dziękuję, być może któregoś dnia... - Beata była zaskoczona propozycją, ale uznała, że taka niedopowiedziana obietnica spełnia wymaganą formę grzeczności.

- To życzę przyjemnego dnia. - Kamiński skłonił głowę i energicznym krokiem wyszedł z sali.

Pojawienie się Kamińskiego w sali ogólnodostępnej dla wszystkich wczasowiczów nie powinno budzić zdziwienia, ale w cieniu śmierci kelnerki i opowieści Sabiny, budziło lęk i zarazem jeszcze większą chęć rzucenia się w wir tajemniczych wydarzeń.

Przyszedł za nią? A może to on przyniósł filiżankę tuż przed jej przybyciem i nie zdążył wyjść? W takim razie dlaczego go nie zauważyła?

Beata podekscytowana wyszła z pomieszczenia, zbiegła po schodach werandy i ruszyła zwirową, leśną ścieżką na plażę. Przed nią majaczyły w oddali sylwetki gości, jedne znikwały w głębi lasu, inne kierowały się na brzeg skarpy, niosąc przewieszane przez ramię wypchane torby.

- Chyba dzisiaj będzie trudno znaleźć ustronne miejsce - pomyślała z niepokojem Beata.

Plaża miała nadzwyczaj skromną powierzchnię, ale za to zbocza dawały schronienie przed ciekawskimi spojrzeniami i cień krzaków, kiedy słońce za mocno paliło wystawione na jego promienie ciało i twarz.

Jeszcze parę kroków i skarpa.

Schodząc na dół wydeptaną ścieżką po zboczu wzgórza, Beata rozglądała się, szukając wygodnego miejsca na rozłożenie ręcznika i opalanie się bez sąsiedztwa gości pensjonatu. Było ich niewielu, ale i tak zajęli najwygodniejsze miejsca na plaży, nad brzegiem morza.

Kiedy mijała grupę osób, wystawiających twarze w kierunku słońca, usłyszała:

- Przyłączy się pani do nas? - To kobieta w słomkowym kapeluszu, z szerokim uśmiechem, eksponująca blade ciało, zachęcała ją do pozostania w ich towarzystwie.

-Dziękuję, ale mam tu swoje ulubione miejsce i to w cieniu, bo zdążyłam już spalić skórę na plecach - Beata wykręciła się, zmyślając naprędce małe kłamstewko, bo rzeczywiście przeszarżowała z opalaniem, ale w nieznacznym stopniu i gotowa była znowu poddać się gorącym promieniom słońca.

Ruszyła coraz bardziej zwężającym się paskiem plaży, aż dotarła do miejsca, gdzie dalsza wędrówka była zbyt niebezpieczna. Plaża kończyła się na wysokości zbocza spadającego prawie do morza, ale miejsce było niezwykle malownicze, zielone, rozświetlone słonecznymi promieniami i łagodnie opadające ku dołowi; miejsce, z którego do woli można podziwiać mknące, morskie fale, rozbijające się z szumem przy brzegu.

Beata wypatrzyła małe krzaczki, wdrapała się do połowy zbocza, rozebrała, natarła kremem i usiadła na kąpielowym ręczniku, zwracając się całym ciałem w stronę słońca. W pobliżu nikogo nie było, jedynie z daleka dochodziły jakieś odgłosy rozmów, śmiechu.

Czas płynął.

Nagle usłyszała jakby szelest czyichś kroków na trawie, coraz bliższy. Spojrzała do góry i zza linii wzgórza wyłoniła się... Agnieszka.

- Cześć! - zawołała dziewczyna, zmierzając prosto do Beaty.

- Cześć! - koniec z samotnością, pomyślała.

- Mogę przysiąc się do ciebie?

Agnieszka, nie czekając na odpowiedź, rzuciła torbę na trawę, rozłożyła płachtę niewielkiego kocyka, zdjęła letnie ciuszki i w kolorowym kostiumie kąpielowym, nie-zrażona milczeniem Beaty, usiadła z zadowoloną miną.

- Szukałam dobrego miejsca i znalazłam. Chyba nie masz nic przeciwko temu? - zapytała, patrząc na Beatę.

- Ale pytanie! Oczywiście, że nie mam. Sama przyszałaś? Zostawiłaś swojego chłopaka?

- Eryka? Poszedł gdzieś w las z lornetką, popatrzeć na ptaszki. Mnie to nie kręci - Agnieszka skrzywiła lekceważąco usta. - Muszę się trochę opalić, jestem taka... blada - dokończyła niepewnie, czując nieszczerą wypowiedzi; od przebywania na treningach na wodzie, jej skóra miała lekki odcień brązu.

Beata przyjrzała się jej.

Dziewczyna miała delikatne rysy twarzy, jasne, pół-długie włosy ściągnięte do tyłu gumką, kolor oczu trudno było ustalić, mrużyła je przed promieniami słońca, ale ta drobna twarz i szczupła sylwetka ciała w niczym nie przypominała silnej, wysportowanej wioślarki; natomiast muskulatura ramion i nóg w pełni potwierdzała uprawianie sportu, jakim się zajmowała.

- Nuda - rzuciła Agnieszka, sięgając do torby.

- Ja się nie nudzę. Tu jest bardzo ciekawie. Prawdę mówiąc przyjechałam nie z własnej woli, ale teraz rozumiem dlaczego. - Beata podłożyła pod głowę torbę i położyła się, zamykając oczy.

- Dlaczego?

- Bo... jest okay.

- Zapalisz? - Agnieszka wyciągnęła do niej rękę z paczką papierosów. Beata usiadła i zawahała się.

- W zasadzie nie palę, ale po tych wszystkich niespodziankach, może powinnam czymś zająć ręce. - Wyjęła z paczki papierosa i czekała, aż Agnieszka przypali go zapalniczką.

- To twoje inicjały na zapalniczce? - zapytała, dostrzegając jedną z liter.

- Uhm. O jakich niespodziankach mówisz? - Agnieszka wrzuciła zapalniczkę do torby, zaciągnęła się i założyła okulary przeciwsłoneczne.

Beata spojrzała w dal, na marszczące się fale.

- Właściwie o jednej, tragicznej - powiedziała ostrożnie, mając w pamięci podsłuchaną rozmowę.

- Nie mówmy o tym, to nie jest temat na wczasy. Ja nie przeżywam śmierci obcej osoby. Jest mi to obojętne.

Beata przeniosła wzrok znad morskich fal i spojrzała na nią. Zasłonięte okularami oczy, obojętność na twarzy, palony z widoczną przyjemnością papieros w pełni potwierdzały wygłoszony przed chwilą pogląd.

- Jesteś sportsmenką, a kurzysz jak komin - powiedziała zdziwiona.

- Nie jestem sama w grupie, one też palą. -One?

- Kumpelki. To tylko pozory, że w sporcie wszyscy są tacy idealni. Znam takich, co kondycję poprawiają nie tylko treningami.

- Słyszałam o tym, ale to działa na krótki dystans, szkoda zdrowia. Wasz trener chyba daje wam porządnie w kość. Widzę to po twoich mięśniach - powiedziała z uznaniem Beata.

-1 to jak! Trzeba dobrze namachać się wiosłami, ale lubię ten sport.

- Jaka to dyscyplina, kajakarstwo?

- Osada, ósemka.

- Długo pływasz, a raczej wiosłujesz?

- Za długo. Mam inne plany.

- W jakim klubie jesteś? Na Śląsku?

-Tak, we Wrocławiu - skrzywiła usta Agnieszka, dając do zrozumienia, że temat uznaje za wyczerpany.

Beata zdusiła papierosa w ziemi i sięgnęła po butelkę z wodą. Zaledwie dwa razy zaciągnęła się, ale przykry smak w ustach był nad wyraz nieprzyjemny.

- Napijesz się? - zapytała dziewczynę.

- Dzięki, mam picie.

Nagrzana woda nie stanowiła luksusu dla spragnionych, ale pozwalała na pozbycie się smaku tytoniu.

- A ty? - zagadnęła ją Agnieszka. - Co zamierzasz zrobić, żeby wyrwać się z tej szarzyzny życia, poszaleć trochę, dopóki jest się młodym i niebrzydkim? Bo ja biorę to, co najlepsze. Uważam, że życie jest mimo wszystko krótkie.

- Na razie jakieś studia, a potem... nie wiem... praca... - Beata zakręciła butelkę i włożyła do torby.

Agnieszka skrzywiła się ironicznie.

- A potem ślub, dzieciaki, obiadki, pranie? - zaśmiała się z pogardą.

- Niekoniecznie.

Beata położyła się i zamknęła oczy. Nigdy by nie posądziła osoby, o tak subtelnej urodzie, o zwykły, konsumpcyjny stosunek do życia. A tu, proszę, Agnieszka bez ogródek obwieściła, że chce dużo, szybko, najlepiej zaraz. Ciekawe, co na to jej chłopak, który woli chodzić z lornetką po lesie?

Usłyszała, a raczej wyczuła, że dziewczyna położyła się na kocyku.

- Ale pali, długo na takim słońcu nie wytrzymam -mruknęła Agnieszka. - Za chwilę się stąd wyniosę, ale najpierw wejdę do wody.

Ciszę przerwał krzyk mew, unoszących się nad falami, słycać było furkot skrzydeł, czasem plusk wody, kiedy siadały, by z powrotem wznieść się i krążyć w powietrzu, wypatrując zdobyczy.

I nagle... to takie oczywiste!

Sto mew! Sto mew!

Beata miała ochotę krzyknąć: eureka!

W bibliotece w miasteczku, powinna poszukać dziejów Stomewa, nadania miejscowości praw miejskich, a nie pensjonatu, który i tak z pewnością ma miejsce w jego historii! Pensjonat to wiekowy zabytek, więc zapewne będą o nim wzmianki i jego dawnych właścicielach!

Obecni nie mają obowiązku pokazywania aktu własności, bo nie muszą, a zagładanie do księgi wieczystej w tak małej miejscinie, gdzie wszyscy się znają, wzbudziłoby podejrzenia, które z pewnością dotarłyby do Woja-nowskiej. A może musiałyby jechać do Gdańska?

Niczego tak bardzo nie pragnęła jak tego, żeby jak najszybciej pojechać do miasteczka. Szkoda, że nie zabrała ze sobą laptopa, ale wyjeżdżała z domu z tak wielkim żalem, że nawet nie pomyślała o tym, odcinając się w ten sposób od świata technologii, a korzystanie z komputera pensjonatu, było absolutnie niewykonalne.

Podeksycytowana gwałtownie poderwała się i usiadła, obejmując rękami kolana.

- Za gorąco? - zapytała sennie Agnieszka.

-Nie, zapomniałam nasmarować się kremem. Ten wiatr znad morza trochę chłodzi i nie czuje się przypiekania - Beata sięgnęła po tubkę z kremem i po raz drugi naniosiła warstwę kremu na ciało.

O wiele mniejszą, ale słowo się rzekło.

Do miasteczka postanowiła pojechać po obiedzie, na wypadek, gdyby, idąc do samochodu, spotkała Sabinę, miała przygotowaną odpowiedź. Wspomniała jej przecież, że zbiera materiały na studia, więc jazda do centrum Stomewa nie powinna budzić w niej zdziwienia.

- Ale piecze. Idę do wody, a ty? - Agnieszka wstała i rzuciła na kocyk okulary.

- Za chwilę, ale uważaj, tu jest chyba głęboko - zaniepokoiła się Beata.

-Na pewno. Przejdę się kawałek dalej. O, tam. -Pokazała ręką pasek piasku. - Tam jest płytko, fale cofają się do morza. Zaraz wracam.

Agnieszka odeszła kilka kroków, odwróciła się i z wahaniem w głosie powiedziała:

- Beata... z tą śmiercią to trochę się zgrywam... Wcale nie jest mi obojętny wypadek tej kelnerki.

- Jak każdemu, który to widział.

Beata nie była jednak przekonana, co do szczerości jej wyznania. Wyglądało to raczej na przedstawienie się w korzystniejszym świetle, po uprzednim, twardym oświadczeniu, które tak niemile zabrzmiało.

Kiedy dziewczyna odeszła, Beata zaczęła układać plan wypadu do miasteczka, a mianowicie: zaszyć się w bibliotece na tak długo, aż odnajdzie jakiegokolwiek ślady w historii Stomewa, pozwalające na zapoznanie się choćby nieznaczące, powierzchowne, z dziejami pensjonatu „Czerwone Maki”.

Gdyby mogła jeszcze wziąć do ręki oryginał filiżanki albo spodeczka i dokładnie się przyjrzeć makom... Co w nich można zobaczyć? Bo poza pięknym układem kwiatów, ich wypukłością, nie ma w nich nic tajemniczego.

Z zewnątrz!

A co jest pod spodem każdego kubka, talerza, dzbanka? Insignia producenta! I o to chodzi!

Janusz zaniepokoił się, że mogłaby wiedzieć coś o fabryce i właścicielach! Krystyna Garten koniecznie chciała przekonać się, czy kolekcja za szkłem jest autentyczna, a kluczem do takiego potwierdzenia są insygnia!

No tak, ale co dalej?

Najpierw biblioteka..., a potem telefon do jakiegokolwiek producenta porcelany! Może trafi na jakiegoś znawcę unikalnych kolekcji?!

Beata wstała i niecierpliwie zaczęła szukać wzrokiem Agnieszki. Nad wodą jej nie było, pewnie powędrowała gdzieś dalej. Na plaży obrodziło dziś w turystów, może przysiadła się do jakiejś grupki. Ze wzgórza łatwiej będzie ją dostrzec, oby tylko widoku na plażę nie zasłaniały zarośla i krzewy.

Beata ostrożnie weszła do góry po pochyłym zboczu i spojrzała w dół, na plażę. Po Agnieszce ani śladu. Odwró-

ciła się w stronę lasu i potoczyła wokół wzrokiem. Wszędzie zielono, zielono i... kolorowo! Można to było przewidzieć!

Biedny Eryk! Podgląda ptaszki, a jego dziewczyna romansuje za jego plecami! W niewielkim oddaleniu, częściowo zasłonięci wysokimi trawami i krzakami, stało dwoje ludzi. Mężczyzna oparty o pień drzewa przytulał do siebie... Agnieszkę. Jej kolorowy kostium kąpielowy przebijał barwy lasu.

Beata uśmiechnęła się pod nosem. Dziewczyna musiała być niezłe zaskoczona, kiedy na miejscu schadzki ją zastała, a nie tego, z kim się umówiła. Odwróciła się z zamiarem powrotu na zbocze, kiedy coś ją zastanowiło. Teraz ona stanęła za pniem drzewa i wpatrzyła się w postać mężczyzny. I oniemiała!

To był Andrzej Kamiński! Facet, którego Sabina oskarżała o zamordowanie jej siostry!

Znalazł nową ofiarę... albo to zwykły wczasowy podrywacz, pozujący na macho i zaliczający „sztuki”, jak to zwykle określali jej koledzy ze studiów, polujący na dziewczyny w klubach.

Romans pomiędzy nimi albo wybuchł nagle albo zażyłość, jaką widziała, mogła trwać o wiele dłużej, a Agnieszka jest zimną, pozbawioną skrupułów osobką! Chociaż trudno ją oskarżać o bycie tą „drugą”, skąd mogła wiedzieć o jego flircie z Bożeną?

Z kolei Kamiński, z taką prezencją, nie musiał wkładać wiele trudu w zainteresowanie swoją sobą, następczyni kelnerki.

Beata pochyliła się, ostrożnie przesunęła się za kępę krzaków, po czym bezpiecznie zasłonięta, zeszła zboczem na miejsce wypoczynku.

Po tym, co widziała i usłyszała po tak krótkim pobycie, lepiej i bezpieczniej było nie rzucać się w oczy kilku osobom, a w szczególności Kamińskiemu.

Usiadła i założyła okulary przeciwsłoneczne; w ten sposób nie zdradzi swojego podekscytowanego spojrzenia, patrząc na Agnieszkę, której z niecierpliwością oczekiwała. Zbliżała się pora obiadowa, potem wyjazd do miasteczka i rozdzwonenie się do wytwórniach porcelany.

Kiedy te amory się skończą?

Nagle zaszeleściły czyjeś kroki w trawie i pojawiła się Agnieszka w mokrym kostiumie kąpielowym. Usiadła na płachcie swojego kocyka.

- Ale zimna woda! - zawołała, sięgając do torby. Wyjęła ręcznik i zaczęła wycierać nieliczne kropelki

wody ściekające ze stanika i szortów.

- Nie radzę ci wchodzić do wody, chyba, że do kolan. Jest naprawdę zimna, muszę się przebrać, nie lubię jak coś schnie na mnie - mówiła, odrzucając na bok ręcznik. - Dobrze, że wzięłam drugi kostium.

Wygrzebała z przepastnej torby plażowej czarne zawiniątko i wstała.

- Idę się przebrać - rzuciła.

I ani słowa więcej. Nikt nie poznałby po mimice jej twarzy, że przed chwilą przylepiona była w czułym uścisku do faceta! Tego, którego uznała za niebezpiecznego?!

Kiedy zniknęła za linią wzgórza, Beata zaczęła się pakować. Nie miała obowiązku dalszego przebywania w towarzystwie dziewczyny, tym bardziej, że ona z pewnością przedłuży swoją schadzkę z Kamińskim. Czekala dłuższą chwilę, zanim Agnieszka zeszła do niej, przebrana w czarny kostium kąpielowy, doskonale współgrający z jej opalenizną.

- Idziesz już? - zapytała.

- Już? Mam tu doskonały apetyt, a zbliża się pora obiadowa. A ty zostajesz? - Beata w ciemnych okularach mogła bez przeszkód obserwować jej twarz.

- Jeszcze z pół godziny. Zdążę przyjść na obiad. Beata wstała i zarzuciła torbę na ramię. W rękę trzymała sandałki.

- To cześć. Lepiej schowaj się w cieniu, za tymi krzakami, bo spalisz skórę na czerwono.

Agnieszka spojrzała do góry na zbocze.

- Masz rację. Zaraz przeniosę się między te drzewa, tam jest o wiele chłodniej.

- To na razie.

Beata przeszła kawałek drogi w poprzek wzgórza, potem zeszła na piaszczystą plażę, idąc dalej brzegiem morza. Rozbijające się fale u jej stóp nie zachęcały do kąpieli w morzu, były zimne i co rusz opływały nogi, rozpryskując wodę do kolan.

Usiadła na trawie, wytarła mokre nogi ręcznikiem i założyła sandałki.

Agnieszka miała mokry kostium kąpielowy, więc wchodziła do wody. Pewnie dla wioślarek zimna woda jest czymś naturalnym, nie pływają przecież w basenie z ciepłą wodą. Kamiński był w spodniach i koszulce, więc przez przypadek zajęła im miejsce schadzki. Teraz mogą do woli poromansować - miejsce na zboczu było na tyle odległe od najszerzego pasa plaży, że z pewnością nikt im w tym nie przeszkodzi.

Beata wstała i ruszyła plażą, uskakując w bok przed wpływającymi na piasek falami. Przypadkowo odkryty romans jej nie zaintrygował, zazwyczaj na wczasach, w uzdrowiskach, rodzą się przyjaźnie, czasem miłości. Pomyślała jedynie o obojętności Kamińskiego wobec śmierci jego niedawnej partnerki, Bożeny. Szybko zapomniał... No cóż, dziewczyna nie miała instynktu samozachowawczego wobec takich typków.

Przetarła dłonią spocone czoło. Było południe, słońce mocno grzało, ale na skrawku plaży było już pusto. To znak, że najwyższy czas popędzić na obiad!

Beata dotarła do skarpy, na której już z daleka rysowała się wydeptana dróżka, powoli wspięła się na płaszczyznę pachnącego igliwem lasu, przeszła kawałek drogi pod koronami drzew i zza zielonej kurtyny wyłonił się pensjonat.

Już w holu czuć było smakowity zapach dań obiadowych, dolatujący z sali restauracyjnej.

Z Sabina spotkała się na korytarzu, w połowie drogi do swojego pokoju. W białych spodniach, z przewieszoną torebką na ramieniu i z pękiem kluczyków w dłoni raczej nie wybierała się do restauracji.

- Cześć - rzuciła Sabina. - Ładnie wyglądasz w tej opaleniznie.

-Dzięki. Wybierasz się gdzieś? Myślałam, że zjemy razem obiad.

- Jadę do rodziców, do miasteczka. Ojciec jakoś się trzyma, ale matka... - zabrzmiało to szczerze i niewymuszenie.

Sabina potrząsnęła głową, zacisnęła usta i machnęła z rezygnacją ręką. Potem szybkim krokiem przemierzyła korytarz i zbiegła po schodach.

Beata przez chwilę patrzyła za nią ze współczuciem, po czym weszła do pokoju, rzuciła torbę pod okno, w łazience, stojąc pod prysznicem, rozważała kwestię telefonów do Michała i do domu. Po krótkim namyśle zrezygnowała. Matka kazałaby jej natychmiast wrócić, a ojciec gotów byłby nawet po nią przyjechać.

Co do Michała... jest tak daleko... nie, do niego też nie zadzwoni.

Wyszła z łazienki, w pokoju otworzyła szafę i po namyśle wybrała tę samą cytrynową sukienkę, którą miała na sobie na wieczorku zapoznawczym, pierwszego dnia pobytu w pensjonacie. Dobrze się w niej czuła, a poza tym jej kolor wspaniale eksponował opaleniznę.

Przed lustrem rozczesała włosy, zostawiając je swobodnie spływające na ramiona, i wyszła z pokoju, zamykając

drzwi na klucz. Zazwyczaj tego nie robiła, obie z Sabiną umówiły się, że wychodząc będą zamykały na klucz jedynie drzwi wejściowe, ale intuicyjnie czuła, że nie powinna lekceważyć wydarzeń, których na razie nie potrafiła rozszyfrować.

W restauracji wybrała miejsce przy stoliku, z którego miała największe pole widzenia. Z przyczyn oczywistych nie było Kamińskiego i Agnieszki, natomiast Janusz, siedząc obok Gartenów, zdawał się być w doskonałym nastroju. Słał uśmiechy w stronę Krystyny Garten, przytakiwał jej w rozmowie, ale kiedy zjawił się Eryk, chłód na jego twarzy był aż nadto oczywisty. Panowie raczej nie pałali do siebie sympatią.

Beata z niecierpliwością czekała na kelnerkę, chcąc jak najszybciej wyjechać do centrum Stomewa i znaleźć się w bibliotece.

Dania obiadowe były smaczne. Wojanowska zatrudniała świetną kucharkę, można było poprosić o dokładkę, ale to popołudnie przeznaczone było na daleko ważniejszą sprawę, niż objadanie się w restauracji.

Kiedy sięgała po papierową chusteczkę, w progu drzwi restauracji stanął Andrzej Kamiński i rozglądał się po sali. Usiadł przy oknie, przodem do Beaty, obok osób towarzyszących mu zazwyczaj przy stoliku, i po krótkiej rozmowie z kelnerką, spojrzał obojętnie na Beatę.

Kiedy ich wzrok się spotkał, skinął głową w geście powitania. Beata lekko się uśmiechnęła, wstała i wyszła z restauracji.

Bibliotekarka spojrzała na Beatę z ciekawością.

- Zaraz sprawdzę, czy ta książka wróciła, bo od pewnego czasu cieszy się dużą popularnością wśród turystów, przyjeżdżających do Stomewa.

Kobieta wstała i zaczęła przeglądać gromadkę książek, leżących obok biurka, na stoliku.

Na w pół pochyłona, odwróciła głowę w stronę Beaty i zagadnęła ją:

- Pani... też jest przyjezdna... Znam prawie wszystkich mieszkańców... Mam dobrą pamięć wzrokową, ale panią widzę tu pierwszy raz.

-Jestem tu na wczasach i chciałabym zapoznać się z kulturą regionu, poznać historię miasteczka, szukam też informacji o ciekawych miejscach, które warto zobaczyć.

- Tak, jak wszyscy wczasowicze... Bibliotekarka powoli rozkładała książki, kiwając przy

tym z powątpiewaniem głową, wreszcie, zadowolona, wzięła jedną z nich do ręki.

- Ma pani szczęście, jest! Założyć pani kartę czytelnika? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Chciałabym tu, na miejscu, ją przejrzeć, wyłapać ciekawe wątki i zapisać miejsca, które wydadzą mi się najciekawsze do zwiedzenia.

- Obok jest czytelnia, może pani tam spokojnie poczytać. Proszę tylko podpisać wypożyczenie. - Kobieta podsunęła Beacie książkę, zapisaną różnymi datami, tytułami książek i podpisami korzystających tylko z czytelnia.

Beata, zanim złożyła podpis, przebiegła wzrokiem ostatnie wpisy czytelników. Tytuł książki o miasteczku „Sto Mew na przestrzeni wieków”, przewijał się wielokrotnie, ale nazwiska wypożyczających były najczęściej nieczytelne, a te wpisane równym pismem, nieznanym.

Beata podpisała się tylko nazwiskiem i, trzymając w rękę podniszczoną już książkę, zwróciła się z wahaniem do bibliotekarki:

- Czy pamięta pani... kto oddał tę książkę? W oczach kobiety pojawiło się zdziwienie.

- To mała miejscowość, ale mamy wielu czytelników. Mogę sprawdzić. Ale dlaczego to panią interesuje?

-Pytam tylko z ciekawości, ktoś mi ją polecił... pewnie jest już po jej lekturze. A, nieważne.

- To życzę przyjemnej lektury. Teraz w czytelni nie ma nikogo, może pani spokojnie czytać. To tam. - Kobieta pokazała na wejście do pomieszczenia.

- Dziękuję, książkę niedługo zwrócę.

W czytelni było pusto, cicho, pachniało gazetami wyłożonymi na stojakach, farbą drukarską, a gęste firanki w oknach i na wpół zaciągnięte na nich zasłony, nie przepuszczały jeszcze palących, chociaż popołudniowych promieni słońca.

Beata usiadła przy stoliku, żałując zadanego pytania o ostatniego czytelnika książki, w duchu ironizując, że powinna zapytać o płeć, wówczas oczy bibliotekarki byłyby jak dwa talerzyki!

Z namaszczeniem przewróciła okładkę, potem prze-wertowała wszystkie kartki, szukając rozdziału, który interesował ją najbardziej, ale po chwili wróciła do strony tytułowej.

Książka była bogato ilustrowana kolorowymi i czarnobiałymi fotografiami z widokami miasteczka z przełomu wieku dziewiętnastego i dwudziestego.

Beata z ciekawością przyglądała się zdjęciom, wertując kartki, aż dotarła do... fotografii przedstawiającej ówczesną drewnianą budowlę, wtopioną w gąszcz lasu, obecnie pensjonat Wojanowskiej! Na werandzie stało kilka osób, ubranych zgodnie z modą lat... trzydziestych? Kim była młoda kobieta w kapeluszu z dużym rondem? Żoną? Obejmował ją młody mężczyzna, patrzący nie w obiektyw aparatu, a w jej twarz.

Beata wróciła do pierwszego rozdziału książki.

...Prawa miejskie... zbiór praw, dotyczący mieszkańców miasta... wyjmował mieszczan spod jurysdykcji prawa ziemskiego, tzw. prawa dworskiego... prawa miejskie obejmowały między innymi prawo targowe... prawo uprawia-

nia swobodnego rzemiosła...pierwsza wzmianka o nadaniu praw miejskich w 1692 roku...

Autor wyjaśniał, iż pierwotna nazwa miejscowości, Sto Mew, została w latach pięćdziesiątych scalona i zamieniona na: Stomew.

Ale to nie było takie ważne. Beata przerzuciła kilka rozdziałów książki. I wreszcie jest!

Rozdział o właścicielach majątków ziemskich, karczm, kuźni... i... wykaz najzamożniejszych rodów na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, zamieszkałych w ówczesnej miejscowości o nazwie Sto Mew.

„Doroszewscy, Gutmannowie, Winterowie, Heckmannowie.”

Beata przebiegła pobieżnie wzrokiem treść ich biografii. Jedyne ci ostatni wybudowali w Stomewie letnią rezydencję, właśnie w lesie!

Powoli, z namaszczeniem czytana treść tekstu, pochłonęła ją całkowicie. Nie miała już żadnych wątpliwości! To byli właściciele nieistniejącej już fabryki porcelany na Dolnym Śląsku, o których rozmawiali Sabina i Janusz. A więc!

...Fabryka została wybudowana w 1882 roku przez Kurta Heckmanna w Tiefenfurt. Początkowa produkcja fajansu szybko przekształciła się w produkcję wszelkiego rodzaju porcelany; serwisów kawowych, obiadowych, herbacianych, akcesoriów dekoracyjnych, takich jak - serwetniki, wazony, świeczniki, dzbanki czy salaterki. Jednak największą popularność zdobyła linia produkcji porcelany z kwiatami.

Beacie zabiło mocniej serce. Podparła się łokciami i czytała dalej, z wypiekami na policzkach.

...Kolejno wypuszczane na rynek kolekcje porcelany z kwiatami przyniosły Heckmannom ogromne zyski ze sprzedaży. Jednak największym zainteresowaniem cieszyła się kolekcja z czerwonymi makami.

...Po nagłej śmierci założyciela fabryki, w 1887 roku, zarządzanie objął jego syn, Klaus, wraz z żoną, który rozbudował fabrykę, zatrudnił więcej pracowników i podwoił produkcję popularnej serii z kwiatami.

Beata przerzuciła kartkę z technologią produkcji wyrobów, historią dalszej rodziny i wreszcie znalazła najbardziej poszukiwany fragment!

...Letnia rezydencja Heckmannów w Sto Mewach została wybudowana w 1891 roku dla żony Klause, której, ze względu na stan zdrowia, lekarz zalecił pobyt w nadmorskim klimacie.

To pewnie ta kobieta ze starej fotografii!

...Pierwotnie miała być zamieszkiwana tylko w miesiącach letnich, stopniowo rozbudowywana, zaczęła pełnić funkcję domu całorocznego. Bogato wyposażona, otoczona ogrodzeniem, z tyłu domu, wzdłuż żwirowej alejki, postawiono rząd ławek do wypoczynku wśród leśnej gęstwiny.

To ta zaniedbana, zarośnięta chwastami alejka, prowadząca nie wiadomo dokąd! Uff!

W trakcie zgłębiania wiedzy o Heckmannach, Beatę zastanowiło, dlaczego autor poświęca tyle uwagi właśnie im. Wróciła do opuszczonych rozdziałów książki, niecierpliwie szukając wyjaśnienia. Wreszcie znalazła: autor opisywał ich jako filantropów i darczyńców, wspomagających najbardziej ubogie rodziny, po przesiedleniu się na stałe do Sto Mew.

No tak. Mogli sobie na to pozwolić. I na wykup wielu hektarów lasu. Zamieszkanie w takiej bajkowej samotni, w ciszy, bez pośpiechu, jaki zazwyczaj towarzyszy robiącym wielkie interesy finansowe, to wymarzone miejsce dla pragnących spokoju, wyciszenia.

Ale to jeszcze nie te informacje, po jakie wybrała się do biblioteki.

...Światowy kryzys na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku dotknął również firmy zajmujące się produkcją

porcelany. Niektóre śląskie fabryki musiały zawiesić produkcję lub zostać zamknięte. Fabryka Heckmannów była typowym przedsiębiorstwem rodzinnym, dlatego kryzys dotknął ją szczególnie ciężko.

Miała nie tylko trudności ze zbytem, ale i z redukcją zatrudnienia, obejmującą ponad połowę zatrudnionych, czy skróconymi dniówkami. Wszystko to zadecydowało o wstrzymaniu produkcji i zamknięciu fabryki.

...Ostatnią wyprodukowaną zastawą z porcelany była zastawa deserowo-kawowa w czerwone maki...

Nareszcie!

...która, jako jedyna i unikatowa, po zawieruchach wojennych stała się najbardziej poszukiwaną, legendarną kolekcją, z powodu nie tylko jej artystycznej wartości, ale także z powodu dziwnego zapisu w testamencie ostatniego właściciela rezydencji w Sto Mewach, znalezionej wśród wielu poślizniętych szpargałów na strychu domu.

Ja, Klaus Heckmann, w pełni świadomy...

Cały majątek zostawiam tam, gdzie czerwieni się maki.

Sto Mew 15.05.1930r. GNLUC

Beacie, w chłodnej czytelni, nagle zrobiło się gorąco. Niecierpliwie wróciła do tekstu biografii fabrykantów.

...Rodzina Heckmannów posiadała ogromne, wartościowe zbiory obrazów znanych malarzy, rzadko spotykanych książek, o zasobach złota i cennej biżuterii już wtedy krążyły legendy, a miejsce ukrycia majątku, po opuszczeniu rezydencji w czasie niespokojnych lat trzydziestych, pozostało nie odkrytą tajemnicą.

...Opustoszały dom, z biegiem lat coraz bardziej niszczący, trafił w ręce rodziny Wojanowskich, a przekształcony w pensjonat, cieszy się dużą popularnością.

Dopisek autora dotyczący testamentu informował, iż Klaus Heckmann znany był z dobrodusznego charakteru, lubił robić psikusy, czego dowodem może być dziwny zestaw dużych liter pod datą wystawienia testamentu. Także wzmiankę o czerwonych makach należałoby traktować jako dobry żart, wprowadzający w błąd poszukiwaczy majątku rezydencji, bo w przeciwnym wypadku, nie zostałyby znalezione na strychu. Istnieją nawet wątpliwości, czy na pewno napisał go ostatni rezydent!

Jednak zaznacza, że teza o ogromnym majątku w Sto-mewie nigdy nie została podważona. Nigdy też nie pojawił się żaden z potomków fabrykantów z roszczeniami do rezydencji i wielu hektarów lasu.

Beata oderwała wzrok od książki i oparła się wygodnie o oparcie krzesła.

Reasumując!

Heckmannowie, wyjeżdżając ze Sto Mew w latach trzydziestych, nie wywieźli zgromadzonego majątku, pewnie zakładając, że kiedyś tam wrócą. Jednak przeczornie zabezpieczyli go, ukrywając gdzieś w rezydencji, albo w... no, właśnie, gdzie? I co mogą oznaczać litery po dacie?

Powojenne losy rodu Heckmannów musiały tragicznie się splątać, bo nigdy żaden z członków rodziny nie powrócił do rezydencji.

Podniszczony, pożółkły testament mógłby być pierwszym, ale nie ostatnim, tylko że jedyna, unikatowa kolekcja porcelany z czerwonymi makami, znajduje się w pensjonacie i jest wyraźną wskazówką dla potomnych, gdzie szukać majątku rodziny.

I po to przyjechali do pensjonatu Sabina, Janusz, Kamiński, z pewnością Gartenowie i... partner życiowy Wojanowskiej!

Heckmann albo jest dalekim krewnym fabrykantów, albo to zwykła zbieżność nazwisk, bo gdyby posiadał jakiegokolwiek dokumenty, akta prawne, nadające mu tytuł wła-

sności do dawnej rezydencji, z pewnością dawno by to wykorzystał. Ten, kto oglądał filizankę, już wie, czy to jest właściwe miejsce, do którego przyjechał w konkretnym celu!

Jak sprawdzić insygnia kolekcji? Poprosić o klucz? Nie! Mogłoby to wzbudzić podejrzenia, a na pewno zdziwienie osoby sprzątajacej. Pozostaje dopilnowanie odkurzania i czyszczenia porcelany.

Beata przyłożyła dłonie do gorących policzków. To już nie wczasy, a niebezpieczna zabawa w detektywa! Spojrzała na datę wydania książki. Trzy lata temu.

Pewnie od tego czasu zaczęli pojawiać się w Stomewie tropiciele skarbów! A kto napisał? Przeczytała: Władysław Janczak. Nazwisko nie było jej znane z żadnej innej publikacji.

Beata poderwała się z krzesła, zabrała ze stolika książkę, zarzuciła na ramię torebkę i wyszła z czytelnii.

-Oddaję książkę. Dziękuję za wypożyczenie. -Położyła ją na biurku bibliotekarki.

- Ciekawa? - kobieta uśmiechnęła się zagadkowo.

- Bardzo. Szczególnie ta legenda o porcelanie. -Wszyscy się na to nabierają. Moim zdaniem to wymysł autora, żeby książka dobrze się sprzedawała.

- Ja też tak myślę. Do widzenia.

-Do widzenia. Zapraszam do korzystania z naszego księgozbioru.

- Dziękuję.

- A pani... ma tu rodzinę, czy... - dociekała bibliotekarka.

- Jestem na wczasach w „Czerwonych Makach”. - Beata starała się ukryć niezadowolenie ze wścibstwa kobiety.

- To piękne miejsce. Historyczne.

- Tak. Do widzenia.

Beata wyszła z biblioteki i ruszyła w stronę zaparkowanego nieopodal budynku swojego samochodu. Spojrzała na zegarek. Była szesnasta z minutami. Za późno, żeby podzwo-

nić do zakładów produkujących porcelanę, pracownicy pewnie są już w drodze do domu, jedynie szefowie produkcji, o ile praca jest dwuzmianowa, mogą być w zasięgu telefonu. Nagle!

Podskoczyła z wrażenia, kiedy nieoczekiwanie poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Przystanęła i odwróciła się, przyciskając rękę do kołającego serca.

Sabina zaśmiała się, patrząc na jej wielkie, przerażone oczy.

- Ale mina! Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. W tym domu mieszkają moi rodzice - Pokazała na budynek, w którym mieściła się biblioteka. - O, tam, gdzie wiszą firanki w takie wielkie, geometryczne wzory, na drugim piętrze.

Beata powędrowała wzrokiem za jej dłonią. W otwartym oknie falowała biała firanka.

- Współczuję im, to taka tragedia. Trudno jest się pogodzić z tym, co się stało - powiedziała szczerze.

Sabina spoważniała.

- Jakoś się trzymają, ale matka... chciałaby... - zagryzła wargi - żeby zwrócili jej Bożenę... wiesz, chodzi o pogrzeb.

- Rozumiem i żałuję, że nie mogę w niczym pomóc.

- Ja też... Trzeba czekać, aż wróci z Zakładu Medycyny Sądowej. A ty zwiedzasz miasteczko? - Sabina zmieniła przykry temat rozmowy. - Tutaj jest parę ciekawych miejsc, chociażby muzeum, zabytkowy kościół, siedziba burmistrza też mieści się w zabytkowym pałacyku, który można zwiedzać po godzinach pracy. No i okolica z niewielkim jeziorkiem przyciąga w weekendy nie tylko mieszkańców Stome-wa. Jestem pewna, że nasi wczasowicze też tu przyjeżdżają.

Nie spuszczała z Beaty wzroku. Widać było, że nie uwierzy w naprędce zmyśloną bajeczkę.

- Na pewno jeszcze nie raz wybiorę się do miasteczka, a teraz byłam w bibliotece. Od czegoś zwiedza-

nie trzeba zacząć - powiedziała Beata, udając obojętność wobec faktu korzystania z księgozbioru biblioteki.

- A, pamiętam, mówiłaś coś o materiałach na studia. To może skorzystamy z okazji i wypijemy małą czarną w bardzo przytulnej kawiarence? Jest niedaleko stąd.

- Chętnie, ale innym razem. Muszę wrócić do pensjonatu i wykonać parę pilnych telefonów, w tym do rodziców, i do... kogoś jeszcze.

- To intymna rozmowa?

- Nie, ale ważna.

- W takim razie, jeżeli wracasz do pensjonatu, to podrzucę cię. Tam, obok tego kwietnika, stoi mój samochód. - Sabina pokazała na czarnego mercedesa.

A więc to jej samochód! Pewnie jako aktorka grała główne role, bo mercedes wyglądał na najnowszy model! Ale raczej w teatrze, bo twarz Sabiny nie była jej znana z żadnego, nawet marnego filmu. Albo... został kupiony za wspólną kasę w czasie trwania małżeństwa.

Sabina jakby czytała w jej myślach, bo powiedziała niedbale:

- Przypadł mi w podziale wspólnego majątku podczas rozvodu. Jemu... - skrzywiła się - zostawiłam mieszkanie. Nie mogłam tam zostać, nienawidziłam każdego kąta, mebla... Dopiero kiedy kupiłam małe mieszkanko i zaczęłam urządzać tak, wiesz, po babsku, wtedy... poczułam swoją wartość, godność, bo z nim, a... to były stracone lata.

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Rozgadałam się, ale trochę mi ulżyło.

- Współczuję ci, ale dobrze zrobiłaś. Lepiej późno niż wcale.

Beata spojrzała na swój samochód.

- Co za zbieg okoliczności! Obok twojego, stoi mój, ale to tylko stary opel - Beata rozłożyła ręce.

- Nie wiedziałam, że masz samochód. Myślałam, że przyjechałaś do pensjonatu busikiem, a teraz wracasz taksówką.

Beata odniosła wrażenie, że w głosie Sabiny zabrzmiał fałsz, a przecież, jako aktorka, mogłaby lepiej zagrać zdziwienie. Choć daczego miałyby interesować się samochodami gości? Takie wyjaśnienie samej sobie uspokoiło ją, ale w obecności Sabiny zaczęła czuć się nieswojo, tym bardziej, że doskonale pamiętała prawie każde zdanie podsłuchane w Sali Kominkowej.

- O, nie! - Beata, patrząc na opla, nawiązała do słów Sabiny. - Od kiedy zdałam egzamin na prawo jazdy, nie wyobrażam sobie ścisku i duchoty w autobusach. No i czekania na cokolwiek, żeby dojechać do pensjonatu.

- To co, wracamy? - Sabina wyjęła kluczyki z torebki.

- Jedziemy.

Beata pierwsza wyjechała z niewielkiego parkingu. Po krótkiej jeździe ulicami miasteczka, w oddali zamajaczyła ściana lasu.

Czarna, leśna droga, prowadząca do pensjonatu, była pusta, zacieniona, przez korony drzew zaledwie przenikały jasne plamy błękitnego nieba. W innych okolicznościach Beata byłaby zauroczona jazdą w takim pachnącym, zielonym miejscu, ale teraz, kiedy widziała w lusterku czarnego mercedesa za plecami, chciała, żeby ta droga skończyła się jak najprędzej.

Była pewna, że Sabina nie spuszcza z niej oczu, a wyobraźnia szalała!

Za chwilę mercedes minie ją i jednym skrzętem kierownicy zepchnie ją na pnie drzew! Na dobre opanował ją strach, niepokój, co chwilę zerkała w lusterko, ale czarny samochód posuwał się za nią w równym odstępie.

Pomyślała, że mogłaby nacisnąć pedał gazu, przyspieszyć, ale na pewno wywołałoby to zdziwienie Sabiny i może zrobiłaby to samo! Dopiero by spanikowała!

Kiedy na skraju drogi ukazał się pensjonat, uspokoiła się i uśmiechnęła pod nosem z politowaniem. Z Sabiną dzieli ją tylko malutki korytarzyk, pośrodku łazienka,

owszem, na noc zamyka na klucz drzwi swojego pokoju, ale każdy tak robi. O dziwo, nawet nie przyszło jej na myśl poprosić o zmianę pokoju, zresztą wszystkie miejsca są zajęte, a ona byłaby na językach wszystkich gości pensjonatu.

Zwolniła i zajechała na placyk przed pensjonatem. Sabina zaparkowała swój samochód obok opla.

Na parkingu stały nieliczne samochody różnych marek, wśród nich czerwony ford z jedyną warszawską rejestracją WE. Beata знаła tę rejestrację; na Mokotowie mieszkało kilkoro jej przyjaciół. Ford mógłby należeć do któregoś z gości; łysawego mężczyzny, pulchnej blondynki, Eryka, Kamińskiego albo... Janusza? Zerknęła na tablicę rejestracyjną mercedesa. Sabina nigdy nie mówiła gdzie mieszka, ale litery na tablicy DSR oznaczały województwo dolnośląskie! Tylko jaka to miejscowość? Coraz bardziej żałowała, że nie wzięła laptopa.

Sabina minęła forda i, idąc obok Beaty w kierunku werandy, zagadnęła ją:

- Co robisz wieczorem?

- Jeszcze nie wiem, może coś poczytam albo przejdę się po lesie. Na pewno wykonam zaległe telefony. A ty? -patrzyła na nią, idąc po stopniach werandy.

-Położę się i nie będę o niczym myśleć. To będzie trudne, ale może mi się uda. Na kolację nie zejdę do restauracji. Zjadłam u rodziców późny obiad.

- A ja mam tu dziki apetyt. Boję się, że wrócę do domu cięższa o parę kilogramów.

- Przydały by ci się. - Sabina omiotła wzrokiem jej sylwetkę.

- O nie, dziękuję.

Przed drzwiami swoich pokoi pożegnały się.

- To do jutra, spotkamy się na śniadaniu - powiedziała Beata.

- Do jutra.

W pokoju Beata rzuciła torebkę na stolik, wyjęła z niej telefon, zdjęła buty i, pólżąc na łóżku, niecierpliwie wybrała numer informacji telefonicznej. Długo czekała, zanim służbowo brzmiący głos automatycznej sekretarki oznajmił, że za chwilę nastąpi połączenie ze stanowiskiem informacyjnym.

-Dzień dobry. W czym mogę pomóc? - usłyszała kobiecy głos.

-Dzień dobry, poproszę o podanie mi numerów do fabryk porcelany.

- W jakim rejonie?

- Obojętnie... chociaż... najlepiej z południa Polski... albo... tak ogólnie.

- Mogę pani podać kilka numerów.

- Dobrze, dziękuję. Jednak najbardziej zależy mi na południu - zdecydowała Beata.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym kobieta podała kilka numerów.

- Bardzo pani dziękuję. Do widzenia.

- Do usłyszenia. A teraz do dzieła!

Pierwsze trzy numery, zgodnie z późną porą dnia roboczego, milczały jak zaklęte. Następny, sympatycznym głosem automatycznej sekretarki, poprosił o zostawienie wiadomości po usłyszeniu sygnału. Kolejny już dawał jakąś nadzieję.

W słuchawce zabrzmiał męski głos.

- Fabryka porcelany „Zofia”, słucham?

- Dzień dobry. Mam nietypową prośbę. Jestem kolekcjonerką starej porcelany i właśnie mam okazję kupić...

- Chwileczkę, rozmawia pani z ochroniarzem, biura już nie pracują, ale mogę panią przełączyć do szefa produkcji.

- Bardzo proszę i dziękuję.

Łączenie trwało wieki. W końcu odezwał się głęboki, męski głos.

- Słucham? Dobiecki.
- Dzień dobry. Mówi Zabielska. Nie chciałabym zabierać panu dużo czasu i od razu zapytam, czy poświęci mi pan chwilę rozmowy na temat starej, kolekcjonerskiej porcelany?
- Tak się składa, że i ja jestem zbieraczem, jeśli tak to można określić, starych skorup. A co panią interesuje?
- Porcelana z czerwonymi makami.
- Żartuje pani?! Ona już nie istnieje! Ostatnie egzemplarze gdzieś wsiąknęły, ba, zaginęły na amen, chociaż było wielu chętnych do jej odnalezienia. To artystyczne cacka!
- Wiem - podchwyciła skwapliwie Beata - ale mam ofertę kupna filiżanki z dwoma talerzykami i nie chciałabym przepłacić. Nie jestem też pewna, czy to są oryginały. Szczególnie teraz, po tym, co mi pan powiedział, obawiam się, że mogą to być falsyfikaty.
- To ciekawe, wiem... wiem, o czym pani mówi, ale o co pani pyta konkretnie?
- Po czym poznać, czy to jest oryginał? Chodzi mi o insygnia.
- Hm... tak z marszu pani nie odpowiem, ale mam różne materiały na ten temat, katalogi i być może będzie pani szczęśliwą posiadaczką zaginionej porcelany, ale teraz jestem w pracy, więc jeśli pani zależy na informacji, proszę do mnie zadzwonić wieczorem, do domu. Podaję pani numer.
- Proszę powtórzyć ostatnią cyfrę - Beata błyskawicznie sięgnęła do torebki i wyjęła długopis.
- Siedem. I mówi pani, że to czerwone maki? - Dobiecki niedowierzał.
- Wytłaczane.
- Uff... marzyłem o tej kolekcji. Jestem bardzo podekscytowany. Proszę zadzwonić wieczorem.
- Na pewno zadzwonię. Bardzo panu dziękuję.

Beata wyciągnęła się na łóżku, telefon położyła obok siebie, jakby za chwilę miała znowu połączyć się z Dobieckim. Jeżeli okaże się, że porcelana z czerwonymi makami jest jedyną, unikatową kolekcją i znajduje się właśnie w pensjonacie, to dziwny zapis w testamencie nie na darmo ściągnął tu cwaniaków, udających turystów, chętnych do zdobycia majątku Heckmannów, choćby po trupach!

Beata po raz pierwszy skojarzyła śmierć kelnerki z porcelaną. Ona z pewnością widziała jej insygnia, знаła rzekomą legendę chociażby z ust Sabiny, ale czy przywiązywała do tego szczególną uwagę, zajęta romanssem z Kamińskim? I czy to on zabrał jej kluczyk do witryny z porcelaną?

Jeśli tak, to kiedy? Przed jej śmiercią czy na chwilę przed upadkiem ze schodów, po czym, przerażony, umknął do swojego pokoju?

Beata wątpiła, aby zepchnął ją z tych stromych schodów, bo właściwie dlaczego miałby to zrobić?

Wstała i podeszła do otwartego okna. Zaniedbana, zarosła chwastami ścieżka, biegnąca nie wiadomo dokąd, przyciągała wzrok jak magnes. Powodowana ciekawością postanowiła któregoś dnia wybrać się na spacer właśnie tą tajemniczą dróżką.

Odeszła od okna i spojrzała na zegarek. Do kolacji pozostało jeszcze sporo czasu, który trzeba czymś zagospodarować. Przypomniała sobie rozmowę z Sabiną, zachwalającą uroki miasteczka, ale bez planu miasta kręcenie się po uliczkach i wypytywanie ludzi o miejsca, które chciałyby zobaczyć, nie ma sensu. A plan miasta powinna mieć recepcjonistka!

Beata wyszła z pokoju i zbiegła po schodach do holu. Zbliżając się do recepcji, dopiero teraz zwróciła uwagę na ścianę z drzwiami pośrodku, przegradzającą hol parę metrów za półokrągłym kontuarem.

Recepcjonistka, zapytana o mapę, pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Może znajdę jeszcze jakąś w biurze, ale nie obiecuję. To mała miejscowość, nie można się zgubić.

- Wiem, ale nie lubię pytać o drogę, a z planem miasta czuję się pewniejsza, że nie będę błędzić. - Beata przekonywała kobietę, której wyraźnie nie spodobał się pomysł poszukiwania mapy.

- To proszę zaczekać, pójdę sprawdzić. - Recepcjonistka sięgnęła po jakiś klucz i poszła w stronę biura.

Beata oparła się o gładki blat kontuaru, patrząc obojętnie na wpół otwarte drzwi, zza których dochodziły czyjeś podniesione głosy. Kiedy z każdą chwilą nabierały impulsywności i agresji, zaciekawiona, podeszła bliżej, po czym spojrzała na wizytówkę na drzwiach: Apartament prywatny. Wojanowscy.

Zerknęła w głąb pomieszczenia, które spełniało rolę przedpokoju, chociaż gustownie umeblowane, mogłoby doskonale służyć jako salon. Naprzeciw wejścia widniały jedne drzwi, natomiast po lewej stronie pokoju znajdowały się następne i to stamtąd dobiegała kłótnia. Beata zlustrowała wzrokiem hol, ale nikogo nie zobaczyła, więc przystanęła w drzwiach i, karcąc się w duchu, nasłuchiwała.

Głosy przybierały na sile. Na przemian: raz męski, raz kobiecy.

Teraz wściekała się Wojanowska:

- Dłużej tak nie może być! I nie będzie! Pakuj się i wynoś się jeszcze dzisiaj do tej swojej zdziry! A o małżeństwie ze mną zapomnij!

- Jadwiga! O czym ty mówisz?! Jaka zdzira? Kto ci naopowiadał tych bzdur?! Nikogo nie mam i nie zamierzam mieć!

- Ty bezczelny kłamco! Mam cię dość i nie zamierzam dłużej tolerować cię pod moim dachem! Myślisz, że nie wiem, co się stało z tym Janczakiem?!

Janczak! To autor książki-przewodnika po Stomewie! Beata z wrażenia zacisnęła pięści i wsunęła się o krok bliżej do pokoju.

-To był nieszczęśliwy wypadek! Co sugerujesz do cholery?!

- Bożena widziała ten... nieszczęśliwy wypadek! Zaległa cisza. Potem jakby odgłos przewróconego, ciężkiego mebla.

- Wariatko, chcesz mnie wsadzić do pudła?! Ten idiota poślizgnął się i walnął w łeb!

- Bożena powiedziała mi, że popchnąłeś go! Szkoda, że nie może tego potwierdzić, ale to cię raczej cieszy! Ja już postanowiłam! Rozchodzimy się i mówię to bardzo poważnie! Dość mam myszkowania po całym pensjonacie twoich kumpli, szukania nie wiadomo czego!

- Jakich kumpli?! Nikt tu niczego nie szuka! Każdy ma prawo chodzić, gdzie zechce! To nie jest więzienie, a pensjonat do cholery!

- Już ja wiem, o co wam chodzi! Kucharka powiedziała mi, że ktoś grzebał w zamku od piwnicy!

- Coś się jej przewidziało, niech idzie do okulisty!

- Zginął klucz od witryny, ten, który miała Bożena! Może wiesz, czyja to sprawka?!

-Nic nie wiem o kluczu, a Bożena kłamie! Cały dzień chodziła jak nieprzytomna! Nawet miałem zamiar ją zwolnić! Wojanowska wzburzonym głosem krzyknęła: -Zwolnić?! Tuja rządę! To mój pensjonat! Wyjeżdżam jeszcze dzisiaj na parę dni do córki, a jak wrócę, ciebie ma tu nie być!

- Żebyś nie żałowała, bo jak stąd wyjadę, to więcej nie wrócę!

- Masz gdzie wracać, do tej... - Wojanowska nie dopowiedziała.

Beata usłyszała trzask drzwi i odskoczyła z powrotem do holu. Recepcjonistka szła z planem miasta, mierząc ją

z daleka karcącym wzrokiem, po czym gwałtownym ruchem zamknęła drzwi apartamentu i usiadła za kontuarem.

- Proszę. - Położyła na blacie plan miasta. - To jedyny, jaki został.

- Dziękuję - Beata chwyciła go i z niepewną miną usprawiedliwiała się. - Oni tak krzyczeli... myślałam, że coś się stało.

- To nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Za parę dni będą trzymać się za ręce i słodko patrzeć sobie w oczy. Ale... myślę, że to zostanie między nami.

- Jasne! Ten... przyjaciel pani Wojanowskiej jest chyba trochę młodszy od niej - Beata wykorzystała chwilową chęć do rozmowy kobiety.

- A młodszy, młodszy i myśli, że ma przewagę nad nią, ale to niegłupia babka. W końcu z hukiem go wyrzuci! Zjawił tu się nie wiadomo skąd, zaraz po śmierci jej męża i tak uwijał się wokół niej, aż został do dzisiaj. Myśli, że jest tu najważniejszy.

- Nie lubi go pani.

- Nikt z personelu go nie trawi, a ja pracuję tu, bo nie mam innej pracy. Jak znajdę, to wynoszę się stąd w ciągu pięciu minut! - Recepcjonistka mówiła nienawistnym głosem.

- Słyszałam, jak pani Jadwiga krzyczała, że wyjeżdża do córki.

- Czasem jedzie do niej, do Gdańska. Basia mieszka tam z mężem. Rzadko tu przyjeżdża i wcale się jej nie dziwię. Ona też go nie znosi.

Zadzwoił telefon. Recepcjonistka podniosła słuchawkę i zagłębiła się z kimś w rozmowę, co dało pretekst Beacie do wyjścia w angielskim stylu.

Wróciła do pokoju, usiadła przy stoliku i obejrzała pobieżnie plan Stomewa. Jednak podsłuchana rozmowa wracała do uszu jak bumerang. Więc tak wygląda na pozór dobrana para... Wojanowska, dysponująca przyno-

szącym dochody pensjonatem i facet, który być może jest z nią wyłącznie dla spodziewanego zysku, żeniąc się z nią, lub wykorzystuje swoją pozycję, mając dostęp do każdego zakamarka nie tylko pensjonatu, ale i wielu hektarów lasu.

A co do śmierci Janczaka, autora książki o miasteczku, to zawsze jest śledztwo, kiedy ktoś umiera niespodziewanie, chociażby na wczasach albo na ulicy.

Beata spojrzała na zegarek. Trzeba się przebrać na kolację do restauracji, potem wykonać bardzo ważny telefon, po którym, obojętnie, jakim sposobem, musi dostać się do porcelany.

W dobrym nastroju wyszła z pokoju, na chwilę zatrzymała się w korytarzyku, ale z pokoju Sabiny nie dobiegał żaden dźwięk, więc udała się do restauracji.

Kolację zjadła w towarzystwie nieznanym jej z nazwiska osób, po czym, w drodze do wyjścia, na chwilę zatrzymała się przy stoliku Gartenów, życząc im smacznego. Gartenowie byli całą rodziną, nie brakowało także Agnieszki, która wyglądała olśniewająco; z wysoko upiętymi, jasnymi włosami, w białej sukience na bardzo wąskich ramiączkach, która doskonale eksponowała jej opaleniznę.

- Ciekawe, czy to dla Eryka taka odmiana? A może dla Kamińskiego?
- pomyślała Beata, idąc po schodach na piętro.

Z niecierpliwością czekała wieczoru, który w zasadzie nie został dokładnie zdefiniowany co do godziny, ale ponieważ druga zmiana w zakładach pracy kończy się o dwudziestej drugiej, więc postanowiła zadzwonić około dwudziestej trzeciej.

Kiedy odebrał telefon, czekała na jego opinię z zapartym tchem.

-1 co mi pan radzi? Kupić? - Było jej wstyd i czuła niesmak, okłamując nieznanego mężczyznę, ale zabawa w detektywa zaczynała ją wciągać, pomimo śmierci dwóch osób.

- Najpierw proszę sprawdzić, czy porcelana sygnowana jest zielonymi znakami naszkliwnymi. Takie znaki były stosowane od 1882 do 1945 roku włącznie.

- Sprawdzę - przerwała niecierpliwie Beata - ale co z tymi makami?

- Według fachowej literatury i katalogów kolekcjonerskich, na spodzie porcelany z makami powinna być korona, pod nią trzy kropki, pod nimi inicjały K.H, pod literami Porcellanfabriken Tiefenfurt i znowu pod fabryką Elisa. Przez „s”.

- Zapisałam, ale co oznaczają trzy kropki?

- To data produkcji, 1927 rok. Cała zaginiona kolekcja ma powtarzający się wzór.

- A Elisa?

- To model, taki jak „Egzaltacja” czy „Melancholia”. Oczywiście nie dotyczą tej porcelany. A co do kwiatów, to wydaje mi się, że to styl secesyjny, zresztą do dziś wszelkiego rodzaju ukwiecenia królują na przedmiotach z porcelany czy zwykłego szkła. To wszystko, co mogę pani powiedzieć.

- Bardzo mi pan pomógł. Jestem panu bardzo wdzięczna za tak szczegółową informację. - Beacie z wrażenia zadrżał głos.

- To drobnostka, ale proszę mnie powiadomić, kiedy dojdzie do transakcji. Bardzo chciałbym dowiedzieć się, czy filiżanka i talerzyki są oryginałami - poprosił Dobiecki.

- Jeśli nie zrezygnuję i dojdzie do kupna, to zadzwonię do pana. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Dobranoc.

- Dobranoc.

Beata położyła komórkę na stoliku i rzuciła się z rozmachem na łóżko, aż ugięło się pod nią. Teraz za wszelką cenę musi obejrzeć spód filiżanki i talerzyków. Po prostu poprosi o to kelnerkę, gdziekolwiek ją spotka. Oprócz restauracji, bo ta mogłaby zbyt głośno wyrazić swoje zdzi-

wienie, a to byłoby nad wyraz niebezpieczne, dotarłoby do zbyt wielu uszu.

Kolację podawała jakaś nowa, pewnie na miejsce Bożeny, może łatwiej będzie nakłonić ją do otworzenia witryny!

Beata spojrzała na zapisaną kartkę. Ciekawe, czy Elisa to ta młoda kobieta na fotografii w książce Janczaka? A Janczak? Co robił w pensjonacie? Czy tylko przyciągnął go urok jego położenia, czy coś więcej?

Na początku dwudziestego wieku wszystko tu wyglądało inaczej; pewnie Heckmannowie jeździli powozami lub wierzchowcami, więc gdzieś w pobliżu musiała być stajnia, powozownia, teraz stoją tylko garaże. Jeżeli naprawdę istnieje niewywieziony majątek fabrykantów, to albo w pensjonacie, albo... wokół niego!

Beata zerwała się z łóżka i podeszła do otwartego okna. Podparła się łokciami o parapet, spojrzała w górę na czarne niebo, potem w dal lasu.

Była głęboka noc, wiszący w górze księżyc oświetlał srebrnym światłem korony drzew, które, ledwo dostrzegalnie, kiwały się majestatycznie, cicho szemrząc. Krajobraz za oknem wyglądał tajemniczo, bajkowo, jak w książkach dla dzieci, brakowało tylko jeźdźców na koniach i tętentu kopyt na runie leśnym.

Nagle... ktoś ubrany na czarno, w spodniach, kurtce z kapturem, przemykał się między drzewami, ale tak cicho, że gdyby nie spojrzała przypadkowo w jego stronę, na pewno by go nie dostrzegła. Dziwne było to, że ktokolwiek to był, nie wybrał zwirowej ścieżki, tylko lawirował między drzewami.

Beata nie rozpoznała postaci, mogłaby to być zarówno kobieta, jak i mężczyzna; każdy z pensjonatu, kto miał w nocnym wypadzie jakikolwiek interes. Po chwili postać zniknęła w głębi lasu. Jednak sposób poruszania się tajemniczej osoby bardziej przypominał ruchy mężczyzny.

Beatę coś tknęło, wychyliła się w oknie i spojrzała w okno pokoju Sabiny.

Pomieszczenie było rzęsiście oświetlone, ale nie nocną lampką. To żyrandol tak rozświetlał pokój. Przypomniała sobie słowa Sabiny, że ta położy się spać, a to nie wyglądało na głęboki sen, tylko raczej na trudności z zaśnięciem.

Beata szybko podjęła decyzję. Zapuka do niej, pomimo mieszanych uczuć co do jej związku z tajemnicą porcelany, nawet narażając się na pełne niechęci spojrzenia.

Już po chwili przystanęła pod jej drzwiami i delikatnie zapukała. Cisza. Żadnego szmeru, kroków. Jeszcze raz zapukała, tym razem trochę głośniej. I znowu cisza.

- Sabina! To ja, Beata!

Po chwili rozległ się chrobot klucza w zamku, drzwi uchyliły się i Sabina, otulając się połami szlafroka, nie patrząc na Beatę, powiedziała krótko:

- Wejdz.

Potem odwróciła się i usiadła przy stoliku.

Beata zamknęła drzwi i niepewnie przeszła kilka kroków w głąb pokoju. Kiedy spojrzała na zmienioną twarz Sabiny, zaniepokoiła się, widząc jak siedzi nieruchomo, wpatrując się w...

Na stoliku leżał piękny purpurowy kwiat.

- O! Nie widziałam jeszcze takiego. Co to jest?

- To Dzwony Zmarłych - wyszeptała Sabina.

- Dziwna nazwa, ale kwiat jest piękny, jakie cudowne dzwonki. - Beata wyciągnęła do niego rękę i zaraz ją cofnęła, przestraszona okrzykiem Sabiny:

-Nie dotykaj!

Sabina miała upiornie bladą twarz.

-Nie dotykaj go! I odsuń się! Tam siadaj! - Pokazała na swoje łóżko.

Beata, zaskoczona jej kategorycznym tonem, usiadła na brzegu łóżka, przez chwilę milczała, po czym, po przedłużającej się nieprzyjemnej ciszy, powiedziała ostrożnie:

- Przepraszam cię za tą nocną wizytę, ale nie mogłam zasnąć, a u ciebie paliło się światło, więc pomyślałam, że nie śpisz, bo coś cię boli, albo... no wiesz... nie będę tego przypominać.

Sabina nie patrzyła na nią, ale z jej twarzy powoli znikało napięcie i wydawało się, że scena z purpurowym kwiatem była po prostu dobrze zagrana. Była przecież aktorką!

Nie... to były tylko pozory. Nadal w jej postępowaniu można było dostrzec niepokój, kiedy nakryła kwiat serwetą ze stolika i odwróciła się w stronę Beaty, nadal blada na twarzy.

- Zastanawiałam się, czy cię wpuścić, ale teraz należy ci się wyjaśnienie za moje zachowanie i za ten kwiat. - Pokazała na wystający z serwety koniec łądygi. - Już zasypiałam, kiedy usłyszałam jakieś szmery dobiegające z za okna, zapaliłam nocną lampkę i zobaczyłam, że coś jakby wisi na firance, a raczej leży na parapecie i wpycha firankę do środka. Kiedy noce są ciepłe, zawsze śpię przy otwartym oknie, budzę się tylko wtedy, kiedy zmarzną albo pada deszcz.

Zrobiła dłuższą przerwę, głęboko odetchnęła i przycisnęła obydwie ręce do piersi.

-W pierwszej chwili przestraszyłam się, bo pomyślałam, że to jakiś zwierzak chce do mnie wejść, półmrok mnie przerażał, więc zapaliłam górne światło i spojrzałam w okno. To nie było żadne zwierzę, tylko to!

- To tylko kwiat! - powiedziała z naciskiem Beata.

- Kiedy odkryłam co to jest, ciarki przeszły mi po plecach i wówczas wiele zrozumiałam. - Sabina zacisnęła usta, tym razem był to wyraz gniewu.

- Teraz po mnie ciarki przechodzą. Mam zacząć bać się kwiatów?

- Tylko niektórych.

- Ale skąd się tam wziął?!

- No, skąd?- Sabina zapytała tonem egzaminatorki.

-Nie wiem, może ktoś robi ci głupie kawały. Tylko w dalszym ciągu nie rozumiem twojej obawy przed nim. Jeżeli go nie chcesz, to ja go chętnie wezmę i włożę do jakiegoś szkła.

-Nie!

- No, w porządku. Idę do siebie. - Beata wstała i zamierzała wyjść, ale Sabina powstrzymała ją, łapiąc za rękę.

- Usiądź jeszcze na chwilę. - Po czym zaczęła mówić surowym głosem. - Nie przyglądaj się więcej tej porcelanie! Nie patrz więcej na te przekłete, czerwone maki!

- Nic z tego nie rozumiem. - Beata wzruszyła ramionami. - Przyjechałam tu na wczasy i już na wstępie pod moimi drzwiami leży trup, a ty mnie straszysz w środku nocy głupią porcelaną i zwykłym kwiatem, cokolwiek to znaczy! Może wreszcie powiesz, o co chodzi?!

- O życie!

- Czyje?!

- Każdego, kto chce za dużo wiedzieć i łązi po bibliotekach! - wybuchła Sabina.

- A kto mi zabroni?! Przyjechałam do więzienia?! -ostro zareagowała Beata.

-A... możesz chodzić i robić, co zechcesz. Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłam. - Pokazała na kwiat. - W końcu to takie głupstwo, zwykły kwiat, sama nie wiem, dlaczego tak zareagowałam.

Sabina próbowała zbagatelizować swoją wypowiedź, ale jej głos i tak zdradzał stan najwyższego niepokoju. Przeczesała szybkim ruchem dłoni krótkie włosy, a na jej ustach pojawił się wymuszony, delikatny uśmiech.

- Sabina, nie jestem naiwna, więc nie kręć i powiedz, dlaczego taki zwykły, czerwony kwiat, zrobił na tobie takie niesamowite wrażenie. Przecież to widzę.

- Nieważne, bo podjęłam już decyzję. Jutro wyjeżdżam do rodziców i już tu nie wrócę. Mam dość tego pensjonatu i niechcianych, dziwnych prezentów. - Spojrza-

ła z ukosa na stolik. - Sama widzisz, że jestem kłębkiem nerwów, a muszę jeszcze pojechać do Gdańska, żeby dowiedzieć się, kiedy będę mogła zabrać stamtąd siostrę. - Sabina wytarła łzy z kącików oczu.

- Przykro mi, że to się jeszcze nie skończyło.

- A! Wyjeżdżam i tobie też radzę.

- Skąd te ucieczki? - zdziwiła się Beata. - Wojanowska też... - ugryzła się w język.

- Co Wojanowska? - oczy Sabiny stały się bystre.

- Przypadkowo usłyszałam kłótnię w ich apartamencie... Drzwi były uchylone i słyszałam, jak Wojanowska mówiła, że dzisiaj wyjeżdża, ale więcej nic nie wiem.

- No tak... To spokojna kobieta i tylko on, ten jej niby mąż, mógł ją do tego sprowokować.

- Wiedziałaś, że Heckmann nie jest jej mężem? - Wystarczy raz tu przyjechać i wszystkiego się dowiesz.

- Tak, wiem.

Beata zawiesiła głos, podniosła się i, ziewając, zrobiła parę kroków w stronę drzwi.

- Idę się położyć, bo niedługo trzeba będzie wstać. I tobie też radzę. A co do wyjazdu, to nie mam zamiaru ruszać się stąd. Jestem ciekawa, co zrobisz z tym kwiatem, pewnie wyrzucisz, a ja chętnie wzięłabym go do pokoju.

- Och! Zaraz wstawię go do wody - Sabina powiedziała to tak obojętnym tonem, że wyglądało to na dobrze zagraną czarną komedię.

- Więc nie zobaczymy się już? - Beata położyła rękę na klamce drzwi.

- Wyjeżdżam rano, pewnie będziesz jeszcze spać. - To do zobaczenia kiedyś, życzę ci wszystkiego dobrego.

- Dziękuję. - Sabina wstała, podeszła do niej i wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Opal się na czekoladkę, dopó-

ki jest dobra pogoda, bo w sierpniu różnie bywa. Aha, a perukę daję ci w prezencie, ja mam drugą.

- Dziękuję i szerokiej drogi. - Beata uścisnęła jej rękę. - Na pewno kogoś ci dokwaterują, oby nie jakąś nudziarę.

- Mam taką nadzieję, dobranoc.

Beata, kiedy znalazła się już w swoim pokoju, podeszła do okna i wychyliła się. No tak. To było proste i łatwe do wykonania, nawet dla niej samej. Nie trzeba było wielkich sportowych umiejętności, aby wspiąć się na drzewo i wrzucić cokolwiek do czyjzegoś pokoju. Drzewa na całej długości pensjonatu przylegały tak blisko do okien, że była to wręcz zabawa w rzucanie do celu.

Sabina doskonale o tym wiedziała, ale milczała. Tylko to jej dziwne zachowanie! I co to za kwiat? W wazonie ładnie by wyglądał.

Beata odeszła od okna, starannie je zamknęła i, pomimo zdziwienia reakcją Sabiny na zwykły kwiat, teraz i ją ogarnęła obawa przed nocnymi prezentami. Szybko rozebrała się i, nie widząc nic niepokojącego w pokoju, położyła się do łóżka. Przez chwilę żałowała, że nie powiedziała Sabinie o czarnej postaci, przemykającej się ukradkiem wśród drzew, ale może by ją jeszcze bardziej przestraszyła?

Jeżeli ta postanowiła wyjechać, to jak to się ma do podsłuchanej rozmowy w Sali Kominkowej? To wszystko takie dziwne. I ten purpurowy kwiat...

Beata poprawiła poduszkę pod głową i zamknęła oczy. Ciekawe, kogo jej dokwaterują?

Rozdział 3

Nadkomisarz Nadolski, pochylony nad biurkiem, z wielką uwagą czytał kończący śledztwo raport młodego, ale zdolnego porucznika z jego Wydziału Kryminalnego. Raport, sporządzony na podstawie dokumentacji z Zakładu Medycyny Sądowej, jednoznacznie określał, iż śmierć Władysława Janczaka, lat 46, nastąpiła z przyczyn naturalnych, tj. z powodu rozległego zawału serca. Natomiast rany na głowie powstały wskutek uderzenia o twarde podłoże, w tym przypadku o murowany kominek w pensjonacie „Czerwone Maki” w Stomewie.

Wyniki patomorfologiczne, ustalone przez biegłego sądowego, były jednoznaczne, a zawał serca u prawie pięćdziesięciolatka nie powinien budzić podejrzeń, jednak kapitana zawsze ogarniały wątpliwości w sprawach nadzwyczaj prostych do wyjaśnienia.

Szczególnie teraz, kiedy w pensjonacie, w niewielkim odstępie czasu, wydarzył się kolejny tragiczny wypadek. Po wstępnych oględzinach ciała denatki na miejscu, przyczyna jej śmierci wywołała konsternację u lekarza sądowego, który nie widział związku z upadkiem ze schodów i powstałą tak małą raną głowy, a natychmiastowym zgonem.

Nadolski z niecierpliwością czekał na ostateczne wyniki z laboratorium, o które od dwóch dni wręcz alarmował, nie budząc tym sympatii u laborantów.

Zebrane odciski palców nie istniały w bazie danych policji, z czego wynikało, że nikt z przebywających w lustrowanych pomieszczeniach w pensjonacie, nie był karany. Pomyłka w identyfikacji wykluczona. Na kubku, z którego korzystała kelnerka, również nie znaleziono odcisków palców, co sugeruje, że to nie Gawronik go umyła, a ktoś, kto miał rękawiczki? Ostateczną analizę

wnętrza kubka dostanie niebawem, ciekawe, czego się dowie.

Wstał i podszedł do otworzonego na oścież okna.

Jeżeli dzisiaj i to za chwilę, nie otrzyma tych cholernych wyników, to zaraz pogoni całe to towarzystwo w laboratorium, z kierownikiem na czele.

Już od dłuższego czasu wróble na dachu ćwierkają, że w pensjonacie „Czerwone Maki” dzieje się coś niedobrego, szczególnie po publikacji książki tego nieszczęsnego Janczaka.

Nadolski usiadł przy biurku i zapalił papierosa. Nie mógł i nie chciał zapanować nad nałogiem palenia tytoniu. Wonny dymek uspokajał go, wprowadzał w dobry nastrój. Zaciągnął się, przez chwilę wpatrywał się w raport leżący na biurku i, po namyśle, powziął decyzję.

Zaraz po otrzymaniu wyników sekcji zwłok Bożeny Gawronik, a przeczucie podpowiadało mu, że czeka go długie, mozolne śledztwo, wysłał do pensjonatu jednego ze swoich najzdolniejszych pracowników, który przesłucha wszystkich wczasowiczów i zatrudniony tam personel, oczywiście włącznie z właścicielami „Czerwonych Maków”.

A pojedzie tam... komisarz Hubert Karbowski. To doświadczony policjant, brał udział w niejednym śledztwie.

Zadzwoił telefon.

- Nadolski - rzucił niecierpliwie nadkomisarz, sięgając po kubek z mocną kawą.

-Dzwonię z Zakładu Medycyny Sądowej. Mamy wyniki sekcji tej Gawronik.

- To dawajcie! Zaraz! - Nadolski o mało nie zachłysnął się kawą.

- Laborant już jest w drodze.

- Dziękuję.

Nadkomisarz wstał i wyszedł do pokoju sekretariatu.

- Proszę wezwać do mnie komisarza Karbowskiego -rzucił do policjanta siedzącego przy biurku - i natychmiast skierować do gabinetu człowieka z Zakładu Medycyny Sądowej.

- Jeżeli chodzi o komisarza, to muszę podzwonić, bo widziałem go już jakiś czas temu.

- To pilne. Mam nadzieję, że nie wybiera się na urlop, bo nie puszczę.

- Zaraz go znajdę.

Nadolski wszedł do biura, przez chwilę chodził niespokojnie po pomieszczeniu, w końcu ciężko opadł na stojący przy biurku fotel.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi, po czym do gabinetu wszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany po cywilnemu.

-Komisarz Karbowski melduje się... - zaczął, a widząc gest Nadolskiego, urwał i usiadł przy jego biurku.

- Siadaj!

- Co czytasz? - komisarz stuknął w raport leżący na biurku.

- No właśnie - westchnął Nadolski. - Z tym wiesz, Janczakiem, sprawa jest zakończona, zawał serca i to pierwszy, a tak rozległy, że chyba zobaczył upiора, ale... -zawiesił głos - mam pewne informacje, które nie ułatwiają mi przyjęcia tego raportu i tak po prostu wsunięcia go w akta sprawy. Niby wszystko jest w porządku, opis, krok po kroku z detalami, ale, no cóż, to będzie trudne do ustalenia. Nie ulega jednak wątpliwości, że zmarł na zawał!

- To co, rozgrzebujemy to od początku? - skrzywił się Karbowski.

- Nie! Nie! Mam zadanie dla ciebie, przy okazji pobyczysz się trochę, jakbyś był na wczasach, w pięknym miejscu, w ciszy, z dobrą kuchnią, z szumem fal prawie pod oknem - Nadolski mówił, jakby smakował każde słowo, obserwując przy tym niezbyt mądrą minę komisarza.

- Czyli wczasy z robotą na karku. Wolałbym, żeby to był kawał. Nie miałem jeszcze urlopu...

-Ja też. Pojedziesz do Stomewa, do pensjonatu „Czerwone Maki” i przesłuchasz wszystkie znajdujące się tam osoby, włącznie z gospodarzami. Chciałbym, żebyś wycisnął z tych ludzi wszystko, co wiedzą, widzieli i czego się domyślają. Daję ci tydzień czasu.

-I dużo, i mało. To wczasowicze. Wiesz, jak jest z takimi ludźmi, chcą mieć święty spokój i dobrze wypocząć. Nikt nic nie widział i nie słyszał.

-Dasz sobie radę, ale kiedy transz na zbyt mocny opór materii, możesz ich zaprosić uprzejmie do komendy i ręczę, że nikomu to się nie spodoba.

Karbowski siedział z niezadowoloną miną. Planował z żoną spędzić urlop w jakiejś zapadłej wsi w górach, a teraz sam pojedzie do pensjonatu, chociaż w sprawach służbowych.

- Co z kwaterą? Wyżywieniem?

-Już załatwione, dostaniesz pokój służbowy. Nie pytasz, w jakiej sprawie tam cię wysyłam?

- Domyślam się, że tej kelnerki. No i co tam właściwie się stało?

- Za chwilę będę miał protokół sekcji zwłok. - Nadkomisarz, na odgłos szybko zbliżających się kroków, spojrzął w kierunku drzwi. Nastąpiła chwila ciszy -pewnie dyżurny policjant, znany służbista, prawdopodobnie zatrzymał oczekiwanego laboranta i popisuje się swoją władzą.

- Zaraz będziesz go miał. - Karbowski kiwnął głową w stronę drzwi.

- A wiesz, że ten autor książki o Stomewie, był kolekcjonerem starej porcelany? - nadkomisarz wrócił do rozmowy.

- Ludzie zbierają różne rzeczy - wydał wargi Karbowski.

- No, to zanim wyjedziesz, poczytaj to sobie. -Nadolski wyjął z szuflady biurka książkę Janczaka. - Dla ułatwienia, ten rozdział. - Rozłożył ją, włożył między kartki kawałek papieru, po czym zamknął i podał komisarzowi.

- Marzyłem o czytaniu książek w robocie.

- Przeczytaj i potraktuj to jako polecenie służbowe - powiedział poważnie Nadolski. - A co do samego Janczaka, wszystko wskazuje na to, że jego śmierć była przypadkowa. Gdyby nie zawał, to wyróżnienie w kominek nie zabiłoby go. Tyle z raportu z sekcji zwłok.

- Czyli ci z chorobami serca nie powinni odwiedzać „Czerwonych Maków”. Kiedy wyjazd?

- Jutro. Kierowca cię zawiezie i wróci. Do gabinetu wsunął głowę policjant.

- Panie nadkomisarzu, przyszedł ktoś...

- Niech wejdzie - przerwał mu niecierpliwie Nadolski. Drzwi szeroko uchylły się i do pokoju weszła młoda kobieta z teczką dokumentów pod pachą.

- Dzień dobry - rzuciła od progu.

Ubrana w letnią sukienkę, szpilki, w krótkiej blond czu-prynce i w dość mocnym makijażu, wywołała zdziwienie w oczach obu mężczyzn, którzy wymienili ze sobą szybkie spojrzenia. Nie spodziewali się kobiety. Miał przyjść laborant.

- Dzień dobry. Proszę - Nadolski wykonał zapraszający ruch ręką.

Kobieta energicznym krokiem podeszła do jego biurka, położyła na nim plik dokumentów i, widząc ich zaskoczenie, uśmiechnęła się i wyjaśniła:

- Jestem Bogna Fornalik, stażystka w laboratorium kryminalistyki. Przesłano mnie z tymi papierami w ostatniej chwili, bo miałam być w zupełnie innym miejscu.

-Dziękuję. Spodziewałem się kogoś innego albo nawet samego szefa.

- Jest bardzo zajęty, ale w każdej chwili dostępny pod telefonem.

- Proszę usiąść, filiżankę kawy, herbaty? - zaproponował Nadolski.
-Dziękuję, ale czeka na mnie kierowca z zakładu, muszę wracać.
-W takim razie kawa będzie następnym razem -wtrącił Karbowski.
-I wtedy skorzystam - Fornalik skwapliwie potwierdziła.
- Pani Bogno, prokurator czytał już te papierzyska? -Nadolski wziął do ręki dokumenty i przewertował je.
- Tak, przed chwilą mu zawiozłam.
- A komendant?
- Ma również.
- Czy to już wszystkie wyniki? - nadkomisarz spojrział na stażystkę.
- Tak, szef mówił, że dodatkowe informacje może panu przesłać faksem.
- Może skorzystam, zobaczę. Dziękuję pani za przywiezienie tej lektury.
- Muszę już jechać, do widzenia. - Bogna spojrziała kolejno na mężczyzn i lekkim krokiem, stukając szpilekami, wyszła z pokoju.
-Fajne mają tam stażystki - mruknął z uznaniem komisarz, odprowadzając ją wzrokiem.
- Nie zapominaj, że masz żonę.
- Właśnie, a ty rozdzielasz rodzinę, zamiast puścić mnie w końcu na urlop.
Nadolski nie odpowiedział i pochylił się nad pierwszą stroną protokołu sekcji zwłok. Część tekstu, wstęp i część opisowa, jak wzrost, waga ciała itp., nie wywołała na jego twarzy żadnych emocji, natomiast część ostatnią, opinię sądowo-lekarską, czytał z narastającym zdumieniem na twarzy kilka razy z rzędu, co chwilę odrywał wzrok od tekstu, przeszywał spojrzeniem Karbowskiego, po czym znowu wracał do lektury.

Opinia sądowo-lekarska, przeznaczona dla przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, nie zawiera niezrozumiałych dla nich fachowych określeń lekarskich, więc tekst czyta się jak szkolny elementarz dla dzieci w pierwszej klasie.

Według opinii, śmierć kelnerki nastąpiła drugiego sierpnia, około godziny 23.40, wskutek zawału mięśnia sercowego, ale... wskutek zatrucia digitoksyną, występującą w naparstnicy purpurowej! Analiza treści żołądkowej i innych narządów, wraz z badaniami mikroskopowymi i laboratoryjnymi, wykazała, że podana została w ilości zagrażającej życiu, razem z popularnymi ziołami na dolegliwości wątrobowe! W toku postępowania ustalono, iż Gawronik wypła sparzoną w ten sposób herbatkę! Ślady trucizny, w wyniku szczegółowej analizy chemicznej, wykryto również w kubku denatki!

Samobójstwo czy morderstwo?!

Nadkomisarz cicho gwizdnął, odsunął dokumenty na bok, sięgnął po fotografie, przez chwilę w skupieniu je oglądał, po czym odchylił się do tyłu na fotel i wygodnie oparł. Zamruczał coś pod nosem i spojrzał na siedzącego naprzeciw mężczyznę.

-Wiedziałem, a raczej przeczuwałem, że coś wisi w powietrzu, ale to jest ponad moją wyobraźnię, przynajmniej na wczasach w pensjonacie! I jak tu nie palić?! - Sięgnął po paczkę papierosów.

- Co cię tak zdziwiło?

- Czytaj! - przesunął plik papierów w stronę Karbowskiego.

Nadolski zaciągnął się papierosem i czekał, aż ten zaznajomi się z dokumentami. Po chwili wstał, zgasił nie-dopalonego do końca papierosa, podszedł do otwartego okna, przez chwilę patrzył na plac podwórka, po czym zawrócił i opadł ciężko na fotel. Niebo było bezchmurne, trwał kolejny, ciepły dzień, wspaniała pogoda na wypoczynek, ale szef na pewno nie podpisze mu karty urlopowej.

- Ciekawe, kto ją tak lubił? - prychnął komisarz, odrywając wzrok od papierów i patrząc na Nadolskiego.

- Ten, kto sparzył jej tę herbatkę. Bo nie wierzę, żeby dobrowolnie wypła taką śmiertelną mieszaninę. I ty to ustalisz!

- To robota dla całego zespołu!

-Owszem, ale nie zawracaj sobie tym głowy. Na miejscu ustalisz plan przesłuchań i każdego dnia, powiedzmy w godzinach popołudniowych, prześlesz mi mailem raport z każdej przeprowadzonej rozmowy z wczasowiczami. Weźmiesz służbowego laptopa.

-Lekko nie będzie. Sam wiesz, jak ludzie są rozmowni, kiedy podejrzewają, że ich zeznania mogą być wykorzystane do ciągnięcia ich po sądach.

-Nie będzie - westchnął Nadolski. - Ten upadek ze schodów był tylko następstwem całej gamy objawów zatrucia. Muszą mi faksem przysłać cały dostępny materiał o tej truciznie, razem z fotografią tych kwiatów. W końcu nie jestem botanikiem.

Nadkomisarz chwycił za słuchawkę i wybrał numer Zakładu Kryminalistyki.

- Słucham? Sekretariat - rozległ się młody, dziewczęcy głos.

-Nadkomisarz Nadolski. Proszę połączyć mnie z szefem.

- Ale teraz jest ktoś u niego.

- Nieważne. Proszę mnie połączyć - rzucił niecierpliwie Nadolski.

Usłyszał westchnienie i po chwili w słuchawce zabrzmiał znajomy tembr głosu:

- No cześć, cześć. Dostałeś już cały materiał, nic więcej nie da się wycisnąć z badań tej kelnerki, bo domyślałam się, że o nią ci chodzi.

- Zgadłeś, ale mam prośbę, żebyś wygrzebał skądś, a raczej zlecił swoim ludziom, żeby przysłali mi faksem

dostępny materiał o naparstnicy, opisy jej działania, fotografie kwiatów. Dobrze byłoby, żeby tak wiesz, na jednej nodze, zaraz.

- Ale jesteś w gorącej wodzie kąpany! Zaraz! Jesteśmy zawałeni papierzyskami, nie mówiąc już o tym, że jest sezon urlopowy.

- Wiem, ale zrób to po starej znajomości. To ważne, inaczej nie zwracałbym ci głowy.

- No, dobrze. Poproszę chłopaków, żeby sklecieli jakiś materiał i za jakieś... no, nie chciałbym wprowadzać cię w błąd, ale powiedzmy, że za dziesięć minut coś ci przefaksujemy.

- Jestem winny ci przysługę. Wielkie dzięki. Cześć. Nadolski odłożył słuchawkę i wyprostował się na fotelu. Łokcie oparł na poręczach fotela.

Przez kilka minut panowało milczenie. Karbowski oglądał fotografie zrobione na miejscu wypadku, nadkomisarz patrzył przed siebie z kamienną miną.

-Jestem ci jeszcze potrzebny? -Komisarz odsunął fotografie i czekał na odpowiedź.

- W zasadzie nie. Zorganizuj sobie jutrzejszy wyjazd, pobierz co trzeba, delegację, dyktafon, laptopa, umów się z kierowcą. Może nie będziesz musiał siedzieć tam przez tydzień.

- Pojadę swoim wozem, nie lubię być odcięty od cywilizacji. Przecież ten pensjonat jest w środku głuszy! Poza tym nie sądzę, abym musiał przebywać tam dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przy okazji rozejrzę się po Stomewie i okolicy.

- W porządku. I pamiętaj o kontakcie ze mną. Co wieczór.

- Jasne. Odmeldowuję się. Cześć! - Wyciągnął rękę do Nadolskiego.

- Zaczekaj. Zostawiłem to na koniec. To akurat mogę ci powiedzieć, bo sprawa, którą rozpracowujemy, jest ści-

śle tajna, ale mam pozwolenie od starego na wprowadzenie cię w temat, inaczej trochę byś błądził. - Nadkomisarz patrzył na Karbowskiego, jakby chciał przeniknąć go wzrokiem. - Od dłuższego czasu współpracujemy z Interpołem i wspólnie namierzyliśmy w Szwajcarii szefa, mózg przestępczej bandy, okradającej na wielką skalę na całym świecie muzea, jubilerów, prywatnych kolekcjonerów z dzieł sztuki, platyny, złota, diamentów.

-A co ma z tym wspólnego pensjonat „Czerwone Maki”?

-Dużo. Musimy namierzyć jego prawą rękę, tu, w Polsce, a konkretnie w Stomewie.

- W pensjonacie? Bo zaczyna mi świtać w głowie.

- Nie mogę dalej rozkładać tego na czynniki pierwsze. Dostaniesz mailem instrukcje i prawdopodobne nazwiska osób, które trzeba wziąć pod lupę. I przypominam: książka!

- W porządku. Ta śmierć to nie przypadek, po trupach do celu.

- To by było wszystko... Aha, pod czwórką w pensjonacie mieszka młoda dziewczyna, wczasowiczka, wygląda na bystrą osobę, o ile dobrze pamiętam to jest... Beata Zabielska. Pogadaj z nią.

- Tak jest szefie. Odmeldowuję się. - Karbowski wstał i wyciągnął rękę do Nadolskiego.

- Powodzenia.

Karbowski w drzwiach spotkał się z policjantem, trzymającym w ręku białą teczkę.

- To pewnie kolejne obrazki - pomyślał, mijając go. Policjant wyjął z teczki kilka arkuszy i położył przed Nadolskim.

- Panie nadkomisarzu, przed chwilą przyszło to faksem.

- Dziękuję. Czekałem na te papierzyska. Policjant zamknął teczkę i wyszedł z gabinetu.

Nadkomisarz z zainteresowaniem najpierw przejrzał pobieżnie kilka stron dokumentów, następnie zatrzymał wzrok na fotografiach kwiatów.

Naparstnica purpurowa była pięknym kwiatem. Nawet on, facet, nieznający się rzekomo na pięknie przyrody, patrzył na zdjęcie z prawdziwą przyjemnością.

Z opisu wynikało, że długość rośliny mogła dochodzić do 120 cm, a ze względu na swoją urodę, uprawiana bywa w przydomowych ogródkach na kwiat cięty.

Duże, zwieszające się w dół kwiaty-kielichy mają purpurowo-czerwony kolor, natomiast długie, zielone liście są proszkowane w celu uzyskania digitoksyny - środka pobudzającego pracę serca.

Roślina bardzo trująca! Jedna z najbardziej trujących roślin w Polsce, posiada składniki chemiczne i działanie toksyczne, podobnie jak naparstnica zwyczajna. W Polsce nie stosuje się jej w ziołolecznictwie!

Objawy zatrucia: spowolnienie akcji serca, nudności i wymioty, kolka żołądkowo-jelitowa, zaburzenia widzenia, porażenia i kurcze.

Śmierć następuje wskutek zatrzymania akcji serca. Groźne zatrucie może spowodować już dawka 1-2 g wysuszonych liści, wobec czego zaniechano stosowania tego gatunku jako rośliny leczniczej.

Nadolski ciężko westchnął. Jeszcze raz przyjrzał się fotografii kwiatu, po czym wstał, wyjął z szafy pancernejszy plan akcji, do którego dostęp mieli nieliczni oficerowie, biorący udział w toczącym się od miesięcy śledztwie.

Usiadł przy biurku i przebiegł wzrokiem ich nazwiska. Wszyscy są na miejscu, a Wiedeński miał być odwołany z urlopu. Może w kadrach już coś wiedzą? Chwycił za słuchawkę.

- Co z komisarzem Wiedeńskim? Gdzie on w końcu jest? Opala się czy ściągnęliście go już z urlopu? - rzucił niecierpliwie do sekretarki.

- Komisarz jest właśnie u komendanta.

- Dziękuję.

Nadolski zamknął teczkę z planem śledztwa i ponownie zamknął w pancерnej szafie. Prowadzone od wielu miesięcy śledztwo było ściśle tajne i biorący w nim udział oficerowie byli z wielką starannością wyselekcjonowani wśród najlepszych policjantów. Dochodzenie wskazywało na kilka tropów, ale ten ze Stomewa okazał się wreszcie tym, który zakończy to mozolne śledztwo.

Teraz wypije kolejną bardzo mocną kawę, która powinna albo zlikwidować nagły ból głowy, albo go jeszcze bardziej wzmocnić. Zaledwie zrobił kilka kroków w stronę drzwi, do biurka zawrócił go dzwonek telefonu. Akurat teraz musi ktoś dzwonić!

- Nadolski - rzucił niechętnie.

- O czternastej pan komendant zwołuje naradę. Obecność obowiązkowa - usłyszał kobiecy głos.

- Proszę mnie z nim połączyć.

- O czternastej...

- Niech pani łączy!

Przez chwilę słuchał jakiegoś terkotania w słuchawce, po czym zabrzmiał dobrze mu znany męski głos:

- Jagielski.

- Nadolski. Panie komendancie...

- Dobrze, że pan dzwoni, proszę na naradę przynieść materiały operacyjne, te aktualne, tajne. Będą wszyscy biorący udział w dochodzeniu. Proszę więc przyjść z planem... - zawiesił głos, jakby czekał na przypomnienie nazwy.

- Kryptonim „Testament”.

- Tak. Czekam.

Minął tydzień od przyjazdu do pensjonatu i właśnie nadarzyła się długo oczekiwana okazja, do przyjrzenia się

z bliska porcelanowym makom i odczytania ich sygnatury. Stało się to szybciej, niż Beata mogła o tym zamarzyć, mijając tego dnia Salę Kominkową z torbą plażową pod pachą.

Zatrudniona w miejsce zmarłej kelnerki jej następczyni właśnie ścierała niewidoczny kurz z porcelany, stojąc przy otwartej witrynie gdańskich mebli. Beata podjęła błyskawiczną decyzję. W pomieszczeniu, oprócz dziewczyny, nikogo nie było, tym samym można było, nie wzbudzając podejrzeń osób, których spojrzenia zawsze wręcz czuła na plecach, kiedy zbliżała się do zastawy, udać wielkie zainteresowanie i zapytać ją, czy mogłaby obejrzeć z bliska te artystyczne wytwory ludzkiej ręki.

Beata zdecydowanym krokiem podeszła do dziewczyny.

-Dzień dobry pani. Jestem tu na wczasach i kiedy tylko tu przyjechałam i zobaczyłam tę porcelanę, nie mogę powstrzymać się, aby jej nie wziąć do ręki i przez chwilę potrzymać. Mogę wziąć do ręki filiżankę ze spodeczkiem? Na pani oczach - zagadnęła ją przymilnym głosem.

Dziewczyna trwożliwie rozejrzała się wokół, w stronę drzwi, potem zatrzymała wzrok na Beacie. Pokręciła przecząco głową.

- Nie... nie wiem..., nie wolno mi, mam polecenie, aby goście niczego tu nie dotykali, to znaczy tej porcelany, ponieważ jest bardzo droga. Tak mi powiedziała szefowa - powiedziała, stając plecami do otwartej witryny, jakby broniła do niej dostępu.

- Pani Wojanowska? -Tak.

-Ale jej nie ma. Wyjechała i nie wiadomo, kiedy wróci. No, proszę.

- Nie... nie... ale jest szef. - Dziewczyna broniła się już słabiej.

-Przecież tego nie ugryzę, nie upuszczę, to tylko szkło, ale piękne.

-No, dobrze, ale szybko. Nie chcę stracić pracy. -Dziewczyna odsunęła się od witryny z widoczną niechęcią.

Beata odetchnęła z ulgą, położyła torbę na stolik i sięgnęła po filiżankę. Starła się nie okazywać emocji, kiedy zobaczyła na jej spodzie sygnaturę opisaną przez Dobieckiego. Identyczną na odwróconym spodeczku.

Więc to tutaj rozgrywa się batalia o majątek Heckmannów, o ile to całe zamieszanie nie jest totalną bzdurą, podsycaną przez książkę Janczaka! Ostrożnie odstawiła na półkę porcelanę i odwróciła się do ciągle przestraszonej dziewczyny.

-No i widzi pani? Już po strachu. Chciałam tylko z bliska przyjrzeć się temu zakazanemu owocowi. Dziękuję. - Beata zrobiła obojętną minę, widząc tym razem zaciekawienie w jej oczach.

- Ja wykonuję tylko polecenia. Wczoraj, też... - urwała nagle.

- Stało się coś?

- Nie... jeden z gości też chciał oglądać te filiżanki, ale nie pozwoliłam... Jeszcze by upuścił, a ja straciłabym pracę. - Dziewczyna robiła się rozmowniej. - Pochodzę z dużej rodziny i muszę pomagać finansowo, a pani wie, jak trudno o pracę w małej miejscowości.

- Mieszka pani w miasteczku?

- Tak. Proszę nikomu nie mówić, że oglądała pani tę zastawę - poprosiła dziewczyna, zamykając witrynę na klucz.

-Niech się pani nie boi, nie powiem. W ogóle nie rozumiem tego całego zamieszania wokół tego szkła. -Beata udawała naiwną. - W domu mam o wiele ładniejsze filiżanki. A kto tak usiłował dobrać się do tego? - Kiwnęła głową w stronę witryny.

Nowa pracownica nagle straciła ochotę do dalszej rozmowy. Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie potrafi określić, o kogo chodzi.

- Jakiś gość, nie przyglądałam mu się.
- To życzę pani przyjemnego dnia, o ile można tak powiedzieć o pracy, pani...
- Renata.
- Pani Renato.

Beata chwyciła torbę i zadowolona z odkrycia autentyczności porcelany, żwawym krokiem pomknęła ku wyjściu z Sali Kominkowej. W holu stała grupka osób, być może umawiająca się na wspólny wypad gdzieś poza granice miasteczka, wśród nich nie było żadnej, z którą utożsamiała podejrzane zamiary odszukania majątku dawnych właścicieli.

Beata zbiegła po schodach i ruszyła żwirową alejką, prowadzącą na wzgórze, skąd biegła w dół dróżka nad morze.

Zatrzymała się i sięgnęła do torby po okulary przeciwsłoneczne. No, tak! Nie zabrała kremu z nitrem do opalania, a słońce tak parzyło, że mogłaby wrócić czerwona jak raczek! Większość dnia ukrywać się za krzakami? O, nie! Niezadowolona zawróciła i, mrużąc pod nosem niecenzuralne słowa, założyła okulary. Dobrze, że niesiona entuzjazmem po odkryciu autentyczności porcelany, nie odeszła od pensjonatu zbyt daleko.

Szybko pokonała schody wiodące do budynku, po czym weszła na piętro i podążyła korytarzem do swojego pokoju. Sabina wyjechała, więc bez uprzedniego sprawdzania, czy jest, zawsze zamykała wejściowe drzwi do wspólnego korytarzyka dwóch pokoiów.

Włożyła klucz, ale drzwi nagle otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna.

Przez chwilę patrzyli na siebie w osłupieniu, z niezbyt mądrymi minami. Trwało to nieprzyjemnie długo, po czym na ich twarzach odbiło się coś w rodzaju zaskoczenia niespodziewanym spotkaniem i poszukiwaniem sytuacji, zdarzenia, które przybliżyłoby znajomą skądś osobę.

Beata niepewnie zapytała:

- Daniel?!

- Beata?!

- Co tu robisz?

- Prawdopodobnie to, co i ty. - Młody, krótko ostrzyżony mężczyzna patrzył na nią z lekkim uśmiechem na opalonej twarzy. - Przyjechałem tu wczoraj na wczasy, po prostu. Kumple bardzo polecali mi to miejsce. Zmieniłaś się, trudno cię poznać, pewnie dlatego, że długo się nie widzieliśmy.

- Uff... tak mnie zaskoczyłeś, że... muszę przez chwilę ochłonać. - Beata minęła go i przystanęła w korytarzyku, opierając się plecami o ścianę.

Daniel zdziwiony zapytał:

- Ty tu mieszkasz? - Pokazał na drzwi. - Nie miałem pojęcia, kogo dzieli ze mną łazienka. Przyjechałem późnym popołudniem i nawet nie skorzystałem z kolacji, bo na pewno byśmy się wcześniej spotkali.

- Na pewno, ale dość późno zdecydowałeś się na wczasy, minęła już połowa turnusu, a pensjonat pęka w szwach od gości. Ten pokój - Beata kiwnęła głową w jego stronę - do niedawna był zajęty.

- To miałem szczęście, ale zostaję na drugi turnus, więc urlop będzie udany, szczególnie, jeżeli ma się taką sąsiadkę. Wybierasz się gdzieś?

- Nad wodę, wróciłam tylko po krem. A ty? - Muszę jechać do miasteczka. Spotkamy się po obiedzie? Cieszę się, że jesteśmy sąsiadami. To było chyba jedyne wolne miejsce, ale nigdy bym nie przypuszczał, że jeszcze się kiedyś spotkamy. - Daniel mówił to, patrząc na nią z wyraźną przyjemnością. - To jak ze spotkaniem? A może masz inne plany, nie chciałbym się narzucać. - Miał przenikliwe, ale ciepłe spojrzenie szarych, z niebieskimi iskierkami oczu.

- Moje plany to wczasowe lenistwo, przeplatane włóczęgiem się po okolicy, opalaniem i wizytami w restauracji, więc teraz chętnie z tobą trochę się powłóczę. - Beata

zadowolona z takiego obrotu sprawy, skwapliwie przystała na propozycję.

Daniela poznała przez Michała na jakiejś studenckiej imprezie, wówczas związany był z jakąś dziewczyną, ale zapamiętała jego oczy, patrzące na nią więcej, niż tylko z zainteresowaniem.

Nawet podobał się jej, był przystojny, inteligentny, błyskotliwy, kończył jakieś studia, ale wtedy zawrócił jej w głowie Michał.

- To której godzinie się spotkamy? Zapukam do ciebie.

- O szesnastej? Powłóczymy się trochę, tutaj są piękne okolice.

- Świetnie, dostosuję się. To do zobaczenia. - Daniel pochylił się, bezceremonialnie pocałował ją w policzek i wyszedł na korytarz.

Beata, nieco zaskoczona jego poufałością, wygrzebała z przepastnej torby klucz, otworzyła drzwi swojego pokoju, zabrała ze stolika pudełeczko z kremem, po czym ruszyła z powrotem w drogę nad morze.

Była prawie połowa sierpnia i słońce mocno przygrzewało, zachęcając do słonecznych kąpiei. Drogę na swoje ulubione miejsce, gdzie fale Bałtyku prawie podpływały pod wzgórze, Beata przebyła w radosnym nastroju, ciesząc się z czekającego ją spotkania z Danielem. Rozłożyła wielki, kąpielowy ręcznik, zrzuciła z nóg sandaalki, zdjęła spodnie, bluzkę i stojąc w czarnym kostiumie kąpielowym, natarła ciało kremem, uśmiechając się pod nosem, że szkoda, że go tu nie ma, bo plecy zawsze pozostawały trudnym do wysmarowania kawałkiem ciała i chętnie by skorzystała z pomocy takiego faceta. Schowała krem, usiadła, podparła się dłońmi i z wyciągniętymi nogami obserwowała kluczące nad falami mewy.

Jakiś szmer, jakby szuranie stopami po trawie na płaszczyźnie wzgórza, zwróciło jej uwagę, ale kiedy podniosła się i spojrzała do góry, nikogo nie zobaczyła.

- Pewnie jakieś ptaki grasują w trawie - pomyślała, leniwie kładąc się na plecach i wystawiając twarz ku słońcu.

Po chwili trzepot skrzydeł odlatujących ptaków potwierdził jej przypuszczenia, bo Agnieszka na pewno by się nie skradała, wiedząc, że może ją tu spotkać.

Kilka godzin później, kiedy coraz częściej siadała w cieniu za kępą krzaków, Beata zdecydowała o powrocie do pensjonatu. Spojrzała na wąski pasek plaży i rozbijające się na nim morskie fale, podchodzące w zrywach pod samo podnóże wzgórza, które zachęcały do zanurzenia się w nich choćby na chwilę.

Beata wstała i weszła po kolana do morza. Było chłodne i kojące. Fale omiatały jej nogi i z szumem rozbijały się na piasku. Przez chwilę brodziła przy brzegu, wzdrygając się przy każdym niespodziewanym prysznicu zimnych kropel, po czym wyszła z wody, ręcznikiem wytarła mokre nogi, ubrała się, wrzuciła ręcznik do plażowej torby i zeszła ze wzgórza w drogę powrotną.

W drodze do pensjonatu, gdzie plaża była wyraźnie szersza, mijała nielicznych amatorów czekoladowej opalenizny, kilku z mężczyzn rzucało się w morskie fale, natomiast kobiety wybrały przypiekanie na słońcu.

- Już pani wraca? - jakaś nieznana jej z nazwiska szatynka z widocznymi, czerwonymi rączkami na plecach, patrzyła na nią przyjaźnie.

- Tak, na dzisiaj dość tych przyjemności, słońce bardzo piecze. - Beata przystanęła i, przysłaniając oczy, spojrzała w górę.

- Taką pogodę trzeba wykorzystać, bo jutro może zacząć padać deszcz.

- Nie, nie zanoszę się na to, ale proszę zakryć plecy, wieczorem będą piekły. - Beata z góry współczuła jej skutków spalenia skóry.

- Już to czuję, ale wczasy, to wczasy. Opalenizna obowiązuje - szatynka wyraźnie lekceważyła żar słońca.

- No tak. Do zobaczenia w restauracji.

Beata minęła rozłożone na piasku towarzystwo, przeszła kilkanaście metrów i powoli wspięła się na wydeptaną ścieżkę na zboczu wzgórza.

W lesie okrył ją cień koron drzew, zapach ściółki leśnej, igliwia, przyjemnie zabrzmiał subtelny szum drzew liściastych, rozłożystych buków, klonów, to wszystko wprawiało ją w doskonały nastrój, a do tego niespodziewane towarzystwo Daniela...

Spotkanie z nim wymagało doprowadzenia się do stanu świeżości, pięknego wyglądu, ale nawet nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego aż tak na tym jej zależy. Jest na wczasach, a więc na całkowitym luzie i nie musi oszałamiać swoim wyglądem żadnego faceta.

Tak powiedziała by Michał.

Ale on jest facetem i nie rozumie chociażby przymierzania przed lustrem kilku kiecek z wypiekami na twarzy, robienia głupich min i szastania włosami we wszystkie strony, starając się wybrać najbardziej twarzową fryzurę.

Idąc żwirową ścieżką, usłyszała, a raczej wyczuła za sobą czyjeś kroki, potem głos męczyzny:

- Dzień dobry.

Beata odwróciła głowę i zobaczyła uśmiechniętego Heckmanna, trzymającego w ręku wiklinowy koszyk. W pełnym świetle dnia widać było wyraźną różnicę wiekową między nim a Wojanowską. Mógł mieć około czterdziestu paru lat, ale młodzieżowy ubiór znacznie go odmładzał, a lekko posiwiałe po bokach włosy, dodawały mu męskości.

- Dzień dobry. - Przystanąła, a kiedy zbliżył się, zajrzała do koszyka. - O! Nie znalazł pan żadnego grzyba? Nie będzie pysznej kolacji.

- Za mało opadów, a właściwie wcale ich nie ma. - Heckmann westchnął i wzruszył ramionami. - A grzyb, jak pani wie, najlepiej rośnie po deszczu.

- To wiem, ale grzybów nie zbieram, bo nie odróżniam tych trujących, od tych nietrujących. Ale jeść je lubię, zwłaszcza takie prosto z patelni.

Ruszyli w stronę pensjonatu.

- Jak pani podoba się w naszym pensjonacie? - zagadnął Heckmann. - Jeżeli czegokolwiek pani brakuje, to proszę zgłosić to w recepcji albo w biurze.

- Dziękuję, ale niczego nie potrzebuję, jedzenie smaczne, łóżko wygodne, ładna okolica. Czego więcej potrzeba na wczasach? Tylko spokoju, bo... - Beata zawahała się - bo nieczęsto zdarzają się takie wypadki.

- Tak... - mężczyzna spochmurniał. - Ale życie toczy się dalej - dokończył obojętnie.

- Nie widzę pani Wojanowskiej. Pewnie wyjechała? - Beata udała, że nie wie o tym.

- Wyjechała - powiedział krótko.

Minęli placyk przed budynkiem, wspięli się na schody werandy, po czym Heckmann otworzył drzwi pensjonatu, przytrzymał je i przepuścił Beatę przed sobą.

- Smacznego obiadu - rzucił, kierując się w stronę apartamentu.

- Dziękuję.

W pensjonacie panowała senna, wczasowa atmosfera, jakby nie wydarzyło się nic, co zasługiwałoby na szepty po kątach i zbieranie się w małe grupki, z ożywieniem coś komentujące. Od wypadku upłynęło już kilka dobrych dni i sprawa rozeszła się po przysłowiowych „kościach”. Nawet recepcjonistka, podparta łokciem o blat kontuaru, patrzyła gdzieś w przestrzeń ze znudzonym wyrazem twarzy.

Jedynie, jak zwykle w holu, z kuchni, oprócz szczęku talerzy, rozchodziły się smakowite zapachy, które przypominały Beacie dobre, domowe jedzenie, i potęgowały jeszcze większy apetyt na spałaszowanie tych pyszności, które przygotowały kucharki.

Po drodze do pokoju minęły ją grupki wczasowiczów, w których zauważyła rozgadaną z jakąś kobietą, Krystynę Garten.

- Pani Beato! - usłyszała jej głos.

Gartenowa odłączyła się od grupy i złapała ją za rękę.

- Dzisiaj pani usiądzie przy naszym stoliku - powiedziała kategorycznie. - Znika pani na cały dzień, a ja bardzo polubiłam pani towarzystwo. No, idziemy na obiad.

- Miło mi to słyszeć, ale wracam z plaży i najpierw muszę wziąć prysznic. Jeżeli będzie wolne miejsce obok pani, to na pewno przysiądę się. A teraz pędzę do łazienki. - Beata uśmiechnęła się przepraszająco.

-No to czekam. Moja rodzinka gdzieś przepadła, więc o krzesło proszę się nie martwić.

- W takim razie do zobaczenia w restauracji. Drzwi do wspólnego korytarzyka były zamknięte na

klucz, co oznaczało, że Daniel nie wrócił z miasteczka i spotkają się o wyznaczonej godzinie.

Beata była zadowolona z niespodziewanej odmiany spędzania teraz czasu z przystojnym chłopakiem, chociażby tylko w niektóre dni i wieczory, bo nigdy nie narzucała nikomu swojego towarzystwa i chociaż polubiła samotne wypady nad morze, to obudziła się w niej na nowo żądza do przetańczenia i przegadania nocy.

W pokoju rzuciła na podłogę plażową torbę, z lodówki wyjęła butelkę z gazowaną wodą, łączywie się z niej napiła, a po chwili już stała pod prysznicem, poddając się z wielką przyjemnością spadającej na nią ciepłej wody.

Do restauracji zeszła w krótkiej sukience, ładnie eksponującej opaleniznę, w sandałkach, bez makijażu, z upiętymi z tyłu włosami. Wiele stolików było wolnych, pod oknem ktoś do niej kiwał ręką.

To Gartenowa. Sama.

Od czasu podsłuchania rozmowy w Sali Kominkowej, Beata, umieszczając ją w kategorii mniej lub bardziej nie-

bezpiecznych osób, starała się unikać jej towarzystwa, ale teraz przybrała pogodną minę i ruszyła w jej stronę.

Omijając stoliki, nie zauważyła osób, które ją tak intrygowały, ale była już późna pora obiadowa i po konsumpcji nikt raczej nie zatrzymywał się w restauracji na dłużej, bo kawa zazwyczaj była podawana w Sali Kominkowej.

- Myślałam, że pani już nie przyjdzie - powiedziała Gartenowa, kiedy Beata zajęła miejsce przy stoliku. - Specjalnie nie zamawiałam jeszcze niczego, bo czekałam na panią.

- A mnie czas tak szybko upłynął, że nawet spodziewałam się pełnej sali, a tu prawie pusto. - Beata powiodła wzrokiem wokół.

- To co zamawiamy?

- A jaki jest wybór?

- Idzie kelnerka. Zaraz się dowiemy.

W ich kierunku zmierzała ta sama dziewczyna, którą Beata zastała przy odkurzaniu porcelany.

- Dzień dobry. Proszę - podała kartę dań obiadowych. Obydwie zgodnie wybrały owocową zupę, z drugiego

dania ziemniaki z wieprzowym gulaszem i mieszankę surówek.

-Ta owocowa chyba nas nie zemdli - Gartenowa zrobiła śmieszoną minę.

- Raczej nie, to wiśniowa, najwyżej poplujemy pestkami.

- Gdybym miała w domu taką kucharkę, jaka jest tutaj, to za nic w świecie nie weszłabym do kuchni - westchnęła Gartenowa. - Ale nas nie stać na taką pomoc domową, a dla mnie byłaby ona bezcenna. Mamy własny dom i samego sprzątaną jest dla co najmniej dwóch osób.

- Jesteście państwo większą rodziną?

-Nie, nie, oczywiście jest dalsza rodzina, ale interesy w tych trudnych czasach wymagają większego poświęce-

nia czasu prywatnego. A dom? Eryka nasze sprawy nie interesują, a na pracownikach nie zawsze można polegać.

- A Agnieszka? Jest prawie w waszej rodzinie. Mogłaby pomagać w księgowaniu albo prowadzeniu sklepu czy hurtowni, nie chciałabym wypytywać, ale handel z tym mi się właśnie kojarzy.

Na wspomnienie o dziewczynie Eryka, na twarzy Krystyny pojawił się grymas niechęci.

Pokręciła głową i powiedziała oschłym tonem:

-Ona się do tego nie nadaje. No, idzie kelnerka. -Zabrzmiało to jak ulga.

-Wygląda na bystrą dziewczynę, ale pewnie dużo czasu zajmuje jej trening, jest sportsmenką.

Kobieta przytaknęła głową, nie zabierając głosu, z miną dającą do zrozumienia, że rozmowa o dziewczynie Eryka nie przypadła jej do gustu.

Jednak Beata postanowiła drażyć temat. Taka okazja mogłaby się więcej nie powtórzyć, a unikanie rozmowy o Agnieszce może świadczyć, iż obydwie panie nie darzą się zbyt wielką sympatią. Zresztą Krystyna Garten nie na próżno zaprosiła ją do stolika; ona też chciała zadać jej kilka z pozoru niewinnych pytań. Beata wyczuwała to intuicyjnie, cały przebieg wydarzeń od chwili przyjazdu do pensjonatu znacznie wyostrzył jej zmysły spostrzegania różnych wydarzeń, a wspólny obiad był z pewnością tylko pretekstem do pogawędki, mającej na celu wysondowanie od niej jakichś informacji. A jakich? Za chwilę się na pewno się dowie.

Kelnerka postawiła na stoliku dania i oddaliła się, życząc smacznego. Konsumpcja owocowej zupy stanowiła doskonałą pauzę do zastanowienia się nad wyborem kierunku zadania pierwszego pytania. Pomimo zachwyty nad kucharką, Gartenowa zjadła zaledwie połowę porcji i odsunęła na bok talerz.

- Nie smakuje? - Beata spojrzała na nią zdumiona. -Jest pyszna.

- Trochę kwaśna, wolę bardziej słodkie zupy.

Beata z zadowoleniem spałaszowała danie, sięgnęła po papierową serwetkę i, przerywając ciszę, która zapadła, zagadnęła z obojętną miną:

-Nie chciałabym być ciekawska, ale Agnieszka chyba dobrze się zna z tym... nie mogę przypomnieć sobie nazwiska... a przecież przedstawiał mi się w Sali Kominkowej... z Kamińskim! Przypadkowo słyszałam ich rozmowę w holu albo gdzieś na placu, mówili sobie po imieniu.

-A tak! Tak! - Swobodny ton głosu Krystyny nie przekonał Beaty. - Poznali się, o ile dobrze pamiętam, na zawodach wioślarskich we Wrocławiu, gratulował jej i koleżankom zajęcia pierwszego miejsca. Widocznie ten rodzaj sportu go interesuje.

- To on też jest z Wrocławia?

- Też? - Na twarzy kobiety odmalowało się zdziwienie. - Och, nie, to znaczy on pewnie tam mieszka, ale my, jak pani wie, nie mieszkamy w samym Wrocławiu, natomiast Agnieszka tam trenuje w klubie sportowym. Od jakiegoś czasu mieszka u nas, mają się pobrać z Erykiem. A poza tym, sama pani wie, jak to jest na wczasach, wszyscy pomалу się poznają. My - uśmiechając się, wykonała ruch dłonią w stronę Beaty - jesteśmy na to dobrym przykładem.

- Oczywiście, widzimy się prawie codziennie, nawet w ciemnościach można rozpoznać sylwetkę, jeżeli dobrze się jej przyjrzymy - zaszarżowała Beata, czekając na reakcję Gartenowej.

Twarz kobiety stężała.

-W ciemnościach? - powtórzyła, patrząc na nią byстрыm wzrokiem.

- To tylko przykład. Ja rozpoznam człowieka chociażby po charakterystycznym chodzie, czy zarysie postaci, to kwestia spostrzegawczości.

-I dobrego wzroku.

- Nie noszę okularów, jeszcze nie.

- A pani współlokatorka nie zejdzie na obiad? - zmieniła temat Gartenowa. - Nie widuję jej, chyba od wypadku. Zresztą zawsze rzadko schodziła do restauracji.

- Sabina? Jej już nie ma. Wyjechała, chyba źle się poczuła.

- Taak?

Tu już nie było wątpliwości, że przeciągnięte „tak” zabrzmiało fałszywie. Na twarzy Krystyny odbiło się niecierpliwie oczekiwanie na poprowadzenie rozmowy właśnie w tym kierunku.

- Ale chyba wróci? W końcu przyjechała na wczasy, opłaciła pobyt, a takie nieszczęścia zdarzają się, oczywiście to dramat dla rodziny tej kelnerki, ale stało się.

Beata skierowała spojrzenie na nadchodzącą kelnerkę i powiedziała obojętnie:

- Widocznie miała inne plany. Nie zwierzała mi się, za krótko się znałyśmy, zaledwie parę dni na wczasach.

- Współczuję jej z powodu śmierci siostry. Wyglądała na załamana.

- Więc pani wie, że to była jej siostra? - Beata była zaskoczona.

-Przez przypadek. Janusz, to znaczy ten lekarz, powiedział nam o tym, ale nie wypytywaliśmy - Gartenowa zaraz zastrzegła i spieszyła się. - Jakoś tak wyszło... kiedyś przysiadł się do naszego stolika.

- Ciekawe, skąd on wiedział, że są siostrami? Może jest z nimi spokrewniony? - spytała podchwytliwie Beata.

-Tego nie wiem, może rozmawiał z Sabina, wtedy na korytarzu, kiedy tak rozpaczała. Ja znam pani współlokatorkę stąd, z pensjonatu, niezobowiązująco, więc nie miałam pojęcia, że to jej rodzina.

Kłamie! Sabina mówiła, że zna Gartenów nie tylko ze Stomewa, więc kobieta po prostu kłamie! Ciekawe, czy wie, że lekarz jest byłym mężem Sabiny i o tym, że jej przyszła synowa romansuje za plecami Eryka!

A więc Krystyna Garten nie jest tylko handlarką o gołębim sercu, jaką chciałaby się wydawać otoczeniu, za maską ciepłej osoby kryła się kobieta o wiele silniejsza, sprytniejsza, niż można byłoby ją o to posądzić. Doskonale gra rolę żony, matki, kobiety pracującej! Ciepła, miła kobieta...

Czy byłaby zdolna do zepchnięcia kelnerki ze schodów? Jeśli tak, to w jakim celu? A jej mąż? Albo Eryk? Agnieszka z zazdrości, kiedy dowiedziała się o tej drugiej? Zepchnęła, nie przewidując tragicznych skutków?! Dziewczyna wygląda na przebojową osobę, taką, która nie musi walczyć o swoją pozycję w związku z facetem i stawia swoje warunki, co do jego trwałości. Eryka oszukuje, może nawet już niejedną raz, a on godzi się na to, bo ją kocha?

Ciekawe towarzystwo. Spojrzała na Gartenową, patrzącą w stronę kuchni. Miała pogodną twarz; typowa wczasowiczka.

- Ale się guzdrze - ta westchnęła. - Tamta była taka zwinna, szybka.
- Już idzie.

Beata lekko odchyliła się, robiąc miejsce kelnerce stawiającej talerze z jedzeniem. Sięgnęła po sztućce i pochyliła się nad talerzem.

- Do domu pojedę cięższa o kilka kilogramów. Będzie z tego zadowolona moja matka, bo ja na pewno nie. Ale mam tu taki apetyt! - Beata z przyjemnością zabrała się do jedzenia.

- I ja, przecież zostajemy w pensjonacie do końca miesiąca.
- Zostajecie państwo na drugi turnus? - spytała zaskoczona Beata.
- Oczywiście. Nie tylko my. Są tu osoby zakochane w tym miejscu i robią rezerwację na cały miesiąc. O, chociażby ten łysawy mężczyzna z żoną i ci wczasowicze obok ich stolika. I paru innych.

Gartenowa wskazała ich wzrokiem, po czym zajęła się konsumowaniem chwalonych przez nią specjałów z kuchni.

Przez chwilę nie odzywały się do siebie, pochylone nad talerzami. Restauracja prawie opustoszała, kelnerka zbierała zastawę ze stolików, zanosila ją do kuchni, po czym wracała i czyściła stoliki.

- No, to było znakomite, ale kolacji dziś już nie jem -oznajmiła Krystyna, odsuwając na bok tym razem pusty talerz. - Ciekawe, gdzie podziala się moja gromadka - potoczyła dookoła wzrokiem.

- Znajdą się, pewnie są w miasteczku nad jeziorem. - Beata złożyła sztućce na talerzu i oparła się wygodnie o krzesło.

- Widzę, że zna pani okolice miasteczka. Pewnie jeździ tam pani, bo trudno jest wytrwać w jednym miejscu, nawet tak pięknym jak tutaj.

-Byłam tam raz, to mała miejscowość, ale przytulna, wszędzie można trafić z łatwością. Jest tam piękny park z oczkiem wodnym.

- Niedługo koniec turnusu, wraca pani do domu, czy ma inne plany wykorzystania wolnego jeszcze czasu? -zapytała z ciekawością Gartenowa.

Jasne! Musiała o to zapytać. Z pewnością od dawna traktowała ją jako konkurentkę do majątku dawnych właścicieli, a to już jest niebezpieczne! Być może wypytywała nawet o nią Sabinę? Rodzina Gartenów to nie są zwykli wczasowicze!

Beata, udając ożywienie, powiedziała z entuzjazmem:

- Zostaję tu do końca sierpnia. Mam rezerwację na dwa turnusy. Tyle tu jest ciekawych miejsc, że na pewno wrócę do pensjonatu, jak tylko nadarzy się okazja.

- O! Więc witamy w gronie miłośników tych pięknych okolic!

- Dziękuję. Mój ojciec wiedział, po co mnie tu przysłał - dodała nieostrożnie, wzbudzając tym błysk w oczach

kobiety, po czym poprawiła się, dodając: - On jest wzrokowcem, nieważne gdzie jedzie, byle to było piękne, zielone i spokojne miejsce. I białe zimą.

Beata spojrzała w okna restauracji. Nad zielonymi koronami drzew niebo było nadal bezchmurne, błękitne, jak namalowane pędzlem artysty.

- Mam nadzieję, że pogoda się nie zmieni, bo nie lubię moknąć na spacerach - powiedziała z niepokojem.

- Lubi pani samotne spacerowanie?

- Ale tylko od czasu do czasu.

- Niedługo kogoś pani dokwaterują, pensjonat musi na siebie zarabiać - zauważyła Gartenowa, patrząc z ciekawością na dziewczynę.

- Już mam nowego współlokatora.

- To mężczyzna? - ta szczerze zdziwiła się.

- Tak, to nawet mój znajomy, nie widzieliśmy się chyba.... - Beata zastanowiła się - chyba od roku, może dłużej. Nie pamiętam, ale cieszę się z jego przyjazdu.

- Więc ten dzisiejszy spacer jest z nim - domyśliła się kobieta. - To ktoś w pani wieku? Przepraszam, że tak wypytuję, ale to tylko babska ciekawość - Gartenowa patrzyła bystro na Beatę.

- Trochę starszy, jakieś parę lat.

- W takim razie życzę przyjemnych spotkań. Samotność, nawet w tak uroczym miejscu, jest dobra, ale na krótki dystans, potem jednak ciągnie do człowieka.

- Tak, tym bardziej, że czasem wraca do mnie ta historia z kelnerką i sama czułabym się nieswojo. Przecież ona leżała prawie pod moimi drzwiami. Teraz mam obok faceta i to przystojnego. - Beata uśmiechnęła się, wspominając Daniela.

Krystyna Garten pokiwała głową, ale nie podjęła tematu, tylko lustrowała wzrokiem pomieszczenie, jakby kogoś wypatrywała.

- Szuka pani kogoś? - zaciekawilo to Beatę.

- Nie, nie - kobieta przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się.

- A wie pani, że właścicielka pensjonatu wyjechała?

- Tak coś podejrzewałam, bo zazwyczaj widywałam ją, jak krzątała się to tu, to tam, wie pani jak to jest, pańskie oko konia tuczy - spokojnie odpowiedziała Gartenowa.

- Słyszałam, że jej córka mieszka z mężem w Gdańsku. Na twarzy kobiety pojawił się cień zdumienia, ale oczy stały się zimne i przenikliwe.

- Dużo pani wie, chociaż cały dzień spędza nad morzem - zaśmiała się z przymusem.

- Przez przypadek, tak jak i wiele innych rzeczy, ale ja tu jestem dla słońca i wody, chociaż dla mnie jest za zimna - zaszarżowała Beata.

- O jakich innych rzeczach pani mówi? Zaciekawiała mnie pani - to zabrzmiało surowo, jak odpytywanie zadanej lekcji.

- Och, nic wielkiego, przesadzam, ale widziałam którejs nocy, jak ktoś przemykał się między drzewami w kapturze, cały ubrany na czarno. Może złodziej?

- Może? W pensjonacie na pewno są zainstalowane alarmy, więc możemy czuć się bezpiecznie. A kiedy to było? - W głosie kobiety słychać było nieudolnie skrywaną obojętność.

- Nie pamiętam - skłamała Beta, wzruszając ramionami. - Może to był jakiś amant, ktoś z pensjonatu?

- Mówiła pani komuś o tym?

- Nie, po co? A jeżeli to był czyjś mąż i szedł na miejsce nocnej schadzki? To nie jest moja sprawa, nie wtrącam się. Nie obchodzą mnie czyjeś zdrady.

Gartenowa potraktowała lekko wynurzenia Beaty. Przynajmniej tak to wyglądało.

- Mój mąż nie wychodzi w nocy, mam lekki sen, wiedziałabym o tym - rzuciła obojętnie.

Oczywiście! On raczej nie wspiąłby się na drzewo i nie wrzucił dziwnego kwiatu Sabinie! Ze zwinności, z jaką ten człowiek przemykał się między pniami drzew, można wysnuć wniosek, że był to młody mężczyzna. Przez chwilę pomyślała, że mógłby to być Eryk, ale Gartenowa zdradziłaby się jakimś gestem, miną, chyba, że to aż tak twarda baba!

Do stolika podeszła kelnerka i zabrała talerze.

-Czy życzą sobie panie kawę, herbatę, owoce? -zapytała.

Beata odmówiła, natomiast Gartenowa poprosiła o herbatę do Sali Kominkowej.

-Nie będę sama siedziała w pokoju, muszę mieć kogoś obok siebie - wytłumaczyła. - A tam jest tak przytulnie i zawsze jest ktoś na sali.

-A ja dziękuję pani za zaproszenie do wspólnego obiadu. Teraz idę do pokoju coś ze sobą zrobić. Przecież umówiłam się z mężczyzną i muszę, a raczej chcę, jakoś wyglądać - Beata zrobiła szelmowską minę.

- Pani jest tak atrakcyjną dziewczyną, że nawet przy zmywaniu naczyń w kuchni, zrobiłaby na każdym wrażenie.

- To nieprawda, ale dziękuję za miłe słowa. Do zobaczenia.

Beata wyszła z restauracji, energicznym krokiem pokonała schody prowadzące na piętro i nacisnęła klamkę drzwi wiodących do wspólnego korytarzyka. Drzwi nie ustąpiły, a więc Daniela nadal nie ma.

Czas do spotkania z nim wypełniła słodkim leniuchowaniem na łóżku, rozpamiętując rozmowę z Krystyną Garten, którą to w zasadzie można by potraktować jako zwykłą, grzecznościową wymianę zdań i plotkowanie dwóch osób, spożywających wspólnie posiłek.

Z jednym wyjątkiem: dyskusja nie była przypadkowa. Kobieta otrzymała garść informacji, dobrze przesianych przez sito z dużymi oczkami, bo chyba najważniejszą była

dla niej wiadomość o nieobecności Sabiny, współniczki do poszukiwanego majątku dawnych rezydentów. Pewnie pomyślała, że tragiczna śmierć jej siostry odsunęła na dalszy plan skarb Heckmannów, co jednak nie było tak do końca oczywiste, został przecież Janusz, który dopilnuje podziału łupów, o ile w ogóle cokolwiek cennego znajduje się w pensjonacie. Gartenowa udaje, czy naprawdę nie wie, że jest byłym mężem Sabiny? Przecież mogą mieć różne nazwiska, niekoniecznie to samo.

Beata wstała i podeszła do okna.

Zaniedbana zwirowa alejka, biegnąca w głąb lasu, o której nieomal zapomniała, przyciągała jak magnes. Właśnie nadszedł czas, aby ją przemierzyć, dokądkolwiek biegnie. Samotnie, bo wciąganie do tych niesamowitych wydarzeń Daniela, może by jej nie ośmieszyło, ale mogłaby wydać się niedojrzałą osobką, oglądającą za dużo kryminalnych filmów.

Trochę żałowała, że nie upilnowała otwartych drzwi do piwnic, chociaż nie spodziewała się tam leżącego na podłodze skarbu, ale ciekawił ją rozkład pomieszczeń, długości korytarzy, z pewnością nic by to jej nie podpowiedziało, ale wyobraźnia zaczęła szaleć. Może już ktoś zaczyna rozkuwać podłogę, którąś ze ścian? Mógłby to zrobić bez wzbudzania podejrzeń, pod byle pretekstem, tylko Heckmann, Wojanowskiej nie ma, więc hulaj dusza!

Beata cicho zaśmiała się.

Co za czarnowidztwo! Zaczyna fantazjować, jeszcze kilka dni i zacznie podejrzewać o wszelkie zło to całe wczasowe towarzystwo.

Sprawdziła godzinę na zegarku. Niedługo zjawi się Daniel, trzeba coś na siebie włożyć, najlepiej rybaczki i bluzkę we wściekle kolorowe, ale twarzowe paski, kropki, artystyczne plamki, bez rękawka, za to z dużym dekoltem, świetnie eksponującym opaleniznę.

Chłopak zaledwie przyjechał, a już przeczuwała, że trudno będzie obejść się bez jego towarzystwa, a mieszka tak blisko, wprawdzie przez ścianę łazienki, ale czuła się przez to spokojna i, co najważniejsze, bezpieczna.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Jesteś gotowa? - zabrzmiał jego głos. Beata uchyliła drzwi.

- Przyjdź po mnie za chwilę - wdzięcznie się uśmiechnęła.

- Za piętnaście minut? - Daniel upewnił się.

- Okay.

Ostatnie spojrzenie w lusterko, zarzucenie na ramię małej torebeczki, włożenie sandałów z kilkoma paseczkami i kiedy usłyszała trzask drzwi pokoju chłopaka, wyszła mu naprzeciw, zamykając drzwi na klucz.

Daniel w jasnych, płóciennych spodniach i niebieskiej koszulce z krótkim rękawkiem, wyglądał o wiele młodziej, niż można było to zauważyć podczas pierwszego, krótkiego spotkania na korytarzyku. Na jego ramieniu wisiał na pasku aparat fotograficzny. Chłopak z uznaniem patrzył na jej sylwetkę.

- Michał jest chyba o ciebie zazdrosny, bo ja bym był na pewno. Wyglądasz jak... - szukał słów, patrząc na Beatę ze szczerym podziwem w oczach. - Po prostu świetnie. Wybacz, nie potrafię mówić komplementów.

- To dobrze, boja nie lubię tego słuchać. Komplementy są z reguły fałszywe i nie przyjmuję ich do wiadomości.

- Jednak wyraz jej twarzy mówił wręcz coś przeciwnego.

- To co proponujesz? Jestem tu po raz pierwszy i nie znam okolic pensjonatu, dam się prowadzić za rękę, gdzie zechcesz. Idziemy?

- Są miejsca, w których jeszcze nie byłam, więc powłóczymy się trochę, ale najpierw pójdziemy nad morze

- Beata zdecydowała po chwili namysłu. - Od wody wieje

taki przyjemny wiaterek, a dzisiaj jest wyjątkowo upalnie i parno. Oby nie spadł deszcz.

Daniel objął ją w pasie przyjacielskim gestem i otworzył drzwi na korytarz. Panowała tam cisza, jakby pensjonat nagle opustoszał. Natomiast na parterze z Sali Kominkowej dobiegały jakieś głosy i pachniało aromatyczną kawą.

- Tam można całkiem przyjemnie spędzić czas - Beata wskazała ruchem głowy pomieszczenie. - Właściciele pensjonatu zadbali też o strawę duchową, jest tam dość bogaty księgozbiór. I kominek.

- Idealne miejsce na deszczowe dni, ale oby było ich jak najmniej - Daniel spojrzął w otwarte na oścież drzwi. - Pod koniec sierpnia pogoda może się zmienić. Trzeba wykorzystać każdy ciepły dzień.

- Więc korzystajmy.

Zbiegli po schodach werandy i ruszyli w stronę lasu żwirową alejką. Było parno, powietrze przesycone wilgocią, ale słoneczne promienie oblewały gorącym tchnieniem twarze, wdzierały się pod ubrania.

Dopiero pod koronami drzew otoczyła ich cisza lasu, czasem rozśpiewana trelami ptaków, stukaniem gdzieś w oddali, w pnie drzew, dzięciołów, a słońce tylko gdzieniegdzie sączyło się między gałęziami zielonej kurtyny drzew.

Szli blisko siebie, czasem dotykali się ciałem, Daniel często przystawał i robił fotografie różnym zakątkom lasu, wyjaśniając, że zawsze uwiecznia okolice, w których przebywa, ale muszą być przy tym interesujące.

- Mogę zrobić ci parę zdjęć, o tam? - zapytał w pewnym momencie, pokazując rozłożysty buk. - To będzie wspaniałe ujęcie.

- Jasne, chcę dużo zdjęć, z tobą też - Beata podbiegła do drzewa, stanęła z jego boku i objęła je ramionami.

Daniel robił zdjęcia pod różnym kątem, po czym podszedł do dziewczyny, objął ją, drugą wystawił rękę z aparatem przed siebie.

- A teraz proszę o uśmiech - powiedział z powagą, ale zaraz szeroko uśmiechnął się do dziewczyny.

- Jestem gotowa - Beata wsunęła dłoń za jego plecy i swobodnie uśmiechnęła się.

Daniel pokazał zdjęcia na wyświetlaczu.

Z pośród zieleni, brązów, cieni wyłaniały się ciekawie ujęte kępy drzew, zarośli, krzaków i Beata, pozująca w oryginalnych pozach, wręcz aktorskich, a jej kolorowa bluzka dodawała fotografii jeszcze większego uroku.

- To zdjęcie do rozwodu - pokazała na nich oboje, obejmujących się przy pniu buku.

- Czyjego? - Daniel spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie mojego. Nie jestem mężatką. -A ja nie mam żony.

-Myślałam, że urwałeś się z ogniska domowego -Beata zdała sobie sprawę, że jego oświadczenie wyraźnie ją ucieszyło.

- Jestem samotny, chyba nie podobam się dziewczynom - Daniel westchnął, robiąc przy tym smętną minę.

- Każdy facet właśnie tak podrywa i czasem mu się udaje. Ja nigdy nie dam się na to nabrać.

Daniel zawiesił aparat na ramieniu i powiedział poważnie:

-Nie podrywam cię, naprawdę nie jestem z nikim związany, a tobie powiedziałbym od razu, że bardzo mi się podobasz i że chciałbym być z tobą. To gdzie mnie teraz uprowadzisz? - dodał żartobliwie.

-Pójdziemy tam, gdzie zwykle opalam się, nad morze. O, to już tam. - Beata pokazała na prześwit między drzewami. - Na dół schodzi się po zboczku, jest trochę strome, ale ścieżka jest dość wygodna i wydeptana.

- Gdybym cię szukał, to właśnie nad morzem?

- Prawie zawsze, chociaż... to zależy od pogody, różnych wydarzeń, plany można zmieniać w każdej chwili, bo chciałabym jeszcze wybrać się do miasteczka, nad jezioro.

- Jeżeli mógłbym ci dotrzymać towarzystwa, to kiwnij na mnie palcem. - Daniel usiłował przybrać poważną minę, ale rozciągające się powoli w uśmiechu kąciki ust, wyraźnie na to nie pozwalały.

- Chętnie. Szkoda, że tu cię nie było, kiedy to się stało. Beata przystanęła na skraju skarpy, po czym zaczęła

ostrożnie schodzić w dół. Po chwili poczuła dłoń Daniela, zaciskającą się na jej ręce.

- Asekuracja - wyjaśnił jednym słowem.

- Och! Tyle razy tędy schodziłam, wchodziłam, ale to przyjemne, że dbasz o mnie.

Kiedy zeszli ze zbocza, Daniel zapytał z ciekawością:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że coś tu się stało?

- Kilka dni temu, ze schodów, tych z poddasza, spadła kelnerka i zabiła się, ale staram się o tym zapomnieć. To był straszny widok.

- Pewnie potknęła się i straciła równowagę, zdarza się. - Daniel powiódł wzrokiem po wzgórzu, potem spojrzał na fale rozbijające się nieopodal ich nóg. - Nie wiedziałem, że tu prawie nie ma plaży.

- I to jest cały urok tej okolicy. Zaraz dojdziemy do mojego ulubionego miejsca, to raj dla oczu i ciała. Tylko raz jedna z wczasowiczek zapaściła się w ten Eden - Beata uśmiechnęła się na wspomnienie o Agnieszce - ale na schadzki, też z kimś z pensjonatu.

- W tej gęstwinie można dobrze się ukryć, jeżeli takie schadzki odbywają się w konspiracji i mają być niedostępne dla oczu innych osób.

Daniel przystanął i, poczynając od wzgórza, pstrykał zdjęcia raz po raz całej okolicy, aż Beata patrzyła na niego z narastającym zdumieniem.

- Po co to robisz? - zapytała zdziwiona.

- Do albumu. Mówiłem ci, że z każdego pobytu w ciekawych stronach robię wiele zdjęć, a tu naprawdę jest inte-

resująco. Stań tam, blisko brzegu, będzie piękne ujęcie, ale... zamoczysz nogi, nie, nie, pójdziemy dalej.

- Po co? Zdejmę sandaalki, a ty zrób mi zdjęcie, właśnie wtedy, kiedy fale się na mnie rzucą - zawołała z entuzjazmem Beata i zdjęła buty.

Daniel poczekał, aż Beata wybierze sobie jakąś pozę i wśród jej pisków i śmiechu, kiedy bryza wody omiała jej nogi, pstrykał zdjęcia.

- Jaka zimna! A jednak niektórzy kąpią się w niej, ja nie miałabym odwagi. - Beata odsunęła się na bezpieczną odległość od linii wody.

- Mam chusteczki, wytrzesz nogi - Daniel sięgnął do kieszeni.

- Dzięki, ja też mam, ale pójdę boso, piasek jest taki gorący, że zrobię to z wielką przyjemnością. Już widać moje ulubione miejsce, ale musimy wejść w poprzek zbrocza.

Beata ostrożnie stąpała po trawie, starając się nie wejść chociażby na mały kamyczek, ale po wzgórzu, porośniętym wysoką trawą, można było iść jak po miękkim dywanie.

Po krótkim marszu odwróciła się do Daniela i pokazała na widniejące w pobliżu zarośla, krzaki i równie bujną trawę.

- To jest mój Eden - oznajmiła z zadowoleniem.

- Dosyć daleko od pensjonatu - Daniel rozejrzył się wokół.

- Ale tu mam ciszę, piękne widoki i święty spokój. Szkoda, że nie mamy kawałka koca albo ręcznika i trzeba będzie usiąść na trawie.

Beata usiadła na miejscu, gdzie była ugnieciona trawa. Daniel usiadł obok niej, kładąc na trawie aparat fotograficzny.

- Od dawna nie miałem takiego urlopu, na luzie, kilka razy zdarzało się, że byłem odwoływany już po tygodniu i musiałem wracać do pracy. - Daniel oparł łokcie o kola-

na i wpatrzył się w napływające fale, jedna za drugą, z białymi grzywami. - Mam nadzieję, że teraz nikt nie przerwie mi wypoczynku i to - spojrzał na Beatę - po spotkaniu dawnej znajomej.

- Gdzie pracujesz? W jakiejś prywatnej firmie? Kiedy się poznaliśmy coś studiowałeś. Jaki to był kierunek? - Beata zapytała z ciekawością.

- Pracuję... w firmie zajmującej się handlem, umowami na import, eksport, czasem wyjeżdżam w teren, badam rynki... To prawie zgodne z kierunkiem moich studiów. Na razie jestem z pracy zadowolony, chociaż w życiu różnie bywa, nie wiadomo, co będzie za rok, dwa...

Znowu handel! Czy już nie ma innych specjalizacji? Daniela raczej widziałaby po jakichś studiach technicznych, handel jakoś do niego nie pasował.

Po chwili usłyszała:

- A ty? Co z twoimi studiami?

Beata, pod wpływem jego wnikliwego spojrzenia, zaczęła się nagle plątać, jakby to całe zamieszanie z zawaleniem pierwszego roku na uniwersytecie, miało teraz zaważyć na postrzeganiu jej jako osoby nietuzinkowej, nieprzeciętnej, taką starała się być, a klęska z nauką, była tylko wypadkiem życiowym.

- Ja?... Byłam na biologii, to nie dla mnie... myślę o... - Pustka w głowie nieoczekiwanie wyzwoliła w niej ochotę na szczerość wobec chłopaka. - Poddaję się, nie mam pomysłu na to, co będzie dalej, kiedy patrzę na morze, skrawek plaży i kiedy słońce pali mi ramiona.

- A więc może turystyka i hotelarstwo? - podpowiedział Daniel, wzbudzając jej zaciekawienie pomysłem.

- Nie myślałam o tym... - Beata spojrzała na niego nieomal z podziwem. - Tylko czy nie jest na to za późno? To dość popularny kierunek, już prawie wrzesień, a początek roku akademickiego w październiku.

- To był twój wybór, najpierw wczasy, potem szukanie uczelni.

- To nie tak... starzy mnie tu wysłali - Beata mówiła z niechęcią, nie patrząc na Daniela. - Mieli w tym interes, a ja teraz całkowicie się z nimi zgadzam. To ciekawe miejsce, a pensjonat jest niezwykle, taki... tajemniczy... z historią... - ożywiła się. - Jak to w starych rezydencjach.

Chłopak zatrzymał na dłużej spojrzenie na jej twarzy, jakby czekał na dalszą relację z jej przyjazdu do Stomewa, ale Beata umilkła.

- Mieszkasz nadal w Bydgoszczy? - zapytał. - Tak, nie mam na razie żadnych planów zmiany miejsca zamieszkania. Zresztą po co? Mam tam wielu znajomych, przyjaciół, chłopaka...

- Michała? - upewnił się Daniel.

- Tak, ale... jestem na niego wściekła. On jest w Chorwacji, a ja wylądowałam w lesie.

- Nie pytam, dlaczego. To wasze sprawy.

- Taak - przeciągnęła ironicznie Beata, położyła się na boku, podparła łokciem, po czym spojrzała mu w twarz. - Nie widuję cię w Bydgoszczy, nawet w tamtym klubie, gdzie się poznaliśmy, jesteś takim domatorem? A może zmieniłeś adres i mieszkasz gdzieś w Polsce? - zapytała z ciekawością.

-Prawdę mówiąc mieszkam... trochę tam, trochę gdzie indziej... jestem tam, gdzie mnie potrzebują - wyjaśnił zawile.

- Czyli nigdzie na dłużej.

- Mam taką pracę - w tonie głosu Daniela temperatura na temat jego pracy, wyraźnie spadła.

Beata przesłoniła dłonią oczy i spojrzała nad morze, nad którym wisiła kula słońca.

- Ale gorąco, a jest już popołudnie. Przenieśmy się do góry, do lasu, bez kostiumu kąpielowego nie da się dłużej tu wysiedzieć - zaproponowała.

Podniosła się i wygładziła spodnie.

- To co, idziemy? Bo za chwilę tu się ugotujemy. Daniel wstał, zarzucił aparat na ramię i chwycił Beatę

za rękę. Ruchem głowy pokazał na wierzchołek wzgórza.

- Do góry jest spory kawałek. Pomogę ci wejść -wyjaśnił, widząc jej zdziwioną minę.

-I to cię tłumaczy - Beata powiedziała półżartem.

Wdrapując się po poboczu wzgórza, czując jego dłoń, zaciśniętą na swojej, pomyślała, że teraz trudno byłoby J^e wybrać między Michałem a Danielem. Chłopak miał w sobie coś sympatycznego, ciepłego, nie narzucał się, chociaż z pewnością znał swoją siłę „rażenia” kawałkiem przystojnego ciała, poza tym było jej z nim po prostu dobrze, czuła się przy nim lekka, radosna, natomiast Michał nie był wylewny w okazywaniu uczuć, owszem, był czuły, miły, ale Daniel... chyba był z innej bajki.

Z takiej, którą ogląda się tylko na filmowym ekranie, wzruszającej, pełnej dobrych relacji między dwojgiem ludzi.

Pierwszy raz od rozstania z Michałem pomyślała, że dobrze się stało, że nie są tu razem, a tak się na niego wściekała!

Po chwili znaleźli się na płaszczyźnie wzgórza.

Las okrył ich półcieniem, ciszą, przystanęli niezdecydowani, w którą udać się stronę, po chwili namysłu Beata zaproponowała powrót do pensjonatu. Było już późne popołudnie i czuła się zmęczona po prawie całodziennym przebywaniu na coraz bardziej parnym powietrzu.

-Ale nie tą żwirową alejką, chodźmy... - potoczyła wzrokiem po lesie - na przełaj, o tam, między drzewami, nigdy nie wracałam tą drogą, a... na tyłach pensjonatu jest... tam chyba nie ma nic ciekawego. - W ostatniej chwili ugryzła się w język i zrezygnowała z opisu zaniedbanej alejki, ciągnącej się gdzieś w las, i wysunęła rękę z jego dłoni.

Daniel przystał na jej propozycję, zaznaczając z niewinną miną, że między drzewami można zaplątać się w pajęczynę.

- W takim razie będziesz moją tarczą i... o nie, rezygnuję z przecierania nieznanymi szlaków!

Daniel serdecznie roześmiał się.

- Już wiem, czego się boisz, ale żartowałem, chodźmy w ten busz - znowu ujął ją za rękę.

Beata nie oponowała, kiedy trzymał jej dłoń, o dziwo, wydawało się jej, że to naturalne, czuła się przy nim bezpieczna, spokojna, a przecież prawie go nie знаła.

Wolno, krok za krokiem, ruszyli we wszechobecną zieleń leśnej gęstwiny. Pod ich nogami czasem cicho pękały suche gałązki z ułamanymi krzaków przez zwierzęta lub miłośników włóczędzy omijających wygodne, leśne dukty. Szli obok siebie w milczeniu, jak ludzie, którzy doskonale czują się ze sobą bez jakiegokolwiek wymiany zdań, Beata czasem wydawała z siebie pomruki zachwytu nad okolicą i nad szalejącymi wiewiórkami na pniach drzew.

Kiedy z oddali dobiegły ich jakieś głosy, wysunęła rękę z dłoni chłopaka.

- Nie chcę plotek - wyjaśniła.

- Ja też, ale to o ciebie mi chodzi. Mężczyzn zawsze jakoś każdy usprawiedliwi, kobiety mają gorzej.

Do pensjonatu zbliżali się od strony alejki z tyłu domu, tej, która tak intrygowała Beatę. Nie spuszczała jej z oczu nawet wtedy, kiedy skręcili w stronę frontu domu, wówczas odwróciła głowę w bok, starając się przeniknąć jej długość jak najdalej wzrokiem.

Nie uszło to uwadze Daniela.

- Widzisz tam coś ciekawego?

- Nie, wydawało mi się, że przebiegła tamtędy sarenka albo dzik, nie jestem pewna, co to było, pewnie nic ciekawego.

- Nic nie zauważyłem.

- Coś mignęło, nieważne. Jak parno, w nocy pewnie będzie lało. - Beata spojrzała do góry. - Zbierają się ciemne chmury, a ja tak nie lubię deszczu.

- W lesie jest bardzo sucho, przydałby się porządny deszcz. Spotkamy się wieczorem?

-Przy kolacji, jak będę wychodziła z pokoju, to zapukam do ciebie.

Do pensjonatu wracali skądś małymi grupkami wczasowicze. Spotkali się z nimi, wchodząc na stopnie werandy. W drzwiach Daniel przystanął, przepuszczając przed sobą Beatę i kilka rozgadanych kobiet, które z zadowolonymi minami wspominały jakieś wydarzenie, przerywając opowieść wybuchami radosnego śmiechu.

Beata zaczekała na niego u podnóża schodów na piętro. Wśród grup wczasowiczów, powoli wchodzących do środka budynku, wypatrywała osób, które według jej oceny minionych wydarzeń, znajdowały się w ścisłej czołówce najbardziej podejrzanych i niebezpiecznych ludzi. Nikogo z nich nie było. Pomyślała, że pewnie są już w swoich pokojach albo porozjeżdżali się po okolicy, a może nawet do Gdańska. A może... szukają tego czegoś?

-Już jestem - Daniel zjawił się obok dziewczyny i ruszyli do swoich pokoi.

Beata, wkładając klucz do zamka swoich drzwi, odwróciła się do niego i rzuciła:

- Zapomniałam ci powiedzieć, że tu jest sala bilardowa i kiedy będzie lało, możesz z niej skorzystać, jeżeli oczywiście taki rodzaj gry cię interesuje.

- Jeżeli znajdę partnera, to bardzo chętnie.

-Jest tu bilardzista, nawet pytał mnie, czy gram. Jeżeli będzie w restauracji, pokażę ci, który to jest.

- Dzięki. - Daniel otworzył drzwi. - To na razie, do kolacji. Wspaniale jest być z tobą, cieszę się, że tu jesteś. -Patrzył na Beatę ciepłym spojrzeniem.

- Och, Daniel, to zabrzmiało tak poważnie, ale ja też jestem zadowolona, że to ciebie wiatry przywiały, a nie jakąś marudną babę. Do kolacji. - Szybko zniknęła za drzwiami.

W pokoju Beata rzuciła torebkę na stolik i przyłożyła dłonie do policzków. Były podejrzanie gorące. W lusterku zobaczyła błyszczące oczy i spod opalenizny na twarzy prawie niewidoczne rumieńce.

Za szybko to na nią spadło! Zaledwie Daniel przyjechał, a ona już jest podekscytowana jego towarzystwem jak głupiutka nastolatka! Koniec z trzymaniem za rękę i... co dalej?

Stała w otwartym oknie i wystawiła twarz na muśnięcia wiatru. Były chłodne, pogoda zaczynała się zmieniać, silniejsze podmuchy wiatru kołysały koronami drzew, przynosiły zapach zbliżającej się burzy, narastał lekki zmrok.

Beata odeszła od okna, rozebrała się, włożyła szlafroczek i udała się do łazienki. Szum wody spod prysznicy przypomniawszy jej morskie fale, mknące na podnóże zbocza i, oczywiście, Daniela z aparatem fotograficznym, kiedy pstrykał jej zdjęcia, stojącej po kolana w Bałtyku.

A tak poza tym...nigdy nie spotkała faceta, który miał album z fotografiami przyrody, może to dla młodszej siostry, brata, o ile takowych ma?

Wróciła do pokoju i wyjęła suszarkę do włosów. Kiedy sprawdziła godzinę, wpadła w lekki popłoch. Pora kolacji zbliżała się wielkimi krokami. W lustrze szafy przyjrzała się swojej twarzy, czy przypadkiem nie wygląda na zakochującą się w szaleńczym tempie kretynkę! Nie wyglądała! Na razie!

Zlustrowała wzrokiem półeczki szafy i wybrała ulubioną sukienkę w kolorze cytryny, w której wyglądała dziewczęco i, co najważniejsze, była krótka i odsła-

niała opalone ramiona i dekolt. Dobrze, że zabrała buty na wysokim obcasie i to w ostatniej chwili! Z błyskotek tylko perełki w uszach, delikatny makijaż i mgiełka wody toaletowej o mieszanym kwiatowym zapachu za dekolt i... gotowa.

Zgodnie z umową, zapukała do drzwi Daniela. Wszedł natychmiast, jakby czekał na jej znak, w niebieskich dżinsach i białej koszulce z krótkim rękawkiem.

- A wiesz - zagał - pomyślałem, że moglibyśmy zjeść kolację we dwójkę, u mnie albo ciebie. Co o tym sądzisz?

- Można zamówić nawet obiad do pokoju, ale nigdy nie przyszło mi to do głowy - Beata była zaskoczona jego propozycją.

Daniel otworzył drzwi na korytarz.

- Wycofuję się, widzę, że to nie był dobry pomysł, przynajmniej na dzisiaj. Chodźmy na dół.

Na schodach minął ich młody mężczyzna, ubrany po roboczemu. W rękę trzymał walizeczkę, taką, w której monterzy mają masę kluczy, nakrętek, śrub, przewodów, kolanek, jego kroki w ciężkich butach długo dudniły, aż umilkły gdzieś u góry.

-To chyba „złota rączka” w pensjonacie - rzuciła Beata do Daniela.

-Chyba?

- Widzę go pierwszy raz, wiem, że zajmuje pokój na poddaszu dla pracowników. Tam też mieszkała ta zmarła kelnerka.

- Miałaś o tym nie mówić, żeby zapomnieć - Daniel zajrzał jej w oczy.

- To nie takie proste. Dopóki stąd nie wyjadę, będę sobie o tym przypominać, chociaż nie chcę. To samo przychodzi, nagle.

Stanęli w progu restauracji i rozejrzeli się po pomieszczeniu. Zbliżająca się burza przygnała prawie wszystkich wczasowiczów, punktualnie o wyznaczonej porze posiłku.

Beata wypatrzyła niezajęty stolik i ruszyli w jego kierunku. Na stoliku leżała karta dań na wieczór. Daniel podał ją Beacie.

- Wybiorę to samo, co ty.

- Więc... herbata z cytryną... mix żółtych serów czy wędlin? - spojrzała na Daniela.

- Myślę, że to samo... - chłopak uśmiechnął się, nie kończąc zdania.

- Dwa w jednym.

- Jasne. Zaraz poprosimy kelnerkę.

Beata rozejrzała się po wypełnionej wczasowiczami restauracji. Byli Gartenowie z Agnieszką, lekarz Janusz, Kamiński, siedzieli we własnym towarzystwie, które pamiętała z pierwszego dnia pobytu w „Czerwonych Makach”. Zupełnie zwykli goście hotelowi, tacy, których po wyjeździe do domu, można by nie poznać na ulicy, w teatrze, w supermarkecie.

Spojrzała w okno.

Było szaro, gałęzie drzew kiwały się niespokojnie.

Po szybach zaczęły powoli spływać strużki wody. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Po chwili na sali rozbłysło światło.

Kiedy spojrzała na Daniela, patrzył obojętnym wzrokiem gdzieś w przestrzeń sali restauracyjnej.

Beata westchnęła i zawiedzionym głosem powiedziała:

- Pewnie teraz będzie lało przez tydzień. Oby nie.

- Jeżeli zechcesz, pojeździmy gdzieś dalej, przeczekamy, chociaż - Daniel spojrzał w okno - nie wydaje mi się, żeby to była burza stulecia.

Zjawiała się kelnerka z tacą, wypełnioną zamówioną kolacją, po czym, życząc smacznego, oddaliła się w stronę gości siedzących koło drzwi pomieszczenia.

Po konsumpcji Daniel, z tajemniczą miną, zwrócił się do Beaty.

- Chciałbym ci coś zaproponować. I proszę, nie odmawiaj.

- Tak w ciemno? Mam się bać? - ta zażartowała, robiąc przestraszoną minę.

- Spędźmy ten wieczór we dwoje, przy lampce wina, tylko my i groźna natura.

- W lesie?!

- Prawie. Więc zgadzasz się?

-No... nie wiem, ale... niech tam, zgadzam się na randkę w ciemno. To moja pierwsza. Jestem ciekawa, co wymyśliłeś.

- Idziemy?

Beata wstała i ruszyli do wyjścia z restauracji. W holu zatrzymała się i spojrzała pytająco na Daniela.

- Na pewno będzie romantycznie, chociaż bez świec. - Położył rękę na jej ramieniu. - Musimy tylko wyjść, nie warto kończyć tego wieczoru przy telewizorze.

Otworzył drzwi wyjściowe pensjonatu i czekał na wciąż zdziwioną dziewczynę.

- Proszę - zachęcił ją gestem dłoni do wyjścia.

Weranda tonęła w przytulnym, intymnym oświetleniu bocznych lamp. Lekki powiew wiatru przyniósł zapach mokrej łąki, igliwia, nocy, czegoś nieuchwytnego, podniecającego, monotony szum deszczu przyprawiał w tej scenerii o słodki zawrót głowy, mrowienie ciała. Krople wody pukały w zadaszenie, potęgując niesamowite piękno natury, ulewa przybierała na sile, wszystko to sprawiało pełne napięcia oczekiwanie, jakby na dalszy rozwój wypadków.

- Spójrz tam - Daniel pokazał na stolik w rogu werandy, przykryty małą, białą serwetą.

- To dla nas?

-Tylko dla nas. Jesteśmy tu sami. Widocznie nie ma chętnych do spędzania wieczoru wśród grzmotów i błyskawic.

- A mnie ten pomysł bardzo się podoba. - Beata była zachwycona, siadając przy stoliku.

-Zaraz przyjdzie kelnerka i przyniesie lampki z winem. Ja za winem nie przepadam, ale to z myślą o tobie. - Daniel usiadł obok niej.

-Jeżeli półśłodkie, to strzał w dziesiątkę. Wiesz, w takiej scenerii, w środku szalejącej burzy, jeszcze wina nie piłam. W domu czasem wyjdę na balkon, o ile nie pada prosto w okna, ale teraz jestem pod takim wrażeniem, że mogłabym patrzeć na ten mroczny las do rana!

Beata oparła łokcie o blat stolika i patrzyła rozmarzonym wzrokiem na szalejący żywioł, od którego dzieliło ich tylko parę metrów tarasu.

Kiedy błysnęło, mokre korony drzew oblało jasne światło, a po chwili wdarł się grzmot, rozrywając przestrzeń, mącąc majestat rozpętanego żywiołu natury.

Na twarzy Daniela błąkał się cień uśmiechu.

- Widzę, że nie boisz się burzy.

- Nigdy się jej nie bałam. Prawie nie widać już drzew. Dobrze, że nie pada w naszą stronę, musielibyśmy odsunąć się pod same drzwi, a tu jest taki wspaniały widok!

Beata głęboko odetchnęła.

-Jakie cudowne powietrze! Jak romantycznie! -Wyraz zadowolenia nie schodził z jej twarzy.

Skrzyp otwieranych drzwi odwrócił ich uwagę od zalewanego deszczem krajobrazu. Kelnerka Renata niosła na tacy lampki z winem, talerzyki i jakieś pucharki. Kiedy zygzak błyskawicy pojawił się na niebie, wzdrygnęła się, szybko zestawiała z tacy zamówienia i pospiesznie weszła do pensjonatu.

- Dziękujemy! - zawołał Daniel za umykającą kelnerką.

- Lody? I taki wielki kawał ciasta tortowego? Dlaczego to robisz? - Beata chwyciła łyżeczkę i nabrała lodów z pucharka. - Chyba jednak będą plotki na nasz temat. -Spojrzała na chłopaka.

- Jak to na wczasach. Ja nie widzę nic złego w zaproszeniu takiej samej wczasowiczki jak ja, na lampkę wina.

- Wzruszył ramionami Daniel. - Równie dobrze mógłbym ją wypić z... kimkolwiek... powiedzmy, że z Heckmannem.

- Skąd wiesz, jak nazywa się partner właścicielki? - Beata zdziwiona zatrzymała rękę nad pucharkiem z lodami i spojrzała na chłopaka.

- Zaraz ci powiem.

Daniel chwycił lampkę i zaproponował toast:

- Za nasze spotkanie po latach.

Beata sięgnęła po wino i upiła kilka łyków. Było smaczne, półsłodkie, rozgrzewające, a towarzystwo coraz bardziej pociągającego ją chłopaka potęgowało jego smak i wartość.

Postawiła lampkę na blat stolika i zapytała ponownie:

- Skąd wiesz o Heckmannie?

- Rozmawiałem z nim w dniu przyjazdu i zwracałem się do niego: panie Wojanowski. Wtedy przedstawił się, a resztę można samemu dopisać. Zauważyłem niechętną mu minę recepcjonistki. A teraz ty powiedziałaś, że to partner właścicielki pensjonatu. Nie wiedziałem o tym.

Daniel bawił się nóżką lampki z obojętną miną, potem potoczył wzrokiem po okalającym pensjonat lesie. Była ciemna noc, rozświetlana pojawiającymi się co jakiś czas zygzakami błyskawic.

Deszcz szumiał jednostajnie, nagle wiatr zawirował i kropelki wody prysnęły w ich stronę.

- Och! Jakie zimne! - Beata wzdrygnęła się i wytarła dłońmi nagie ramiona.

- Może chcesz wrócić do pokoju? Albo... - Daniel szukał wzrokiem innego miejsca - przesunmy się dalej,

o tam, bliżej wejścia - zaproponował.

- Nie, już nie zawiewa - Beata wyciągnęła rękę poza balustradę werandy - a deszcz wcale nie jest taki zimny.

- Cofnęła rękę i sięgnęła po papierową serwetkę. - Jaka zwariowana noc! Burza, wino i my sami, pośród grzmotów i błyskawic! Mogę tu siedzieć do rana i nawet wybiec teraz

między drzewa i zatańczyć! - Parzyła z rozrzewnieniem na zamglony deszczem las.

- Nawet bym nie pomyślał, że sprawię ci taką przyjemną niespodziankę - powiedział szczerze Daniel.

Beata nie odrywała wzroku od koron drzew, które, rozjaśniane blaskiem błyskawic, wyglądały niesamowicie, groźnie, przez ich gałęzie prześlizgiwały się strumienie wody, wsiąkając w leśną ściółkę. Czowała, że chłopak na nią patrzy, nie odrywa od niej oczu, nawet unosząc lampkę i upijając łyk wina.

- Wiesz - odwróciła się do niego. - Przyjechałam tutaj pełna buntu, złości, wyjeżdżałam z domu wściekła, nawet nie pożegnałam się z ojcem, a teraz chciałabym, żeby mój pobyt w pensjonacie trwał i... trwał. Pomimo tego strasznego wypadku pod moimi drzwiami. - Przykrość odbiła się na jej twarzy.

- Ciągle wracasz do tego, więc wyrzuć z siebie to, co cię gnębi, śni ci się po nocach - Daniel położył dłoń na oparciu jej krzesła. - Czasem to poprawia nastrój. A może boisz się czegoś? Przecież to taki cichy zakątek, co tu może dziać się złego? - Pochylił ku niej głowę i zajrzał w oczy.

Był tak blisko, na wyciągnięcie ręki, na położenie głowy na jego ramieniu, zamknięciu oczu i razem z nim poddaniu się nastrojowi nocy, kropel wody, uderzających o zadaszenie werandy.

Beata pomyślała, że nie oprze się temu i zaraz to zrobi, tylko co będzie dalej... Rozejdą się do swoich pokoi, a ona będzie wstydzić się swojej chwili słabości, chociaż jego bliskość, jego spojrzenie, ciepłe gesty i ta ciemna noc, zachęcały wręcz do niewinnego przytulenia się do młodego mężczyzny.

I ten powoli cichnący szum wody...

Nawet z Michałem nie byłaby tak podekscytowana tą romantyczną, tajemniczą, wręcz bajkową nocą, przecinaną błyskawicami i hukami grzmotów. Przy Danielu nagle

stracił na atrakcyjności, sposobie rozmowy z nią, troskliwości, a nawet opiekuńczości wobec niej, był po prostu fajnym, nowoczesnym chłopakiem na miarę wieku, w którym żyli.

Oszczędny w słowach, wyznaniach w intymnych sytuacjach, rzadko dawał do zrozumienia, że kocha... że tylko ona...

Teraz była w innym wymiarze czasu i przestrzeni z Danielem, to było zupełnie nieznane jej doznawanie przyjemności, podniecenia męskim towarzystwem.

-Jeżeli sprawia ci to przykrość, to nic nie mów. -Usłyszała jego głos, który wyrwał ją z marzeń i przywrócił do rzeczywistości.

- Och, kelnerka była dla mnie obcą osobą - rzuciła lekko. - Natomiast jej widok na schodach i krzyki na korytarzu... - Odchyliła się do tyłu, czując za plecami jego ramię, którego nie cofnęła. - To zostaje w pamięci.

- Kiedy to się stało?

Po chwili namysłu Beata powiedziała:

-Na drugi dzień po moim przyjeździe tutaj, czyli drugiego sierpnia, około północy. I to prawie pod moimi drzwiami - zakończyła żalnym głosem.

Niespodziewanie Daniel objął ją ramieniem, po czym nachylił się do ucha.

- Biedactwo - zabrzmiało cicho.

Poczuła wdzięczność za ten przyjazny, ciepły gest, który na tyle ją zaskoczył, że, oprócz bladego uśmiechu na twarzy i wbicia wzroku w blat stolika, nie potrafiła w inny sposób zareagować.

Po czym odsunął się i zapytał:

-I jak to się skończyło?

-Nie wiem. Przyjechała policja, prokurator, potem zabrał ją samochód, chyba z zakładu pogrzebowego. A co najdziwniejsze w tej całej historii, to dopiero po jej śmierci, moja była współlokatorka, Sabina, powiedziała, że to była jej siostra! - Beata sięgnęła po łyżeczkę i zaczęła

wybierać z pucharka lody. - Ona w ogóle była taka dziwna, nie dopowiadała wielu rzeczy, oskarżała nawet jednego z gości o jej śmierć! Ja domyślam się, a raczej wiem o... - urwała w połowie zdania.

Daniel słuchał uważnie, chociaż wydawało się, że robi to bardziej z grzeczności, niż jest zainteresowany opowieścią Beaty. Patrzył gdzieś w przestrzeń, jakby mokra ściana lasu bardziej przemawiała do jego wyobraźni niż monolog dziewczyny.

- Wiesz, to stary dom, a takie domy zazwyczaj owiane są jakimiś legendami, tajemnicami, przynajmniej tak myślę. Wybudowany... - ugryzła się w język - na pewno dawno temu, w takich odludnych miejscach... Wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach, wystarczy, że ktoś coś powie... - Beata wzruszyła ramionami na znak obojętności, wkładając łyżeczkę do pustego pucharka. - Coś w tym jest, a ja odkryłam... ach, nic.

- Co odkryłaś? - Daniel oderwał wzrok od smaganych coraz mniejszym deszczem drzew i spojrzał na dziewczynę.

- Nic. Jeszcze nic. - Beata zrobiła tajemniczą minę, nie chcąc wygłupić się przed chłopakiem, który wyraźnie nie był zainteresowany opowieścią o starych domostwach.

- To może odkryjemy coś razem?

Beata rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie. On nic nie wiedział ani o książce, ani o porcelanowej zastawie w czerwone maki!

Daniel z trudem utrzymywał powagę, po czym, nie chcąc jej urazić, powiedział:

- Beata, nie jesteś już małą dziewczynką, wierzącą w duchy i czarownice. Tutaj można tylko dobrze wypocząć, od czasu do czasu wstać z łóżka w południe i to jest dla mnie najważniejsze, kiedy przypomnę sobie, jak to jest, gdy, wołają cię w weekend do roboty.

- Tutaj duchy chodzą w nocy między drzewami. I w to akurat wierzę.

- Może i ja takiego duszka zobaczę. Nie robię sobie z tego żartów, ale lepiej ich nie widzieć. - Zabrzmiało to nad wyraz poważnie. - Słuchaj, masz jakiś kontakt z twoją byłą współlokatorką... Sabina, o ile się nie mylę?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Zostawiła w pokoju, w szafie na półce, jakieś kosmetyki i nie wiem co z tym zrobić.

- Zanieś je do recepcji, może zgłosi się po nie, chociaż wątpię, żeby teraz ją to interesowało, szczególnie po tym, jak znalazła w pokoju ten kwiat. Nawet ładny.

- Pewnie od jakiegoś wielbiciela.

- Może? - Beata nie czuła się upoważniona do opisywania przerażenia Sabiny dziwnym, nocnym prezentem, tym bardziej, że Daniel potraktowałby z przymrużeniem oka to wydarzenie.

Deszcz już tylko cicho szemrał, burza ucichła, z rzadka gdzieś w oddali błysnęło, tylko liście drzew drgały, poruszane lekkim tchnieniem wiatru.

Od kolacji minęło kilka godzin, Beata zaczęła odczuwać zmęczenie, zasłoniła dłonią usta, starając się stłumić ziewanie, które ogarnęło ją po przedłużającym się spotkaniu z Danielem.

- Niedługo zrobi się jasno - zauważyła, wpatrując się w czubki koron drzew, coraz bardziej widoczne w nadchodzącym powoli świcie. - Jaki chłód, to od tego deszczu - Roztarła dłońmi ramiona. - Ciekawe, czy jutro, a właściwie już dzisiaj, wyjdzie słońce.

- Nie mam nic, czym mógłbym cię okryć. Wracamy do pokoi? - zapytał Daniel.

-Uhm. Dzięki za ten raut w środku burzy. To był wspaniały wieczór.

- Może będzie jeszcze niejedna burza, więc z góry zapowiadam, że ci nie odpuszczę, ja też ci dziękuję za to, że dałaś się tu porwać.

- Twoje lody się rozpuściły, a ciasta nawet nie spróbowałeś.

- Za bardzo byłem zajęty tobą. Bardzo się cieszę, że mamy pokoje tak blisko siebie - Daniel pochylił się ku niej, objął ramieniem i ścisnął.

Beatę zaczęła zastanawiać jego poufałość; albo podoba mu się, albo ma w zwyczaju ścisnąć znane dziewczyny, chociaż intuicja podpowiadała jej to pierwsze skojarzenie. Za każdym razem, kiedy czuła jego ramię, bliskość ciała i śmiałe spojrzenie, zagładające w jej oczy, opanowywało ją podniecenie, po ciele przechodziło mrowienie i chciała, żeby trwało to jak najdłużej, wypływało ze szczerości uczucia, nie tylko przyjacielskiego.

Musiała wybrać pomiędzy wczasowym romanssem, który u niej szybko przeradzał się w zakochanie, albo traktować Daniela jak kumpla, z którym rozstanie się z końcem sierpnia.

Trudne, ale wykonalne.

- Idziemy - Beata wstała i ruszyła do wejścia.

W pensjonacie panowała cisza, jedynie recepcjonistka, siedząc za kontuarem, odprowadzała ich zaciekawionym spojrzeniem, po czym wróciła do przeglądania jakiegoś czasopisma.

- Jej nikt tu nie zmienia? - zdziwił się Daniel. - Nie zauważyłem w recepcji nikogo innego.

- Za krótko tu jesteś. Ja też ciągle ją widzę, ale z tego co zauważyłam, to dojeżdża tu na zmianę jakaś młoda kobieta.

W drodze do pokoju starali się iść lekkim krokiem, nie chcąc budzić wczasowiczów. Przed drzwiami swoich pokoi przystanęli i pożegnali się.

- To do śniadania, jeżeli nie załóżesz. - Daniel chwycił dłoń Beaty, chwilę trzymał, po czym podszedł do drzwi swojego pokoju i otworzył je.

- Do zobaczenia.

Beata, kiedy znalazła się w pokoju, zamknęła okno, w błyskawicznym tempie rozebrała się, wskoczyła w piżamę i nakryła się po brodę kołdrą. Ciepło powoli rozchodziło się po całym ciele. Trochę zmarzła na werandzie, ale spotkanie z Danielem warte było nawet włóczenia się pod koronami drzew w takiej ulewie i zmoknięcia do przysłowiowej suchej nitki.

Przysypiając, pomyślała, że po tak gwałtownej burzy z pewnością nie będzie wylegiwania się na słońcu nad morzem, za to zrobi rekonesans w głąb lasu ową zarośniętą od lat, zwirową alejką.

Sama, bo zauważyła niedowierzanie i brak zainteresowania Daniela swoją krótką, trochę urywaną opowieścią o pensjonacie.

Swoją drogą dobrze się stało, że to właśnie jego wiatry przywiały do „Czerwonych Maków”, czuła się teraz o wiele bezpieczniej, mając w pamięci grupę niebezpiecznych wczasowiczów.

Czas rozpocząć poszukiwania tego, po co oni przybyli do tej leśnej głuszy.

Daniel zaczekał, aż Beata wejdzie do pokoju i usłyszy zgrzyt przekręcanego klucza, po czym zamknął za sobą drzwi na klucz i z rozmachem rzucił się na łóżko. Nie zapalał światła, zresztą nadchodził świt, a ciemne okna zapewniały swobodę poruszania się, chociaż dla snajpera nie byłyby chyba wielką przeszkodą, poza tym musiał wykonać bardzo ważny telefon, który, w obawie przed przypadkowym podsłuchaniem, musiał w jakiś sposób zagłuszyć.

Wyboru wielkiego nie było. Wstał, włączył telewizor, trafił na jakąś strzelaninę w filmie sensacyjnym i sięgnął po telefon. Trzymał go w rękę, zastanawiając się nad przekazem informacji osobie, z którą za chwilę się połączy.

Usiadł na brzegu łóżka, spojrzął w noc za oknem.

Miał dokładnie ułożony plan działania, gra była warta przysłowiowej świeczki, rozwiązanie sprawy w zasięgu ręki.

Przyjeżdżając do pensjonatu, nie przypuszczał, że stanie mu na drodze ta atrakcyjna dziewczyna, która wiedziała o sprawie o wiele więcej, niż chciałyby wyjawić.

Dekonspiracja przed nią, a nie była osobą naiwną, tylko wręcz bystrą i ciekawską, mogłaby pokrzyżować to, co wypracowali wspólnie z obecnymi tu osobami.

Szkoda, że podoba mu się, chyba wzajemnie, bo widział to w jej oczach, ustach rozchylających się w uśmiechu, gestach, a ta noc utwierdziła go, że nie jest jej obojętny.

Cholera! Gdyby była starsza, niemiła...

Musi zagrać jak aktor na scenie, bez fałszu, który wytrawny widz szybko wyłapie, a takim widzem z pewnością jest Beata!

Połączył się z numerem rozmówcy.

- Witaj, przepraszam cię, że w środku nocy, ale nie spodziewałem się, że to tak długo potrwa.

- Nareszcie się odezwałeś. Mam nadzieję, że udało ci się wycisnąć z tej dziewczyny to, co tak dobrze ukrywa i udaje głupiotką wczasowiczkę? Co się tam dzieje?

- Trzymam rękę na pulsie. Tą dziewczynę, Beatę, trudno rozgryźć, przynajmniej po tym naszym spotkaniu, ale muszę coś zrobić, żeby za bardzo nie namieszała, nie chciałbym, żeby coś się jej przytrafiło.

Głos rozmówcy mu przytaknął:

- Ja też. Jeżeli będziesz rozmawiał z nimi, uważaj na siebie, są cwani i będą starali się, aby było nas jak najmniej do podziału. Ten lekarz ma długi na karku, pensja lekarza to nie kokosy, natomiast Garten coraz częściej kręci się wokół tego miejsca. I to sam!

- Bardziej nie podoba mi się Kamiński, przed przyjazdem tutaj rozmawiałem z nim przez komórkę i odniosłem

wrażenie, że to on wie, gdzie stoją konfitury - powiedział z przekonaniem Daniel.

-Przypuszczam, że oni wszyscy wiedzą i czekają na odpowiedni moment, żeby zacząć działać.

-A ty już wiesz?

- Domyślam się. Kamiński wtedy bał się długo rozmawiać, ale chodzi o Salę Kominkową.

Rozmówca chwilę milczał, po czym potwierdził:

- Wiem, bierz się do roboty, ale bądź ostrożny.

- Przecież jestem z nimi i ty też, obawiam się jedynie postronnych osób, a w szczególności tej dziewczyny.

- Wiesz jak to załatwić. Kończmy rozmowę i do usłyszenia.

- Słuchaj, jest pewna trudność, bo znam tę dziewczynę od paru lat... - Daniel wyrzucił z siebie haust powietrza.

-I...?

-Wydaje mi się, że trudno mi będzie wykręcić się od spotkań z nią, oczywiście wyłącznie towarzyskich.

- Taki spryciarz jak ty, wie, jak uniknąć niechcianego towarzystwa, chyba że ta dziewczyna jest dla ciebie tak interesująca, że zapominasz, po co tam jesteś! - Ton rozmówcy wyrażał niezadowolenie.

-Nie zapomniałem. Robota będzie wykonana.

- No to bierz się do niej i kontaktuj się ze mną. -Postaram się jutro, właściwie dzisiaj po południu, zobaczyć się z tobą.

- W porządku. To do zobaczenia.

- Na razie.

Daniel odłożył telefon i wyciągnął się na łóżku. Beata podobała mu się od czasu, kiedy zobaczył ją z Michałem. Tej nocy z trudem hamował się, aby nie objąć jej i nie całować, całować, całować... Tylko za bardzo jest ciekawska, będzie mu w tej robocie przeszkadzać.

Spojrzał w okno. Nadchodził świt.

Rozdział 4

Poranek był chłodny.

Słońce co rusz chowało się za szarymi chmurami, leśna murawa nie zdążyła jeszcze wyschnąć, na placu między samochodami stały niewielkie kałuże wody.

Beata wstała niewyspana i ziewając otworzyła skrzydło okna. Do pokoju wtargnęło świeże powietrze z nutką chłodu.

Oparła się o parapet i wychyliła głowę patrząc w niebo. Ciemne płyty chmur powoli rozsuwały się, spomiędzy których prześwitywał nikły blask słońca.

Odeszła od okna, ubrała lekki szlafroczek i udała się do łazienki. Na wspólnym korytarzyku przystanąła i nasłuchiwała, ale za drzwiami Daniela panowała cisza.

- Widocznie jeszcze śpi - pomyślała o nim ciepło, na wspomnienie spotkania na werandzie.

Wychodząc z pokoju na śniadanie, zawahała się przed zapukaniem do jego drzwi.

Zrezygnowała, nie chciała, aby potraktował to jako narzucanie się i traktowanie jako kogoś, kto musi jej towarzyszyć, bo zaprosił ją na spotkanie tête-à-tête.

W restauracji było tłoczno, nieciekawa aura tego ranka zgromadziła wczasowiczów przy stolikach i z ledwością znalazła stolik, przy którym siedziały dwie młode osoby; kobieta i mężczyzna.

- Dzień dobry. Jestem Beata Zabielska. Czy mogłabym przysiąść się do państwa, bo nie ma więcej wolnych miejsc?

-Oczywiście, za chwilę wychodzimy, jesteśmy Ruczajowie - przedstawili się.

Beata usiadła i rozejrzała się po sali wypatrując Daniela, ale w restauracji go nie było.

A więc zasnął.

Po chwili Ruczajowie, życząc smacznego, opuścili stolik, a do Beaty podeszła kelnerka, która obsługiwała

wieczorem jej stolik na werandzie i, pytając o zestaw śniadaniowy, patrzyła na nią z nieukrywaną ciekawością.

- Pewnie myśli, że zaledwie facet przyjechał, już go poderwałam - Beata ściągnęła kąciki ust, które mimowolnie zadrgały z rozbawienia, na widok miny kelnerki.

- Poproszę dwie bułeczki, małe, albo rogaliki z serem, tak, rogaliki i herbatę z cytryną - złożyła zamówienie.

- Ile rogalików?

- Cztery.

Zajęta pałaszowaniem słodkich rogalików, zerknęła w stronę drzwi, ale chłopaka nadal nie było, widocznie na śniadaniu mu nie zależało.

Spojrzała w okno. Szaro, pewnie znowu zacznie lać. Na chwilę do restauracji zajrzały promienie słońca i zaraz zniknęły.

- Tak beze mnie? - Usłyszała znajomy głos.

Daniel usiadł naprzeciwko niej, chwytając ze stolika jadłospis.

- Nie budzę obcych facetów - zamruczała niewyraźnie, połykając kęs rogalika.

- Miałem na myśli łomot do moich drzwi.

- Zastanowię się nad tą propozycją.

Chłopak, czekając na kelnerkę, wybrał mocną kawę i jajecznicę na bekonie.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał.

- Przejdę się gdzieś, jeszcze nie wiem. A ty? - Muszę pojechać do firmy. Mówiłem ci, że nawet potrafią zepsuć urlop - skrzywił się niezadowolony.

- Na długo?

- Nie sądzę, ale jestem wkurzony.

- Długo się nie nacieszyłeś wolnością.

- Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj wrócę i pojedziemy gdzieś... - Daniel spojrzał w okno - bo pogoda nie jest zbyt zachęcająca na spacer. Wybierz jakieś miejsce, wschód, zachód, peryferia, gdzie jeszcze nie stanęła ludzka stopa.

- Zmrużył oko, sięgając po kubek z kawą, który zestawiła z tacy kelnerka.

Zapachniało jej aromatem i gorącą, parującą jeszcze jajecznicą na bekonie.

- Może masz ochotę? - Daniel pokazał na talerz.

- Nie, dzięki, a co do jazdy w nieznaną, to zastanowię się nad jakąś białą plamą na mapie.

Beata, zaintrygowana spojrzeniami wczasowiczów, pobiegła wzrokiem w stronę drzwi, w których nieoczekiwanie ukazał się Heckmann.

Szybkim krokiem przeszedł połowę sali i stanął naprzeciw rzędu stolików. Ku zdumieniu Beaty, był wyraźnie zdenerwowany, pobił na twarzy i mogłaby przysiąc, że kiedy uniósł rękę do twarzy, jakby odganiając niewidoczną muchę, drgały mu palce.

- Proszę państwa, przede wszystkim życzę smacznego i proszę o chwilę uwagi, mam dla państwa niezbyt przyjemną informację, którą otrzymałem przed chwilą. - Przerwał, głęboko odetchnął, jakby zabrakło mu tchu, po czym kontynuował. - Otóż... w związku ze śmiercią naszej byłej pracownicy, pani Bożeny Gawronik... przyjedzie dzisiaj do pensjonatu śledczy z Komendy Głównej Policji w Gdańsku, myślę, że jest już w drodze i w związku z tym proszę, abyście byli wszyscy państwo obecni w swoich pokojach po obiedzie, około godziny 14.00, gotowi na rozmowę z komisarzem Karbowskiem.

Umilkł szcęk sztućców, rozmów, dźwięk czyjegoś telefonu zabrzmiał w ciszy natrętnie i nieprzyjemnie, wszyscy, jak na komendę, patrzyli na twarz mężczyzny, już opanowaną, jakby komunikował mało znaczącą wiadomość.

- To wszystko. Bardzo proszę o dostosowanie się do polecenia policji.

Heckmann zamierzał wyjść z restauracji, ale zatrzymały go głośne pytania.

- Co się stało? Dlaczego policja chce ze wszystkimi rozmawiać? - Padło ze stolika, przy którym stał mężczyzna.

-Nic więcej nie wiem, przyznaję, że to pewna trudność, jesteście państwo na wczasach, ale taką dostałem wiadomość i nic na to nie poradzę. - Heckmann rozłożył ręce w przeproszającym geście i wyszedł z sali.

Beata wymieniła pełne zdziwienia spojrzenie z Danielem, który pokręcił głową z niezadowoleniem.

-No to skutecznie poprawił wszystkim nastrój -stwierdził z sarkazmem.

-Widocznie coś się dzieje, jeżeli policja chce nas przesłuchiwać. Może to nie była przypadkowa śmierć? -Beata zmieniła się na twarzy, jakby nagle coś odkryła.

- Co masz na myśli?

- Na takim odludziu różne rzeczy mogą się wydarzyć. Ludzie czasem popełniają błędy, nieświadomi ich konsekwencji, niekiedy trudnych do przewidzenia. A ona... chyba miała nieodpowiednie towarzystwo. Tak... słyszałam... Zresztą nieważne.

I znowu żadnej reakcji ze strony chłopaka, co jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że nie warto w jego towarzystwie poruszać tych tematów i, chociaż nie patrzyła na Daniela, czuła na sobie jego badawcze spojrzenie.

Na pewno podoba mu się, kobiecy zmysł raczej jej nie zawodził... w przeciwnym razie szybko by znalazł sobie w pensjonacie kumpla do wyskoków na przysłowiowe piwo, a nie afiszował się z nią. Ma takie oczy, kiedy na nią patrzy... takie dużo mówiące, no... takie... po prostu, widać w nich zainteresowanie jej osobą.

Potoczyła wzrokiem po sali.

Nie do wiary, jak szybko ludzie potrafią zobojętnieć wobec informacji otrzymanej przed chwilą. Nie tylko ci, niemający nic wspólnego ze skokiem na kasę Heckmannów, ale i cała szajka, jak ich w myślach nazywała.

- Beata.

-Tak?

- Zamyśliłaś się.

- Nie, wydaje ci się. To co? Ja już jestem po śniadaniu i idę do pokoju, a potem... potem, gdzieś się powłóczę, w wielu miejscach jeszcze nie byłam.

-Ja idę do samochodu. Szkoda, że przyjeżdża ten policjant, nie wiadomo jak długo to potrwa. Może jednak uda się nam później gdzieś pojechać.

- A ja jestem ciekawa, bo Sabina mówiła nieraz takie dziwne rzeczy. Nawet któregoś dnia przestraszyłam się jej, kiedy spotkałam ją w Stomewie koło biblioteki, a potem jechała za mną przez las.

-Widzę, że masz skłonności do wyolbrzymiania zwykłych spraw. Strach ma wielkie oczy. Co ci przyszło do głowy? - Daniel pokręcił z dezaprobatą głową.

- Och! Wiem, co mówię! - Beata zareagowała gwałtownie, po czym zaraz się zmitygowała i dodała obojętnie: - To znaczy... chyba masz rację. Pobuszuję dzisiaj po okolicy, mam nadzieję, że nie będzie łało. I chyba bez ciebie... - Zawiesiła głos i spojrzała na chłopaka.

- Zobaczymy. A teraz muszę jechać. Chodźmy. Beata wstała, za nią Daniel, i wyszli z restauracji.

Daniel, z przyrzeczeniem, że postara się szybko wrócić, poszedł na plac po samochód, natomiast Beata wróciła do pokoju i wychyliła głowę przez okno.

Deszcz nie padał, to były raczej krople wody spadające gdzieś z gałęzi drzew, ale na wszelki wypadek przydałaby się parasolka, której na pewno nie wzięła.

Beata odeszła od okna i otworzyła szafę. Jej wzrok padł na blond perukę od Sabiny. Będzie służyć jako okrycie głowy!

Przymierzyła ją przed lustrem. Pasowała idealnie, a cała w skręconych loczkach, zmieniła jej wygląd do tego stopnia, że długo przyglądała się sobie w lustrze, zadowolona ze zmiany fryzury.

Tak jak od dawna postanowiła, to był dzień na rozwiązanie zagadki zaniebanej, żwirowej alejki, ciągnącej się gdzieś w dal.

Włożyła dżinsy, ciepły sweter, adidas, zastanowiła się nad telefonem, bo niby do kogo miałyby dzwonić w lesie... ale po chwili namysłu zabrała go ze sobą. Chwyciła torebkę, wyszła z pokoju, zamykając drzwi na klucz, potem przekręciła klucz w drzwiach wychodzących na ogólny korytarz.

Na zewnątrz lekko mżyło, ale kiedy weszła w alejkę osłoniętą koronami drzew, tylko tu i ówdzie spadła kropla wody, być może strząśnięta przez ptaki siedzące na gałęziach.

Nocny deszcz wsiąkł w żwir i nie było po nim śladu.

Było chłodniej o kilka stopni, co po upałach było przyjemnym odprężeniem, powietrze było cudownie orzeźwiające.

Beata szła wolno, rozglądając się z ciekawością po nieznanym jej miejscu, dookoła panowała cisza, chociaż teraz wolałyby słyszeć jakiegokolwiek odgłosy ludzkie, kiedy jakiś nieprzyjemny zgrzyt w pobliżu, ścisnął jej ze strachu gardło!

Wzdrygnęła się i przystanęła, ale nadal panowała cisza i raczej instynkt jej podpowiedział, aby iść dalej, bo nagle z impetem, świstem, spadł za nią wielki konar drzewa, którego gałęzie przesunęły się po jej plecach.

Poczuła niezbyt wielki ból, zatrzymała się cała roztrzęsiona i, dygocąc z przejęcia, wyobraziła sobie, co by się stało, gdyby nie ruszyła naprzód i spojrzała do góry. Korony drzewostanu były tak gęste, że niczego nie dostrzegła, ani jednej ułamanej gałązki.

- To wskutek tej burzy ułamała się ta wielka gałąź -pomyślała.

Dziwne miejsce! Jak w strasznej bajce! Gęsto zalesione, bardziej niż wokół pensjonatu.

Pewnie dlatego nikt z wczasowiczów tędy nie chodzi.

Beata powoli pokonała niepokój, który, jak lodowa płachta, zaczął okrywać całe ciało i z trudem powstrzymała się od zawrócenia do pensjonatu.

Dookoła żywego ducha, tylko coś nieznanego, wytrącającego ze spokoju, ściskającego w dołku, towarzyszyło jej z każdym następnym krokiem.

Dodawala sobie otuchy, że przecież pensjonat jest ogrodzony i być może ta część lasu była monitorowana.

Szybko wybiła sobie to z głowy.

Kto wie, czy w samym pensjonacie są kamery, może na zewnątrz, bo raczej nie w środku, gdzie goście byliby niezadowoleni i skrepowani, natomiast tu, w lesie?!

Przystanęła.

Zawrócić czy, gnana ciekawością, ma iść, iść i... gdzie dotrzeć? Iść dalej!

Zaczynało się rozjaśniać, ciepłe promienie słońca przenikały przez chmury, potem przez zielony baldachim drzew. Zrobiło się przytulniej, przyjaźniej, niepokój znikł.

Beata zdjęła sweter i obejrzała go. Zamarła z wrażenia.

Był na plecach poszarpany, zwisały z niego nitki wełny, po zwałeniu się tuż za nią wielkiego konara drzewa, przedstawiał żaloszny wygląd.

Uff! Co by było, gdyby miała na sobie tylko cienką bluzkę, ledwie zasłaniającą ciało?! Lepiej sobie tego nie wyobrażać!

Po krótkim namyśle rzuciła sweter na krzaki, z postanowieniem, że go zabierze, kiedy będzie wracała do pensjonatu, a tam po prostu wrzuci do śmietnika.

Dopiero teraz poczuła na plecach, pod cienką bluzką, ból, jakby kot przejechał po nich pazurami. Podciągnęła ją do góry i położyła dłoń na plecy. Szczypały w kilku miejscach. Kiedy spojrzęła na palce, były lekko czerwone od krwi, po zadrapaniach gałęziami.

Odetchnęła z ulgą. Mogło być o wiele gorzej!

Wytarła ręce w chusteczkę nasączoną rumiankami, wrzuciła ją do torebki i ruszyła dalej w głąb lasu.

Jeszcze zanim skończyła się żwirowa alejka, z daleka zamajaczył jakiś kształt, jakby drewnianej altany, małego baraku dla dawnych robotników rezydencji, albo starej szopy.

Beata, wiedzona ciekawością, podchodziła coraz bliżej, bliżej...

Szopa, sklecona desek, wydawała się tak wiekowa, że odnosiło się wrażenie, że za chwilę runie. Małe okienka były zabite deskami, szpara w drzwiach pośrodku szopy jakby zapraszała do środka, ale Beata w ostatniej chwili powstrzymała się od wejścia do środka.

Sama nie wiedziała dlaczego. Co znajdowało się za drzwiami? Pewnie jakieś stare graty, zardzewiałe narzędzia.

Mimo to podeszła do drzwi i zajrzała przez wąską szparę. W szopie było ciemno i bez latarki nic nie można było dostrzec. Lekko pchnęła drzwi, ale stawiały opór, pewnie czas je wypaczył.

Kiedy odchodziła od drzwi, rozległ się jakiś chrzęst, ale kiedy potoczyła dookoła wzrokiem, nikogo nie zobaczyła.

Postanowiła wrócić nazajutrz w to miejsce z latarką, może mają w recepcji, coś wymyśli, ostatecznie, kiedy otworzy szeroko drzwi, to do środka wpadnie światło dzienne.

Obeszła szopę dookoła, ale nic szczególnego nie zwróciło jej uwagi; jakaś polana z tyłu szopy rozciągała się pomiędzy drzewami, miejscami wyzierały wśród zielonej trawy jakieś chaszczki, uschnięte łodygi polnych kwiatów, szarzejące powoli chwasty, jak to w lesie.

Gdzieniedzie można było jeszcze dostrzec barwy żółtych mleczy, chyba koniczynę, jakieś nieznane jej z nazwy małe kwiatostany, zaledwie widoczne w murawie.

Beacie przyszło na myśl, że mogłaby zbierać pęk żółtych kwiatów i wstawić do kubka z wodą w swoim pokoju.

Były takie żywe i cieszyły oczy.

Nachyliła się i po paru minutach zebrała spory bukiet mieniący się cudownym żółtym kolorem. Wsunęła je delikatnie do kieszonki na zewnątrz torebki, tak aby nie połamać kwiatów.

Już zawracała, kiedy coś zwróciło jej uwagę.

Z biciem serca i z niedowierzaniem patrzyła na jeszcze zielone łodygi, z usychającymi płatkami czerwonych maków!

Za długo uwagę miała zaprzątniętą tajemnicą porcelany, żeby teraz nie skojarzyć sobie zapisu w testamencie dawnych właścicieli rezydencji w lesie!

...cały majątek zostawiam tam, gdzie czerwienią się maki...!

Po chwili euforia z niej uleciała.

Maki są wszędzie, w całym lesie, na wzgórzu, gdzie się opala, w kwiaciarni, na szyldzie nad pensjonatem...

A jednak jakiś niesamowity zmysł, mimo wszystkich maków w lesie i całej okolicy, podpowiadał jej, że powinna tu jeszcze raz przyjść i wejść do ponurej szopy!

Cała w skowronkach, jakby niosły ją skrzydła, wróciła pod drzwi szopy i z biciem serca wpatrywała się w szparę drzwi, które pchały ją w objęcia ciemnej, ponurej czeluści szopy!

Wyciągnęła rękę i powoli pchnęła drzwi.

Tym razem nie stawiały większego oporu, więc pchnęła je energiczniej, po czym, nie wchodząc do środka, usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemności, ale na niewiele się to zdało.

Zabite, małe okna, skutecznie ograniczyły dostęp światła, a same drzwi nie rozjaśniły pomieszczenia.

Beata ostrożnie, jakby w środku czekała na nią wielka niewiadoma, zrobiła krok do przodu, potem jeszcze jeden i kolejny...

Otoczyła ją ciemność i przykry zapach czegoś nieokreślonego, jak w starych, opuszczonych ruderach.

W pomieszczeniu zamajaczyły zarysy jakichś przedmiotów, chyba starych narzędzi, jakby stołu... I te ciemności; nawet drzwi nie wpuściły więcej światła.

No właśnie! Światła!

Beata wyjęła telefon i przy jego niewielkim blasku, powiodła komórką dookoła siebie. Kiedy spojrzała pod nogi, serce o mało nie wyskoczyło jej z ze strachu!

Jeszcze jeden krok i wpadłaby do...

Stała na krawędzi głębokiego dołu, pośrodku szopy!

Intuicja podpowiadała jej, żeby uciekać stąd i to jak najszybciej, chociaż oprócz niej nikogo w środku nie było!

A może był!

Wyczuła raczej niż usłyszała, że coś lub ktoś za nią stoi, zamierzała odwrócić się, zobaczyć...

Straszny ból przeszył jej czaszkę, zachwiała się, usta otworzyła do krzyku, ale kolana pod nią ugięły się i zanim zdała sobie sprawę z tego, co się stało, poczuła pchnięcie do przodu i upadek na piasek w wykopanym dole.

Resztkami sił zdołała tylko odwrócić głowę, zamglonymi z bólu oczami spojrzeć w górę i wówczas przeszła ją straszna myśl, że sylwetka pochylonego nad wykopem człowieka jest jej skądś znana...

Zanim straciła przytomność, usłyszała jakieś szuranie, poczuła ziemię opadającą na nią gdzieś z góry i zobaczyła człowieka, który, pochylony nad wykopem, zrzucał coraz więcej i więcej wilgotnej, ciężkiej ziemi.

W Stomewie, mieszkanie Turskich, rodziców zmarłej kelnerki, składało się z trzech, gustownie urządzonych pokoi, w jednym z nich, na komodzie, stała ramka ze zdjęciem Bożeny Gawronik, przepasana czarną wstążką.

Komisarz Karbowski z przykrością patrzył na cierpienie wypisane na ich twarzy.

Siedzieli naprzeciw siebie przy okrągłym stole, kobieta co chwilę podnosiła chusteczkę do zaczerwienionych od płaczu oczy, mężczyzna starał się zachować spokój, ale i on nerwowo zaciskał ręce i usta i głęboko oddychał.

-Muszę zadać państwu kilka pytań. Wiem, że w takiej chwili to trudne dla was, ale taka jest moja praca. - Komisarz otworzył notatnik, starając się nadać rozmowie oficjalny, suchy ton.

-Prosimy, jeżeli tak trzeba - powiedziała cicho kobieta.

- Jak długo państwo tu mieszkacie?

- Trzy lata? - Turska spojrzała na męża, czekając na potwierdzenie.

- Około.

- A poprzednio gdzie państwo mieszkaliście?

-Na Dolnym Śląsku, ale w związku z pracą męża przenieśliśmy się tutaj, to takie ciche, spokojne miasteczko... przynajmniej było... No i ze względu na nasze zdrowie, tu jest dobre powietrze.

- Co to za praca?

- Jestem perukarzem, pracuję dla teatru w Gdańsku. Mam tam służbowe, małe mieszkanie, a to - mężczyzna powiódł wzrokiem po ścianach - kupiliśmy, sprzedając nasze na Śląsku.

- Sami tu przyjechaliście?

-Z Bożenką. Czasem odwiedzała nas druga córka, Sabina, szczególnie wtedy, kiedy przyjeżdżała na wczasy do tego... pensjonatu

- Turskiej załśniły gniewem oczy.

- A ta druga córka została na Śląsku?

-Tak, ale ma swoje mieszkanie, po rozwodzie z mężem. Bożenka miała właśnie wymienić dowód osobisty...

- Rozumiem. Czy pani Bożena opowiadała państwu o sobie, o znajomych, przyjacielu? - Karbowski pilnie notował wypowiedzi Turskich, zadowolony z przebie-

gu rozmowy. Teraz nadszedł czas na bardziej wrażliwe pytania, których nie mógł ominąć.

Podniósł głowę znad notatek i powtórzył:

- Opowiadała, zwierzała się?

- Bożenka była skrytą osobą, ale nie miała trudności w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, dwukrotnie wychodziła za mąż, ale nie wiodło się jej w małżeństwach, może dlatego, że trafiała na takich... co to lubią lekkie życie... towarzystwo, ale poza domem...

- Chorowała, leczyła się w przychodni, u stomatologa?

- Pila zioła na wspomaganie wątroby... miały być nieszkodliwe...

Kobieta przyłożyła chusteczkę do oczu i rozległ się rozpaczliwy szloch. Turski ścisnął ją za ramię, sam głęboko wstrząśnięty.

Przez chwilę trwało pełne napięcia milczenie.

-Czy w dzień... wypadku dzwoniła, kontaktowała się z państwem? - zapytał Karbowski, widząc, jak oboje ciężko przeżywają wspomnienie tragicznie zmarłej córki.

-Nie, ona rzadko dzwoniła, ale kiedy wreszcie odezwała się, to... - Turski przygarbił się na krześle, oparł łokcie na kolanach - szczebiotała jak mała dziewczynka... Znamy ten głos... tak zawsze było, kiedy poznała jakiegoś mężczyznę. - Pokręcił z ubolewaniem głową.

- A poznała?

- Poznała, ale o tym wiemy od naszej drugiej córki, Sabiny, a ona dopiero po jakimś czasie przyznała się do tej znajomości! A wie pan dlaczego?! - wybuchnął Turski i gwałtownie wyprostował się na krześle.

- Proszę mówić.

- Bo to nie był partner dla niej! Za stary! Ale ona świata poza nim nie widziała! Przyczepił się do niej jak rzep do psiego ogona... Wiem, o co pan zapyta. Skąd o tym wiemy? Nasza Sabina obserwowała ten romans, ale nie była w stanie wybić jej tego z głowy!

Po gwałtownym wybuchu złości, mężczyzna znowu przygarbił się i wbił wzrok w podłogę.

- Rozumiem ból państwa, ale muszę zadać jeszcze kilka pytań. - Komisarz spojrział w notatnik.

- Gdzie mógłbym spotkać tego mężczyznę? - zapytał.

-Gdzie? - powtórzył Turski, lekko unosząc głowę, patrząc gdzieś przed siebie. - A w tym pensjonacie. W „Czerwonych Makach”. To Kamiński, jest tam na wczasach.

- Czy mieliście państwo okazję, żeby go poznać?

- Nie - odezwała się cicho kobieta. - I nie chcemy. Bożenka była taka ładna, była...

- Może nie wiedział, jak się jej pozbyć, ten... amant od siedmiu boleści i... Sam nie wiem, co o tym myśleć. - Mężczyzna z goryczą snuł podejrzenia.

- Co ma pan na myśli?

-Proszę pana, nie jesteśmy już młodymi ludźmi, znamy życie od podszewki, nasze córki także. Bożenka jak się zakochiwała, to z reguły wydawało się jej, że to już ten ostatni, że to prawdziwa, odwzajemniona miłość. Może on... tak nie myślał? Schody są strome.

- To bezpodstawne rzucanie podejrzeń na człowieka -pouczył go komisarz.

-Niczego nie rzucam, po prostu myślę i każdemu skreśliłbym kark za moją córkę! - Turski zacisnął pięści, wbijając wzrok w blat stołu.

Komisarz zamknął notatnik i wstał z krzesła.

- To wszystko, o co chciałem państwa zapytać i bardzo dziękuję za rozmowę. Gdybyście państwo mieli dla mnie jeszcze jakąś informację, to proszę o kontakt na ten numer - położył na stole kartkę z numerem telefonu.

- Do widzenia - rzucił, stojąc na progu mieszkania.

Na parkingu, siedząc w za kierownicą toyoty, pomyślał, że nigdy nie chciałby, aby taki dramat spotkał jego rodzinę czy dalszych krewnych; naturalną śmierć przy-

muje się inaczej niż morderstwo daleko od domu, z rąk jakiegoś psychopaty.

Sprawdził godzinę na zegarku.

Na przesłuchanie dzisiaj kilku osób z pensjonatu zostało niewiele czasu, a powinien zapoznać się, chociaż pobieżnie, z rozdziałem książki Janczaka, którą służbowo polecił mu nadkomisarz.

Zapalił silnik i ruszył w drogę do pensjonatu „Czerwone Maki”. Jadąc czarną drogą, przyglądał się ciemnej, zielonej głębi lasu, takiej, w której osobom niezrównoważonym psychicznie, może coś zaświtać w głowie. Pustka, cisza, niesamowity nastrój, może wywołać niezdrowe emocje.

Kiedy zajechał przed pensjonat, sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu torbę i wysiadł z samochodu. W recepcji przedstawił się, poprosił o książkę meldunkową i zapytał o Heckmanna.

- Jest u siebie w biurze. To tam. - Kobieta wskazała drzwi. - Zaprowadzę pana - zaoferowała, unosząc się znad kontuaru.

- Dziękuję. Nie trzeba.

Karbowski zapukał do drzwi biura, po czym wszedł do środka. Na jego widok mężczyzna siedzący za biurkiem wstał i wyszedł mu naprzeciw.

- Dzień dobry. Komisarz Karbowski z Komendy Głównej w Gdańsku.

- Wyciągnął rękę.

- Dzień dobry. Heckmann. Oczekiwałem pana, miałem telefon, że pan dzisiaj przyjedzie. Proszę usiąść.

- Partner Wojanowskiej wskazał mu fotel przed biurkiem.

- Wypije pan kawę, jakiś napój? - zapytał, po czym zajął miejsce za biurkiem.

- Na razie dziękuję, chciałbym chwilę z panem porozmawiać, jak pan zapewne się domyśla, chodzi o śmierć pana pracownicy. Będę w pensjonacie przez jakieś powiedzmy kilka dni. Czy pokój jest już dla mnie przygotowany? - Karbowski usiadł na fotelu.

-Oczywiście, jeden z pokoi w naszym prywatnym apartamencie jest do pana dyspozycji. - Heckmann mówił spokojnie, jakby właśnie pojawił się kolejny wczasowicz.

- Pan, z tego co wiem, nie jest właścicielem pensjonatu? - Karbowski patrzył mężczyźnie prosto w oczy.

- Nie... moja... druga połowa... przyjaciółka, Jadwiga Wojanowska, jest właścicielką... ale jesteśmy parą. - Ten, zacinając się, wybrnął z kłopotliwego pytania.

- W takim razie zaczekam z rozmową. Proszę powiadomić właścicielkę, żeby przyszła do biura.

- Niestety Jadwiga wyjechała do córki, ale w każdej chwili, jeżeli będzie taka potrzeba, na pewno przyjedzie do pensjonatu. Mam numer telefonu do jej córki, zaraz panu podam. - Heckmann otworzył szufladę biurka i rozgarniał w niej jakieś papiery.

Karbowski obserwował daremne wysiłki odszukania numeru, po czym powstrzymał go ruchem ręki od dalszych poszukiwań, pytając:

- Kiedy pani Wojanowska wyjechała?

- Kilka dni temu, jakoś na początku miesiąca... trzeciego czy czwartego sierpnia, musiałbym sobie przypomnieć, bo od tamtego czasu, to wszystko - Heckmann szeroko rozłożył ręce - jest na mojej głowie. - Zaśmiał się z przymusem.

- Kiedy wróci? Za tydzień, dwa?

- Przed jej wyjazdem trochę się posprzeczałyśmy, jak to bywa między dwojgiem ludzi, więc nie powiedziała, kiedy wróci. - Heckmann zmarszczył brwi, niezadowolony z dociekliwości komisarza.

- Hm... Wracając do celu mojego przyjazdu, co pan może powiedzieć o zmarłej kelnerce? Miała tu przyjaciół spośród gości, a ściślej mówiąc przyjaciela, z którym spotykała się lub miała romans?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Zazwyczaj pracodawcy wiedzą coś o życiu prywatnym swoich pracowników, chociażby przez przypadek, a pani Gawronik zajmowała przecież pokój na poddaszu.

- Ja nie pomogę panu, po prostu nic nie wiem o jej znajomościach.

- Wypadek zdarzył się drugiego sierpnia około północy. Był pan w tym dniu na miejscu, w pensjonacie?

- Oczywiście, nigdzie tego dnia nie wyjeżdżałem, zresztą, jeżeli to jest takie ważne, Jadwiga może o tym zaświadczyć. Znajdę numer telefonu do jej córki i powiem, żeby przyjechała. - Heckmann gładko przełknął pytanie komisarza. - Ale czemu ma służyć to pytanie i pański przyjazd? Kelnerka została już pochowana, interesowałem się tym, w końcu to taka tragedia pod naszym dachem.

- Pani Bożena Gawronik została zamordowana, a dokładniej otruta, i prawdopodobnie osoba, która podała jej truciznę, nadal przebywa w pensjonacie.

- Otruta?! Ale w jaki sposób?! Czym?! - zapytał zdławionym głosem, osłupiały w jednej chwili Heckmann.

- Lekiem nasercowym.

- Ale ona nie chorowała na serce, przynajmniej o tym bym wiedział! Pracownicy robią przed przyjęciem do pracy badania lekarskie.

Karbowski nie wątpił w autentyczność jego reakcji; wystarczyło spojrzeć w jego pełne zdumienia i zrazem strachu oczy i pobladłe policzki.

- Owszem, nie chorowała, natomiast piła ziołową herbatę i tam właśnie znalazła się silna trucizna. Wobec czego wszyscy przebywający tu na czasach, jak i stali mieszkańcy, są uwikłani w to zabójstwo.

- Sugeruje pan, że ktoś z nas ją zabił?! - wykrzyknął Heckmann.

- Powiedziałem, że uwikłani, a to duża różnica - wyjaśnił ze spokojem komisarz.

- Jeżeli to się roznieście po okolicy, pensjonat splajtuje, będą bali się do nas przyjeżdżać.

- Albo odwrotnie. Chciałbym zrobić lustrację poddasza, wszystkich znajdujących się tam pomieszczeń, bo właśnie tam mieszkają pracownicy administracyjni?

- Tak, dwie kelnerki, pracownik gospodarczy, taki wie pan, „złota rączka”, kucharka, pomoc kuchenna i pokojówka, pozostałe pomieszczenia mają różne przeznaczenie, na sprzęt rekreacyjny, narzędzia, na towar niewymagający chłodzenia. Zresztą sam pan to wszystko obejrzy.

- A jak są ponumerowane pokoje wczasowiczów? Które są najbliżej schodów prowadzących na poddasze?

- Numer cztery i naprzeciw numer pięć. Pokoje przedzielone są łazienkami, wchodzi się najpierw do małego korytarzyka.

- Wszyscy pracownicy są na miejscu?

- Oprócz pokojówki, która jest na urlopie.

- Powiadomił pan wszystkich o moim przyjeździe? - Tak.

- Wiem, że są na wczasach, ale sytuacja jest wyjątkowa. Proszę powiadomić pierwszą grupę osób, którą chciałbym przesłuchać w charakterze świadków. Zaraz podam ich nazwiska - Komisarz otworzył książkę meldunkową i wczytał się w jej ostatnie wpisy.

Zapadła cisza.

Heckmann nieprzyjaźnie patrzył na pochylonego Karbowskiego. Będzie węszył, gdzie się tylko da, dobrze, że nie ma Jadwigi, chyba na serio oskarżała go o przyczynienie się do śmierci tego Janczaka, a teraz zabójstwo kelnerki i wszyscy są podejrzani!

Przez niego plan może się opóźnić, a są już o krok do zakończenia całej akcji!

Komisarz odchylił się, oparł o fotel i położył dłoń na książce.

- Trochę się pospieszyłem i wziąłem ją z recepcji bez pana zgody, więc proszę nie mieć pretensji do recepcjonistki. Zrobię odpowiednie zapiski i zaraz ją zwrócę - wyjaśnił.

- Proszę, wszystkie miejsca są zajęte, więc na razie i tak nie ma tam kogo wpisywać. A przepraszam, w pokoju pod piątką jest jedno wolne miejsce i pod czwórką dwa.

-Zauważyłem, że powtarzają się niektóre nazwiska gości. Pewnie podoba się im tutaj i wcale się nie dziwię. Okropna tu głusza, jakby świat tu się kończył.

-I to jest naszą największą atrakcją, tylko wypoczynek i krajobrazy, jakich nie ma nigdzie indziej.

- Mam jeszcze jedno pytanie do pana.

- Ależ proszę pytać.

- Skąd pan pochodzi?

- Co to ma do rzeczy?! - Heckmann nie potrafił ukryć złości. - Z Dolnego Śląska, ale meldunek mam w Stome-wie.

-Dziękuję bardzo za wyjaśnienia i najpierw proszę zaprowadzić mnie do mojej kwatery, a później podam panu pierwsze nazwiska gości, z którymi chciałbym porozmawiać.

- W pana pokoju?

- Nie, nie, co pan proponuje?

- W Sali Kominkowej będzie panu najwygodniej, zazwyczaj jest pusta.

-Dobrze. Proszę jeszcze podać numer telefonu do biura i recepcji.

- Zaraz panu podam.

Komisarz podniósł się i wyszedł z biura za mężczyzną. Po drodze minęli recepcjonistkę, która z ciekawością zerknęła na mężczyzn, idących do apartamentu Wojanowskich.

W przedpokoju Heckmann wskazał na drzwi wprost wejścia.

-To ten pokój, z reguły przeznaczany jest dla osób spoza wczasowiczów. To pokój gościnny. Z Jadwigą rzadko go użytkujemy.

- Nie chciałbym państwa w żaden sposób krępować, wystarczy mi kwatery chociażby na poddaszu, o ile jest tam coś wolnego - zasugerował komisarz.

- Jak pan widzi, to nie jest pokój przechodni, więc i pan, i my mamy pełną swobodę.

Heckmann otworzył drzwi, przepuścił go przed sobą i zatrzymał w progu.

- Jeżeli chodzi o posiłki, to będzie pan stołował się w restauracji czy tu, w pokoju?

- Powiadomię pana, a teraz proszę o mocną kawę.

- Zaraz przyjdzie kelnerka, a tu jest klucz do pokoju. - Zrobił kilka kroków w kierunku komody, wyjął klucz z szuflady i podał komisarzowi.

- Dziękuję. Za chwilę podam nazwiska. Będzie pan w biurze?

-Tak.

Kiedy wyszedł, Karbowski rozejrzał się po pomieszczeniu. Nawet nie przypuszczał, że przyjdzie mu pracować w tak komfortowych warunkach; piękne meble, wygodne, szerokie łóżko, nakryte elegancką narzutą, dywan, telewizor, telefon, jakieś drobiazgi z kolorowego szkła, białe serwetki, widać było w tym kobiecą rękę.

Wypchaną torbę postawił na podłodze obok niewielkiego stołu, wyjął z niej dokumenty, laptopa, dyktafon i położył na stole.

Spojrzał na książkę Janczaka, chwycił ją z niechęcią, usiadł w fotelu pod oknem i przewertował kartki. Jakaś nuda, ale rozkaz przeczytania zaznaczonego rozdziału, to rozkaz!

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili weszła młoda kobieta z tacą, na której stała filiżanka z dymiącą, aromatyczną kawą.

- Proszę, szef kazał przynieść z podwójną porcją -oznajmiła.
- Dziękuję pani. Proszę ją tu postawić. - Komisarz pokazał na mały stolik obok fotela, na którym siedział.

Mocna kawa podziałała zbawiennie na zmęczenie, jakie odczuwał po podróży i stresie związanym po rozmowie z Turskimi, chociaż jako glina widział niejednego ludzki dramat, ale nigdy nie mógł przejść nad tym do porządku dziennego, jak inni śledczy.

Przeczytany rozdział książki okazał się być bardzo pomocny w ocenie sytuacji w pensjonacie, chociaż trochę niewiarygodny, być może pisany był pod wpływem zasłyszanych opowieści?

Karbowski odłożył książkę i zerknął na zegarek. Niedługo powinien zacząć przesłuchanie pierwszej osoby.

Wstał, sięgnął po księgę meldunkową i usiadł przy stole. Wpisane nazwiska nic mu nie mówiły, natomiast przy każdym z nich widniał numer zajmowanego przez nich pokoju i data zakwaterowania.

A więc... pokój z numerem piątym zajmowały cztery osoby: Ruczajowie i Milewscy, naprzeciw, pod czwórką, Beata Zabielska, Sabina Turska... Tej już nie ma, a na jej miejsce zakwaterowany został Daniel Patkowski, kilka dni po zabójstwie, więc nic szczególnego nie wniesie do sprawy, tym samym rozmowę z nim zostawi na koniec wszystkich przesłuchań.

Pokój numer sześć... to Janusz Lewicki i Sławomira Tomczak, Halina Tomczak. Pewnie rodzina, może siostry? Trójkę zajmował Andrzej Kamiński oraz Marzena i Jacek Sadowscy... Pokój numer siedem Garten z żoną i Eryk Garten z Agnieszką Darską, pewnie narzeczeni albo po prostu związek jak każdy inny, para kochających się osób.

Otworzył teczkę z dokumentami i sprawdził datę zabójstwa Bożeny Gawronik. To było drugiego sierpnia, około północy, rozległ się krzyk, na który zbiegła się spo-

ra grupa gości... trudno będzie wycisnąć z nich, kto był pierwszy, zwłaszcza teraz, kiedy dowiedzą się o zabójstwie.

Może najpierw wezwać na rozmowę personel? Mieszkają na poddaszu obok siebie, mogli coś zauważyć, usłyszeć, skojarzyć jakieś wydarzenia, rozmowy.

Karbowski westchnął, przez chwilę wodził wzrokiem, typując pierwsze nazwiska, po czym zapisał je w notatniku, zabrał dyktafon, telefon, książkę meldunkową i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz.

Mijając recepcję, powiadomił siedzącą tam kobietę, że zatrzymuje książkę jeszcze na pewien czas, z uwagi na prowadzone przez niego śledztwo.

Heckmann czekał na niego w biurze.

- Proszę powiadomić te osoby, że czekam na nie w Sali Kominkowej, oczywiście na każdą z osobna. - Komisarz przeczytał nazwiska.

- Zaraz do nich pójde, a teraz pokażę panu, gdzie jest ta sala. Aha, to są numery telefonów, o które pan prosił.

- Dziękuję.

W Sali Kominkowej było pusto, w pół otwarte okna wpuszczały przyjemne, świeże, leśne powietrze.

Karbowski zajął miejsce dalej od wejścia; chciał mieć chwilę na przyjrzenie się wchodzącym osobom. Potoczył wzrokiem, przyglądając się po kolei regałom z książkami, kominkowi, dłużej zatrzymał wzrok na czarnych meblach, w których, za witryną, stała kolekcja porcelany.

Wstał i podszedł bliżej, aby przyjrzeć się porcelanie z czerwonymi makami. Więc to ona jest przedmiotem wielkiego zainteresowania osób, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, szukają majątku sprzed prawie stu lat.

Przed wyjazdem Nadolski dał mu przydatne wskazówki, sugerując wielką operację logistyczną poza granicami Polski, związaną właśnie ze Stomewem.

Rutynowo zlustrował dokładnie wzrokiem wszelkie łączenia desek mebli, przeciągnął dłonią po powierzchni mebli, ale nie wyczuł niczego, co dawałoby jakieś światło, kierunek poszukiwań, wreszcie coś, o co mógłby oprzeć choćby zwykłe plotki od przesłuchiwanymczasowiczów.

Porcelana go zachwyciła i chociaż nie był kolekcjonerem staroci, ta kolekcja byłaby pierwszą w jego domu. Natomiast stylowe, czarne meble, ozdobione w dolnej części pięknym ornamentem, przypominającym małe rozety, były wręcz arcydziełem sztuki rzemieślniczej.

- Dzień dobry.

Odwrócił się i zobaczył stojącą w progu młodą kobietę w kolorowej sukience.

- Proszę. - Wskazał dłonią swój stolik. - Chciałbym zamienić z panią kilka słów na temat, jak już pani zapewne wie, zmarłej kelnerki.

Kobieta usiadła naprzeciw komisarza i czekała na rozpoczęcie przez niego rozmowy. Była spokojna, nawet na jej twarzy malowała się ciekawość.

- Jestem komisarzem Wydziału Kryminalnego, nazywam się Hubert Karbowski. - Mężczyzna przedstawił się. - Rozmowa będzie nagrywana, taki jest wymóg przesłuchań. Proszę się przedstawić.

- Daria Ruczaj. Przyjechałam tu na wczasy z mężem.

- Kiedy pani przyjechała do pensjonatu?

- Prawie w tym samym czasie, co inni, rano, pierwszego sierpnia. Jesteśmy po raz pierwszy w tym pensjonacie.

- Kim pani jest z zawodu?

- Ekonomistką, ale nie pracuję w zawodzie. W ogóle nigdzie nie pracuję, mąż ma dobrze płatną pracę. Jest elektrykiem z wszelkimi uprawnieniami, nie wiem, jakimi, nie znam się na tym. - Kobieta mówiła swobodnie, jakby piła z komisarzem popołudniową kawę.

- Skąd pani przyjechała?

- Z Poznania, jak już mówiłam, z mężem.

- Gdzie pani była w dniu, tj. drugiego sierpnia, około północy, kiedy zdarzył się ten wypadek?

- O tej porze jesteśmy z mężem u siebie, w pokoju i zazwyczaj oglądamy telewizję. Ale do czego pan zmierza? - oczy Ruczajowej stały się czujne.

-To formalne pytania - uspokoił ją komisarz. -Wybiegła pani z pokoju, kiedy rozległ się krzyk, dochodzący z korytarza?

-Nie od razu. Telewizor grał dosyć głośno, dopiero kiedy usłyszałam jakiś hałas za drzwiami, to oboje z mężem wyszliśmy na korytarz, zobaczyliśmy zbiegowisko, a potem ten straszny wypadek. Szybko wróciliśmy do pokoju, ja nie mogę patrzeć na takie rzeczy.

-Znała pani Bożenę Gawronik, rozmawiała z nią, może zauważyła pani, że jest zdenerwowana, inna niż zazwyczaj? Miała tu przyjaciela? Spotykała się z nim? -dopytywał Karbowski

- Tej kelnerki nie znam, widziałam ją jedynie tutaj, w pensjonacie. Nie przyglądam się ludziom, nie widzę takiej potrzeby. Nie wiem, czy miała tu kogoś. Ale czemu ma służyć pański przyjazd? Ona po prostu spadła ze schodów.

-Niestety, ale Gawronik została zamordowana, a upadek ze schodów nie ma tu nic do rzeczy. Została otruta, dlatego będę zmuszony prosić wszystkich, aby nie wyjeżdżali, dopóki nie złożą wyjaśnień.

- Otruta?! - Ruczajowa otworzyła usta, wstrzymała oddech i trwało to chwilę, zanim zaczerpnęła powietrza i wypuściła je, zamykając usta.

Karbowski zajrzał do notatnika, długo wertował kartki, zrobił jakiś zapissek, spojrzął na Ruczajową i zapytał:

- Więc przyjechała pani z Poznania?

- Tak. Miejscowość znam z kolorowych folderów, spodobała mi się i to ja namówiłam męża na ten przyjazd do Stomewa.

-To by było wszystko. Dziękuję i proszę poprosić męża.

- Powie to samo, co ja.

Karbowski zrobił minę, która mogłaby określać wszelkie stany uczuć, poczynając od zrozumienia, poprzez: „trudno, ale taka robota”, kończąc na: „tak czy owak, przesłuchanie się odbędzie”.

Rozmowa z Ruczajem nie była owocna. W wypowiedziach był ostrożny, nic nie widział, nie słyszał, nie wtrąca się do nie swoich spraw, przyjechał z żoną na wypoczynek i nie zauważył nic niepokojącego w pensjonacie. Około północy wybiegł z żoną na korytarz, ale szybko wrócili do pokoju, ponieważ żona nie znosi takich widoków i potem przeżywa to przez kilka dni. O książce Janczaka nigdy nie słyszał.

Karbowski podziękował mu, wyłączył dyktafon, po czym, czekając na kolejną osobę, zrobił staranne zapiski w notatniku obok nazwisk przesłuchanych już osób.

Na odgłos kroków uniósł głowę.

Do sali energicznym krokiem wszedł pewnym siebie mężczyzną w średnim wieku, z wyglądu przypominający modeli z żurnali mody dla panów.

- Proszę. - Komisarz wskazał mu miejsce naprzeciw siebie, włączając dyktafon.

-Jestem tu dla wypoczynku, więc proszę pytać o wszystko od razu, żebym mógł jeszcze dzisiaj wyjść z pensjonatu, ponieważ mam inne plany spędzania tu czasu. - Mężczyzna z góry określił swoją obecność i dobrą wolę, poddając się przesłuchaniu przez komisarza i patrząc przy tym bystro w jego oczy.

- Oczywiście, zadam panu tylko kilka pytań i będzie pan wolny, ale jeżeli zajdzie taka potrzeba, poproszę pana jeszcze raz.

- Więc proszę o pytania.

- Jak się pan nazywa?

- Janusz Lewicki. Mam czterdzieści jeden lat, rozwiedziony, lekarz.
- Jakiej specjalizacji?
- Jestem chirurgiem.
- Skąd pan przyjechał, a w zasadzie gdzie pan mieszka?
- We Wrocławiu.
- Czy w dniu śmierci kelnerki, późnym wieczorem, był pan obecny w pensjonacie?
- Tak, byłem w swoim pokoju, kiedy to się stało. Wybiegłem na korytarz i zobaczyłem grupę osób, patrzących na schody. W pierwszej chwili nie wiedziałem o co chodzi, dopiero kiedy przecisnąłem się przez nich, zobaczyłem kobietę... leżącą bez ruchu.
- Jest pan lekarzem... Lewicki przerwał mu:
- Zbadałem ją, ale ona już nie żyła. Nie do mnie należało ustalanie przyczyny jej śmierci, a ponieważ wiem, że w takich przypadkach należy powiadamiać policję, starałem się nie zacierać śladów wokół zmarłej.
- Kiedy pan przyjechał do pensjonatu?
- Pytanie zbiło nieco z tropu Lewickiego, starającego się nadać ton rozmowie.
- To takie ważne? - Uciekł ze wzrokiem. - Jestem tu drugi turnus, od piętnastego lipca.
- Więc dłużej znał pan Gawronik niż inni wczasowicze, chociaż każdy z nich mógł teoretycznie poznać ją poza pensjonatem.
- Dłużej o jeden turnus - padło z uśmiechem na ustach.
- Zmierzam do tego, że miał pan więcej sposobności, czasu, żeby móc zauważyć czy spotkać ją w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Mówię o rzucającym się w oczy związku, romansie...
- Nie śledzę ludzi, nic nie zauważyłem.

Komisarz z udanym zrozumieniem przytaknął głową, odczekał chwilę i zapytał znienacka:

- Często pan chodzi na poddasze do kuchni personelu?

W Lewickiego jakby grom strzelił, zmienił się na twarzy, znieruchomiał, nie był już pewnym siebie, chłodnym w wypowiedziach wczasowiczem, wyglądał jak przyłapany na nieodrobieniu lekcji uczniak.

- Sugeruje pan, że chadzam do którejś z pracownic?! - oburzył się.

Karbowski nie dał się oszukać jego minami.

- Ależ nie - powiedział, udając zakłopotanie. - Na pewno już pan wie, że kelnerka nie zmarła śmiercią naturalną, tylko wypiła herbatę z trucizną. Na pewno ktoś z przesłuchanych zdał już wszystkim relację z rozmowy.

- Nie będę udawał, że nie wiem, ale rozumiem też pana sugestię. Nie chodzę na poddasze i nie wrzuciłem jakiejś trucizny do jej kubka.

- Skąd pan wie, że do kubka?

- Nie złapie mnie pan za słówka, po prostu tak sędzę.

- Jako lekarz nie zapyta pan, o jaką truciznę chodzi?

- Jeżeli to nie jest tajemnica...

- To naparstnica w saszetkach.

- Rozumiem, była w kubku...

Karbowski pominął milczeniem jego sugestię o kubku i zajrzał do notatnika. Lewicki kłamał, że nie bywa na poddaszu, z informacji nadkomisarza wynikało, że druga kelnerka, Wojtecka, zeznała, że widziała go w pobliżu kuchni.

- Czytał pan książkę Władysława Janczaka o historii Stomewa?

Lewicki odpowiedział z ironicznym uśmiechem: - To bzdury. Pewnie chodziło o sprzedanie całego nakładu, stąd te opowiadki o makach, testamencie.

- Nie wierzy pan w to?

- Panie komisarzu, przyjechałem tu dla wypoczynku, jestem poważnym człowiekiem i mam bardzo odpowiedzialną pracę. To wszystko, co mógłbym o sobie powiedzieć.

-Z książki meldunkowej wiem, że w tym samym czasie co pan, przyjeżdżały do pensjonatu te same osoby, które teraz też są na turnusie. Mógłby pan wymienić którąś z osób?

-Po co? - Lewicki wzruszył ramionami, ale oczy zwięzły się w zimne szparki.

- To ja zadaję pytania - pouczył go spokojnie komisarz.

-Proszę bardzo. Kamiński, Gartenowie, moja była żona Sabina Turska, Halina Tomczak, do pana wiadomości: moja była partnerka. Nie pamiętam innych nazwisk.

- To na razie wszystko. Dziękuję panu.

- Czy to znaczy, że już dysponuję własnym, prywatnym czasem? - Lewicki zapytał z udaną grzecznością i wstał z fotelika.

-Oczywiście, chyba że zaszłyby inne okoliczności i musiałbym jeszcze ze wszystkimi rozmawiać.

Lewicki wyszedł zamaszystym krokiem, jakby dawał do zrozumienia, że tylko stracił czas dla zupełnie mu obojętnej śmierci jakiejś pracownicy ośrodka wczasowego.

Komisarz, odprowadzając go wzrokiem, odniósł wrażenie, że swoją nonszalancją raczej maskuje w gruncie rzeczy zdenerwowanie seria jego pytań, co doskonale rozumiał, sprawa zabójstwa nie jest chlebem powszednim na wczasach. A przesłuchanie nie jest wieczorkiem zapoznawczym.

Spojrzał na zegarek. Do dwudziestej drugiej pozostało sporo czasu, zdąży przesłuchać jeszcze kilka osób, pozostałych w następnych dniach. Poczul znużenie, a nic tak dobrze nie wpływa na samopoczucie, jak haust świeżego powietrza i następna, mocna kawa.

Powiadomił Heckmanna o przerwie, poprosił o kawę i wyszedł z pomieszczenia. Już na werandzie poczuł orzeźwiające, leśne powietrze, rozejrzał się dookoła i wypatrzył ławeczkę blisko pensjonatu, na żwirowej alejce.

- Doskonały punkt obserwacyjny - pomyślał, siadając z przyjemnością na ławce.

Przed sobą miał w zasięgu wzroku budynek, parking i szaleństwo zieleni w różnych odcieniach.

Z daleka dobiegł go warkot silnika, który narastał w miarę zbliżania się, w końcu przed pensjonat zajechał samochód dostawczy. Z kabiny wyskoczył młody mężczyzna, za nim wysiadła kobieta w średnim wieku, trzymając w ręku jakieś dokumenty, i oboje skierowali się na tył samochodu. Rozległ się zgrzyt rozsuwanych drzwi, mężczyzna chwycił skrzynkę z wystającymi liśćmi sałaty, kobieta położyła na wierzch warzyw jakieś kwiaty i ruszył w kierunku pensjonatu.

Kobieta przez chwilę jakby liczyła wzrokiem pozostałe skrzynki, po czym przystanąła obok schodów werandy, patrząc w otwarte okna na parterze. Po chwili zawróciła i wsiadła do kabiny samochodu, zostawiając otwarte drzwi.

Karbowski przyglądał się temu z obojętnością. Za chwilę będzie musiał wrócić do obowiązków, przesłać Nadolskiemu meldunek, a na powietrzu jest tak przyjemnie. Przyjrzał się samochodom stojącym na parkingu. Przekrój marek i ich cen, jak w komisie. Niektóre z nich zapomniały już o latach świetności, ale, jeśli koła się jeszcze kręcą i stan techniczny pozwala na jazdę po Polsce, to reszta jest nieważna. Lakier nie stanowi o jego najważniejszych parametrach, a jedynym właśnie wyróżniającym się kolorem, był czerwony ford.

Karbowski westchnął, wstał z ławki, mijając samochód dostawczy spostrzegł skrzynki z pomidorami, ogórkami, po czym, pokonując schody werandy, wszedł do holu, kierując się do biura pensjonatu.

W biurze zastał poirytowanego Heckmanna. Wzbraniał się przed przyjęciem kwiatów od młodego mężczyzny, który położył je na jego biurku.

- Proszę to zabrać! Kwiatów nie zamawiałem! Mamy innego dostawcę! - ciskał ze złością.

- Ale to z pensjonatu ktoś je zamówił. -Kto?!

-Jakiś Szymczak... Tymczak... miał się zgłosić po odbiór kilka dni temu, ale nie przyszedł.

- O ile wiem, nie ma tu takiego. Zaraz sprawdzę. -Heckmann wpatrzył się w ekran monitora komputera. - Oczywiście, że nie ma. To pomyłka. Proszę zabrać te kwiaty, nie będę płacił za coś, czego nie zamawiałem.

- W porządku. Szefowa zaraz przyjdzie z fakturami. Do widzenia.

-Proszę zaczekać. Poznałby pan tego klienta? -W głosie Heckmanna pojawiło się niecierpliwe wyczekiwanie na odpowiedź.

Mężczyzna skrzywił usta i wzruszył ramionami.

- Nie wiem, był w kurtce z kapturem, myślę, że trudno by mi było go poznać. Teraz jest taka moda na te kaptury... A poza tym hodowla kwiatów nie jest naszą główną produkcją, te są z naszego ogrodu.

- No dobrze, proszę je zabrać. - Heckmann machnął rękę, nawet ich nie dotykając

Karbowski ze zdziwieniem obserwował tę nietypową scenę i irytację Heckmanna. Mógł je przecież kupić i wstawić do wazonu, są takie piękne, z purpurowymi dzwonkami...

Usiadł naprzeciw niego, przypomniał o kawie i poprosił o kolację do pokoju.

- Oczywiście, jak pan sobie życzy.

-Panie Heckmann, robię teraz małą przerwę, ale za jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut, poproszę kolejne osoby. Podam telefonicznie ich nazwiska. A teraz poproszę mocną kawę do pokoju.

- Zaraz wydam dyspozycję kelnerce.

- Dziękuję.

W pokoju Karbowski otworzył laptopa i nadał pierwszy meldunek z przesłuchań świadków.

Natychmiast otrzymał odpowiedź z listą nazwisk, które powinien bezzwłocznie przesłuchać, z krótką adnotacją obok ich nazwisk, odnoszącą się do dotychczasowych ustaleń grupy operacyjnej z komendy w Gdańsku. Komisarz z uwagą je czytał, zatrzymując wzrok na kilkanaście sekund na każdym z nazwisk, po czym skreślił w notatniku tych, z którymi odbył już rozmowę.

Kawę pił jeszcze gorącą, zaledwie dotykał ustami brzegu białej filiżanki, spieszył się, nie chciał przeciągać spotkań z wczasowiczami, ale z tymi osobami - spojrzał na monitor - będzie raczej owocna rozmowa.

Przypomniał sobie sugestię porozmawiania z Beatą Zabielską. Mieszka pod czwórką, najbliżej schodów, chyba... teraz ją poprosi.

Zadzwoił do recepcji i poprosił o powiadomienie Zabielskiej, aby przyszła do Sali Kominkowej.

- Chyba jeszcze nie wróciła, ale zaraz sprawdzę -padła odpowiedź.

Chwila ciszy. Zadzwoił.

-Nikt nie odpowiada, ale zapytam wczasowicza obok jej pokoju, czy coś wie - zaproponowała recepcjonistka.

- Dziękuję. Zaczekam.

Odczekał chwilę, po czym ponownie połączył się z recepcją.

- Pan Patkowski powiedział, że pukał do jej drzwi, ale nie było odpowiedzi. Pewnie nie wróciła jeszcze do pensjonatu.

- Dziękuję pani.

Karbowski dopił kawę, zabrał notatnik, dyktafon, wsunął do kieszeni komórkę i udał się do Sali Kominkowej. Przystanął przy wejściu, spostrzegł po prawej stronie otwar-

te drzwi i zajrzał pomieszczenia. Nikogo nie było, pośrodku stał stół do gry w bilard, krzesła, kilka stolików. Widocznie towarzystwo zabawia się tam dopiero wieczorami.

Wrócił do Sali Kominkowej, usiadł na poprzednio zajmowanym miejscu i powiadomił Heckmanna, aby poprosił Andrzeja Kamińskiego.

Już od progu, kiedy mężczyzna z kamienną twarzą zbliżał się do niego, Karbowski pomyślał, że zmarła kelnerka miała dobry gust, wybierając go na kochanka.

Wyglądał na statecznego, poważnego mężczyznę, szpakowate włosy i zimne spojrzenie nawet dodawały mu uroku, a cała sylwetka pewnej dystynkcji, elegancji w każdym calu. Od razu rzucała się w oczy różnica wieku między nim a zmarłą tragicznie Gawronik.

- Proszę usiąść i przedstawić się.
- Andrzej Kamiński, lat czterdzieści pięć, wdowiec.
- Kim pan jest z zawodu?
- Historykiem sztuki.
- Gdzie pan mieszka na stałe?
- We Wrocławiu.
- Od kiedy przebywa pan tu na wczasach?
- Co to ma do rzeczy? - mężczyzna ze spokojem zapytał.
- To tylko formalność, proszę o odpowiedź.
- Od połowy lipca.
- Więc zna się pan dość dobrze z Januszem Lewickim?
- Nie rozumiem sensu zadawania takich pytań, ale nie mam nic przeciwko temu. Z Januszem poznałem się dopiero tutaj, w pensjonacie, a czy dość dobrze, to nie potrafię tego sprecyzować w sposób, który pana zadowoli.
- To mi wystarczy.
- Dlaczego pan właśnie tu przyjeżdża?
- Co za pytanie! - zachnął się Kamiński. - Jestem wolnym obywatelem, w wolnym kraju i jeżdżę tam, gdzie mi się podoba!

- Jasne, ale proszę się nie unosić, o nic pana nie oskarżam, to takie samo przesłuchanie jak innych gości w pensjonacie - powiedział łagodnie komisarz. - Z pewnością wie pan już o przyczynie śmierci kelnerki.

- Plotki już się rozeszły - Kamiński poruszył się niespokojnie.

- Kiedy poznał pan Bożenę Gawronik? Kamiński uśmiechnął się z politowaniem.

- To całkiem logiczne. W połowie lipca. Trudno nie zauważyć personelu w pensjonacie.

-1 ładnej kelnerki.

- Kwestia gustu.

- Od razu pan się z nią zaprzyjaźnił?

Kamiński poszarzał na twarzy, zniknęła kamienna maska, patrzył na komisarza, jakby ten zapytał go o datę własnej śmierci.

-Nie... to znaczy... to moje prywatne sprawy i nie muszę o tym opowiadać - ostro zareagował.

- Niepotrzebnie pan się denerwuje. Czy łączyły pana ze zmarłą więcej niż tylko sympatia, przyjacielskie spotkania, rozmowy, powiedzmy na łonie natury, bo mogę zrozumieć, że z różnych powodów nie chciał pan afiszować się z Gawronik. Zresztą ona zapewne też; pracodawcy niechętnym okiem patrzą na romanse personelu z gośćmi pod ich dachem.

Nerwowa reakcja Kamińskiego zaskoczyła komisarza.

- Ta... ta... kobieta narzucała mi się, wymuszała spotkania albo wystawała na dole pod moim oknem, na szczęście rosną tam drzewa i mam nadzieję, że nikt jej tam nie zauważył!

- Jednak umawiał się pan ze zmarłą. Mam zeznania jej siostry, Sabiny Turskiej.

-1 co z tego? - Jego oczy ciskały błyskawice. - Jakie to ma znaczenie dla sprawy, w której pan tu przyjechał?!

- Może miał pan już dość tego romansu i zepchnął ją pan ze schodów. W kłótni albo szamotaninie?

- Przepraszam, że się uniosłem, ale to, co pan mówi, to jakieś brednie! Wypraszam sobie!

Umilkł, próbując się opanować. Wyglądał na rozdrażnionego lwa, któremu zabrano smakowity kąsek.

- Przecież ona po prostu spadła, może potknęła się... -Gestykulował rękami, stracił panowanie nad sobą.

- Spadła, bo zabrakło jej sił, żeby pójść po pomoc. Jakby pan napił się trucizny, to reakcja byłaby taka sama. Może nie byłby pan w stanie nawet chwycić za telefon.

Kamiński milczał. Błady na twarzy, patrzył gdzieś ponad głowę Karbowskiego.

-Zacznijmy już na poważnie. - Głos komisarza zabrzmiał surowością.
- Kim była dla pana Bożena Gawronik? Kochanką, przyjaciółką, tylko dobrą znajomą? Lubił pan ją, a może kochał? Przecież nikt nie umawia się z kobietą na randki, która dla mężczyzny nic nie znaczy.

- Początkowo podobała mi się, była ładna, zgrabna, z nikiem niezwiązana, tak jak ja... Zaczęliśmy się spotykać, ale poza pensjonatem, z czasem... nie wiem jak to powiedzieć... Jestem, jak pan wie, człowiekiem wykształconym, z wieloma znajomościami, takimi prawie na świeczniku... Bożena była tylko młodą, ładną kobietą...

- Niewykształconą, prostą kelnerką? - zapytał z ironią Karbowski.

- Nie chcę jej obrażać, ale z czasem ta znajomość rzeczywiście stała się dla mnie trudna. Nawet rozmawiałem z nią, próbowałem opowiadać o sobie zmyślane rzeczy, że jestem z tych, co to z kwiatka na kwiatek, ale dla niej nie miało to znaczenia. Nie zabiłem jej! Nie mam morderczych predyspozycji.

- Może jednak było to samobójstwo? - podsunął mu komisarz.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz ulgi, który szybko przekształcił się w zimną obojętność.

- Nie wiem, mówi pan o zabójstwie. Stwierdzonym. -Nie dał się podejść.

- W dniu jej śmierci spotkał się pan z nią?

- Nie, chciałem definitywnie zakończyć tę znajomość, a raczej głupi romans, ale nie zdążyłem.

- Gdzie pan był drugiego sierpnia, około północy?

- W swoim pokoju.

- A wcześniej? Kamiński zastanowił się.

- Nie pamiętam dokładnie tak... godzina, po godzinie, co robiłem, gdzie byłem. Grałem w bilard, ale to chyba przed południem, później byłem w miasteczku, żeby kupić jakieś drobiazgi, typu... męskie kosmetyki do golenia, dobrej marki alkohol...

- Z kim pan grał w bilard?

- Z Erykiem Gartenem. Zaprzyjaźniliśmy się, chociaż może to określenie na wyrost, ale on jest świetnym graczem. Lepszym ode mnie.

- Ma pan alibi na ten czas?

- Nie potrzebuję żadnego alibi! - zabrzmiało stanowczo. -Powiedział pan, że wieczorem był pan w swoim pokoju, tak?

- Tak, sam. Więc nie mam alibi.

- Spał pan?

- Oglądałem telewizję, nie było nic ciekawego, przerzucałem jakieś kanały, kiedy usłyszałem krzyki. Wyszedłem na korytarz i wtedy... przyznam... trochę ścięło mnie z nóg. Nie podchodziłem bliżej, nie mogłem. Chyba pan to rozumie? To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Dziękuję panu. Proszę nie wyjeżdżać zbyt daleko, może będę jeszcze musiał wrócić do naszej rozmowy. Nie tylko z panem.

- Nie rozumiem. Dlaczego?

- Takie są procedury. Przykro mi. Dziękuję za rozmowę - pożegnał go ze stoickim spokojem Karbowski.

Z twarzy Kamińskiego zniknęła kamienna maska, był zły, poirytowany, wstając rzucił przez zęby:

- Do widzenia.

- Jeszcze jedno. Czytał pan książkę Janczaka o historii tego miasta, Sto Mew?

Mężczyzna nieoczekiwanie szeroko się uśmiechnął.

- Oczywiście. I nie tylko tę. - To już było złośliwe odreagowanie kłopotliwych pytań.

Wyszedł szybkim krokiem. Pozostał po nim zapach dobrej wody kolońskiej.

Karbowski pomyślał, że winny zabójstwa starałby się opisać swój związek z kobietą jako co prawda krótki, ale szczęśliwy i udany. Natomiast Kamiński nie ukrywał swojego stosunku co do prawdziwości uczuć i chęci pozbycia się partnerki. Grał czy był niewinny?

Okaze się, być może niedługo.

A teraz... spotkanie z Krystyną Garten.

Siedziała przed nim kobieta w wieku, w którym śmiało jeszcze można mówić o młodości, pomimo pierwszych, zaledwie widocznych nitek zmarszczek na twarzy.

Dłonie oparła o brzeg stolika, na serdecznym palcu błysnął duży, czerwony kamień. Jubiler nadał mu piękny, owalny kształt, osadzony w prostym, złotym koszyczku.

- To rubin? - zainteresował się komisarz.

- Tak, prezent od męża - przytaknęła, skłaniając lekko głowę.

- Zaręczynowy?

-Nie, ale nie mniej ważny dla mnie. - Gartenowa uniosła dłoń ze wskazującym palcem, który miał podkreślić ważność otrzymanego prezentu.

- Wygląda na starą robotę.

- O tak, z pewnością jest cenny, mój mąż mnie rozpieszcza. - Uśmiechnęła się uroczo.

- Musicie państwo mieć niezłe dochody.
- Różnie z tym bywa.
- Proszę podać swoje nazwisko, wykształcenie, wiek, miejsce zamieszkania.
- Krystyna Garten, skończyłam farmację, ale nie pracuję w zawodzie, mam lat... jeśli już muszę... - w głosie zabrzmiała niewymuszona kokieteria - niestety pięćdziesiąt dwa, mieszkamy we Wrocławiu, a ściślej mówiąc na jego obrzeżach.
- Nigdy pani nie pracowała w wyuczonym zawodzie?
- Po studiach, potem... z przerwami... ostatecznie zrezygnowałam z pracy w aptece jakieś dwa lata temu.
- Dlaczego? Zawsze wydawało mi się, że to dość przyjemna praca, czysta, w białym fartuchu.
- Mąż jest handlowcem, mamy hurtownię przemysłową, po prostu potrzeba było rąk do pracy, nawet... narzeczona naszego syna, Agnieszka... jest tu z nami, pracuje u nas.
- Proszę opowiedzieć o wieczorze, a właściwie o nocy, kiedy wydarzył się ten wypadek z kelnerką.
- Dla mnie ten wieczór był taki sam, jak poprzedni. Siedzieliśmy w czwórce w pokoju syna, Eryka, to znaczy ja z mężem i syn ze swoją dziewczyną Agnieszką, graliśmy w karty, kiedy usłyszeliśmy jakieś krzyki na korytarzu. Oczywiście wyszliśmy wszyscy i wtedy zobaczyliśmy tę kelnerkę... Do dziś nie mogę tego zapomnieć. - Gartenowa ciężko westchnęła.
- Widywała pani Bożenę Gawronik z jakimś mężczyzną, w sytuacjach, które mogłyby sugerować ich zażyłość?
- Nie... na pewno nie. My kobiety od razu wychytujemy takie rzeczy, a poza tym całe dni spędzaliśmy to nad wodą, to gdzieś w tej pięknej okolicy.
- Zapytam panią inaczej. Czy spotykała się lub sprawiała wrażenie, że łączy ją jakaś nić sympatii z... - komisarz zrobił przerwę - Andrzejem Kamińskim?

Kobieta przez moment wyglądała, jakby obok niej wybuchła bomba, w oczach pojawiło się zaskoczenie, jakby usłyszała niestosowne pytanie, ale już po chwili oznajmiła krótko:

- Proszę pana, ja nie szpieguję ludzi.

- Nie posądzam panią o to, chociaż to dziwne, że pani nic o tym nie wie. To było przecież tajemnicą poliszynela - strzelił na ślepo Karbowski.

Gartenowa patrzyła na niego jak bokserzy przed walką, starający się pokazać przeciwnikowi swoją siłę i wiarę w zwycięstwo.

Nie spuszczać z niego wzroku, powiedziała zimno:

- Ta tajemnica do mnie nie dotarła.

- Zapewne pani już wie, że śmierć kelnerki nie była przypadkowa, dokonano tu zabójstwa. Proszę zatem przypomnieć sobie ze swojego pobytu w pensjonacie, czy zauważyła pani lub usłyszała od kogoś, że Bożena Gawronik naraziła się komuś, kłóciła, groziła?

- Wiem, do czego pan zmierza, ale ja nic nie wiem. Nic, co mogłoby przyczynić się do wyjaśnienia sprawy.

- Skąd pani wie, że została otruta?

- Wszyscy już o tym wiedzą.

- To by było na razie wszystko. Dziękuję pani i proszę powiadomić...

- Karbowski zajrzał do notatnika - panią Agnieszkę Darską.

- Myślałam, że mojego męża, chcemy mieć te rozmowy już za sobą, a poza tym zbliża się pora kolacji - kobieta była zdziwiona kolejnością rozmów.

- Wiem, ale najpierw pani Darska.

- Proszę.

Karbowskiemu nie zależało na usłyszeniu tych samych zeznań małżonków. Był przekonany, że cokolwiek by się działo, mieli już ustaloną wersję odpowiedzi. Prowadził już wiele spraw, w których padały identyczne zeznania osób, połączonych ze sobą w jakiegokolwiek koligacje.

Długo nie trwało, kiedy w drzwiach ukazała się Agnieszka Darska.

Młoda, szczupła, średniego wzrostu, ładna blondynka w dżinsach i w kolorowej tunice, o niebanalnej twarzy z długimi, jasnymi włosami. Kiedy zbliżała, przyjemnie było patrzeć na młodość z długimi nogami i wdzięcznym chodem. Opalona twarz i odkryte ramiona wyglądały estetycznie i świeżo.

- Dzień dobry. - Miała miły, dziewczęcy głos. Usiadła przy stoliku.

- Dzień dobry pani. Proszę podać nazwisko, imię, wykształcenie, wiek, miejsce zamieszkania.

- Agnieszka Darska, dwadzieścia jeden lat, mieszkam we Wrocławiu.

- Pominęła pani wykształcenie - upomniał ją komisarz.

- Ach, rzeczywiście, jak się siedzi naprzeciw policji, można mieć tremę, jak aktorzy w teatrze. - Dziewczyna gładko przełknęła powtórzenie pytania.

- Nie jestem taki straszny, tylko zadaję pytania.

- Jestem sportsmenką... trochę studiowałam, ale pożegnałam się z uczelnią.

- Wykształcenie jest ważne. Co to był za kierunek? -Komisarz nie odpuszczał.

- Turystyka... potem krótko farmacja.

- Podobnie jak pani przyszła teściowa. To za jej radą wybrała pani farmaceutykę?

- Panie komisarzu, to moje prywatne życie, nie chciałabym się panu z niego spowiadać. - Agnieszka zmarszczyła nos, niezadowolona z przepytывania.

- Proszę odpowiedzieć.

- Pani Krystyna pracowała w aptece, kiedy poznałam jej syna, Eryka... Był tam wolny etat, taki dla osoby do wszystkiego, sprzątanie... i wtedy pomyślałam, że farmaceuta to ciekawy zawód, ale... to jednak nie dla mnie.

- Coś jednak pozostało w pamięci, nawet studiując przez krótki czas.
- Coś tak, ale niewiele. To było podchwytliwe, nie miałam żadnego powodu, żeby zabić kelnerkę. - Dziewczyna śmiało patrzyła w czy komisarza.

Karbowski pominął milczeniem jej wyznanie. Darska nie była naiwna, doskonale wyczuła kierunek stawianych jej pytań. Ciekawe, czy również omówionych uprzednio z Gartenami, w końcu to prawie rodzina. Ta delikatna, subtelna blondynka, krążyła wokół swojego wykształcenia, wiedząc, że może być jedną z podejrzanych o zabójstwo. Karbowski przeczytał notatkę Nadolskiego.

- Jedna z osób zeznała, że widywała panią na poddaszu, a konkretnie w kuchni. Po co pani tam chodziła?

- W pokojach nie ma mikrofalówek, a tam jest, i raz czy dwa... nie pamiętam, prosiłam kelnerkę, żeby mi coś podgrzała, co kupiłam w miasteczku, albo, gdy nikogo nie zastałam, sama sobie podgrzewałam jedzenie.

- Jak pani poznała Eryka Gartena?

- To też jest takie ważne? - Dziewczyna założyła nogę na nogę i lekko wzruszyła ramionami.

- To się okaże, proszę o nie odbieganie od pytań. - Na zawodach pływackich, pływam na osadzie.

Wtedy poznałam też Andrzeja Kamińskiego, tu obecnego, gratulował nam zajęcia pierwszego miejsca.

- Rodzina z pewnością jest z pani dumna, mam tu na myśli sportowe osiągnięcia. Ma pani rodzeństwo, czy jest pani jedynaczką?

Agnieszka pochyliła się ku niemu. - Panie komisarzu, moja rodzina, a śmierć jakiejś kelnerki, to dwa odrębne pojęcia.

- Od oceny pojęć to, przypominam pani, ja tu jestem - upomniał ją Karbowski.

- Mam starszą siostrę. Rodzice żyją, są teraz razem za granicą na wczasach.

- Wieczorem, w dniu śmierci Bożeny Gawronik, była pani obecna w pensjonacie?

- Wieczorem grałam w karty z Gartenami w naszym pokoju, to jest moim i Eryka.

- W co graliście?

- W pokera. Na zapałki. Wybiegliśmy wszyscy, słysząc jakiś hałas na korytarzu i zobaczyłam leżącą nieruchomo przy schodach kelnerkę.

- Dziękuję pani. To na razie wszystko.

- Dziękuję.

Dziewczyna wstała i, kołysząc się w biodrach, wyszła z pomieszczenia. Karbowski zrezygnował z przesłuchania następnej osoby. Kuchenne zapachy przypomniały o posiłku, bo szybkie śniadanie już przeszło do historii.

Ciszę w pensjonacie przerwały odgłosy wielu kroków, rozmów, stukania damskich obcasów na podłodze holu, wyłożonego ceramicznymi płytkami.

Zanim zamknął notatnik, jeszcze raz przeczytał krótkie zapiski przy nazwiskach, chwilę zawahał się i podjął decyzję.

Jeszcze pracownik gospodarczy i kolacja!

Młody mężczyzna pojawił się na progu Sali Kominkowej krótko po tym, jak poprosił Heckmanna o jego przyjście. Był dobrze zbudowany, dość wysoki, ubrany w robocze spodnie, koszulę z podwiniętymi rękawami, sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie i mógł podobać się kobietom.

- Proszę usiąść. - Wskazał mu miejsce komisarz. - Wiem, że właśnie jest pora kolacji, ale postaram się szybko pana zwolnić z rozmowy.

- Nie ma sprawy. - Mężczyzna odsunął fotelik od stolika i wygodnie się rozsiadł.

- Nasza rozmowa jest nagrywana, mam obowiązek pana o tym poinformować.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Proszę podać nazwisko, imię, wiek, wykształcenie.
- Jerzy Matecki, trzydzieści dwa lata, monter, elektryk, hydraulik.
- W jednej szkole zdobywał pan te zawody?
- Nie, na kursach specjalistycznych.
- Od kiedy pan tu pracuje?

Matecki zastanowił się, przenosząc spojrzenie w okno.

- Jakież pół roku.
- Mieszka pan w pensjonacie na stałe, czy tak... od czasu do czasu?
- Mieszkam na stałe, od pierwszego dnia pracy, bo to duża wygoda.

Po co dojeżdżać z miasteczka?

- Mieszkał pan tam?
- Nie, ale musiałbym wynająć tam pokój, a tu mam pracę pod bokiem.

Wstaję i jestem w robocie.

- To skąd pan pochodzi, gdzie jest pan zameldowany? - Karbowski spojrzał do notatnika.

-Przyjechałem z Warszawy, a tu mam chwilowe zameldowanie.

- Nie było pracy w takich zawodach w Warszawie? -zdziwił się komisarz.

-Była, ale nie mam zobowiązań rodzinnych, więc jadę tam, gdzie mi się podoba. W Internecie widziałem ogłoszenie, że właściciele szukają pracownika, więc zagłosiłem się.

- Co należy do pana obowiązków?

-Naprawy różnego sprzętu, elektryka, sprzątanie placu, wywóz śmieci, utrzymanie porządku w piwnicach... - wyliczał obojętnie Matecki.

- Pani Wojanowska na pewno jest zadowolona z takiego pracownika.
- Karbowski pokiwał głową z uznaniem.

- Chyba tak, nie wiem. Płaci regularnie - rzucił obojętnie Matecki, patrząc na czubki swoich butów, potem ostentacyjnie na zegarek.

Karbowski udał, że tego nie widzi.

-Co pan może powiedzieć o Bożenie Gawronik? Miała pokój obok pana. Wpadaliście czasem do siebie na kawę, wino, na zwykłe pogaduszki?

-Rzadko, najczęściej wołała mnie, kiedy coś trzeba było naprawić... w lampce nocnej albo kiedy zaciął się zamek w szafie...Nie było między nami jakichś towarzyskich spotkań.

- Nawet w weekendy, przy lampce wina?

- Ona nie piła wina.

- Skąd pan wie?

- Cały personel wiedział, że pije jakieś trawy.

- Trawy? Była narkomanką?

- Nie, piła jakieś zioła. Kiedy je parzyła, czuć było chyba w całym pensjonacie - poprawił się Matecki.

- Gdzie trzymała te zioła? Mężczyzna spojrzał na niego z ukosa.

- A skąd mam wiedzieć? Pewnie u siebie, albo... nie wiem - powiedział szorstko.

- Spotykała się z kimś, wyjeżdżała do miasteczka?

- Panie komisarzu, jak już mówiłem, nie byliśmy na tyle zaprzyjaźnieni, żeby opowiadać o osobie, ja mam swoją robotę, ona ma...miała swoją i tyle mogę powiedzieć. Nie wiedziałem nawet, że jej siostra była tu na wczasach.

- To skąd pan to wie?

- Z plotek, cały pensjonat tym żyje.

- Więc już pan wie, że dokonano tu zabójstwa?

- Wiem.

- Gdzie pan był w dniu jej śmierci?

-Miałem wolny dzień, pojechałem do Gdańska, trochę powłóczyłem się, zjadłem obiad w jakiejś knajpie... Resztę dnia spędziłem w Gdyni w porcie... Lubię morze i uwielbiam patrzeć na statki. W drodze powrotnej miałem trochę roboty przy samochodzie.

- Co się stało?

- Drobnostka. Złapałem gumę.

- Jakiej marki ma pan samochód?
- Mam fordę - mruknął niechętnie Matecki.
- Czerwonego?
- Zauważył pan?
- Jedyny w takim kolorze. A wracając do tematu... Nie widział pan nigdy Gawronik spacerującej z jakimś mężczyzną, może nawet obejmujących się, trzymających za ręce?
- Nie... nie.
- O której godzinie pan wrócił do pensjonatu?
- Około... jedenastej... może wpół do dwunastej wieczorem.
- Co pan zrobił, kiedy usłyszał krzyk na korytarzu? -Nie słyszałem żadnego krzyku. Byłem zmęczony, położyłem się zaraz spać. Mam twarde sen.
- Spał pan do samego rana? - Karbowski nie dał temu wiary.
- Nie, obudziłem się, kiedy było dość głośno, wyszedłem zaspany z pokoju i podszedłem do schodów. Zobaczyłem... ludzi patrzących na... nią i wróciłem do pokoju. Trochę to mną wstrząsnęło, ale nie należę do osób, które żyją taką, powiedzmy... sensacją.
- Nie przyszło panu na myśl, żeby ją ratować, podejść, zapytać co się stało?
- Panie komisarzu, tam stała gromada ludzi, a ja nie jestem lekarzem. A Bożeny jest mi żal, lubiłem ją.
- Policja pana nie przesłuchiwała? Elżbieta Wojtecka składała w tym dniu zeznania.
- Nikt do mnie pukał. A przynajmniej nic nie słyszałem, jak już mówiłem, twardo śpię. Więcej nie wychodziłem z pokoju, rano wcześniej wstaję i muszę się porządnie wyspać.
- Powiedział pan, że stał u szczytu schodów. W jakiej pozycji leżała Gawronik? - komisarz pochylił się lekko ku mężczyźnie.

Matecki nie spodziewał się takiego zwrotu w pytaniach, był wyraźnie zaskoczony, rozłożył ręce w bezradnym geście, potem przejechał dłonią po włosach.

- Nie przyglądałem się, ale... - oparł łokcie o kolana i pochylił głowę - widziałem jej nogi na stopniach schodów...

- I zaraz pan cofnął się do pokoju?

- Mówiłem już - rzucił Matecki, unosząc głowę. - Ma pan silne nerwy, żeby przespać taką noc. To

wszystko, dziękuję i proszę nie wyjeżdżać dalej niż poza okolice pensjonatu, dopóki nie skończę dochodzenia.

- W porządku.

Matecki wyszedł, wilczy głód nie pozwolił Karbowskiemu na dalsze intensywne przesłuchania, przed nim jeszcze weryfikacja zeznań dotąd przesłuchanych osób, zrobienie notatki i wysłanie jej Nadolskiemu. Potem wezwanie kolejnych osób. Poprosił o podanie kolacji do pokoju.

Jadł powoli gorącą kielbasę z różną, która smakowała mu tak, jakby nie jadł od kilku dni. Do tego pyszne bułki, warzywna sałatka i gorąca herbata z cytryną. Marzenie głodnego. Gdyby nie ta robota, można by pomyśleć, że to wczasy; pokój w apartamencie, obsługa pod sam nos, las, a w pobliżu morze.

Westchnął, poprosił o zabranie pustych naczyń, włączył dyktafon i zaczął uzupełniać swoje notatki.

Jak było do przewidzenia, żniwo zebranych rozmów nie było na tyle owocne, aby ustalić na razie, choćby wstępnie, przyczynę zabójstwa kelnerki.

Andrzej Kamiński - historyk sztuki, chciał uwolnić się od narzucającej się mu dziewczyny, jednak spotykał się z nią, bo miał w tym jakiś cel. Jeżeli go osiągnął, czyżby ją zabił?

Ruczajowie to młode małżeństwo, jaki powód mieliby, aby zabić Gawronik? Raczej żaden, wydawali się szczerzy w zeznaniach.

Janusz Lewicki to chirurg, doskonale zna się na medykamentach, zna działanie trucizn i czas, w którym zaczynają swoją zabójczą moc. Jaki miałby powód, aby zabić kelnerkę?

Krystyna Garten jest po farmacji, pracowała w zawodzie, wygląda na przykłądną żonę, ale nie jest taka naiwna, za jaką chciałyby uchodzić. Co łączyłoby ją ze śmiercią Gawronik?

Agnieszka Darska, przysła synowa Gartenów to bystra osóbką, ona też ma spory zasób wiedzy farmakologicznej. Czyżby kelnerka czymś się jej naraziła?

Jerzy Matecki, pracownik gospodarczy, miałby wiele okazji, aby z jakichś powodów pozbyć się kelnerki, tylko dlaczego w taki sposób? Trucizną zwykle posługują się kobiety, bez brudzenia sobie rąk krwią, chociaż w annałach kryminalistyki bywało zupełnie odwrotnie.

Dlaczego Matecki miałby to zrobić? Miał wolny dzień, do pensjonatu wrócił późnym wieczorem. Przynajmniej tak zeznał.

Reasumując, zmarła kelnerka wiedziała o czymś, widziała coś, czego nie powinna, lub posiadała coś, co mogło przyczynić się do jej zgonu przypadkowego lub celowego.

Co do Heckmanna, to wydawał się szczery w przerażeniu, kiedy powiedział mu o truciznie... Hmm, jeszcze z nim porozmawia. Nazwisko jest zbieżne z właścicielami dawnej rezydencji...

Karbowski starannie zredagował dotychczasowe przesłuchania, otworzył służbowy laptop i wysłał notatkę do nadkomisarza. Przeszedł się po pokoju, przystanął przy oknie i wpatrzył w zielony krajobraz. Ach, gdyby to były wczasy z żoną u boku! Westchnął i usiadł przy stoliku.

Kiedy otworzył pocztę od Nadolskiego, zamarł z wrażenia!

Charakterystyka znanych już mu osób z pensjonatu, nadesłana przez nadkomisarza, rzucała już pewne światło

na niekoniecznie czyste moralnie życie niektórych osób, a wyszczególnienie tego nazwiska dużymi literami... to nowa zagadka!

Stefan Garten to kupiec, karany za oszustwa podatkowe, paser, handlarz kradzionymi dziełami sztuki, spryciarz, któremu nigdy nie udało się tego udowodnić.

Krystyna Garten, żona, również podejrzana o paserstwo, zwolniona w trybie natychmiastowym z apteki, z powodu niedoboru różnych leków, wykrytego podczas inwentaryzacji.

Agnieszka Darska, zwolniona z apteki w tym samym czasie, potem krótko pracowała jako recepcjonistka w hotelu Hilton we Wrocławiu, teraz sportsmenka.

Andrzej Kamiński to historyk sztuki, od lat podejrzewany o kontakt z paserami, również z Gartenami, mający prawdopodobnie konto w jednym ze szwajcarskich banków.

Janusz Lewicki, chirurg, ma poważne problemy finansowe, w tym długi u prywatnych osób, raczej lekkoduch, związany niejasnymi interesami z Kamińskim.

Tadeusz Heckmann, wdowiec, niekarany, w przeszłości właściciel kantoru walutowego, pod którego przykrywką prowadził niejasne interesy.

I na koniec!

W pensjonacie „Czerwone Maki” przebywa pod fałszywym nazwiskiem Richard Dresske, kierujący operacją kradzieży majątku Heckmannów, prawa ręka szefa przestępczej organizacji, namierzonej przez Interpol wspólnie ze stroną polską!

Ustalić nazwisko, pod którym się ukrywa! Brak danych rysopisu i cech charakterystycznych Dresske!

To mógłby być każdy z wczasowiczów! Karbowskiego ogarnął czarny humor i pomyślał, że brakuje jeszcze potwora z Loch Ness i Yeti. Wystarczy tylko wziąć lupę do ręki i szukać. No to do roboty, ale bez lupy.

Wstał, zabrał laptopa, dyktafon, zamknął drzwi na klucz i ruszył ku wyjściu z apartamentu. W drodze do Sali Kominkowej mijał wczasowiczów, rzucających na niego ciekawskie spojrzenia.

W Sali Kominkowej paliło się już światło, bujna zieleń za oknami w porze popołudniowej nie dopuszczała już pełnego światła dnia. Komisarz zajął ten sam stolik i przez chwilę zastanawiał się nad wyborem któregoś z wczasowiczów.

Zanim podjął decyzję, usłyszał drobne, szybkie kroki i stanęła przed nim z pobladłą twarzą, zdenerwowana kobieta.

-Proszę mnie wysłuchać... muszę... nie mogę dłużej czekać... - powiedziała drżącym głosem.

-Proszę usiąść i uspokoić się. - Komisarz wstał, wskazał jej miejsce przy stoliku i poczekał, aż usiądzie.

Kobiecie trzęsły się ręce, drżały usta, wyglądała, jakby miała za chwilę stracić przytomność. Na kolanach złożyła dłonie, zaciskając w nich chusteczkę.

- Proszę się przedstawić.

-Elżbieta Wojtecka. Pracuję tu jako kelnerka i chwilowo pokojówka.

- Skąd pani pochodzi?

- Jestem tutejsza, ze Stomewa. Mam służbowy pokój na poddaszu.

- Jaki ma pani zawód, wiek...

- Pracowałam w przychodni w miasteczku jako sprzątaczką, ale tam był słaby zarobek. Tutaj był wolny etat, więc przeniosłam się... Mam czterdzieści trzy lata.

- Często jeździ pani do domu? Do rodziców, do męża, dzieci?

- Jesteśmy z mężem w separacji, nie mamy dzieci, a mieszkam u rodziców.

-Proszę, słucham panią. Proszę śmiało mówić -zachęcił ją łagodnie komisarz.

Wojnecka, ze spuszczoneym wzrokiem, zaczęła cicho mówić:

- To ja... to ja... zabiłam Bożenkę...

Karbowski z trudem wyłapywał sens jej wyznania, mówionego prawie szeptem.

- Proszę powtórzyć trochę głośniej, nie zrozumiałem pani.

- To ja ją zabiłam.

- Pani dokonała zabójstwa Bożeny Gawronik? - zapytał z niedowierzaniem Karbowski. - Przyznaje się pani do podania jej trucizny?!

- To ja sparzyłam jej wieczorem te zioła... - Wojtecka rozplakała się, wycierając chusteczką oczy. - Ona... Bożenka... każdego dnia wieczorem... piła herbatę z ziół, nieraz w ciągu dnia, ale przeważnie po pracy... ciągle na coś narzekała, że ją boli, a była przecież taka młoda... i tego dnia... wyszła z kuchni na chwilę do swojego pokoju... ale przedtem prosiła mnie, żebym zalała wrzątkiem jej zioła. - Kobieta z trudem wydobywała słowa, co chwilę urywała, trzęsły się jej ramiona.

- Skąd pani wie, że trucizna była w ziołach?

- W pensjonacie aż huczy od plotek, wszyscy tylko na ten temat rozmawiają... Kiedy obsługiwałam przy kolacji stolik tego lekarza, słyszałam jak o tym opowiadał.

- Dlaczego pani ją zabiła? Z nienawiści do niej, zrobiła pani jakąś krzywdę. Proszę podać, jaki był powód, że pani to zrobiła? Za zabójstwo czeka panią wiele lat więzienia! Więc dlaczego pani ją zabiła? - Karbowski wbił w kobietę ciężkie spojrzenie.

-Ja?! Proszę pana... to jakieś nieporozumienie! Ja muchy nie zabiję, tylko wyganiem za okno! - ta prawie wykrzyknęła załamany głosem.

- Przed chwilą przyznała się pani do sparzenia jej herbaty z trucizną! - rzucił groźnie komisarz.

Wojtecka oprzytomniała.

-Tak, wrzuciłam do jej kubka dwie saszetki, ona zawsze piła z dwóch saszetek, ale skąd mogłam wiedzieć, że są zatrute?!

-Proszę opowiedzieć od początku, jak przebiegał wieczór, w którym Gawronik spadła ze schodów. Tak dokładnie, jak tylko pani może sobie przypomnieć. Kto was odwiedzał, kogo pani widziała na poddaszu, w pobliżu kuchni, jadalni, waszych pokoi.

Wojtecka, wyraźnie uspokojona, głęboko odetchnęła i zaczęła wolno mówić:

-Ten wieczór pamiętam dokładnie, bo było tak, jak zawsze. Do kuchni przyszła pani Sabina po dodatkowy kubek, przez chwilę rozmawiałyśmy, to znaczy ja i pani Sabina, bo Bożenka czytała jakieś przepisy kulinarne, potem zajął pan Heckmann, pytał o... chyba o Mateckiego... tak o niego, ale on jeszcze nie wrócił, miał wolny dzień i to wszystko.

- O której godzinie?

- Tak około dziewiątej... dziesiątej... chyba...

-No dobrze... A gdzie tego wieczoru leżały saszetki z ziołami?

- Tak jak zawsze, na rogu stołu, obok jej kubka stał kartonik.... ale... trochę nawet zdziwiłam się, bo leżały tylko dwie saszetki... bez kartonika... - Wojtecka jakby oniemiała, urwała i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w komisarza. - Może to były ostatnie, a ona wyrzuciła puste opakowanie? - Szukała w jego oczach potwierdzenia swoich przypuszczeń.

- Mogło tak być. A te saszetki przyniosła Gawronik? -Nie pamiętam... chyba tak... Nie, nie! Trzymała je w szafce, w kuchni. Pokażę panu, w którym miejscu.

-Tego wieczoru, po pracy, była pani cały czas w kuchni? No i pani Bożena?

- Nie, na pewno nie.

- Więc dostęp do saszetek, leżących na widoku, miał każdy.

- No nie, zwykle siadamy jeszcze w jadalni, stamtąd wszystko widać, nie zamykamy drzwi.

- Czy te saszetki różniły się od siebie? Wyglądem, kolorem bibułki, a może były lżejsze, coś je różniło?

- Nie zwróciłam na to uwagi, dla mnie to były po prostu zioła.

- Która mogła być wtedy godzina?

- Około... jedenastej.

- Gawronik zawsze piła je tak późno?

- Raczej tak... przynajmniej zawsze tak było, do tej pory.

- Więc zalała pani wrzątkiem saszetki i co było dalej?

- Ona zabrała kubek do swojego pokoju, a ja poszłam do swojego.

- Kuchnia jest cały czas otwarta?

- Tylko wtedy, kiedy my tam jesteśmy, odpowiadamy przecież za sprzęty, naczynia, a wie pan, ludzie są różni, a my musimy się ze wszystkiego rozliczyć.

Karbowski przyznał jej w duchu rację. Znał przypadki, będąc na wczasach, przywłaszczania, delikatnie mówiąc, przez wczasowiczów, co ładniejszych łyżeczek czy talerzyków z logo restauracji.

-Może zauważyła pani coś innego niż zazwyczaj, niepokojącego, zanim pani koleżanka spadła ze schodów?

-Nie - zaprzeczyła zdecydowanie kobieta. - Kiedy usłyszałam ten jakby dudniący odgłos, wybiegłam ze swojego pokoju i najpierw rozejrzałam się po korytarzu, ale nic nie zauważyłam i... jakby mnie coś tknęło, żeby pójść w stronę schodów. Wtedy... zobaczyłam ją, krzyczałam... ale nie miałam odwagi, żeby podejść, ona... miała takie, szeroko otwarte oczy... jakby patrzyła na sufit. - Zakryła twarz rękami.

- Co pani wówczas zrobiła?

- Uciekłam do pokoju, cała się trzęsłam, nie rozumiałam tego, co się stało.

- A krótko przed wypadkiem słyszała pani jakieś kroki, otwieranie drzwi albo coś, co nie było normą w wieczornym wypoczynku? O tej porze, chociaż mieszkają tutaj wczasowicze, zazwyczaj jest już o wiele ciszej niż w ciągu dnia.

Wojtecka nerwowo odpowiedziała:

- Nie, przecież bym panu powiedziała.

- Rozumiem, że to był szok dla pani i jakieś sprawy umknęły pani uwadze, jednak proszę się skupić - nalegał komisarz - i przypomnieć sobie, czy z pokoju Gawronik dobiegały jakieś odgłosy jej rozmowy przez telefon, coś upadło na podłogę, trzasnęło okno?

- Ja naprawdę już wszystko powiedziałam... A jeżeli chodzi o jakieś trzaski, hałasy, to po drzewach nieraz chodzą koty, jest tu ich chyba ze trzy. To dzikie koty, ale pani Wojanowska je karmi... nawet zdarza się, że nieraz siedzą naprzeciwko okna, bo czują jedzenie, a na dole kucharka je przepędza.

- Okno często jest otwarte?

- Zamykamy je tylko na noc.

- No tak. Pokojówka jest na urlopie, więc klucze do wszystkich pomieszczeń, pokoi gości, ma teraz pani... Czy ktoś jeszcze?

- Nowa kelnerka, Renata, ale mamy podział obowiązków i ja nie mam kluczy do wszystkiego. Kiedy żyła Bożenka, też tak było.

- Do witryny z tą porcelaną - komisarz pokazał na czarny mebel - kto miał klucz?

- Ja nie miałam nigdy, zazwyczaj witrynę otwierała pani Jadwiga i przy niej ktoś z personelu wycierał kurze. Dopiero później, może nie miała chęci albo czasu, dała klucz Bożence. Ona nawet nie była zadowolona, bo pani Wojanowska nakazała jej, żeby nikomu nie otwierała tego mebla, ponieważ porcelana jest bardzo cenna i przy braniu do ręki, komuś mogłaby wypaść i stłuc się.

- Kto teraz ma klucz?
- Renata. Zatrudnili ją krótko po tym wypadku. Zajęła... jej pokój.
- Panie klucza nie proponowali?
- Proponowali, ale odmówiłam... sama nie wiem dlaczego.
- Kto tu mieszka dalej, za pokojem nowej kelnerki?
- Matecki, ta „złota rączka”.
- Dziękuję, że pani przysła. Mam ostatnie pytanie. Proszę powiedzieć, czy lekarz, który przebywa teraz w pensjonacie na wczasach, przychodził do kuchni, prosił o coś, rozmawiał z którymś z pracowników?
- Przychodził, mówiłam już o tym policjantowi, w dniu tego wypadku.
- Dziękuję pani. Gdyby chciała pani jeszcze ze mną porozmawiać, to proszę przyjść w każdej chwili - zachęcił ją komisarz.
- Na pewno przyjdę.

Kiedy Wojnecka, drobnymi krokami, wyszła z sali, Karbowski odchylił się na miękkie oparcie fotelika. Czuł się zmęczony, wypalony i na pewno już więcej dzisiaj nikogo nie przesłucha. Przed nim jeszcze lustracja pomieszczeń na poddaszu, otoczenia pensjonatu, notatka dla Nadolskiego, a co do tego Lewickiego, to beczelnie kłamał, że nie przychodził do kuchni. Bał się, że może być jednym z podejrzanych? I tak przecież policyjny wywiad, choćby i spod ziemi wydobędzie potrzebne informacje na temat każdego, kto kiedykolwiek naruszył prawo, czy po prostu podpadł w jakiejś sprawie.

A Dresske?! Można by założyć, że to jeden z tych miłośników cudzej własności, ale tylko założyć. Niech to szlag! Na dzisiaj dość wypytywania, notowania, odtwarzania zeznań, trzeba się podnieść i zakończyć dzień lustracją na poddaszu. Spojrzał na zegarek. Parę minut po dwudziestej pierwszej.

Podniósł się, zabrał wszystkie rzeczy i wyszedł z Sali Kominkowej. Mijając biuro Heckmanna przystanął, potem lekko zapukał w drzwi i nacisnął klamkę.

- Dobrze, że pana zastałem - zwrócił się do mężczyzny. - Chciałbym teraz obejrzeć pomieszczenia na poddaszu, pokoje personelu, kuchnię i jadalnię. Proszę powiadomić pracowników, aby byli na miejscu, to nie potrwa długo.

- Oczywiście, zaraz to zrobię, mam panu towarzyszyć?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. To rutynowe oględziny. W chłodnej uprzejmości Tadeusza Heckmanna

wyczuć można było rozdrażnienie obecnością śledczego w pensjonacie. Wychodząc z biura, Karbowski czuł na plecach jego ciężkie spojrzenie, być może spojrzenie Richarda Dresske?

W przydzielonym mu pokoju nie zabawił długo. Do szuflady w komodzie wsunął laptopa, dyktafon i notatnik. Starannie zamknął okno i udał się na poddasze.

Kuchnia była szeroko otwarta, paliło się światło i, tak jak zeznała Wojtecka, drzwi do jadalni również, skąd dobiegł go szmer kobiecych głosów.

Przystanął pośrodku i rozejrzał się. Czysto, biało, niezbędne sprzęty, jak to w kuchni, pod oknem stół, przy nim trzy małe taboreciki, po lewej stronie wiszące szafki, po prawej małe drzwi, pewnie spiżarnia, pod sufitem lampa, nic szczególnego, tak jest prawie w każdym domu. Oprócz tego rześkiego, leśnego zapachu, dolatującego z otwartego okna.

Karbowski uważnie obejrzał parapet, ramy okienne i wychylił głowę na zewnątrz. Na wprost okna rosły, tak jak i wokół całego budynku, wielkie, rozłożyste drzewa, z konarami na wyciągnięcie ręki.

Patrząc na nie, przypomniał sobie młode, szczeniackie lata, jak wchodził po drzewie do kolegi, kiedy obaj

mieli zakaz spotykania się po jakiejś szkolnej rozróbie na boisku szkolnym, po wzajemnych skargach ich rodzin.

No właśnie, drzewa! Wspaniała wspinaczka, łatwa, dostępna prawie dla każdego, niekoniecznie młodego i wysportowanego. Wychylił się głębiej i spojrział w dół, rozjaśniony blaskiem bijącym od okien pensjonatu. Cofnął głowę, jeszcze przez chwilę patrzył na grube konary, gałęzie, po czym oparł się plecami o parapet i zatrzymał wzrok na wiszących szafkach na ścianie. Podeszedł do wiszącej najbliżej okna i otworzył drzwiczki. W środku znajdował się rząd równo ustawionych talerzyków, kubeczków, jakieś małe plastikowe pojemniki, pewnie na sól, cukier, ale żadnych saszetek, natomiast w pojemnikach znajdowała się, sądząc po zapachu i wyglądzie, kawa i sypka herbata. Zamknął szafkę i podeszedł do okna. Intuicja podpowiadała mu związek między oknem a saszetkami, leżącymi na stole owego feralnego dnia, wystarczyło tylko wspiąć się na drzewo i je podmienić.

Taka operacja wspinaczkowa mogła odbyć się wyłącznie w ciemnościach i w maskującym, ciemnym ubraniu. Trochę to rozwiązanie za łatwe, ale logiczne. Wojtecka zalewała rzekome zioła około jedenastej wieczorem, więc w lesie panowały już całkowite ciemności. Saszetki zatem były podrzucone tuż przed jedenastą lub między jedenastą, a... dziesiątą wieczorem? Wystarczy kilka zwinnych ruchów, aby wspiąć się na pień, potem, wręcz przyklejając się do jego konarów z gałęziami, pokrytymi bujnym listowiem, doczołgać się jak najbliżej okna, poczekać na stosowną chwilę i podmienić saszetki.

Hm... to jednak nie byłoby bezpieczne; konar mógłby się ugiąć pod naporem człowieka... łatwiej byłoby wejść na parapet okienny, stół stoi na wyciągnięcie ręki, ale w zupełnej ciszy to byłoby niewykonalne. Taki odgłos mógłby ściągnąć do kuchni kelnerki...

Pozostaje inna wersja.

Ktoś przypilnował moment, w którym nie było nikogo w pobliżu ani w samej kuchni, kelnerki mogły być przecież chociażby w łazience czy w pomieszczeniu, gdzie trzymają sprzęt do utrzymania czystości i wówczas morderca wykorzystał tę chwilę na podmianę saszetek.

Albo... Wojtecka widziała kogoś, nie zdając sobie wtedy sprawy, że widzi mordercę, a teraz boi się własne życie!

Kto to zrobił? Każda z przesłuchanych już osób nie wniosła w rozmowie na tyle mocnych argumentów, aby ją wykluczyć z podejrzeń, lub wręcz przeciwnie.

No cóż, drzewa trzeba obejrzeć w dziennym świetle, może szczęście dopisze i znajdzie jakiś ślad, potwierdzający wspinaczkę potencjalnego mordercy kelnerki, albo ślady pazurów kotów.

Karbowski wyszedł z kuchni i wszedł do jadalni. Przy stole siedziała nowa kelnerka i Wojtecka.

- Dobry wieczór. Poproszę panie o otworenie swoich pokoi, chciałbym je obejrzeć.

- Drzwi są otwarte, mamy iść z panem? - zapytała młodsza z kelnerek, Renata.

-Jeżeli panie chcecie, to proszę, ale to nie będzie trwało długo.

Nie ruszyły za nim, kiedy wyszedł kuchni.

Pokoje umeblowane były prawie identycznie, za wyjątkiem jakichś osobistych drobiazgów; fotografii w ramkach, maskotek, kwiatów w wazonach, owoców na półmiskach. Za oknami morze zieleni, liści drgających na gałęziach, przy prawie nieodczuwalnym ruchu powietrza.

Drzwi do pokoju Mateckiego były zamknięte.

Kiedy zapukał, rozległy się ciężkie kroki, po chwili drzwi uchyliły się i w progu stanął mężczyzna w krótkich spodenkach i białym podkoszulku.

- Proszę - mruknął i cofnął się do środka.

Nie zwracając na komisarza uwagi, położył się na łóżku i wbił wzrok w ekran telewizora. Nie odwrócił głowy

nawet wtedy, kiedy Karbowski, po zlustrowaniu pomieszczenia, wychodził i życzył mu spokojnej nocy. Jedyne odburknął coś w rodzaju: „nawzajem”.

- Przyjemniaczek - pomyślał Karbowski.

Z oględzin pensjonatu na zewnątrz zrezygnował, po ciemku nie było najmniejszego sensu cokolwiek oglądać. Co innego jutro, w dzień.

Zbiegł po schodach na parter i ruszył w stronę apartamentu. W holu było pusto, cicho, jakby pensjonat nagle opustoszał, bo skończył się sezon i wczasowicze wyjechali do swoich domów, a nowi jeszcze się nie zagościli.

Jednak coś nie dawało mu spokoju, jakieś niejasne przeczucie, podejrzenie, niedopowiedzenia, które zawsze wyczuwał w bezpośredniej rozmowie z przesłuchiwanymi osobami. Zawrócił i wbiegł na schody najpierw na piętro, potem na poddasze.

Wojtecka właśnie wychodziła z kuchni, trzymając w ręce klucze. Spojrzała na niego zdziwiona tak szybkim powrotem.

Karbowski stanął obok niej i, nachylając się, zapytał cicho:

- Pani Elżbieto, kogo pani się boi?

Kobieta umknęła ze wzrokiem, patrząc na klucze.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odpowiedziała równie przyciszonym głosem.

-Kogo pani widziała w kuchni lub w jej pobliżu w dniu śmierci kelnerki, wieczorem, około jedenastej?

- Nikogo nie widziałam, proszę już mnie nie męczyć pytaniami, chciałabym położyć się, jestem zmęczona po pracy.

- Dostanie pani ochronę, jeżeli zajdzie taka potrzeba, proszę się nie bać. Kto pani groził? - Komisarz starał się nie naciskać, chociaż po uporze kobiety widział, że nic nie wskóra.

-Nikt mi nie groził, bo nie miał za co, ale proszę pana, ja naprawdę nic więcej nie wiem. - Wojtecka przekręciła klucz w zamku i już zamierzała odejść, ale kolejne pytanie komisarza wyraźnie ją zaskoczyło.

- Ktoś pani zapłacił za milczenie?

Kobieta wyglądała na osobę, której zarzucono jakiś niegodny czyn, podczas kiedy ona była czysta jak przysłowiowa łąka.

-Proszę pana! - Oburzona patrzyła mu prosto w twarz. - Jestem uczciwą kobietą, uczciwie zarabiam na życie i wystarcza mi to, co tu zarabiam! Proszę mnie nie obrażać! Dobranoc. - Wojtecka wyminęła go i zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

Karbowski wiedział z doświadczenia, że z żadnej z już przesłuchiwanym osób nic więcej nie wycisnie, ponad to, co już zechcieli zeznać, również z Wojneckiej, a niedosyt informacji raczej się powiększał.

Szybko pokonał schody prowadzące na parter z zamiarem odespania bardzo ciężkiego dnia.

- Proszę pana!

Recepcjonistka wychyliła się znad kontuaru i czekała, aż podejdzie bliżej.

- Tak? Słucham? - komisarz przystanął. -Dzwoniłam do Basi, córki szefowej. Ona bardzo

zdziwiła się, kiedy powiedziałam, żeby poprosiła panią Jadwigę do telefonu!

Na twarzy kobiety malowało się napięcie, w oczach niedowierzenie, zdumienie.

- Pewnie zmieniła zamiar i pojechała gdzieś indziej. -Nie sędzę, ona zawsze jeździła do córki, tym

bardziej teraz, po tej okropnej kłótni z tym... Heckmannem! Już kilka dni minęło, odkąd wyjechała. Mówiłam mu, ale jakoś się nie przejął.

- Myślę, że to się wyjaśni. Dobranoc pani.

- Dobranoc. Ale to jest dziwne, szkoda, że szefowa nie ma komórki, zawsze mówiła, że nie chce być niewolnikiem telefonu.

Te słowa dobiegły Karbowskiego, kiedy już wchodził do apartamentu Wojanowskiej. Nie chciał dalszej dyskusji na ten temat, pewnie kobieta po kłótni ze swoim partnerem pojechała w jakieś zaciszne miejsce, żeby odpocząć od niego, obowiązków, po prostu chciała pobyć sama. Tak jak on teraz.

Rozdział 5

Daniel, zaraz po telefonie recepcjonistki szukającej Beaty, zapukał do jej drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Beata! Odezwij się! - zawołał.

Cisza. Ponownie zapukał i przez chwilę nasłuchiwał. Nic, pusta cisza, żadnych szmerów, odgłosu kroków, wskazujących na podchodzenie do drzwi, czegokolwiek, co by wskazywało, że ktoś tam przebywa, ale z jakichś powodów nie chce z nikim się widzieć.

Zapukał kolejny raz.

- Beata! - zawołał głośniejsze.

Znowu żadnych znaków, tylko cisza. Przemknęło mu przez myśl, że zablądziła nie znając dość dostatecznie okolicy, zrobiła za długą wycieczkę w leśne ostępy i stanął jej na drodze dzik, przestraszyła się i, uciekając, skręciła nogę, a teraz czeka na pomoc w miejscu, w którym zazwyczaj się opala.

Dzień nie zachęcał do słonecznych kąpiei, ale aura nie odstraszała od relaksu nad wodą. Nie wróciła na obiad, kolację... co jest do cholery?!

Daniel wrócił do swojego pokoju i sięgnął po telefon. Nie czekał długo na połączenie ze swoim rozmówcą.

-No cześć. Słuchaj, zniknęła gdzieś ta dziewczyna, obawiam się, że może narobić nam kłopotu.

- Jak to zniknęła? Co się stało? A ty dopuściłeś do tego? - natarł na niego rozmówca.

- Nic się jeszcze nie stało, nie ma jej od rana w pensjonacie. Ten glina chciał z nią rozmawiać i lepiej by było, żeby miała to już za sobą. Myślę, że by mi powiedziała, o co ją pytał. Wkurza mnie to, że gdzieś się zawieruszyła.

- Za dużo to ona chyba nie wie, ale świadków nam nie potrzeba, obojętnie, na jakim etapie jesteśmy.

- Jasne. Pójdę jej poszukać, wiem mnie więcej, gdzie może być.
- Bądź ostrożny. Nie daj się tamtym wykiwać, to już niedługo.
- Wiem, rozmawiałem dziś z Heckmannem. Jest wściekły na tego komisarza, nie może doczekać się, kiedy ten zniknie z pensjonatu, a do tej dziewczyny też sentymentu nie czuje.
- Domyślam się, ale reszta też siedzi na minie, trzeba przyspieszyć. To twoja rola.
- Spiesz się powoli. Nic na hura!
- Słuchaj Daniel, musisz jakoś odciąć tę dziewczynę w dniu... no wiesz... nie umawiaj się z nią, wymyśl coś, na przykład, poproś ją, żeby pojechała do miasteczka i zrobiła ci zakupy, bo ty piszesz coś na zlecenie... Rusz głową.
- Wiem, co mam robić. Teraz przejdę się w parę miejsc, odezwę się później. Wiesz... mam przeczucie, że ona to tak naprawdę zwykła, ciekawska wczasowiczka.
- Która może nam skutecznie zawalić wszystko, co do tej pory jest ustalone! Włóż głowę pod zimny prysznic, nie jesteś tam dla rozrywki!
- W porządku. Odezwę się.
- Czekam. To na razie.
- Zaczekaj Sabina! W razie czego... będę musiał... zastosować jakieś bardziej radykalne środki... A nie chciałbym.
- Co masz na myśli? - zaniepokoiła się.
- Przecież nie zmuszę jej do wyjazdu do Stomewa. Może odmówić, zdziwić się, pozostaje, jak już mówiłem, ostateczność. Wiesz, co się w takich przypadkach robi. Jakiś usypiacz i sprawa załatwiona. Odsunie się ją od szukania sensacji.
- To możesz zrobić - zgodziła się Sabina. - Masz większe doświadczenie ode mnie. Odezwij się szybko. I jeszcze jedno, zrobiliśmy kardynalny błąd.

- Wiem. Bez imion, nazwisk.

- No, to do usłyszenia - Sabina zakończyła rozmowę. Było już późne popołudnie, o tej porze w lesie, przy

zachmurzonym niebie, zapada wczesny zmrok, lekki chłód nie pozwalała na paradowanie z półnagim torsem. Daniel założył marynarkę, zawiesił na ramieniu aparat fotograficzny, zamknął drzwi pokoju na klucz i szybko zbiegł po schodach do wyjścia z pensjonatu.

Po zwirowej alejce, prowadzącej na skarpe, spacerowała jakaś para przytulona do siebie. Kiedy mijali ich, usłyszał:

- Sam? Bez tej ładnej dziewczyny?

- Na dzisiejszy wieczór dała mi wolne - zażartował.

Idąc dalej w głąb lasu rozglądał się, starając się wypatrzeć gdzieś w gęstwinie drzew, krzaków, zarośli, znajomą sylwetkę dziewczyny albo inne ślady jej wędrówki na przełaj, jednak zrezygnował; to była syzyfowa praca, z pewnością wiele osób przeczesywało las, szukając choćby grzybów czy leśnych owoców.

Pozostała skarpa i marsz przez całą długość skrawka plaży, aż do jej ulubionego miejsca, gdzie zazwyczaj spędzała najwięcej czasu nad Bałtykiem. Szedł powoli, rzucając spojrzenie na wzgórze nad wodą, po czym w miejscu, gdzie plaża nagle zamieniała się w wąski pasek, wszedł w poprzek wzgórza i dotarł do miejsca, w którym jedynym śladem po dziewczynie była lekko przygnieciona trawa po jej kocu, czy raczej wielkim ręczniku kąpielowym.

Daniel usiadł i rozważał kierunek następnych poszukiwań Beaty. Był zły, niezadowolony, a poza tym miał coraz mniej czasu do godziny... „0”. Przypomniawszy sobie spojrzenie Beaty, kiedy wracali razem z Bałtyku do pensjonatu, rzucając na zachwaszczoną alejkę, nieuczęszczaną przez wczasowiczów, która prowadziła gdzieś w las. To mógłby być jakiś ślad!

Poderwał się i ruszył między drzewa, zahaczając ramionami o nisko zwisające gałęzie, skracając sobie

drogę z postanowieniem ostrego zwrócenia jej uwagi, o niezbyt bezpiecznej, samotnej włóczędzie, po nieznanym terenie. Może w ten sposób przytrzyma ją chociażby w tym właśnie dniu w pokoju! A sam obieca dotrzymać jej towarzystwa... potem... Cholera! Akurat tu musiał ją spotkać?!

Wreszcie jego oczom ukazał się pasek alejki biegnący z tyłu, pośrodku pensjonatu, nieciekawej, zaniedbany, za parę lat pewnie zniknie, zagłuszony bujną leśną przyrodą.

Daniel, żeby nie być zauważonym przez kogokolwiek z pensjonatu, ruszył wzdłuż alejki, klucząc między drzewami, dopiero kiedy budynek zniknął z pola widzenia, wyszedł na alejkę, wypatrując po bokach ewentualnych, niechcianych świadków jego wyprawy.

I znowu nic, pusto, mroczno, niezbyt przyjemnie, na pewno dziewczyna nie jest aż tak odważna, żeby robić sobie wycieczki w takie miejsca, gdzie o zmroku ciarki chodzą po plecach!

Na dodatek wielkie drzewo zważyło się w poprzek alejki, pewnie podczas burzy powaliła je wichura, albo słabe, przewrócił silniejszy podmuch wiatru. Obszedł drzewo dookoła i już, zniechęcony, chciał zawrócić, kiedy jego wzrok padł na wiszącą na krzakach jakąś rzecz.

Kiedy podszedł bliżej, z niedowierzaniem patrzył na podarty sweter... Beaty! Widział go na niej, był tego absolutnie pewny!

Zdjął go z krzaków i obejrzał.

- Dopadli ją?! - Przeszyła go myśl o współnikach.

Głupia dziewczyna, pewnie opowiadała na prawo i lewo o majątku, skarbach i pewnie robiła to w tak przekonujący sposób, że wie, w czym rzecz, aż się jej pozbyli!

Odrzucił sweter i bez przekonania ruszył dalej. Za ledwie uszedł kawałek drogi, ktoś zawołał go po imieniu.

Obejrzał się. W jego stronę, wychodząc zza drzew, zmierzał Eryk z zawieszoną na szyi lornetką.

-Cześć. Lubisz samotne spacery? - zapytał, stając naprzeciw Daniela.
- Z aparatem fotograficznym, więc nie sam. To do albumu, zawsze uwieczniam miejsca, gdzie przebywam, o ile są ciekawe.

- Lepiej nie rób ich za dużo. To może się komuś nie spodobać - ostrzegł go Eryk.

- A twoja lornetka? Po co z nią chodzisz? - Daniel ze spokojem oddał cios.

- A co jest podejrzanego w chodzeniu po lesie z lornetką? Jestem ornitologiem, robię właśnie doktorat, a podglądanie ptaszków leży w moim zawodzie. A poza tym, co jest przyjemniejszego w lesie od śpiewu ptaków i patrzenia na nie z bliska?

- Każdy lubi co innego. Wracasz do pensjonatu? Eryk potoczył wzrokiem dookoła.

- Robi się ciemno, nie ma co tu już szukać. Chodź, mam ochotę na partię bilardu. Chyba nie odmówisz? -Patrzył przeciągle, jakby nie dopuszczał odmowy jego propozycji.

-Jasne, że nie odmówię, spotkamy się przy stole. Teraz przejdę się jeszcze kawałek i zrobię parę ujęć.

O zmroku świetnie wyjdą - wykręcił się Daniel.

- Wiesz, że nie wtrącam się do moich starych i nie wszystko mi się podoba. Ale... uważaj!

-Na co?

- Nie wiem. Do zobaczenia w Sali Bilardowej.

- Na razie.

Eryk ruszył w stronę pensjonatu, Daniel kilka razy odwracał się, sprawdzając, czy nie obserwuje go, ale tamten, z rękami w kieszeniach, szybkim krokiem oddalał się, aż został po nim tylko maleńki punkcik.

Po kilkunastu metrach przystanął, zniechęcony bezowocnym poszukiwaniem. Może dziewczyna już wróciła i składa zeznania u komisarza? Powiódł wzrokiem dooko-

ła. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spaceruje samotnie o zmroku, w tak nieprzyjaznym zakątku leśnej głuszy. Nawet on czuł się nieprzyjemnie w ciemniejącym lesie. Przed nim żywego ducha, dookoła drzewa, drzewa...

Zawrócił i, ociągając się, włókł się krok za krokiem, kilka razy przystawał, klął w duchu, targały nim sprzeczności co do powziętej decyzji powrotu, bo powinien jednak dojść do końca tej cholernej, długiej alejki! Nie jest tchórzem, nie boi się ciemności, a do tego świetnie zna tajniki walki i samoobrony! Od chłopaka biegał do klubów organizujących takie kursy.

Zatrzymał się, spojrzął w coraz bardziej czerniejącą głębię alejki i zdecydowanym krokiem ruszył dalej. W końcu gdzieś się musi skończyć!

Beata z trudem odzyskiwała świadomość swojego położenia i tego, co się stało. Leżała w całkowitych ciemnościach, przysypana ziemią, w jakimś wykopie, wepchnięta tam przez człowieka, który o mało jej nie zabił ciosem w tył głowy. Czuła świdrujący, rozrywający ból w głowie, w całym ciele, ziemia wciskała się do oczu, nosa, uszu. Czaszkę ścisnęły jakieś kleszcze. Ostrożnie poruszyła się, powoli, pomimo bólu, wydostała spod warstwy ziemi rękę i przetarła twarz. Oczy szczypały, łzawiły i do tego ta upiorna czerń! Poruszyła nogami. Leżała na nich cieńsza warstwa ziemi, czuła to, ruszając stopami. Była zdezorientowana, bliska paniki, obłądnego strachu, który dławił, tamował oddech, usiłowała sobie przypomnieć ostatnie chwile, zanim znalazła się w tym przerażającym położeniu, zanim zacznie krzyczeć, nieprzytomna ze strachu.

I ten okropny smród! Skąd się wydobywa?!

A więc... weszła do starej szopy... włączyła komórkę... potem... zobaczyła, że stoi nad głębokim wykopem...

a potem... ból... błysk w oczach... upadek... i ten ktoś... chyba w kapturze... dziwnie znajomy...

Trzeba się stąd wydostać, bo kto ją tu znajdzie? A jeżeli wróci ten, który chciał ją zabić? Jak długo tu leży, tak ciemno... no tak... okna pozabijane deskami... przecież po to włączyła telefon, żeby mieć chociaż namiastkę światła.

Musi się stąd wydostać i to zaraz... bo dłużej tego napięcia nerwowego nie wytrzyma!

Beata wydostała spod ziemi drugą rękę i obiema zaczęła odgarniać z siebie warstwę ziemi, coraz bardziej cuchnącej czymś obrzydliwym, odór był tak silny, że powodował skurcze żołądka, prawie wywoływał torsje.

W końcu usiadła i dotknęła tyłu głowy. Bolała. Palcami przeczesowała włosy, ale nie wyczuła lepkości, która oznaczałaby krew z rany... Ach, to peruka złagodziła cios. Gdyby mogła znaleźć telefon... może wpadł razem z nią... trzymała go w ręce, kiedy... on... zaraz zacznie krzyczeć, błagać o ratunek!

Przycisnęła dłoń do serca, tylko spokojnie... nie... to akurat nie jest możliwe... i ten smród... nie do wytrzymania, zaraz zwróci to, co zjadła przez miesiąc! Pomacała dłonią ziemię dookoła siebie i dotknęła czegoś miękkiego. To peruka, dobrze, że ją założyła, złagodziła uderzenie, bo inaczej...

Rozpłakała się. Nie jest odważna, nigdy nie była, ciemności zawsze się bała, a tu jest tak strasznie, bo... to jest... grób! Musi wyjść stąd i to natychmiast! Powoli wstawiała, czując ból pleców, jakby spadła ze znacznie większej wysokości, poruszona ziemia wydobyła jeszcze silniejszy odór, trudny do złapania głębszego oddechu. Gdyby było trochę jaśniej! Komórka! Wykop nie był zbyt długi, tyle zdążyła zauważyć, ale bardzo głęboki. Rozłożyła ramiona, żeby zbadać jego szerokość. Dłonie wyczuły brzeg dołu. Pomacała stopą ziemię wokół i natrafiła na coś... To na pewno telefon, zaraz powiadomi kogoś, obojętnie kogo, o tym, gdzie się znajduje.

Schyliła się i zaczęła dłońmi rozgarniać cuchnącą ziemię, powstrzymując siłą woli torsje. Odór był tak silny, że wyprostowała się i nogą roztrząsała miejsce, w którym spodziewała się znaleźć komórkę. Poczwała pod stopami jakąś nierówność, jakby stała na materacu wypełnionym... wodą?

Pochyliła się, wsunęła głębiej dłoń w ziemię i... złapała za czyjąś... rękę... sztywną, zimną, oblepioną jakąś mazią!

Co to jest?! Serce wyrywało się z piersi, płytki oddech dusił, okropny fetor nie pozwalał wziąć głębokiego oddechu...

Teraz wyraźnie poczuła, że stoi na... czyimś ciele!

Trwało to ułamek sekundy, kiedy oszalała ze strachu i wstrętu, zaczęła krzyczeć, drapać rękami ścianę dołu, usiłując wyjść, uciec od niesamowitych zwłok, bo za chwilę zwariuje, ale paznokcie jedynie zrywały kawałki ściany, która osypywała się na dno wykopu.

Krzyczała i płakała na przemian, rzucała się na ścianę, usiłowała wdrapać się do góry, ale dół był zbyt głęboki. Bała się przy tym, że jej krzyk zwabi mordercę, ale zdrowy rozsądek tym razem uległ wszechogarniającej ją panice. Straciła orientację jak długo wołała o pomoc, chciała tylko wyjść stamtąd.

Kiedy na chwilę umilkła, usłyszała jakiś chrobot przy drzwiach szopy. Znowu ogarnęło ją przerażenie, że wraca morderca! Patrzyła w stronę wyraźnego już walenia w drzwi z postanowieniem walki o życie.

Po chwili wyczekiwania, usłyszała, jak ktoś powoli otwiera drzwi... Podchodzi na skraj dołu... To nie sylwetka mordercy!

- Kto tu jest?! Ratunku! - krzyknęła rozpaczliwie.

- Nie bój się. To ja, Daniel.

To było najpiękniejsze słowo, jakie mogła usłyszeć w tej strasznej scenarii.

- Pomóż mi - załkała. - Tak się boję.

- Wyciągnij do mnie ręce. Zaraz cię stąd wydostanę.

Daniel, przyświecając telefonem, zajrzał do wykopu. Był wstrząśnięty widokiem, który zobaczył. Z ciemnej czeluści wyłoniły się ręce, zaledwie widoczne w połowie wysokości wykopu. Beata prawie nie poznał, umorusanej, rozdygotanej, z dzikim przerażeniem w wielkich, rozszerzonych źrenicach.

Już z daleka słyszał jakiś nieludzki, zniekształcony strachem głos, ale to, co zobaczył, przeszło jego wyobraźnię.

Drzwi zamknięte na kłódkę rozwalił solidnymi kopnięciami, były mocno zniszczone, miejscami spróchniałe. Nie od razu dotarło do niego, że mogłaby to być Beata, ale ten głos, prawie zachrypnięty od krzyku, mroził krew w żyłach.

Jaki ohydny odór!

Położył telefon na brzegu wykopu, ukląkł, pochylił się i prawie po omacku, na wycucie, chwycił jej dłonie, których paznokcie aż wbiły mu się w ręce, tak rozpaczliwie je zacisnęła. Wstając, szarpnął ją z całych sił i powoli, słysząc jak szoruje ciałem o ścianę dołu, wyciągał dziewczynę, aż ukazała się ciemna, zapłakana sylwetka. Słaniającą się na nogach, chwycił na ręce i wyniósł na zewnątrz. Przytrzymał ją w pasie, kiedy już stała naprzeciw niego.

-Beata! Dziewczyno! Beata! - Daniel powtarzał, patrząc na dygoczącą jak w febrze dziewczynę.

Drżały jej usta, z oczu ciekły łzy, które wycierała brudnymi rękami, nawet w nikłym świetle księżyca widać było na niej wybrudzone ubranie. Trzymała się jego ramienia, jakby bała się, że się przewróci.

- Dziękuję ci... jeszcze chwila, a... umarłabym tam... -płakała - jak ten ktoś... tam w tym dole.

- O czym mówisz?- Daniel zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

Beata jakby go nie słyszała, mówiła dalej, zakładając poły za dużej na nią marynarki, jedną na drugą:

- Tak się bałam... gdybyś mnie nie znalazł... to... on by wrócił i zabił mnie.

- Jesteś już bezpieczna. Przy mnie nic ci się nie stanie. Możesz iść? Odejdziemy stąd kawałek, o tam, pod to drzewo.

- Słabo mi... nogi mam jak z waty... chce mi się pić... zaraz się przewrócę - Beata wyszeptała, chwiejąc się.

- Zaniosę cię, obejmij mnie za szyję.

Pod okazałym drzewem Beata usiadła, opierając się plecami o pień.

-Możesz mi opowiedzieć, co się stało? Jak się tam znalazłaś?! O czym mówisz? Co jest w tym dole?

Beata pokazała na szopę.

-Tam ktoś jest. Nieżywy - powiedziała słabym głosem.

- Jesteś w szoku. Wydaje ci się, w nocy wszystko jest inne, gorsze, tajemnicze - Daniel słuchał jej z niedowierzaniem.

- Nie! Leżałam na... tym kimś! Umierałam ze strachu! Tam było tak ciemno i ten okropny fetor! - wyrzuciła z siebie załamującym się głosem. - Szukałam komórki i złapałam tego... kogoś za rękę!

- Dobrze. Zaraz sprawdzę, ale najpierw dam ci chusteczkę, masz umorusaną twarz jak mała dziewczynka - powiedział Daniel ciepło. - A teraz mi powiedz, skąd tam się wzięłaś? Mówiłaś o kimś, że chce cię zabić?!

- Wolałabym o tym nie pamiętać - Beata wycierała twarz. - Poszłam tam z ciekawości, drzwi były uchylone. Było ciemno, więc włączyłam komórkę i wtedy... ktoś uderzył mnie w głowę... wpadłam do dołu, a potem... już tylko czułam, jak spada na mnie ziemia. Chyba straciłam przytomność. Boję się, że... on wróci po mnie.

- Nikt po ciebie nie wróci. Nie dopuszczę do tego. Daniel czułym gestem dotknął jej policzka, pogłaskał po włosach.

- Skąd wiesz, że to on, a nie ona? - zapytał.

-Bo skądś znam tę sylwetkę, nie wiem skąd, ale myślę, że to ten sam człowiek, który któregoś wieczoru, wrzucił Sabinie jakiś czerwony kwiat na parapet okna. Ona wtedy bardzo się przeraziła i... powiedziała, że to Dzwony Zmarłych.

Daniel słuchał jej przekonany, że Beata wie za dużo i może być zagrożeniem dla wykonania operacji, w której on odgrywa równie ważną rolę, jak jego współnicy, jednocześnie współczuł jej ogromu przeżyć, które ją tego dnia dotknęły. Było prawdopodobne, że o mało nie przypłaciła życiem wścibstwa albo sprytnie udawanej niewiedzy o testamencie.

- Siedz tu. Nigdzie nie odchodz - nakazał. - Wejdę tam i sprawdzę, co jest w tym dole. Potem wrócimy do pensjonatu, zbada cię lekarz....

-Nie! Tylko nie on! Nie chcę, żeby mnie dotykał... badał!

A więc wie! Daniel pomyślał, że układanka tego, co się stało, właśnie się ułożyła.

- Dobrze, będzie jak zechcesz. Zaraz wrócę. Wyszedł z szopy zmieniony na twarzy, wyraźnie przejęty.

- Masz rację. Tam są jakieś zwłoki. Trzeba zawiadomić policję. Będziesz musiała zeznawać.

-Jest mi to zupełnie obojętne. Chcę się wykąpać... zmyć z siebie ten smród... trupi... Wszystko mnie boli, a najbardziej głowa... o tu, z tyłu.

- Beata położyła dłoń na głowie i skrzywiła się z bólu.

- Pozwól, że zobaczę. Nie bój się, nie będę dotykał. Daniel włączył komórkę.

- Krwi nie widać, ale masz tak ubrudzone włosy, że być może jest tam jakaś rana.

-Miałam perukę od Sabiny na głowie, gdzieś tam jest. I torebka.

- Torebkę można mieć drugą, głowy nie. Peruka złagodziła cios, tylko po co tam poszłaś? Teraz zadzwonię po policję i pójdziemy do pensjonatu, ale... musimy jakoś przemknąć się... albo wezmę samochód i pojedziemy do miasteczka, najpierw na pogotowie, potem do hotelu.

-Dobrze... wykąpię się... ale najpierw do lekarza. Kręci mi się w głowie, nie wiem, czy dojdę do pensjonatu.

- Pomogę ci. Nie mogę tu podjechać bez wzbudzania sensacji, zaczekasz na mnie na przystanku busa. Cały czas będę cię obserwował, nie bój się.

- Sama w lesie? A jak on mnie zobaczy? - przestraszyła się Beata.

- Zaufaj mi. Teraz zawiadomię policję.

Daniel odszedł kawałek dalej i przez chwilę rozmawiał z kimś przez telefon. Beata podniosła się i oparła o pień drzewa. Ból, który ścisnął czaszkę, powoli ustępował, było jej zimno, miała dreszcze, była tak słaba, że z trudnością stała na nogach.

- Możemy iść? - Daniel skończył rozmowę i podszedł do niej.

- Powoli... chyba dam radę...

- Obejmij mnie za szyję, będziemy odpoczywać po drodze.

- Która może być godzina?

- Po dwudziestej pierwszej. - Daniel spojrział na zegarek.

- Jak ciemno...

- W sierpniu o tej porze już tak jest.

- Chyba nie dojdę... - Beata prawie wisiała na jego ramieniu.

- Będę cię niósł.

Daniel chwycił ją na rękę, ale zaprotestowała.

- Nie chcę, to za daleko. Postaw mnie.

-Beata, to nie żarty, musimy iść na pogotowie do miasteczka.

- No to idziemy, będę się ciebie mocno trzymać. Minęło sporo czasu, zanim dotarli do końca alejki, potem na przełaj, omijając pensjonat, na przystanek busa, niewidoczny z okien budynku.

- Czekaj tu na mnie. Zaraz podjadę samochodem.

- Boję się. - Beata złapała go za rękę.

- Będę cały czas cię widział. W razie czego krzycz jak najgłośniej.

- Wracaj szybko.

Daniel nieoczekiwanie przygarnął ją do siebie. Pod dłońmi czuł, jak cała drży. I co będzie dalej? Bo coś zaczęło się sypać. A skok... tuż... tuż!

- Zaraz wracam. - Spojrzał dziewczynie w oczy.

Pokiwała głową. Kiedy odszedł, bojaźliwie rozejrzała się dookoła. Wmawiała sobie, że się nie boi, ale nawet szum drzew ją niepokoił, a nieokreślony trzask przyprawiał o łomot serca. Wybrała najgrubszy pień i przystanęła przy nim, opierając na nim rękę. Długo nie czekała przyjazd Daniela i z ulgą opadła na przednie siedzenie jego samochodu. Chciała zdjąć marynarkę, ale nie pozwolił.

-Widzę, jak cała drzysz, na pewno jest ci zimno. W bagażniku mam butelki z wodą i ręczniki. Umyjesz twarz i ręce. Na pogotowiu powiemy, że się przewróciłaś, pewnie nie uwierzą, ale nie mamy innego wyjścia. - Daniel otworzył bagażnik.

Namoczył ręcznik i podał Beacie. Z każdym mokrym, zimnym dotknięciem, czuła jak odchodzi gdzieś nieprzyjemny zapach i wstępują w nią siły pokonania słabości własnego ciała. Wytarła ręce i, podając ręcznik Danielowi, spostrzegła na nim plamę przypominającą krew.

- Spójrz, to chyba krew.

- Może to twoja?

- Nie... chyba nie...

- Ręcznik był czysty.

- Wiem, przecież wycierałam się nim. To raczej rdza, pewnie od kory, widocznie była wilgotna.

Beata spojrzała na swoje ręce, potem na Daniela.

- Chyba wiem, skąd się wzięła... o tam, oparłam rękę o to drzewo - wychyliła się z samochodu i wskazała gruby pień.

- Sprawdź.

Daniel wziął ze schowka latarkę, ruszył w stronę drzewa i oświetlił go. Długo przypatrywał się pniowi, obchodząc go dookoła, potem skierował snop światła na leśne podłoże i przykucnął.

- Daniel, jedźmy już, źle się czuję. - Beata wtuliła się w oparcie fotela i założyła ręce na piersiach.

Daniel wszedł do samochodu z nic nie mówiącą miną. Zapalił silnik i ruszyli.

- I co znalazłeś? To była krew? - Beata była zaniepokojona.

- Rdza, po prostu brudny pień drzewa - uspokoił ją. Drogę do Stomewa przebyli szybko. Na pogotowiu, na korytarzu, zastali wiele osób.

- Nie będziemy czekać. Zaraz wejdziemy, nie możesz dłużej czekać - zdecydował Daniel i wziął ją za rękę.

Pod drzwiami gabinetu doszedł do ich uszu szmer niezadowolenia.

- Pani jest z wypadku, ranna - rzucił krótko Daniel. W gabinecie pielęgniarka obrzuciła ich nieprzyjaznym spojrzeniem. Zatrzymała wzrok na brudnych spodniach Beaty.

- Pani jest następna?

- Nie... ale...

- Kolejka wszystkich obowiązuje.

- Narzeczona ma poważnie rozbitą głowę. Zaczyna coraz bardziej słabnąć, przyjechałem jak najszybciej, bałem się, że straci przytomność.

- Dobrze, zaraz od lekarza wyjdzie pacjent i możecie państwo wejść.

- Dziękujemy.

Lekarz, podobnie jak pielęgniarka, popatrzył na nieświeże ubranie Beaty, potem na włosy w nieładzie, wreszcie uniósł brwi i zapytał:

- Słucham? Co się pani stało? Proszę usiąść. Daniel podprowadził ją do krzesła i stanął z boku.

- Uderzyłam się w głowę... tu z tyłu, kiedy... upadłam...

- Proszę się odwrócić.

Beata czuła, jak odgarnia jej włosy i długo milczy.

- Ma pani mdłości?

- Na razie nie, ale jest mi słabo i mam zawroty głowy.

- Nie dziwię się. Z takim stłuczeniem. Jak to się stało?

- Szłam poboczem szosy i... nagle wielki tir minął mnie tak blisko... że... że odskoczyłam na bok i wpadłam do rowu, a głową uderzyłam chyba w kamień.

- To był chyba głaz - mruknął do siebie lekarz.

- Bardzo mnie boli...

- Zaraz dostanie pani zastrzyk przeciwbólowy i skierowanie na prześwietlenie, do szpitala. To dosyć poważny uraz. Proszę o dowód osobisty.

- Nie mam przy sobie, jestem na wczasach w „Czerwonych Makach”.

- No dobrze, jak się pani nazywa?

- Beata Zabielska.

Kiedy wyszli gabinetu, pielęgniarka już czekała na Beatę z zastrzykiem i poprosiła ją za parawan.

- Dziękuję. Przy jakiej ulicy znajduje się szpital? - ta zapytała.

- Niedaleko, przy ulicy Gdańskiej.

- Znajdziemy - wtrącił się Daniel. - Dobranoc.

Na ulicy, przy samochodzie, Beata zmieniła zamiar.

- Nie pójdę tam taka brudna. Pomyślą, że jestem jakąś z półświatka. Mówiłeś, że pójdziemy do jakiegoś hotelu i wykąpię się. Jak zimno - wzdrygnęła się.

-Tak będzie najlepiej. Rzeczywiście wyglądasz podejrzliwie w brudnych spodniach i w za dużej marynarce - Daniel uśmiechnął się, taksując ją wzrokiem.

- Tylko gdzie jest ten hotel i czy będzie wolny pokój? - zmartwiła się Beata.

- Pojedziemy tam, wiem gdzie to jest. O pokój się nie martw, pieniądze otwierają wszystkie drzwi.

Daniel szybko załatwił formalności w recepcji, wziął klucz i poszli na piętro hotelu. Pokój był skromnie umeblowany. Widać było po wyposażeniu, że o gwiazdki właściciel nigdy nie będzie zabiegał.

- Tu jest łazienka. - Daniel otworzył drzwi - Ciekawe, czy jest ciepła woda.

- Umyję się choćby w zimnej, ale... w co się przebiorę? - spytała bezradnie Beata.

- Załatwię coś, tylko nie jestem pewny, czy mogę zostawić cię samą w łazience. Jesteś słaba, jeszcze zemdlejesz.

-Nie martw się o mnie, po tym zastrzyku czuję się o wiele lepiej.

- W takim razie wychodzę i zaraz wrócę. Recepcjonistka słuchała zdziwiona prośby Daniela, który oferował dużą sumę za ubranie dla dziewczyny, z którą przyszedł.

- Ale o co panu konkretnie chodzi? - Nie zrozumiała go.

- Potrzebuję spodni, bluzki i swetra. Proszę, tu są pieniądze. - Położył na kontuarze kilka banknotów.

- O tej porze sklepy są pozamykane.

-Może ma pani siostrę, kuzynkę albo koleżankę, bardzo panią proszę, ubranie może być już noszone. Na szczupłą, średniego wzrostu dziewczynę. Narzeczona miała niegroźny wypadek.

Kobieta z ociąganiem sięgnęła po słuchawkę. Daniel odszedł kilka kroków, nie chcąc przysłuchiwać się rozmowie.

- Proszę pana, proszę podejść - usłyszał.

- Będzie jakieś ubranie? - Daniel patrzył wyczekująco.

- Tak, zaraz szwagier przywiezie potrzebne rzeczy. To od mojej siostry.

-Bardzo pani dziękuję. Proszę wziąć pieniądze. -Podsunał je bliżej kobiety.

- Ale to za dużo...

- Proszę przyjąć. Zaczekam w holu, przy drzwiach. Aha, czy jest w hotelu restauracja, bar? Chciałbym kupić coś do picia, jedzenia.

- Niestety nie ma, ale proszę. - Kobieta pokazała za siebie na regał. - Może pan kupić wodę mineralną gazowaną, słodką i jakieś ciastka, pierniczki.

- Proszę o dwie butelki coli i jakieś ciastka.

Nie trwało długo, kiedy zjawił się szwagier recepcjonistki i Daniel, z ubraniami, ruszył po schodach do wynajętego pokoju. Drzwi łazienki uchyliły się i Beata wsunęła w szparę głowę.

- O, ale z ciebie magik! - ucieszyła się, widząc w jego rękach zawiniątko. - To dla mnie? - upewniła się.

- Oczywiście, proszę. - Podał jej ubranie. - I coś skromnego do jedzenia i picia.

Po chwili Beata pojawiła się w pokoju, świeża, pachnąca, z mokrymi włosami.

- Boję się ich uczesać, z ledwością je umyłam. Gdyby nie ten środek przeciwbólowy, to nie byłabym w stanie nawet wytrzymać pod prysznicem. A ubranie świetnie na mnie leży.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po butelkę.

- Strasznie chce mi się pić.

- Poszukam jakichś kubeczków.

-Nie szukaj, chyba wypiję od razu całą butelkę. Po chwili przerwała łapczywie picie coli i zapytała:

- Dlaczego tak się mną opiekujesz? Nawet kłamiesz, że jestem twoją narzeczoną.

-Bo potrzebujesz opieki. Każdą bym się zaopiekował w takich dramatycznych okolicznościach, a poza tym, przecież znamy się i... polubiłem cię.

- Ja ciebie też.

Patrzyli sobie w oczy, nie jak zwykli przyjaciele. To było coś więcej.

- Musimy wrócić do pensjonatu, a ty masz mokre włosy. No i do szpitala na prześwietlenie - powiedział Daniel, starając się nadać głosowi oficjalny, obojętny ton.

Beata odstawiła butelkę na stolik i położyła się na łóżku. Syknęła z bólu i położyła się na boku. Zapadła cisza.

- Za chwilę, dobrze? - Spojrzała na Daniela. - Chcę trochę odpocząć, dopiero teraz dociera do mnie to wszystko - powiedziała cicho.

Daniel usiadł przy niej na brzegu łóżka i położył rękę na jej dłoni. Poczul jak zaciska na niej palce. Nie tak mocno, jak wtedy w tym cholernym dole, ale delikatnie, tak po przyjacielsku, jak dziewczyna albo... jego dziewczyna.

-Jestem przy tobie, odpoczywaj. Możemy rano wrócić do pensjonatu, najwyżej wszyscy pomyślą, że jesteśmy parą.

- A jeżeli... to ktoś z pensjonatu mnie uderzył i zabił tę... osobę i zobaczy, że żyję? - Beacie zadrżał głos.

- Wątpię. Może wziął cię za kogoś innego w tej peruce.

- Nie przyszło mi to do głowy, chociaż to raczej niemożliwe. Wtedy było jeszcze jasno w lesie, a ja byłam w tym miejscu dosyć długo, chodziłam po polanie i zbierałam kwiaty, takie żółte... Zostały tam razem z tym... nieboszczykiem. - Zacisnęła mocniej palce.

- Nie myśl już o tym. Odpoczywaj.

Daniel podszedł do okna i oparł czoło o szybę. Była zimna, gasiła złe myśli, podejrzenia, które wwierały się w czaszkę, przecież nic nie zapowiadało takich tragicznych wydarzeń, trudności, a czas powoli się kończył.

Tamci w Szwajcarii naciskali, grozili, obawiali się z ich strony skoku na własną rękę.

Ciekawe, czyje to są zwłoki? Czyżby to była sprawka kóregoś z paczki? Są w komplecie, więc to żaden z nich tam nie leży. To przypadkowa osoba? A jaki to ma związek z Beatą? Może widziała zabójstwo, zakopywanie zwłok i morderca chciał pozbyć się świadka? Niech to szlag! Do tego ten glina na karku! Plan zaczyna być zagrożony...

O nie, musi się udać!

Odwrócił się od okna i oparł o parapet.

Beata, blada na twarzy, leżała z zamkniętymi oczami i równo, spokojnie oddychała. Nie pozwoli jej skrzywdzić. Spodobała mu się już wtedy, kiedy była z Michałem, a teraz zakochał się w niej jak smarkacz: mocno, szybko, od pierwszego spojrzenia jej oczu. Będzie musiał ją obudzić, krwiak na głowie martwił go, nie wróżył nic dobrego. Oby prześwietlenie rozwiało jego obawy.

Reflektory oświetlały ponure widowisko. Grupa mężczyzn w ochronnych kombinezonach i maskach na twarzy wynosiła na noszach zwłoki z szopy. Były w daleko posuniętym rozkładzie, fetor roznosił się dookoła.

Nadolski z prokuratorem podeszli do noszy, jeden z mężczyzn odsunął folię z twarzy... kobiety!

Była zniekształcona, opuchnięta, rysy twarzy trudne do rozpoznania przez kogokolwiek, kto znał ją za życia. Tożsamość kobiety potwierdzić mogła jedynie najbliższa rodzina. Technik dochodzeniowy i fotograf zakończyli pracę, chowając sprzęt do bagażnika samochodu, lekarz sądowy ściągnął rękawiczki i poszedł do śledczych.

- Cios w głowę jakimś narzędziem, trzeba to ustalić w laboratorium, śmierć nastąpiła kilka dni temu. To

kobieta, tyle na razie, sekcja zwłok wyjaśni więcej - wydał oświadczenie.

Wyjął z paczki papierosa, zapalił i głęboko, z widoczną przyjemnością, zaciągnął się.

Nadolski zmarszczył czoło, przyłożył chusteczkę do nosa i długo wpatrywał się w twarz... Nie, nie będzie zgadywał, nie jest w stanie rozpoznać kobiety, którą na pewno gdzieś widział.

- Trzeba obmyć ciało, ale tym już zajmą się w Zakładzie Medycyny Sądowej. Nic tu po nas, jedziemy do „Czerwonych Maków”, może nawet nie wiedzą, że ktoś zaginął - zwrócił się do prokuratora. - Tam jest Karbowski, pogadamy z nim.

- Myślisz, że to zabójstwo może mieć związek z mieszkańcami pensjonatu? - prokurator powiódł wzrokiem za noszami wsuwanymi do czarnego samochodu.

- To teren prywatny, własność Wojanowskiej, daleko od przystanku busa... zobaczymy, ale jedno jest pewne, szykuje się następna robota. Trzeba spytać tego Heckmanna, czy nie zaginął nikt z wczasowiczów.

- Okażemy mu zwłoki? Może rozpozna?

- W tym stanie... no nie wiem...

- Spróbujemy, ma prawo odmówić.

Policyjny samochód z ledwością mieścił się w alejce, tuż za nim podążał drugi, z ze zwłokami wydobytej z głębokiego wykopu kobiety. Ponury pochód pojazdów zakończył się przed werandą pensjonatu i od razu wzbudził ciekawość. Z okien wychylali się hotelowi goście, nieliczni, siedzący przy stolikach na werandzie, przystanęli przy jej balustradzie.

Nadolski i prokurator energicznym krokiem pokonali stopnie werandy, weszli do holu pensjonatu i ruszyli w stronę biura hotelu. Recepcjonistka obrzuciła ich zdziwionym spojrzeniem, kiedy zapytali ją o mężczyznę.

- Tak, pan Heckmann jest właśnie w biurze - potwierdziła.

Nadolski zapukał do drzwi i szeroko je otworzył, przepuszczając przed sobą prokuratora. Na ich widok Heckmann wstał zza biurka z miną, jakby spodziewał się wizyty kogokolwiek, ale nie policji.

- Dobry wieczór, chociaż taki dobry, to on nie jest - zaczął mówić prokurator, podchodząc z Nadolskim bliżej mężczyzny. - Nie musimy już się przedstawiać, znamy się, ale dla porządku, jestem prokuratorem, a to nadkomisarz Nadolski. Jest już późno, więc bez dłuższych wstępów, chcemy pana powiadomić o znalezieniu zwłok na terenie należącym do pensjonatu. W związku z tym proszę o dokładne sprawdzenie, czy nie zaginął któryś z wczasowiczów, a raczej z wczasowiczek.

Heckmann przetarł dłonią czoło, jakby nagle się spocił i wbił w niego niemądre spojrzenie. Wyglądał jak ktoś złapany na gorącym uczynku, przy kradzieży jakiegoś mienia, nieumiejący wytłumaczyć swojego postępowania.

Wreszcie ochłonął.

- Co to za zwłoki? Czyje? - wyjąkał.

- To kobieta. Jest w stanie dosyć posuniętego rozkładu, to niezbyt przyjemny widok, ale proszę wydać polecenie sprawdzenia, czy nie brakuje od jakiegoś czasu kogoś z pana gości.

- Wiedziałbym o tym, nie sądzę, żebym nie był o tym poinformowany.

- Jednak proszę sprawdzić.

- Proszę usiąść, zaraz to załatwię. - Heckmann usiadł przy biurku i złapał za słuchawkę.

Wydał polecenie recepcjonistce, aby połączyła się z każdym pokojem i sprawdziła obecność wszystkich wczasowiczów.

- Gdzie te zwłoki zostały znalezione? I kto je znalazł? - zapytał, patrząc to na prokuratora, to na nadkomisarza.

- W starej szopie, w lesie, w głębokim wykopie. Wie pan, o jakiej szopie mówię?

- Oczywiście, ale to odludne miejsce, jak to się stało, że znalazła je policja?

- Tyle możemy panu powiedzieć - odezwał się Nadolski. - Mieliliśmy informatora, to czysty przypadek, że ciało zostało znalezione.

Zadzwoił telefon.

- Słucham? Wszyscy są? - Heckmann podniósł do ucha słuchawkę.

Po chwili ją odłożył i oświadczył:

-Na szczęście to nikt z moich gości - odetchnął z widoczną ulgą. - Nie wrócili jeszcze Beata Zabielska i Daniel Patkowski, ale rano byli, więc u mnie nic złego się nie dzieje.

Prokurator z Nadolskim wymienili spojrzenia.

- Panie Heckmann... - zawahał się prokurator - chcemy panu zaproponować okazanie ciała, może pan rozpozna. Jak już powiedziałem, to przykry widok, może pan odmówić.

- Chyba... chyba odmówię... Na pewno odmówię. Nie, nie jestem gotowy na oglądanie takich... takich... widoków - wstrząsnął się z odrazą.

- No cóż, ciało zostanie odwiezione do Gdańska, fotografię twarzy damy do lokalnych gazet, pewnie ktoś rozpozna kobietę. - Nadolski, mówiąc to zwrócił się do prokuratora. - Musimy jeszcze powiadomić Karbowskiego.

-Jasne. Szkoda czasu, jedziemy. Czy mógłby pan poprosić komisarza, żeby wyszedł do nas?

- Oczywiście - Heckmann znowu sięgnął po telefon. -Dobrej nocy. - Prokurator wstał i skierował się w stronę drzwi.

Zaledwie wyszli do holu, podeszła do nich recepcjonistka, przyciskając dłonie do białych policzków, jakby chciała je ogrzać.

- Słyszałam... ale tylko trochę... rozmowę panów... i widziałam ten samochód... - mówiła z wielkim przejęciem. - Ja... chcę zobaczyć tę... kobietę.

- Pani? Dlaczego? - zdumiał się Nadolski.
- Bo... muszę.
- To niezbyt przyjemny widok, ciało jest trudne do poznania.
- Proszę o pokazanie go - powiedziała zdecydowanie recepcjonistka.
- Uprzedzam, że... - prokurator zawiesił głos.
- Wiem. Muszę to zrobić.

W drzwiach wyjściowych z pensjonatu dogonił ich komisarz Karbowski.

- Heckmann mnie powiadomił o tym, co znaleźliście. Coś mi się wydaje, że chyba nieprędko stąd wyjadę.

- Pokiwał głową.

- Pani zdecydowała się na identyfikację ciała, może coś się wyjaśni - westchnął Nadolski.

W ciemnościach nocy samochód z ciałem wydawał się jeszcze bardziej przerażający, zimne dreszcze przeszywały ciało kobiety, serce tłukło się, jakby za chwilę miało rozerwać się na kawałki, gdyby nie obecność ekipy śledczej, być może w ostatniej chwili zabrakłoby jej odwagi.

- Jest pani gotowa obejrzeć zwłoki? Nie musi pani...

- Prokurator stanął przy otwartych drzwiach samochodu, zasłaniając sobą jego czeluść.

- Jestem gotowa.

Nastąpił zgrzyt wysuwanych noszy i po chwili ukazał się w foliowym worku kształt czyjegoś ciała. Pracownik Zakładu Medycyny Sądowej rozsunął suwak na wysokości twarzy, po czym skinął na recepcjonistkę, aby podeszła bliżej.

Kobieta, w niemym przerażeniu, długo wpatrywała się w twarz martwej kobiety, zakrywając chusteczką nos, drżały jej plecy, po czym załamany głosem oświadczyła:

- To jest Jadwiga Wojanowska!

- Jest pani pewna? Po czym pani poznała? Ciało dość długo leżało w ziemi - dopytywał prokurator.

- To szefowa, jestem pewna. Ona miała na szyi taki medalik, nigdy z nim się nie rozstawała, ale nie poznałam po medaliku... tylko ... po prostu... poznałam - recepcjonistka mówiła nieskładnie, wstrząśnięta wycierała łzy.

- Dziękujemy pani, jeśli potrzebuje pani pomocy, to pan doktor - Nadolski spojrział na milczącego lekarza, palącego kolejnego papierosa - ma w apteczce środki na uspokojenie.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie. Mogę już pójść?

- Oczywiście. Czy ktoś ma panią odprowadzić?

- Nie, nie. - Kobieta płakała. - Teraz niech on tu przyjdzie! - zawołała z gniewem, wchodząc na schody werandy.

- O kim pani mówi?

- O Heckmannie!

- Proszę nikomu nie mówić, kogo pani rozpoznała.

- Nie powiem.

Kiedy zniknęła za drzwiami budynku, Karbowski zwrócił się do Nadolskiego:

- Pójdę po niego.

- Idź, ciekawe, czy rozpozna zwłoki tak szybko, jak recepcjonistka.

- Mam nadzieję, że nie wygada się przed nim, jest bardzo wzburzona.

Raczej nie przepada za nim.

- Zobaczymy. Trzeba ciało zawieźć do Gdańska, a już prawie noc.

Długo nie trwało, kiedy rozległy się ciężkie kroki i w drzwiach ukazał się Heckmann, tuż za nim komisarz. Heckmann od razu zaprotestował:

- Panowie, zmuszacie mnie do identyfikacji, mówiłem przecież, że nie znoszę widoków jakichś nieboszczyków! Złożę skargę do komendanta!

- Panie Heckmann, dla nas to też nie jest widok na palmy nad oceanem, a co do skargi, ma pan do tego prawo. - Nadolski nie miał chęci do dalszej polemiki z mężczyzną.

-Proszę. - Jeden z pracowników rozsunał czarny worek.

Heckmann z niechęcią podszedł do noszy i spojrział na ciało. Nagle, ze grozą w oczach, zakrył twarz rękami, po chwili je opuścił, patrząc osłupiałym wzrokiem na odkrytą twarz kobiety. Wydawał przy tym z siebie jakieś zduszone, niezrozumiałe słowa, dźwięki, trzęsły mu się plecy i ręce, którymi znowu zakrył twarz, jakby nie mógł znieść tego widoku. Jego rozpacz wydawała się autentyczna, nawet wtedy, kiedy zamek worka ze zgrzytem zasunął pracownik, on stał nadal nad zwłokami.

- To Jadwiga - powiedział trzęsącym się głosem.

- Jest pan pewny? - Prokurator nadal głosowi oficjalny ton.

- Tak... Chciałbym usiąść, źle się czuję. - Heckmann, chwiejnym krokiem, podszedł do werandy i usiadł na jej stopniach.

Ręce oparł na kolanach i opuścił głowę.

- Jest z nami lekarz...

- Nie, nic nie potrzebuję - padło ze ściśniętego gardła. - Jeżeli nie jestem już potrzebny, pójdę do biura.

- Musi pan podpisać protokół z rozpoznania zwłok, jeżeli jest pan oczywiście pewny tożsamości kobiety.

- Dobrze. Dobrze... - Heckmann pokiwał głową i wstał. Nie oglądając się za śledczymi, nagle przygarbiony,

krok za krokiem, przytrzymując się poręczy schodów, wszedł do pensjonatu. Za nim komisarz Karbowski.

Samochód z Zakładu Medycyny Sądowej odjechał, z okien pensjonatu poznikały głowy wczasowiczów. Było tak jak do tej pory: ciepła, sierpniowa noc, przed budynkiem jakiś samochód i tylko bystre oczy mogły wypatrzeć policyjne oznakowanie.

Nadolski rzucił do prokuratora:

- Wygląda na to, że to jednak Wojanowska. Dwie osoby od razu ją rozpoznały, nawet w takim stanie.

-Uhm, ledwo spojrzały. A ten Heckmann o mało zawału serca nie dostał.

- Tak... kto by się tego po nim spodziewał, nie wygląda na takiego uczuciowego.

- Jak to pozory mylą. Chodźmy, trzeba spisać protokół i do domu.

Marciniak zatrzymał się w połowie schodów i zwrócił się do nadkomisarza:

-Ciekawe, co robił tam Patkowski? Szkoda, że go jeszcze nie ma, może byśmy się dowiedzieli jakichś istotnych szczegółów.

- Karbowski tym się zajmie. No i w sprawie kelnerki trzeba przesłuchać tę Zabielską.

-Pewnie są gdzieś razem, romanse na wczasach szybko rozkwitają.

- Na to wygląda - zgodził się z nim Nadolski. Karbowski czekał na nich przed biurem, po czym weszli razem do środka.

Heckmann złożył podpis pod zeznaniem jak robot, mechanicznie, ze stęszalymi mięśniami twarzy, jakby treść protokołu nie była w zasięgu jego zainteresowania. Wyglądał źle, poszarzały na twarzy, jak ciężko chory człowiek. Odsunął od siebie dokument, ukrył twarz w dłoniach, między palcami pojawiły się strużki łez.

- Panie Heckmann, czy podejrzewa pan kogoś o dokonanie zabójstwa pani Jadwigi Wojanowskiej? - zapytał prokurator.

Odpowiedzią było zaprzeczenie ruchem głowy.

-To na razie wszystko, ale na pewno będzie pan musiał jeszcze odpowiedzieć na jakieś dodatkowe pytania, które mogą być pomocne w śledztwie.

Mężczyzna kiwnął głową, wycierając ręką moką twarz.

- W każdej chwili, nigdzie nie wyjeżdżam.

- Dobranoc panu.

Na dziedzińcu, wsiadając do policyjnego samochodu, Nadolski skinął na komisarza.

- Słuchaj, w tym dole znaleźliśmy perukę, być może Wojanowskiej. Może to całkowity przypadek, że się tam znalazła, ale spytaj Heckmanna, czy jego druga połowa miała perukę i jakiego koloru?

- A ta jaki miała kolor?

- Pewnie blond, ale jest tak brudna, że kolor trudno rozpoznać.

- W porządku, odczekam, aż się uspokoi i porozmawiam z nim. Jedźcie już, do zobaczenia.

- Cześć.

W pensjonacie zalegała cisza, jedynie po holu przechadzała się nerwowo recepcjonistka, która na widok wchodzącego do środka Karbowskiego, natychmiast podbiegła do niego.

-Nie mogę się uspokoić, to takie straszne, szefowa nawet nigdy na nikogo nie podniosła głosu, za wyjątkiem niego - pokazała oskarżycielsko palcem na drzwi biura. - Często rozmawiałyśmy na różne tematy, jak to kobiety, a ostatnio była bardzo czymś rozdrażniona, myślę, że nie tylko śmiercią kelnerki.

- Domyśla się pani, co ją denerwowało? - Karbowski przystanął obok kobiety.

-On!

- W małżeństwach to się zdarza, tak samo w związkach partnerskich. Recepcjonistka zniżyła głos.

-Nie chciałabym, żeby ktoś nas podsłuchiwał, ale byłyśmy z szefową trochę zaprzyjaźnione i ona czasem zwierzała mi się z różnych spraw, jak to kobieta kobiecie. A ostatnio, to nawet chciała go już wyrzucić. Słyszała to wtedy wczasowiczka, taka młoda dziewczyna.

-Dobrze, chętnie z panią porozmawiam, za chwilę poproszę panią do Sali Kominkowej.

Karbowski zabrał z pokoju dyktafon, odręczne zapiski i wyszedł z apartamentu.

- Proszę - zwrócił się recepcjonistki. - Szkoda tracić czas, a jest już noc.

Karbowski widział, jak siedząca przed nim kobieta nerwowo splata palce dłoni, poprawia się na foteliku, na twarzy maluje się gotowość do powiedzenia wszystkiego, o co on zapyta.

-Na początek proszę o pani dane, imię, nazwisko, adres zamieszkania, wiek.

-Zanim się przedstawię, muszę panu powiedzieć, że dzwoniłam do Basi, córki szefowej i bardzo delikatnie dałam jej do zrozumienia, że powinna skontaktować się z komendą policji w Gdańsku.

- Ale chyba nie powiedziała jej pani o rozpoznaniu ciała, które może okazać się fałszywe! Od powiadamiania są specjalne służby policyjne!

- Oczywiście, że nie. Panie komisarzu, no proszę... -recepcjonistka była niezadowolona z jego podejrzeń.

- Wróćmy do mojego pytania.

- Halina Budrys, 39 lat, zamężna, mam dzieci, stały adres zamieszkania to Stomew, ulica Staszica 8/5.

- Dziękuję. Jak długo pani tu pracuje?

- Przyszłam tu do pracy jeszcze za życia męża pani Jadwigi, więc trochę dłużej niż dwa lata.

- Mówiła pani, że był zaprzyjaźniona z właścicielką pensjonatu.

- Raczej lubiłyśmy się, chociaż było w tym coś, co można nazwać przyjaźnią. Czasem żal było patrzeć na nią, kiedy po kłótni przychodziła do mnie do recepcji, siadała na krzeselku i narzekała na tego swojego niedoszłego męża.

- O co się kłócili?

- O różne sprawy, o jego kumpli, bo tak ich nazywała, że myszkują po pensjonacie i szukają nie wiadomo czego,

- a ostatnio, i to bardzo głośno, o klucz od witryny, o... tej
- Halina odwróciła się i pomachała ręką w stronę mebla.
 - Zaginął i szefowa, już po śmierci tej Gawronik, musiała nowej kelnerce dać swój. Bo zawsze były tylko dwa klucze.
 - Komu mogło zależeć na kluczu?
 - Nie wiem, za szybą stoi droga porcelana, a kiedy ukazała się książka o miasteczku, zaczęły przyjeżdżać tu różne dziwne typy. Szefowa nie była głupia, od razu zorientowała się, dlaczego jej pensjonat stał się tak popularny, chociaż gości nigdy tu nie brakowało.
 - Wracając do kłótni, kiedy to było? Pamięta pani, który to był dzień?
 - Dokładnie pamiętam. To było trzeciego sierpnia, po tej głośnej awanturze, mówiłam już panu, że świadkiem tej kłótni była ta... Zabielską... tak Zabielską.
 - Ta młoda dziewczyna?
 - Tak, ale jeszcze nie wróciła do pensjonatu. Powinna chociaż zadzwonić do mnie, do recepcji i uprzedzić, że nie wróci na noc, żebyśmy nie musieli zgłosić zaginięcia.
 - Jeszcze nie minęła nawet doba, pewnie zjawi się niedługo. Proszę opowiedzieć o dniu, w którym Jadwiga Wojanowska wyjechała do córki lub miała taki zamiar. Co niepokojącego zauważyła pani w jej zachowaniu? Czy wyglądała jak osoba przestraszona, jakby bała się czegoś lub kogoś?
 - Była zła! Przyszła do mnie przed wyjazdem i mówiła, że ma ochotę rzucić to wszystko, sprzedać pensjonat i kupić mieszkanie w Gdańsku, żeby być bliżej córki.
 - Domyśla się pani, co ją do tego skłaniało?
 - On! Ten, co myśli, że obłowi się na jej własności!
 - To znaczy?
 - To proste. Heckmann! Jest od niej młodszy i myśli, że ona da sobą... że dałaby sobie w kaszę nadmuchać.
 - Nie może pani sugerować czegoś, na co nie ma pani dowodów.

-Mam za to intuicję. Jak już mówiłam, szefowa, zanim wyjechała, przyszła do mnie do recepcji zdenerwowana i mówiła takie dziwne rzeczy... miała wypieki na twarzy. Zrobiłam jej herbatę, ale nawet jej nie wypić, tylko zaczęła narzekać.

Recepcjonistka zrobiła przerwę, jakby zabrakło jej tchu.

- Powiedziała o którymś z pracowników, że obawia się go, ale jeszcze dzisiaj skończy z tym wariactwem! -wyrzuciła z siebie i zaciśnęła usta.

- Chodziło o kobietę czy mężczyznę?

-Nie mówiła i zawsze urywała rozmowę, kiedy sądziła, że powie za dużo. To nie był pierwszy raz, kiedy widziałam ją w takim stanie. Pamiętam, że po tym strasznym wypadku z kelnerką, około... - recepcjonistka zastanowiła się - chyba około drugiej w nocy, szefowa wyszła ze swojego apartamentu i kiedy przechodziła obok recepcji, trzymała się rękami za głowę i mówiła, że musi przez chwilę pobyć sama.

- Gdzie się udała?

- Do Sali Kominkowej, tam o tej porze nikogo nie ma. Bardzo się wtedy zdziwiłam i przestraszyłam, kiedy po chwili wybiegła i podeszła do mnie zła, wręcz wściekła!

- Dlaczego?

- Mówiła trochę chaotycznie, coś w tym rodzaju, że ona mu pokaże, da ostateczne ostrzeżenie, bo to chyba on ukradł filiżankę.

- Proszę uściślić. To było wtedy, kiedy zmarła Bożena Gawronik, w nocy z drugiego na trzeciego dnia sierpnia?

- Tak. Dokładnie. Tej nocy zniknęła z witryny ta unikatowa filiżanka i szefowa tak się przejęła, że myślałam, że dostanie z nerwów zawału serca, chociaż na serce nie chorowała.

- Kogo oskarżała o kradzież?

- Chyba jakiegoś mężczyznę, bo mówiła, że mu pokaże, kto tu tak naprawdę rządzi, więc on, to nie kobieta.

- Dlaczego tak ją zdenerwowało to zniknięcie porcelany?
- Myślę, że pan wie, co tu się dzieje. Przyjeżdżają tu różni maniacy i szukają jakiegoś bogactwa przez ten kawałek testamentu.
- Tak, wiem o tym. Długo pani Wojanowska była u pani?
- Nie, była taka rozdrażniona... Szybko wróciła do siebie, do apartamentu, a ja poszłam do Sali Kominkowej sprawdzić, czyjej się nie przywidziało.
- I co pani stwierdziła? - komisarz zaciekawiał się.
- To samo, co ona. Klucz do tej witryny ma tylko ona i miała... Gawronik! A potem trzeba było dorabiać klucz, bo ani przy tej kelnerce go nie znaleźli, ani w jej pokoju. Szefowa widocznie nie chciała dać swojego. Filiżanka musiała zginąć wieczorem, bo szefowa zawsze dokładnie obchodzi... obchodziła swoje królestwo. Tak nieraz mówiła o pensjonacie. W dzień to było niemożliwe, zawsze tam ktoś jest i albo czyta, albo siedzi przy kawie.
- Rozumiem, że pani czasem opuszcza recepcję, co jest zrozumiałe, ale może tej nocy czy wieczoru wydarzyło się coś, co nie zdarza się często, albo coś zupełnie nietypowego?
- Krótco po tym wypadku zgasło światło i było bardzo nieprzyjemnie, ale po kilku minutach znowu zapaliło się. Ale tutaj nikogo to nie dziwi, szefowa nawet zapowiadała wymianę wszystkich kabli elektrycznych w budynku. Takie spięcia tutaj zdarzają się.
- Kto naprawia awarię elektryczności? Ktoś z miasteczka, może Zakład Energetyczny? - zainteresował się Karbowski.
- A po co? Mamy przecież pracownika do wszystkiego... Tę „złotą rączkę” - wzruszyła ramionami kobieta.
- No, dobrze. Co się działo rano? Widziała się pani z Wojanowską?

- Później tak, ale nad ranem, około szóstej, z ciekawości zajrzałam do Sali Kominkowej i jak pan myśli, co zobaczyłam?

- Skradzioną filiżankę... - domyślił się Karbowski.

- Tak! Stała w tym miejscu co zawsze! Powiadomiłam o tym szefową, była zadowolona.

- Drzwi do sali widzi pani ze swojego stanowiska?

- Siedzę bokiem do wejścia, ale nic nie ujdzie mojej uwadze. Całą noc nikt nie wchodził do sali. Nie wychodziłam nawet przez chwilę.

Karbowski pomyślał, że amatorowi porcelany drzwi nie były potrzebne, a raczej uchylone okno. Tylko kto jest tym amatorem? Ktoś z szajki, oprócz Heckmanna, bo on nieraz oglądał porcelanę ze wszystkich stron. Ktoś, kto chciał być absolutnie pewny kierunku poszukiwań pozostawionego majątku dawnych rezydentów.

- Jak pani myśli, komu mogła grozić Wojanowska?

- Nie mam pojęcia, ale szefowa jest... była poważną osobą i jeżeli nie była czegoś pewna, to nigdy na nikogo nie rzucała podejrzeń.

- Widzę, że dobrze ją pani zna.

- Chyba tak... Ona nie była szczęśliwa z tym... Heckmannem.

- Kiedy konkretnie wyjechała, a raczej wyszła z pensjonatu? W południe, wieczorem?

- Chyba... o zmroku, chociaż tu w lesie, po południu, jest większy zmrok niż na terenie otwartym... Tak... było już prawie ciemno, chyba około dwudziestej pierwszej.

- Miała ze sobą jakiś bagaż?

- Torebkę i małą reklamówkę.

- Brała ze sobą telefon?

-Nigdy, zresztą nie miała komórki. Mówiła, że nie lubi, jak coś jej dzwoni w torebce.

- Miała zamiar jechać samochodem czy ktoś miał ją zawieść?

-Ona nie umiała prowadzić samochodu, nie miała prawa jazdy. Szła na przystanek busa, który jest blisko pensjonatu, wystarczy wejść na czarną drogę w lesie i kilka metrów dalej jest przystanek.

- Sama? - zdziwił się komisarz.

- Nikt jej nie odprowadzał. Po takiej kłótni? Życzyłam jej szczęśliwej drogi i... poszła - recepcjonistce zadrżał głos.

- Bardzo pani dziękuję za tak cenne informacje. Gdyby pani przypomniała sobie jeszcze jakieś fragmenty rozmów, gdzieś zasłyszane, to proszę się ze mną skontaktować.

- Na pewno pana powiadomię.

- Aha, czy wie pani kto w pensjonacie nosi perukę?

- Perukę?- zastanowiła się Budrysowa. - Nie, nie mam pojęcia, ale na pewno szefowa nie nosiła peruki.

- Jeżeli wróci do pensjonatu pani Zabielską i pan Patkowski, to proszę mnie powiadomić, obojętnie o której godzinie.

- Na pewno pana powiadomię.

- Dziękuję pani.

Karbowski wyszedł z Sali Kominkowej zaraz po Halinie Budrys. Był zmęczony, znużony, czuł, że jeżeli za chwilę się nie położy i porządnie nie wypocznie, to jego stan umysłu ustawi w jednym szeregu wszystkich przebywających w pensjonacie jako przestępców. Był środek nocy i marzył o ciepłym łóżku i ciszy przez duże C.

W swoim pokoju rzucił się w ubraniu na łóżku i zamknął oczy. Za chwilę się podniesie, rozbierze, pójdzie do łazienki i jak normalny, pracowity człowiek, prześni noc do rana, a potem całodzienna orka. Nawet nie chciał policzyć w myślach, ilu wczasowiczów czeka jeszcze na złożenie zeznań w sprawie śmierci kelnerki, a teraz... dlaczego nie wybrał innego zawodu?

Szczęście nie trwało długo. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, kiedy wręcz powalił się na łóżko, a usłyszał

dzwonek telefonu, zainstalowanego na jego życzenie, żeby mógł łączyć się z pokojami wczasowiczów.

- Słucham? - spytał rozespanym głosem.

- Zabielska i Patkowski wrócili, ale ona chyba za dużo wypila, bo dziwnie wyglądała, a Patkowski musiał ją podtrzymywać - poinformowała recepcjonistka.

- Dziękuję pani, proszę połączyć mnie z tymi pokojami.

- Z którym najpierw?

- Z tym mężczyzną, bo jeżeli pani Zabielska źle się czuje...

- Rozumiem, już łączę.

Po chwili usłyszał głos mężczyzny.

-Mówi komisarz Karbowski, proszę zejść do Sali Kominkowej, chciałbym od pana dowiedzieć się, jakie były okoliczności odkrycia przez pana zwłok w starej szopie. Proszę być gotowym za parę minut.

- Już tam idę.

Komisarz, w drodze do pomieszczenia, czuł na plecach wzrok recepcjonistki. Pomyślał, że ona też ma nieciekawą robotę, powinna spać teraz u boku męża, a nie siedzieć za biurkiem przez całą noc.

Patkowski zjawił się w sali, zanim komisarz zdążył usiąść przy tym samym stoliku, przy którym składały zeznania osoby znajdujące się na celowniku policji i prokuratury.

- Proszę - wskazał mu miejsce naprzeciw siebie. Przez chwilę przyglądali się sobie, jakby mieli ubić

jakiś interes. Patkowski był młodym mężczyzną, dość wysokim, miał wysportowaną sylwetkę, zadbane paznokcie i krótko przystrzyżone włosy, wyglądał na osobę inteligentną, zdecydowaną w realizacji zamierzonych kroków. Karbowski włączył dyktafon i zaczął mówić:

-Proszę się przedstawić, podać wiek, zawód, adres zamieszkania.

- Daniel Patkowski, 28 lat, niedokończone studia na kierunku bankowości, mieszkam w Bydgoszczy.

- Dziękuję. Na turnus do pensjonatu przyjechał pan w jego połowie i zamierza pan zostać na drugi? - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak się złożyło - powiedział Daniel, wzruszając ramionami.

- Na początek chciałbym, żeby pan powiedział, dlaczego o znalezieniu zwłok powiadomił pan policję w Gdańsku, a nie w Stomewie?

- To proste. W takich małych miejscowościach mógłby mieć dyżur na posterunku tylko jeden policjant, więc postanowiłem od razu zgłosić to wyżej.

- W jakich okolicznościach trafił pan na starą szopę, potem na dół, a w nim ciało?

Daniel oparł łokcie o blat stolika i opuścił głowę. Po chwili spojrzał prosto w oczy Karbowskiemu, długo milczał, jakby zastanawiał się nad wersją odpowiedzi.

- No cóż, jestem tu na wczasach - stwierdził obojętnie. - Zwiedzam okolice, chodzę na plażę, podziwiam wody naszego morza. Wczoraj umówiłem się z ładną dziewczyną, też wczasowiczką, a ponieważ nie chcieliśmy plotek o naszym romansie, a tak nie jest - zaznaczył - więc umówiliśmy się w pewnym miejscu, ale niestety nie przyszła - rozłożył ręce.

- Ale zaczął pan jej szukać.

- Tak, po telefonie pani z recepcji.

- Gdzie pan jej szukał?

- Wszędzie, gdzie domyślałem się, że może być, aż zawędrowałem w pobliże tej zrujnowanej szopy i... teraz pan się zdziwi się, bo nawet mnie to zszokowało!

- Proszę dalej.

- Na drzwiach szopy wisiała kłódka i już chciałem odejść, kiedy usłyszałem przerażający kobiecy krzyk!

- Rozumiem, że dochodził gdzieś z lasu.

- Ze środka tej starej szopy! Z początku myślałem, że wiatr niesie ten krzyk, tak jak pan zasugerował, z lasu, ale po chwili już nie miałem wątpliwości, że dochodzi z szopy. Kopniakami rozwalilem drzwi i wszedłem do środka. Przez cały czas słyszałem krzyk i wołanie o pomoc. Było ciemno, nic nie widziałem, włączyłem komórkę i ścięło mnie z nóg!

Daniel zrobił efektowną przerwę.

- Pośrodku szopy był głęboki wykop, kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem czarne ręce, wyciągnięte w moim kierunku i głos... Beaty Zabielskiej - wciągnął głęboko powietrze, długo milczał, jakby przeżywał jeszcze raz widok dziewczyny, po czym kontynuował. - Poczulem dreszcze jakbym zobaczył nieboszczyka wychodzącego z grobu. Wyciągnąłem ją stamtąd, była w opłakanym stanie, nieprzytomna ze strachu, nawet w pierwszej chwili chyba nie czuła bólu głowy, po uderzeniu jakimś ciężkim przedmiotem, bo kiedy doszła do siebie, dość chaotycznie zaczęła o tym mówić.

- Mówi pan o tej Beacie Zabielskiej, wczasowiczce? -przerwał mu Karbowski, niedowierzając temu, co usłyszał.

-Niestety o tej. Opowiedziała mi dziwną historię, że chodziła po okolicy i zajrzała tam z ciekawości. Drzwi były otwarte, więc weszła i wówczas ktoś uderzył ją w tył głowy, wpadła do dołu i, zanim straciła przytomność, poczuła, że ten ktoś zasypuje ją ziemią. Po jakimś czasie zorientowała się, że na kimś leży.

- Powinien zbadać ją lekarz.

- Zbadał, w szpitalu w miasteczku, zrobili jej prześwietlenie głowy, zawiozłem ją tam, nawet chcieli ją zatrzymać, ale się nie zgodziła. Namówię ją, żeby jak najszybciej wyjechała do domu, bo nie wygląda dobrze, teraz leży u siebie. Jeżeli nie zechce, zawiozę ją tam siłą. Gdyby nie peruka, jaką miała na głowie, pewnie w dole by były dwa ciała.

-Więc pochodzenie peruki wyjaśniło się... mimo to Zabielska ma twardą głowę - Karbowski z ulgą uznał wszystkie nowe informacje za krok do przodu w drugim śledztwie.

- Jest bardzo słaba, w szpitalu dostała zastrzyki przeciwbólowe i wzmacniające. Kiedy wychodziłem do pana, prosiła żeby zamknąć na klucz jej pokój, bo boi się, że ktoś może jeszcze raz ją zaatakować.

-Ale dlaczego? Po co? Mówiła panu, z jakiego powodu?

- Nie, ale myślę, że ten, który ją zaatakował, myślał, że widziała jak zakopuje pierwsze ciało i przestraszył się świadka. To wszystko, co mogę powiedzieć, a co do pani Zabielskiej, to jest zbyt słaba, żeby mogła do pana zejść.

- Przesłucham ją później w jej pokoju, teraz niech odpoczywa.

- Nie powiedział mi pan, kto leżał w tym wykopie...

- Prawdopodobnie Jadwiga Wojanowska. Rozpoznała ją recepcjonistka i jej partner, Heckmann.

Daniel gwałtownie opadł na oparcie fotelika. Znieruchomiał i patrzył na komisarza wzrokiem, jakby tamten prawił jakieś nedorzeczności, fantazjował, wyglądał jak ktoś, komu w mgnieniu oka z niewiadomych przyczyn spłonął dom.

- Kiedy to mogło się stać?- zapytał, zszokowany wiadomością.

- Kilka dni temu, dopiero szczegółowe badania ułatwią śledztwo. Na wnioski jest o wiele za wcześnie.

- Kiedy tutaj przyjechałem jej już nie było... - rzucił Daniel, nie patrząc na komisarza.

- No właśnie, kiedy pan tutaj przyjechał, to na pewno dowiedział się pan o śmierci tutejszej kelnerki. Czy w czasie swojego pobytu rozmawiał z panem ktoś na ten temat?

- Nikt, ale dość szybko dotarła do mnie ta tragiczna wiadomość, jak to na wczasach, pocztą pantoflową.

- No tak... jak to na wczasach - powtórzył zmęczonym głosem Karbowski.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania? - zapytał Daniel.

- Nie, dziękuję, spokojnej nocy.

- Panu również życzę.

Razem wyszli z Sali Kominkowej, Karbowski ruszył holem do apartamentu właścicieli, Daniel na piętro pensjonatu.

Komisarz, mijając recepcję, życzył dobrej nocy kobiecie, która tylko pokiwała głową i odpowiedziała, że akurat taka nie zapowiada się, wskazując wzrokiem biuro pensjonatu.

Było tak, jak przewidywała.

Zaledwie wszedł do przydzielonego mu pokoju, usłyszał głośnie pukanie do drzwi, kiedy je otworzył zobaczył Heckmanna, opartego jedną ręką o ścianę przy drzwiach. Mężczyzna miał dzikie spojrzenie, cuchnął alkoholem i patrzył na niego niezbyt przyjaźnie.

- Muszę z panem porozmawiać - wymówił całkiem wyraźnie i wysunął zza pleców drugą rękę z butelką alkoholu.

- Nie ma mowy panie Tadeuszu. Jest pan pijany, proszę się przespać, wytrzeźwieć, a teraz dobranoc - zdecydowanie odmówił Karbowski.

Zamierzał zamknąć drzwi, ale tamten powtórzył uparcie:

- Muszę. Po prostu muszę. Nie jestem pijany, dopiero upiję się, bo dłużej tego nie wytrzymam.

-Niech pan wejdzie, chociaż nie powinienem tego robić.

Heckmann wszedł do środka, usiadł przy stoliku, stawiając na nim butelkę. Po chwili wstał, lekko się zachwiał, sięgnął za szkło komody i wyjął dwa kieliszki.

Karbowski patrzył na to z niesmakiem, żałował, że uległ jego namowie o rozmowę.

-Niech pan siada, nie będziemy pić na stojąco -Heckmann niepewną ręką rozlał płyn do kieliszków.

- Panie Tadeuszu, ja jestem na służbie, nie piję, ale pan może się napić - komisarz z rezygnacją usiadł przy stoliku. - Proszę, z czym pan do mnie przyszedł w środku nocy?

- Z tym!

Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki czyjąś fotografię. Położył ją na stoliku i wpatrywał się w nią tępym wzrokiem. Nagle podparł się łokciami o blat, zakrył twarz rękami, jego plecami wstrząsały dreszcze, słysząc było jakby bezgłośnie łkanie.

Karbowski poczuł się nieswojo, nie wiedział, jak ma zareagować. Gdyby to była kobieta, mógłby jakimś słowem ją pocieszyć, ale teraz czekał, aż tamten trochę ochłonie.

Długo trwało, zanim Tadeusz odsunął dłonie od twarzy i spojrzał na niego zwięzonymi z rozpaczy oczami.

-Klęczałem przed nią! Przepraszałem... trupa! -położył dłoń na zdjęciu.

Wyglądał jak oszalały, twarz mu się trzęsła, widać było, że usiłuje nad sobą zapanować, ale załamał się, w kącikach oczu załśniły łzy.

Karbowski pomyślał, że to musi być autentyczne i nie-udawane, inaczej musiałyby być świetnym aktorem, bo po pijaku raczej zatracą się zdolność udawania, gry z premedytacją, a ujawniają się prawdziwe cechy charakteru. Postanowił czekać na jego wynurzenia, mogą okazać się pomocne w tych coraz bardziej niesamowitych wydarzeniach.

Heckmann, patrząc na zdjęcie Wojanowskiej, zaczął powoli mówić:

- Przyjechałem tu ze Śląska... nie musiałem... prowadziłem biznes, miałem kantor wymiany walut... kilka nieudanych interesów i koniec zabawy. Zostałem bez grosza, z długami... niedużymi... rodzina mojej żony... już byłej...

je spłaciła... a ona znalazła sobie drugiego, bez długów. Rozwiedliśmy się, a ja miałem dość tego środowiska... przez przypadek przyjechałem tutaj na turnus... chyba dwa lata temu... Jadwiga była wdową, od razu mi się spodobała, była taka kobieca... ciepła... - Mężczyzna sięgnął po kieliszek i jednym haustem wypił jego zawartość.

Karbowski czekał na dalszy ciąg niespodziewanie spójnych zwierzeń.
-Nie od razu zaprzyjaźniliśmy się, minął turnus i... zostałem do dzisiaj, ale już bez niej. Wiem, że personel mnie nie akceptuje, a córka Jadwigi zawsze okazywała mi wrogość... tak samo recepcjonistka... ale nikomu nic złego nie zrobiłem. Nie jestem zdolny do zrobienia komuś krzywdy.

Heckmann sięgnął po butelkę, ale komisarz powstrzymał go:

-Może dosyć na dzisiaj? Proszę się przespać, jutro, a właściwie już dzisiaj - westchnął - dokończymy rozmowę.

- Nie, mam dużo do powiedzenia. Ja... nie mogę dłużej z tym żyć!

- Doskonale pana rozumiem, ale nikt już nie cofnie tego, co się stało.

Karbowski patrzył z coraz bardziej ogarniającym go współczuciem na mężczyznę, jeszcze bardziej posiwiatego, z ogromem rozpacz w oczach, mimice twarzy, przygarbionego na fotelu.

Nagle Heckmann z nienawiścią w głosie wyrzucił z siebie:

- Zemszczę się za Jadwigę! Dlaczego ją zabili?! Za co?! Była taką wspaniałą kobietą! Kochałem ją i kocham nadal! Oddałbym własne życie za jej życie, bo była bardziej wartościową osobą ode mnie! Pomszczę ją! - Huknął pięścią w blat stolika, aż podskoczyła butelka.

Po tak gwałtownym wybuchu mężczyzna jakby odzyskał siły, z twarzy zniknęła rozpacz, wrogość, pojawił

się wyraz triumfalizmu, wiary w zapowiedź dokonania zemsty.

- Dlaczego pan powiedział, że zabili? - zaciekawiał się Karbowski.

- Tak powiedziałem? Nie wiem dlaczego, ale to już nieważne. Znajdę drania!

- My znajdziemy. Proszę nie działać na własną rękę, to nic nie da, a może zakłócić nasze śledztwo. A teraz panie Heckmann i pan i ja musimy odpocząć. - Karbowski wstał, dając tym samym znak mężczyźnie, o zakończeniu nocnej rozmowy.

Heckmann pokręcił przecząco głową.

- Niech pan siada! - rzucił nieoczekiwanie.

- Koniec rozmowy!

- Nie! Proszę usiąść, jeszcze chwilę.

- Panie Tadeuszu!

- Proszę.

Karbowski usiadł z rezygnacją, mężczyzna pochylił się ku niemu i zaczął mówić:

- Wyjdę stąd, jeśli wysłucha mnie pan do końca.

- Proszę mówić.

- Chociaż Jadwiga nie była pierwszej młodości, bardzo ją kochałem...

Rano, w porze śniadania, do restauracji wszedł komisarz Karbowski z Tadeuszem Heckmannem.

- Proszę państwa, proszę o chwilę uwagi - poprosił Heckmann. - Niestety pana komisarza wzywają do komendy przełożeni i na parę dni nas opuszcza. Kiedy wróci, wznowi przesłuchania tych państwa, którzy nie składali jeszcze zeznań.

- W tej sprawie również? - zapytał Lewicki, siedzący przy stoliku z Gartenami.

- W jakiej? Proszę uściślić. - Karbowski wyszukał go wzrokiem i czekał na odpowiedź.

- W sprawie znalezionych zwłok. Przecież wszyscy to widzieliśmy.

- To wyjaśni śledztwo.

- Ta osoba została rozpoznana?

- Nie! - rzucił ostro komisarz. - Zobaczymy się za kilka dni, a teraz życzę smacznego i do zobaczenia.

W holu, przed apartamentem, komisarz pożegnał się z Heckmannem, zabrał z pokoju wszystkie swoje rzeczy, pożegnał się z Haliną Budrys i poszedł na parking przed pensjonatem.

Siedząc w samochodzie, spojrzął w okna budynku. Nikogo nie zauważył. Zapalił silnik i odjechał sprzed pensjonatu.

Wychodzący z restauracji wczasowicze powoli rozchodzili się małymi grupami, jedni udawali się do pokoi, inni na parking do swoich samochodów. W pensjonacie Janusz Lewicki, po wyjściu z Sali Kominkowej, ruszył w stronę biura.

Tadeusz Heckmann siedział przy biurku i podpisywał jakieś dokumenty. Widząc wchodzącego Lewickiego, podniósł głowę znad papierów i, nie odzywając się, ruchem ręki pokazał, aby zajął miejsce na fotelu przed biurkiem.

Po chwili odsunął dokumenty i powiedział od niechcenia:

- Cholerna, papierkowa robota. Najwyższy czas, żeby Jadwiga wróciła i zajęła się tym. Zostawię jej wszystko uporządkowane, tyle jej się należy. No, to już dzisiaj w nocy? - Wyjął papierosa z paczki, pstryknął zapalniczką i głęboko zaciągnął się dymem, wypuszczając go w górę. -A... miejsce... na pewno zostało dokładnie określone, szyfr został złamany, bo czasu nie będzie zbyt dużo?

- Nasz człowiek w Szwajcarii złamał szyfr do skrytki. Trochę to trwało, bo nikt nie spodziewał się użycia jednej

z najprostszych technik szyfrowania - Lewicki skrzywił usta lekceważąco.

- To znaczy? Nie zabieraj mi czasu, muszę jeszcze sporo rzeczy załatwić z pensjonatem.

- To Szyfr Cezara, dziecinnie prosty, ale te łatwe najczęściej obchodzone są bokiem, ale przecież Heckmann był tylko majątnym człowiekiem, nie wojskowym szyfrantem. Słuchaj Tadeusz, masz takie samo nazwisko i pochodzisz z Dolnego Śląska. Na pewno nie jesteś którymś z tych Heckmannów?

- A czy Kowalski musi być z tych Kowalskich?

- No nie... Śledczy wołali cię do identyfikacji znalezionych zwłok... rozpoznałeś je?

- A skąd?! Ciemno, jakieś ciało kobiety... owszem spojrzałem, ale widok był tak nieprzyjemny, że trochę mnie ścięło i musiałem się napić. - Heckmann wstrząsnął się z obrzydzeniem.

Lewicki patrzył na niego przenikliwie. Heckmann wytrzymał jego spojrzenie z malującą się na twarzy obojętnością.

- Wracając do nocnego planu, musimy jeszcze ustalić szczegóły i dlatego wieczorem spotkamy się w Sali Bilardowej. Jeżeli chodzi o skrytkę, to otwiera się ją na zasadzie sejfu i jest to piąty rząd ornamentów od góry i dziewiąte miejsce rozet od lewej strony. Dość sprytnie to wykombinowane, od wewnątrz na pewno jest podwójna deska, bo przez tyle lat, nawet sprzątaczką przy ścieraniu kurzu, coś by zauważyła - Lewicki powiedział to z dużym uznaniem.

- Na czym to polega?

- Otóż zaszyfrowane zostało imię żony Klause Heckmanna, czyli to z sygnatury na spodzie porcelany, a mianowicie Elisa... jak już mówiłem, Szyfrem Cezara, czyli GNLUC, potem należało zliczyć kolejność liter, co dawało sumę 59 i rozwiązanie zagadki. Oczywiście - uśmiechnął się Lewicki - na liczenie liter nasz człowiek wpadł zupełnie

przypadkowo, bo sam szyfr tego akurat nie dotyczy, a że Heckmann był rzeczywiście dowcipnisiem, to zaszyfrował skrytkę w sposób wiadomy tylko dla jego rodziny. -1 co z tą numeracją?

- To proste. Rozetą pięć razy w prawo, potem dziewięć w lewo i skrytka otwiera się.

-Mam nadzieję, że znajdziemy tam to, czego szukamy.

- Znajdziemy, znajdziemy.

-Nareszcie to się skończy, bo zaczynało się wlec. Dobrze, że ten glina już wyjechał, a jak wróci, nas tu już nie będzie. - Heckmann z zadowoleniem popukał palcami po blacie biurka. - Słuchaj Janusz... wydaje mi się, że z tą Gawronik, to przegięcie. Nie tak miało być.

-Ale tak wyszło. Wypadek przy pracy. Za parę godzin, no... kilkanaście - ten spojrział na zegarek - nas już tu nie będzie.

- Skąd on to wziął do cholery?!

- Tadeusz, lepiej za dużo nie wiedzieć.

- Tak... a wygląda tak pospolicie, taki zwykły facet, jakich wielu na ulicy.

-Nie będziemy teraz rozpamiętywać, kto, po co i dlaczego. Do zobaczenia przy robocie. O drugiej udajemy pijanych i wychodzimy z pensjonatu.

Lewicki wstał i ruszył do wyjścia z biura.

- Zaczekaj! Nie ustaliliśmy, kto to zrobi?

- Och, przepraszam cię. Jak to kto? Dresske!

- Uhm...

- Eryk zagada Budrysową, on przemknie się do Sali Kominkowej, a wyjdzie oknem przecież to parter, do tego drzewa są na wyciągnięcie ręki. Spotkamy się w lesie, potem według ustalonego planu, jedziemy jako turyści do Szwajcarii, każdy osobno, potem spotykamy się w Genewie, w umówionym miejscu.

- Trochę nas dużo.

- Trochę... - Lewicki zawiesił głos, patrząc na czubki butów.
- Dobrze, że to już, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.
- Do wieczora.

Lewicki wyszedł, Heckmann wstał zza biurka, podszedł do okna i wpatrzył się w głębię zieleni lasu. Tak, to już w nocy...

W pokoju panowała ciemność.

Beata otworzyła oczy i przeciągnęła językiem po suchych wargach. Pić. I to dużo, najlepiej gazowanego, bo zaaplikowane leki skutecznie wzmogły pragnienie i przytłumiły ból głowy, za to spowodowały lekkie odrętwienie i mętlik w głowie.

Wyciągnęła po omacku rękę i zapaliła nocną lampkę. Zmrużyła oczy od jej nagłego blasku. Uniosła się na łóżku i sięgnęła po kubek z napojem. Pusty.

Opadła na poduszkę i próbowała sobie przypomnieć ostatnie godziny, kiedy Daniel przyprowadził ją do pokoju, stanowczo zapowiedział jej powrót do domu albo do szpitala i przez cały dzień jej nie opuszczał. Przyniósł na tacy śniadanie, którego nawet nie spróbowała, natomiast obiad spałaszowała do ostatniego kęsa.

Pocieszał ją, trzymał za rękę, głaskał po włosach, patrzył jak... jak jej chłopak. Daniel...

Ale teraz musi się czegoś napić, bo nawet z trudem przełyka gorzką ślinę po tych wszystkim zastrzykach, tabletkach. Zaraz, zaraz... kto był w tym dole?

Jadwiga Wojanowska! Musi o tym zapomnieć, bo na wspomnienie straszego odoru, zaraz pobiegnie do łazienki!

Beata powoli wstała z łóżka i otworzyła lodówkę. Wiele artykułów spożywczych, a do picia nic! Mogłaby pójść do kuchni, ale Daniel surowo jej zakazał, tylko że

gdzieś zniknął, a ona czuje się, jakby była na pustyni i to w samo południe.

Leki przytłumiły w niej zdolność realnej oceny rzeczywistości, wiedziała, że jej życie jest nadal zagrożone, ale przecież tylko wyjdzie z pokoju, przejdzie korytarz, potem po schodach do kuchni i wreszcie czegoś się napije. Dobrze, że to ona zamknęła drzwi na klucz, a nie Daniel.

Sprawdziła, która jest godzina. Dwudziesta trzecia.

Beata włożyła spodnie, gruby sweter i w kapciach wyszła z pokoju. Zapukała do drzwi obok. Cisza. Więc go nie ma. Ciekawe, kiedy wyszedł, pewnie wtedy, kiedy spała.

Na korytarzu nikogo nie spotkała, słaba, z mgłą w oczach, bezszelestnie, trzymając się balustrady schodów, powoli, krok za krokiem, schodziła na parter, słysząc głos recepcjonistki, plotkującej przez telefon i mieszaninę męskich głosów, dochodzących z Sali Bilardowej, która mieściła się zaraz za kuchnią.

W drodze do kuchni coś ją zaintrygowało. Drzwi do Sali Bilardowej były lekko uchylone, poprzez dźwięk kul bilardowych i przyciszonych głosów, dobiegł ją znajomy tembr głosu!

To Daniel?! Zamiast być przy niej, zabawia się przy stole bilardowym?!

Przystanąła przy ścianie, ostrożnie zerknęła przez szparę w drzwiach do środka. Cofnęła głowę, zdruzgotana tym, co zobaczyła.

Daniel wśród przestępczej szajki! Razem z Andrzejem Kamińskim, Januszem Lewickim, Gartenami i... „złotej rączki”!

Mężczyźni niewiele mówili, ale to, co usłyszała, ścisnęło jej serce aż do bólu, tamowało oddech, wywołało przerażenie, o wiele gorsze niż tam, w starej szopie!

- Co z tą dziewczyną? Miałeś się tym zająć! Skutecznie! - to głos Lewickiego.

- Spokojnie. Gdyby nie ten glina, który koniecznie chciał z nią rozmawiać, to bym jej stamtąd nie wyciągał, teraz jest w swoim pokoju, leży, nic nie można zrobić. Za dużo już trupów.

Beata zatkała dłonią usta, jakby bała się, że za chwilę wymknie się z nich okrzyk strachu, przerażenia, kiedy usłyszała Daniela, mówiącego o niej tak obojętnie, nawet sugerującego, że... na razie nic nie można zrobić!

Intuicja podpowiadała jej, żeby uciec do pokoju, do recepcji, albo... wsiąść do samochodu i natychmiast wyjechać, ale stała przy ścianie jak odrętwiała, nie mogąc oprzeć się dalszemu podsłuchiowaniu. Za chwilę straci przytomność ze strachu!

- Słuchaj, tę dziewczynę miałeś tylko postraszyć, a ty walisz w łeb i po co? Może nam narobić sporego kłopotu. To bystra, inteligentna laska! - Daniel robił komuś wymówki.

- Przyłożyłem jej, bo nie chciałem ryzykować, żeby za wcześnie nie odnaleźli tej baby, ale widocznie za lekko, a na porządne przysypanie ziemią nie miałem czasu, bo zdawało mi się, że ktoś się w pobliżu kręci. Zakopałem ją na tyle, że powinna już tam zostać.

To Matecki! Beata była tego pewna, słyszała tylko jeden raz jego charakterystyczny, ponury, niski tembr głosu i... teraz zrozumiała! Ta charakterystyczna sylwetka mężczyzny, przemykającego się nocą wśród drzew, i sylwetka kogoś stojącego nad dołem, to... „złota rączka"! A Daniel to bandyta! Jak mogła mu uwierzyć? Zakochać się?! W każdej chwili mógł ją zabić! A może... już wypła truciznę?!

- Spryciara. Niby wczasowiska, a wszędzie węszyła gdzie się dało i wywęszyła!

To Eryk, spokojny, cichy ornitolog, pomyślała z goryczą Beata.

- A poprzytulałeś ją chociaż trochę? Trzymałeś za rączkę i opowiadałeś, że się w niej zakochałeś?

Rozległ się chóralny śmiech.

- Nie tylko. Ale to moja działka i doprowadzę to do końca - zamknął dyskusję Daniel. - A teraz wytłumacz się z morderstwa Wojanowskiej! Na cholere wkopałeś nas wszystkich w to bagno?

- A skąd wiesz, że to ja? - Matecki zaśmiał się.

- Nie podskakuj, widziałem ślady krwi na drzewie i na przystanku i słyszałem waszą kłótnię! Byłem w pobliżu i widziałem jak jej przyłożyłeś!

-Zamknij się, drzwi specjalnie uchyliliśmy, żeby wyglądało to naturalnie, ale nie po to, żebyś informował cały pensjonat! Musiałem! Dopadła mnie na przystanku i groziła, że mnie wyrzuci i że widziała, jak próbowałem kręcić tymi rozetami, zanim został złamany szyfr.

- Słuchaj Richard, za szybko myślisz...

-Tylko nie Richard, panie Garten, uważaj pan na słowa! Oszalałeś?! Żadnych imion, nazwisk! Nazywam się Matecki! A ta cholerna baba musiała zniknąć!

Więc zwykły pracownik gospodarczy to Matecki, zabójca, a do tego jakiś Richard!

-Rozmawiałem z Heckmannem, on nie wie, że to jego Jadwiga. - To spokojny, opanowany głos Lewickiego.

- Może udaje? - wtrącił Kamiński.

- Jeżeli udaje, to już nie ma to znaczenia, za... dwie i pół godziny akcja i wiejemy - odezwał się ponury głos Richarda.

-Nie bądź taki szybki. Co zrobiłeś z komórką tej dziewczyny i tym, czym walnąłeś Wojanowską? - dopytywał Daniel.

-Komórkę ty zniszczysz, a klucz francuski jest w mojej torbie narzędziowej, czyściutki. Żadne badania nie wykażą najmniejszego śladu krwi. Bez obawy - parsknął Matecki - to nowy klucz.

- A tamten?

- Nie do znalezienia. Wyjechał. Co z tą komórką? Bierzesz?

- Daj mi ją teraz. Wiem jak ją zniszczyć. Mamy mało czasu. Ale panowie, nie ma z nami tutaj kogoś.

- Przyjdzie, gdyby wiedział, kogo wczoraj oglądał... - urwał Lewicki.

- Panowie, teraz poważnie. Gramy do za piętnaście druga. Na tyle głośno, żeby słyszała nas Budrysowa. Robimy zamieszanie, jakbyśmy za dużo wypili i wychodzimy z Bilardowej. Eryk podchodzi do recepcjonistki, prosi o tabletkę od bólu głowy, a ja wchodzę do Sali Kominkowej. Resztę planu znacie. A ty pilnuj dziewczyny, albo...

Chociaż Matecki znacznie przyciszył głos, Beata w stanie emocjonalnego napięcia zrozumiała każde jego słowo. Ogarnęła ją jeszcze większa fala strachu, cała się trzęsła, w głowie szalała jedna myśl! Ucieczka i to zaraz!

Zamierzała wrócić do pokoju, kiedy nagle, prawie przy drzwiach, usłyszała głos Daniela:

- Grajcie panowie, ja idę po Heckmanna. Chyba nie zamierza zwać z tym ze skrytki!

- Idź. Co z nim się dzieje? Jeszcze układa Jadwidze papiery?

Znowu rozległ się rechot.

-1 sprawdź, co z tą dziewczyną, w razie czego, małe bum! - to Eryk, podły ornitolog.

Beacie strach mieszał się z rozpaczą, nie miała obok siebie nikogo, kto by ją obronił, zdana była na własne siły, a właściwie... nogi. Warkot silnika mógłby wzbudzić w nich podejrzenie, więc pozostawała ucieczka lasem, do głównej szosy.

Już odchodziła od drzwi, kiedy te otworzyły się i stanął w progu Daniel. Patrzyli na siebie z takim samym przerażeniem w oczach.

Beata wbiegła na schody, tuż za nią Daniel, już ją łapał za ramię, ale człowiek ogarnięty paniką przeskakuje przysłowiowe góry, toteż wbiegła do korytarzyka łączącego ich pokoje, ale zabrakło jej tchu i oparła się plecami

ścianę. Resztkami sił wpadła do pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Uciec! I to zaraz, na pewno zorientował się, że mogła słyszeć ich rozmowę.

Rozległo się pukanie do drzwi. To zmobilizowało na nowo w niej siły i chęć obrony za wszelką cenę!

- Beata! Otwórz! Musimy porozmawiać!

Na pewno nie da sobie zrobić krzywdy! Będzie walczyć, krzyczeć, ile sił w płucach!

- Beata, bo wyważę drzwi!

-Zaraz, gonileś mnie po schodach i przestraszyłam się! Muszę ochłonąć! Nie wiedziałam, że nie wolno chodzić w nocy do kuchni. Dlaczego biegłeś za mną?

- To ty uciekałaś i też nie wiem dlaczego? Natychmiast otwórz!

Beacie trzęsły się ręce, kiedy próbowała włożyć adidas, w końcu zrezygnowała, zgasiła lampkę nocną, podeszła do okna i szeroko je otworzyła.

Wysoko, ciemno, ale chyba da radę...

Stała na parapecie, przyciągnęła do siebie najgrubszy konar i... zabrakło jej odwagi.

- Beata! Wchodzę!

Bała się, umierała ze strachu bardziej na myśl o skoku na drzewo, chociaż było tak blisko, wielkie, okazałe, bezpieczne, ale za drzwiami był Daniel, związany z szajką bezwzględnych przestępców. Zaraz wejdzie, słyszała chrobot kluczy w zamku, każda zmarnowana sekunda działała na jej niekorzyść, wzmagala panikę, której nie była już w stanie dłużej opanować.

Mogłaby krzyczeć, wówczas, jako obrońcy, zbiegliby się oni i pod pozorem udzielenia pomocy, gdzieś zawlekli...

- Beata, mam klucz do twojego pokoju! Wchodzę!

- Zaraz, otwieram!

Beata, nie patrząc w dół, z ogromną desperacją ponownie przyciągnęła do siebie najgrubszy konar i sko-

czyła na pień, obejmując go obiema rękami. Dygocząc ze strachu, powoli, czując pod stopami oparcie niższych konarów, zsuwała się z wielkim wysiłkiem na dół, czując jak pień drzewa szarpie na niej ubranie.

Tuż nad ziemią zeskoczyła na murawę i skrzywiła się z bólu. Ostatni konar znajdował się na wysokości około dwóch metrów, w ciemnościach i przerażeniu, nikt nie byłby w stanie tak na zimno, oceniać odległości skoku z drzewa na ziemię.

Nie zważając na ból poranionych rąk i stóp, uciekając w las, Beata spojrzała przez ramię w okno swojego pokoju.

Palilo się w nim światło, a poprzez gałęzie drzewa widziała zarys sylwetki Daniela.

Jego widok dodał jej sił. Wybiegła na czarną drogę, którą przyjechała do pensjonatu, ale kiedy usłyszała warkot samochodu dobiegający z okolicy pensjonatu, zaczęła kluczyć między drzewami, pewna, że to Daniel ją goni.

Ogromny strach tamował jej oddech, który stał się tak płytki, że zaledwie mogła nabrać powietrze w płuca, serce tak się tłukło, że mogłoby postawić na nogi całe miasteczko, dygotała, potykała się o korzenie drzew, zapadała się co chwilę w leśne wyrwy i czuła, że ma coraz mniej sił na ucieczkę.

Nagle usłyszała prawie za plecami szum samochodu, przystanęła i ukryła się za pniem drzewa. Nie wiedziała, czy to przypadek, czy właśnie odszukał ją Daniel. Nie potrafiła powstrzymać drżenia całego ciała, wydawało się jej, że każdy jej oddech naprowadzi tego kogoś w jej kierunku. Bała się wychylić zza pnia, żeby sprawdzić, kto siedzi za kierownicą.

Samochód zatrzymał się, ale światła paliły się nadal, ktoś wysiadł, nastąpił trzask drzwiczek i Beata, ku swojemu przerażeniu, zobaczyła, że to Daniel.

Przycisnęła się do pnia, wtopiła się w niego w nadziei, że jej nie dostrzeże. Zamknęła oczy, widząc snop światła

latarki, do jej uszu doszedł chrzęst kroków... blisko... coraz bliżej i bliżej... nagle kroki oddaliły się, przez chwilę kluczyły i znowu zbliżyły się na wyciągnięcie ręki... ale tym razem wiedziała, że Daniel zdecydowanie idzie w jej stronę.

Jeszcze chwila, znajdzie ją i zabije! Niech to już się skończy... Tak chyba czują się zwierzęta we wnykach kłusowników, kiedy ci do nich podchodzą.

Nie wytrzyma dłużej tego strasznego napięcia, ale będzie walczyć, nie podda się tak głupiej śmierci bez walki!

Nagle poczuła mocny uścisk na ramieniu... ale bez bólu noża czy ucisku zarzucanej pętli na szyję...

- Co tu robisz, do cholery?! - rzucił ze złością Daniel, gasząc latarkę. - Idziemy do samochodu!

-Nie! Wiem kim jesteś! Słyszałam wszystko! - krzyknęła Beata, cofając się przed nim.

-Wsiadaj! Mam cię zaprowadzić tam siłą?! -W oczach Daniela zalśniły złe błyski.

- Już wiem kim jesteś! Bandyta! Wszystko słyszałam!

- Nie wiem, co słyszałaś, ale jesteś pod moją opieką i w tej chwili wsiadaj do samochodu!

- Nie! Wiem, co chcesz zrobić! - Beata z przerażeniem patrzyła mu w oczy.

- Może to cię przekona!

Daniel wyjął spod marynarki rewolwer i wymierzył prosto w dziewczynę. Na jego twarzy malowała się determinacja użycia go, jeżeli Beata nie spełni jego żądania.

- Do samochodu! - Podniósł głos, chwytając ją za rękę. Dziewczyna stała jak sparaliżowana, wpatrując się

w lufę broni. Za chwilę wystrzeli do niej, na pewno spełni swój zamiar, bo patrzy z taką wrogością...

Wyrwie się, ucieknie, jest ciemno, pewnie będzie strzelał, może chybi... a może trafi... w plecy...

Niespodziewanie od strony czarnej drogi zaczął narastać szum jadącego samochodu, jego światła coraz bardziej przebijały ciemność nocy.

Daniel z niepokojem obserwował drogę, trzymając szarpiącą się Beatę, ale ta ostatkiem sił wyrwała się i wybiegła naprzeciw nadjeżdżającemu pojazdowi, machając rozpaczliwie rękami.

Samochód zatrzymał się, zgasły światła, po chwili otworzyły się drzwiczki i wysunęły się nogi w ciemnych spodniach...

Beata podbiegła do osoby wysiadającej od strony kierowcy i oniemiała... patrzyła na... Sabinę!

- Sabina?! Jak to dobrze... ale... skąd tu się wzięłaś?! - wyjąkała.

- Nie ma czasu na gadanie! - Sabina zwróciła się ostro do niej. - Wsiadaj do niego i koniec zabawy!

-Nie! Będę krzyczeć... zostawcie mnie w spokoju... nic nie powiem... nikomu...

Beata powoli cofała się w stronę lasu, ale Sabina bezlitośnie złapała ją za obie ręce i wykręciła do tyłu.

- Nie szarp się, bo będzie bolało! - zawołała.

Beata zobaczyła jeszcze, jak Daniel otwiera przed nią drzwiczki swojego samochodu, potem osunęła się bezwładnie na ziemię. Nie czuła nawet jak podnoszą ją i układają na tylnym siedzeniu.

Nocną ciszę w pensjonacie co chwilę zakłócały odgłosy głośnych, bełkotliwych rozmów, czasem pijackiego rechotu, dochodzące z Sali Bilardowej.

Halina Budrys spoglądała tam z niesmakiem, zgorszona brakiem umiaru w zachowaniu Heckmanna, który zabawiał się grą w bilard z kilkoma pijakami, jak nazwała w myślach grupę mężczyzn, od kilku godzin zajmujących salę.

Przez cały czas targały ją mieszane uczucia co do łatwości rozpoznania przez nią zwłok kobiety. Było

ciemno, twarz zniekształcona, teraz nie była już tego tak pewna, a Heckmann nie wydawał się być pogrążony w żałobie. Owszem, upił się, ale po kłótni z szefową, która nakazała mu wynosić się i to natychmiast, pewnie niejedyn by sięgnął po butelkę.

Chociaż... i znowu te wątpliwości...

Spojrzała w stronę Sali Bilardowej. Powinna ich uciszyć, zwrócić uwagę, że wczasowicze już śpią, ale w końcu jest z nimi Heckmann i to na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za spokój i bezpieczeństwo w pensjonacie.

Westchnęła. Basia milczy, mogłaby się odezwać, potwierdzić śmierć matki, albo nie...

Nagle, z trzaskiem, otworzyły się drzwi Sali Bilardowej i grupa mężczyzn, z butelkami i kieliszkami w rękach, wytoczyła się do holu.

Z grupy odłączył się młody Garten i chwiejnym krokiem ruszył w stronę recepcji. Budrysowa patrzyła na niego z niesmakiem; będzie marudził, jak to pijany.

- Przepraszam panią, ale - Eryk zachwiał się i przytrzymał kontuaru - okropnie rozboleła mnie głowa i zaraz mi pęknie - położył dłoń z tyłu głowy. - Poproszę o jakiejś tabletki, obojętnie jakie, byle od bólu głowy.

Cuchnął jakimś alkoholem, jakby wylał na siebie całą butelkę.

- Nie dziwię się, pić tyle godzin - recepcjonistka wstała, otworzyła wiszącą szafkę i sięgnęła po listek tabletek.

Podając mu je, pokiwała głową z dezaprobatą.

- Podać panu szklankę wody?

- Nie, dziękuję, najpierw wyjdę na powietrze, bo chyba przesadziłem z pićciem.

- Chyba - mruknęła recepcjonistka. Odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął za drzwiami,

bełkocząc coś do czekających na niego mężczyzn.

-Chodź chłopcze, idziemy na spacer. - Usłyszała jeszcze, po czym zaległa cisza.

Grupa mężczyzn przystanąła między drzewami, patrząc w ciemne okna Sali Kominkowej.

- No, udało się - stwierdził Kamiński, pokazując na skaczącego z parapetu mężczyznę.

- Dresske wygląda jak włamywacz - zażartował Garten i rozejrzał się dookoła. - Słuchajcie, gdzie jest Daniel?

- Przyjdzie, przyjdzie, nie martw się - uspokoił go Heckmann.

Richard Dresske podbiegł do mężczyzn i powiedział z widoczną ulgą:

- Przyświecałem sobie tak słabą latarką, że kilka razy pomyliłem się, ale w końcu trafiłem na właściwą rozetę.

- Pokaż, czy warto było nadstawiać kark, i w drogę! Każdy do swojego samochodu i dalej według planu! - zarządził Lewicki.

- To przyniesie nam fortunę!

Matecki-Dresske położył na dłoni srebrny kluczyk, taki, jakim otwiera się sejfy w bankach.

- Jak myślicie, co jest do podziału w Genewie? - potoczył wzrokiem po mężczyznach wpatrujących się kluczyk.

- Ty nam powiedz.

- Diamenty, sztabki złota, platyny, dzieła sztuki, książki-białe kruki - wyliczał Matecki.

- Wiedzieliśmy o tym - powiedział spokojnie Heckmann.

Dresske spojrział zimno na niego i wycodził przez zęby:

- Ty, tak naprawdę, to już nie jesteś nam do niczego potrzebny. Po Jadwisi - zarechotał bezlitośnie - został ci pensjonat, chyba dogadasz się z jej córką i cię nie wyrzuci. A więc, żegnaj!

Szybkim ruchem wyciągnął zza pazuchy rewolwer i wymierzył prosto w niego. Nikt z mężczyzn nie zareagował, nie powstrzymywał go, nie ruszył się z miejsca, tak jakby egzekucja była uzgodniona.

- To ty ją zabiłeś, kanalio! - Heckmann patrzył na niego z nienawiścią.
- Wtedy, wieczorem rozpoznałem jej ciało i przysięgłem zemstę! Właśnie nadszedł jej czas! - pokiwał z politowaniem głową, niewzruszony wymierzonym w niego rewolwerem.

- I co z tego? Naraziła mi się, groziła mi, przez tę babę o mało plan by nie wypalił. A teraz kolej na ciebie!

Dresske wymierzył w głowę Heckmanna i nagle...

Silny blask reflektorów oświetlił las i rozległ się donośny głos komisarza Karbowskiego:

- Policja! Odłóż broń i poddać się! Jesteście otoczeni! Wydarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że

zaskoczona szajka znieruchomiła, dając się po kolei zakuwać w kajdanki.

Tylko Tadeusz Heckmann stał spokojnie, opierając się o pień drzewa, patrząc ironicznie na Mateckiego, szarpiącego się z policjantem.

- Panie Dresske, coś krótko nacieszył się pan kluczykiem - przyciął mu z satysfakcją.

Po chwili z cienia wyłonił się Daniel i podszedł do dowodzącego akcją komisarza Karbowskiego.

- Świetna robota - pogratulował mu.

- Ty łobuzie! - krzyknął, widząc to Dresske. - Wiedziałem, że coś z tobą nie gra, podejrzewałem cię od początku, jak tylko zjawiłeś się w Genewie, nie wiadomo skąd! Ty łobuzie!

- Nazywam się Daniel Wiedeński i jestem komisarzem policji, tak samo jak... - zawiesił głos - komisarz Sabina Turska.

Odwrócił głowę w stronę nadchodzącej kobiety. Po chwili Sabina przystanęła obok niego.

Lewicki siarczyście zaklął, Heckmann głośno roześmiał się.

- Panie Matecki, czy może Dresske, nie jest pan taki sprytny, jak się panu wydawało - zaczął mówić Daniel. -

Przez cały czas nagrywałem wszystkie rozmowy, w moim, do niedawna, gronie przyjaciół od grabienia czyichś majątków. Z niczego się pan nie wywinie, tak samo jak to dobrane towarzystwo, które posiedzi za współudział w obydwu zabójstwach. Odprowadzić ich do samochodu! - wydał rozkaz.

-Wymigałeś się Heckmann! - krzyknął Janusz Lewicki. - A o Gawronik doskonale wiedziałeś!

Tadeusz Heckmann nie odpowiedział. Patrzył na mężczyzn odprowadzanych do policyjnego samochodu, po czym podszedł do Daniela i wyciągnął ręce przed siebie.

- Zgadza się, wiedziałem, że to Matecki ją zabił. Daniel skinął na policjanta. Sabina głęboko wciągnęła chłodne, nocne, sierpniowe powietrze.

- Przydały się studia aktorskie - powiedział z uznaniem Daniel.

- To była moja najlepsza rola, pewnie już nigdy się nie powtórzy. Jedźmy już, jakoś zimno mi się zrobiło. -Sabina wstrząsnęła się.

Zgasły reflektory, umilkł warkot oddalających się samochodów, stało się tak, jak to w nocy, w lesie; cicho, ciemno, spokojnie, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

W pokoju było jasno, pachniało lekarstwami, ktoś krzątał się przy łóżku, stukając obcasami po podłodze, gdzieś z oddali dochodził podobny stukot, wymieszany z niewyraźnymi rozmowami, jakby oddzielonymi grubą ścianą.

Beata wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, w którym leżała na szpitalnym łóżku, przykryta lekką kołdrą. To nie był jej pokój w pensjonacie, a kobieta ubrana na biało na pewno była pielęgniarką.

- Dzień dobry. Długo pani spała, to już czwarta kroplówka, nawet pani nie poruszyła się, kiedy wkłuwałam

wenflon. - Pielęgniarka stała obok jej łóżka i wieszała na stojaku torebkę z przezroczystym płynem.

- Co ja tu robię? - zapytała Beata słabym głosem.

- W nocy przywiózł panią ambulans nieprzytomną, z gorączką, całą podrapaną, no i ze stłuczeniem głowy. Nic pani nie pamięta?

-Próbuję sobie przypomnieć... ale jestem taka... oszołomiona... Muszę poukładać sobie wszystko po kolei - Beata z trudem dobierała słowa.

- Spokojnie, powoli, nic na siłę. Trafiła pani w dobre ręce naszego ordynatora. Była pani już u nas na prześwietleniu głowy, ale odmówiła pani zostania na oddziale.

- Jestem szpitalu w Stomewie?

- Tak, gorączka już pani spadła, ale czeka panią jeszcze leczenie, ale o tym, jak długie, zadecyduje lekarz prowadzący.

- Kto mnie przywiózł?

- Policja, ale wszystkiego dowie się pani właśnie od nich. Za chwilę będzie miała pani gościa, czeka na korytarzu. To komisarz z Komendy Głównej w Gdańsku, on wszystko pani wyjaśni.

Beata przejechała koniuszkiem języka po spierzchniętych ustach. Powoli dochodziła do niej świadomość tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni w pensjonacie „Czerwone Maki”.

I tej strasznej, pełnej przerażenia ucieczki, gonitwy po lesie, grożenia rewolwerem przez mężczyznę, w którym się zakochała i bezceremonialnego obejścia się z nią przez Sabinę.

To było takie okrutne, umierała wtedy ze strachu.

- Pani Beato?

- Tak? - spojrzała na nią z roztargnieniem.

- Zaraz poproszę komisarza. Jest pani na to gotowa? -Pielęgniarka patrzyła na nią uważnie.

- Chyba tak... tak.

Pielęgniarka wyszła na korytarz, zostawiając otwarte drzwi, w których po chwili ukazał się Hubert Karbowski. Energicznym krokiem wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Dzień dobry. Jestem komisarzem policji, nazywam się Hubert Karbowski. Chciałbym z panią porozmawiać. Czy czuje się pani na tyle dobrze, żeby mnie wysłuchać i odpowiedzieć na kilka pytań?

- Tak, proszę, pamiętam, że miał pan przyjechać do pensjonatu.

- Wtedy nie mieliśmy okazji, żeby się spotkać... z wiadomych powodów. - Karbowski przysunął białe krzeselko bliżej łóżka i usiadł.

- Pamiętam.

- Chciałbym upewnić się, że nie ma pani nic wspólnego z pewnymi wydarzeniami w pensjonacie. Mogę pytać?

- Proszę.

- Na wczasy przyjechała pani wyłącznie w celach rekreacyjnych? - Komisarz patrzył na bladą, podrapaną, twarz dziewczyny.

- Tak. Wyłącznie.

- Coś panią zainteresowało, odkryła pani coś, co później, niestety, obróciło się przeciwko pani?

- Zaraz po moim przyjeździe... zostałam poinformowana przez moją byłą współlokatorkę, Sabinę, ale nie chcę o niej teraz mówić...

- Dojdziemy do tego, proszę w miarę swoich sił kontynuować.

- Mówiła o porcelanie... tej znajdującej się w Sali Kominkowej i bogactwie lub śmierci... Potem ta historia wciągnęła mnie, bo podsłuchałam przez przypadek rozmowę, a właściwie kłótnię Sabiny z tym... lekarzem i zorientowałam się, że niektórzy wczasowicze, to jakaś szajka, polująca na czyjś majątek...

Beata umilkła zbierając myśli.

- Możemy jutro dokończyć rozmowę.

- Nie... Po śmierci tej kelnerki, o którą Sabina oskarżała Andrzeja Kamińskiego... mówiła, że ta kelnerka to jest jej siostra... poszłam do biblioteki i przeczytałam książkę o dawnych Sto Mewach. I tak doszłam do wniosku, że coś się niedobrego dzieje w pensjonacie. Zaczęłam interesować się tą niezwykłą historią... może ktoś zaczął mnie obserwować...

-Nie chciałbym dłużej pani męczyć pytaniami, ale nurtuje mnie dzień, w którym poszła pani do tego starego baraku. Dlaczego pani tam poszła i co się tam stało?

Beata zagryzła usta i zamilkła. Poruszyła się niespokojnie na łóżku.

- Poszłam tam z ciekawości. Cała ta historia z porcelaną naprawdę mnie zaintrygowała. Weszłam tam i...

- Pomogę pani. Ktoś panią uderzył w głowę i wepchnął do dołu. Pokażę pani kilka fotografii. To będą mężczyźni sfotografowani w różnych pozach, z profilu, na wprost, w nakryciach głowy, i poproszę panią o wskazanie, który z nich mógłby być tym, który napadł na panią, bo wiem od kogoś, że zdołała pani dostrzec zarys jego sylwetki. Proszę. - Karbowski wyjął z papierowej teczki zdjęcia mężczyzn w różnym wieku.

Beata bez wahania wskazała Mateckiego.

- To na pewno on. Ten sam człowiek podrzucił Sabinie czerwony kwiat z dzwonkami, którego bardzo się przestraszyła, ale nie wiem dlaczego. Wyglądałam wieczorem oknem i widziałam, jak biegnie między drzewami. Poznaje tylko po sylwetce - zastrzegła.

-Domyśla się pani, dlaczego ten człowiek panią zaatakował?

- Nie jestem pewna... ale czułam, że jestem w pensjonacie obserwowana... jakbym przyjechała w celu szukania tego mitycznego majątku dawnych fabrykantów - Beata mówiła cicho.

- Dziękuję pani, chciałem upewnić się co do Mateckiego. Mamy nagrania, ale pani potwierdziła nasze podejrzenia.

- Co się właściwie stało? Był jakiś majątek?

- Zaraz się pani dowie od oficerów śledczych, którzy czekają za drzwiami.

- Co zrobiliście z tymi bandytami... Sabiną i Danielem... oni porwali mnie grozili, że... zabiją - Beacie zadrżał głos.

- No właśnie... zaraz tu wejdą komisarze śledczy... Bardzo panią proszę o zachowanie spokoju. Może pani odmówić spotkania, przełożyć na jutro czy jakiś inny dzień.

Beata nie zrozumiała jego sugestii.

- Dlaczego? Chcę mieć to już za sobą - powiedziała zmęczonym głosem.

Karbowski wyszedł na korytarz i po chwili, z wielkim bukietem kwiatów, wszedł... Daniel, a za nim... Sabina.

Beata, z niedowierzaniem, zszokowana, patrzyła na uśmiechniętą Sabinę i zbliżającego się do niej z niepewną miną Daniela. Do pokoju zajrzała pielęgniarka i przystanęła w progu, jakby obawiała się nieoczekiwanej reakcji Beaty na ich widok.

Sabina przystanęła obok jej łóżka, otworzyła usta, zamierzała coś powiedzieć, ale Beata gwałtownie odwróciła głowę w stronę okna i zapadło krępujące milczenie.

- Dzień dobry, Beato. Wiem, co w tej chwili czujesz...

- Nie wiesz!

Sabina odwróciła się Daniela i coś po cichu mu powiedziała. Ten skinął głową.

-Beata... ja i Daniel jesteśmy oficerami śledczymi, przyszliśmy do ciebie nie tylko z obowiązku, ale też jako twoi przyjaciele. Z przeprosinami za ten incydent w lesie, no i za sam fakt ukrywania przed tobą naszego prawdziwego zadania w pensjonacie, nie mogłaś o niczym wiedzieć, bo byłabyś jeszcze bardziej narażona na niebezpieczeństwo, a nam przeszkadzałybyś w naszej w pracy.

No, spójrz na nas - Sabina dotknęła jej dłoni, ale dziewczyna cofnęła rękę.

Sabina odsunęła się od jej łóżka, Daniel stał, nadal trzymając kwiaty. Nie odzywał się.

Beata powoli odwróciła głowę i w milczeniu przerzucała spojrzenie to na nią, to na pełnego skruchy Daniela.

Pielęgniarka upewniła się:

- Mogę panią zostawić już samą?

Beata skinęła potwierdzająco głową, potem długo patrzyła w oczy Danielowi. Z wyrzutem, przykrością, ze smutkiem. Ten miał minę porzuconego zwierzaka.

- Ładne kwiaty - powiedziała wreszcie. - Niepodobne do tych, które otrzymałaś Sabino... a właściwie jeden... też czerwony.

- To była naparstnica purpurowa, bardzo trujący kwiat, ale wtedy nie mogłam ci o tym powiedzieć. Bożena została otruta sproszkowanymi liśćmi tego kwiatu, a ja go otrzymałam jako ostrzeżenie. Tak z początku myśleliśmy. Zostałam wówczas wycofana z akcji, a tobie powiedziałam, że to Dzwony Zmarłych i muszę wyjechać. Tak prawdę mówiąc, wcale nie udawałam strachu, naprawdę bałam się, że coś trującego zjem albo wypiję. Myślałam, że to mój były mąż chce mnie wyeliminować, ale było inaczej. Dopiero później doszliśmy do wniosku, że ten kwiat był przeznaczony dla ciebie, a człowiek, który go podrzucił, pomylił okna.

- Wiem, kto to był, ta... „złota rączka”.

- Tak. Pracownik gospodarczy, Matecki - potwierdziła Sabina. - Więcej powie ci Daniel, ja muszę wracać do pracy. Beata... mam nadzieję, że... powiem inaczej: w pensjonacie byliśmy zaprzyjaźnione ze sobą i chciałabym, aby było tak nadal. Nie musisz teraz deklarować niczego, masz prawo mieć do nas pretensje, ale... na pewno zaraz wszystko zrozumiesz.

- Gdybyś wiedziała, jak się was bałam... - Beata zacisnęła usta.

- Wiemy. - Daniel położył kwiaty na szpitalnej szafce i usiadł na krzeselku obok łóżka.

- A ty? - Beata spojrzała na Sabinę. - Tam jest drugie krzeselko, usiądź.

- Zostawiam cię z Danielem, ja muszę wracać do pracy. Życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia.

Sabina pochyliła się, cmoknęła ją w policzek i delikatnie ścisnęła ramię.

- Do zobaczenia. Trzymaj się.

- Do widzenia.

Sabina wyszła, zapadło milczenie, które przerwał Daniel:

- Wybacz mi, Beato. Musiałem udawać wczasowicza, chodziłem z aparatem fotograficznym, podziwiałem krajobraz... kłamałem, że robię zdjęcia do albumu. Nazywam się Daniel Wiedeński. Jestem policjantem, komisarzem i pracuję w Gdańsku.

-Nie Patkowski, za to glina - Beata patrzyła mu w czy. - Ale nie upilnowałeś mnie.

- Przepraszam, nie było mnie wtedy w pensjonacie. Chcę o tym już zapomnieć. To było nie do przewidzenia, chociaż, niestety, ale czuję się winny.

- Co chcesz mi teraz powiedzieć?

-Najpierw to, że jadą do ciebie rodzice i zabiorą cię do Bydgoszczy, do szpitala. Będziesz blisko domu... ale daleko ode mnie.

Beata blado uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Daniel chwycił ją i pocałował.

-Wybaczysz mi? - zapytał. - Tej nocy, kiedy uciekałaś przede mną, bałem się, że ktoś z nich mógłby cię dopaść i ze względu na twoje i moje bezpieczeństwo musiałem grozić ci bronią, bo obawiałem się, że któryś ruszył za mną. Jadąc, zadzwoniłem do Sabiny, żeby przyjechała i zabrała cię do jej rodziców w Stomewie. Kiedy zemdliałaś, bardzo się przerażiliśmy, że...

-Umrę?

- Twój stan zdrowia był bardzo poważny, wtedy w szpitalu, kiedy nie zgodziłaś się tam zostać, chirurg powiedział mi, że bardzo źle robisz, ale uparłaś się i przyjechaliśmy z powrotem do pensjonatu.

- Kto mnie tu przywiózł?

- Oboje cię przywieźliśmy, potem musieliśmy wrócić na akcję policyjną. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Wybaczysz mi?

- Jeszcze nie wiem. - Beata zrobiła kokieteryjną minę i poprosiła: - Opowiedz mi, co się właściwie działo w pensjonacie. Oczywiście bez zdradzania tajemnicy służbowej. A kiedy przyjedzie mama?

- Jeszcze dzisiaj.

- To dobrze, brakuje mi domu...

- Tylko domu?

- Nie tylko... Opowiedz o pensjonacie. Daniel, trzymając dłoń Beaty, zaczął mówić:

- Cała historia z porcelaną, a właściwie z prawdziwym majątkiem nieżyjących już fabrykantów, zaczęła się poza granicami naszego kraju. Międzynarodowa, zorganizowana grupa przestępców, specjalizujących się w okradaniu sejfów bogatych ludzi, natrafiła na ślad wiodący do jedyne go członka rodziny Heckmannów, a mianowicie do Ugo Heckmanna, do na wpół sparaliżowanego staruszka, dziecienniałego, nieco zdziwaczałego, który być może nieświadomie opowiadał o kluczyku, który miał otworzyć skarbiec. Staruszek nie miał nawet pojęcia, do czego służy ten kluczyk, ale w jego głowie powstała taka teza, której się trzymał i opowiadał o tym na prawo i lewo. Mam mówić dalej? - zapytał, widząc zamknięte oczy Beaty.

- Oczywiście, słucham uważnie. - Beata spojrzała na niego. - Nie śpię. Zamknęłam oczy, bo czuję się teraz bezpieczna.

- Dziękuję ci. Otóż w przestępczym gangu jednym z ważniejszych w ich hierarchii był Richard Dresske-Ma-

tecki, z podwójnym obywatelstwem niemiecko-polskim. To on, już w Szwajcarii, wpadł na trop majątku fabrykantów. W tym celu przyjechał do naszego kraju i zatrudnił się w pensjonacie Wojanowskiej jako pracownik gospodarczy, oczywiście jako Matecki. Jedynym problemem było potwierdzenie lokalizacji ukrycia kluczyka...

- Jakiego kluczyka? - zdumiała się Beata. - A majątek, kosztowności, bo tak to sobie wyobrażałam. Czytałam książkę Janczaka i urywek testamentu.

- Kluczem dostępu do naprawdę wielkiego majątku Heckmannów był niepozorny, mały, srebrny kluczyk, ukryty w sprytnie skonstruowanej skrytce, pod rozetą w jednym z mebli w Sali Kominkowej. Żeby się upewnić, czy to jest właściwe miejsce, mam tu na myśli nie rozetę, ale miejsce jako pensjonat, trzeba było dotrzeć do sygnatury porcelany, która, jak wiesz, potwierdziła dziwny zapis w testamencie. Wojanowska domyślała się, o co chodzi z tą kolekcją porcelany, ale nie zależało jej na szukaniu czegoś, gdzieś w tajemniczym miejscu, a nade wszystko kochała swój pensjonat i strzegła dostępu do porcelany.

Surowo nakazała Gawronik, aby ta, pod żadnym pozorem, nigdy, przy żadnym wczasowiczu nie otwierała witryny. Kelnerka, zgodnie z nakazem swojej szefowej, stosowała się do jej polecenia i nawet romans z Kamińskim, który udawał zakochanego i próbował nakłonić ją do pokazania porcelany, nie skłonił jej do złamania polecenia. Chociaż był moment, że o mało nie uległa jego prośbie. Dodam, że Sabina porządnie ją o to ochrzaniła.

- Słyszałam to, chyba w nocy - przypomniała sobie Beata.

- Wobec czego Matecki, w wolnym dniu od pracy, a to był dzień, w którym Bożena spadła ze schodów, pojechał do Gdyni, do portu, skąd odebrał ze statku od kogoś z bandy, specjalnie spreparowane saszetki z digitoksyną. I gdyby nie strach Wojteckiej przed nim, która wła-

śnie jego widziała, kiedy wrócił wieczorem i przed jedenastą był w kuchni i zamienił saszetki z ziołami, na saszetki z trucizną... to pewnie skróciłoby nasze śledztwo.

-To straszne, takie okrutne - powiedziała cicho Beata.

-Dla przyzwoitego człowieka, ale nie dla takiego zwyrodnialca. Wojtecka była w tym czasie w kuchni, a w zasadzie w takiej małej spiżarni, i dokładnie widziała, co on zrobił, ale bała się opowiedzieć to Karbowskiemu. Saszetki miały tylko kelnerkę uspić, osłabić, ale jej organizm nie wytrzymał takiej dawki, z bólami wyszła na korytarz i spadła ze schodów, już martwa. Wówczas Matecki zakradł się do jej pokoju, zabrał kubek, umył go i zabrał klucz do witryny. Mógł to zrobić bez obawy zdemaskowania, sama wiesz, jakie zrobiło się zamieszanie, chaos, nawet na chwilę zgasło światło. Później Matecki zsunął się po drzewie na dół, wszedł przez okno do Sali Kominkowej, zabrał filiżankę, żeby pokazać ją szajce, a wczesnym rankiem, pod pretekstem jakiejś naprawy, postawił filiżankę do witryny.

- Widziałam to puste miejsce. Na drugi dzień, kiedy zajrzałam do sali, filiżanka stała na swoim miejscu, nawet przestraszyłam się, bo nagle za plecami wyrósł mi Kamiński, a przecież Sabina oskarżała go o śmierć siostry.

- Sabina od początku śledztwa została przydzielona do specjalnej grupy śledczych i przez nadkomisarza Nadolskiego została wysłana do pensjonatu jako wczasowiczka. Wiedziała, że w pensjonacie będzie jej były mąż, ale z wiadomych powodów nie mogła cię wtajemniczać w wiele spraw.

-Kiedyś przypadkiem podsłuchałam jej rozmowę z tym lekarzem i dowiedziałam się, że jest aktorką.

- Bo jest. Ukończyła studia aktorskie, ale, zniechęcona brakiem głównych ról, zmieniła zawód, ukończyła Szkołę Policyjną i stwierdziła, że to jest właśnie zawód dla

niej. Po śmierci jej siostry, jak już wiesz, wycofaliśmy ją, a na jej miejsce wysłano mnie.

- Tak nagle, bez przygotowania w temacie? - zdziwiła się Beata.

-Siedziałem po uszy w tej sprawie, od samego początku. Byłem cały czas wśród tej szajki i udawałem takiego samego drania jak Lewicki, Gartenowie, Kamiński, Heckmann, ta sportsmenka nie liczyła się w tej grze, to klasyczna podrywaczka: raz ten, raz tamten...

- Wiem, bo widziałam ją w lesie z Kamińskim. -Właśnie. Nikt z nich nawet nie podejrzewał, że

mógłbym być gliną. Nie na darmo kilku lekcji udzieliła mi Sabina - Daniel uśmiechnął się z uznaniem.

- Powiedz mi, dlaczego została zamordowana Jadwiga Wojanowska? Przecież była prawie żoną Heckmanna.

- Ona, jeżeli tak mógłbym to ująć, ściągnęła na siebie zagrożenie życia prawie na własne życzenie. Była bystrą, inteligentną kobietą, wiedziała o testamencie, plotkach, książce Janczaka, podejrzewała kolegów swojego mby-męża i groziła, że skończy z tym wariactwem. Zamknie na parę miesięcy pensjonat i wyjedzie do córki, a on, Heckmann, może wrócić tam, skąd przyjechał.

Dziwnym trafem, ale tego nie dowiemy się już nigdy, zaczęła śledzić Mateckiego, wiemy o tym od Heckmanna, i groziła mu, że wyrzuci go z pracy, bo zamiast wykonywać swoją robotę, to myszkuje po pensjonacie i za często widuje go w Sali Kominkowej. Chyba wtedy wydała na siebie wyrok śmierci.

Po awanturze z Tadeuszem, kiedy oświadczyła mu, że jedzie do córki, wieczorem poszła na przystanek busa, wiesz, gdzie to jest, w lesie, tam gdzie na drzewie była ta niby rdza. -Niby?

- To była krew. Wojanowskiej. Kora trzymała wilgoć pomimo dość wysokiej temperatury powietrza i wystar-

czało oprzeć się ręką o pień, żeby na niej został ślad. W lesie, wieczorem, nawet latem, jest już ciemno i nie zauważyła, że podąża za nią Matecki.

Z jego zeznań wynika, że kiedy go już zobaczyła, wypowiedziała mu pracę, doszło do ostrej pyskówki i kiedy stanęła do niego tyłem, uderzył ją w głowę jakimś metalowym przedmiotem i zaciągnął do tego starego baraku. Później wygadał się, że to był klucz francuski. Przeszukaliśmy jego torbę narzędziową i owszem, był tam klucz francuski, ale nowy. Narzędzie zbrodni odpłynęło pewnie tym samym statkiem, z którego dostarczono mu saszetki z trucizną. Będziemy to ustalać, a od obydwu zbrodni nie wymiga się - głos Daniela zabrzmiał twardo. - Przez cały czas nagrywałem wszystko, nawet... - uśmiechnął się szelmowsko - nasze rozmowy.

- No wiesz, dlaczego? - obruszyła się Beata.

- W każdej chwili mogło wydarzyć się coś niespodziewanego, oczywiście z ich udziałem, i musiałem to rejestrować, ale nie martw się, nasze rozmowy z pewnością zostaną skasowane.

- Teraz, już po wszystkim, wydaje mi się, że brałam udział w jakimś filmie, horrorze... a ten Matecki mnie uderzył, bo pewnie bał się, że za szybko znajdą się zwłoki i nie zdążą przeprowadzić swojego planu. Wiem, że głupio się zachowywałam, ale kiedy próbowałam coś ci powiedzieć, to zbywałeś mnie żartami, byłeś taki obojętny...

-Musiałem. Cała szajka uważała, że tylko udajesz naiwną wczasowiczkę, a tak naprawdę jesteś z konkurencyjnego gangu. Bardzo pomógł nam Tadeusz Heckmann. Od razu zorientował się, że to któryś z nich zamordował Jadwigę. Załamał się po jej śmierci, od razu rozpoznał jej ciało, strasznie to przeżywał, on naprawdę bardzo ją kochał. Pomimo że z tą bandą bezwzględnych łobuzów łączyły go interesy, opowiedział o wszystkim komisarzowi Karbowskiemu, który udał, że wzywają go do Gdańska,

a w rzeczywistości wrócił w tajemnicy do pensjonatu, do swojego apartamentu.

- Jak oni się wszyscy dobrali?- Beata uniosła się na łóżku i poprosiła Daniela, aby poprawił jej poduszkę.

- Wygodnie ci? - zapytał z troską, patrząc na jej bladą twarz.

- Uhm. Jak się poznali?

- Przez interesy, legalne i nielegalne, długi, prawdopodobnie to Matecki ich zwerbował, ale śledztwo trwa, więc to tyle na ten temat. A co do majątku, to został zdeponowany przez prawdziwych Heckmannów w Banku Szwajcarskim, w Genewie, po wyjeździe z ówczesnych Sto Mew i jest to wielka fortuna: diamenty, biżuteria...

Beata westchnęła.

- Przyjechałam na wczasy, a wplątałam się w kryminalną aferę i o mały włos... już tam nie zostałam. - Odwróciła głowę, żeby Daniel nie zauważył łez w kącikach oczu.

-Nie wstydz się, płacz, jesteś tylko małą dziewczynką. - Dotknął czułym gestem jej włosów. - Wyglądasz tak słodko z tymi podrapanymi policzkami...

- Wyglądam okropnie.

- Nie dla mnie. Beata - Daniel usiadł na brzegu łóżka. - chociaż to nie jest czas i miejsce, ale... muszę ci to powiedzieć.

- Powiedz. - Spojrzała na niego, jakby wiedziała, co usłyszy.

-Kocham cię. Kiedy przyjechałem do pensjonatu i zobaczyłem cię, pomyślałem, że to nie przypadek, że tak musiało się stać. Zakochałem się w tobie, jak nigdy w żadnej dziewczynie.

Daniel chwycił jej dłoń i poczuł, jak zaciskają się w jego ręce palce jej dłoni.

- Ja... też cię kocham... wtedy na werandzie, w czasie burzy, czekałam na jakiś znak z twojej strony, że ci się podobam, ale chyba go nie było...

- Kochana...

Daniel ze wzruszeniem patrzył na jej twarz z podkrążonymi oczami, w których czały się srebrne, powstrzymywane łzy, drobną postać i czuł ciepło małej, podrapanej dłoni. Na pewno już nigdy nie pozwoli jej na zabawy w detektywa.

Koniec